

NAJNOWSZA POWIEŚĆ Z DIRKIEM PITTEM

CLIVE CUSSLER

DIRK CUSSLER



ARKTYCZNA MGŁA


AMBER

CLIVE CUSSLER
DIRK CUSSLER

ARKTYCZNA MGŁA
przekład Maciej Pintara

Pamięci Leigh Hunta.

Tak, naprawdę istniał pewien Leigh Hunt.

Drogi przyjaciel, bon vivant, kpiarz

i ekscentryczny donżuan,

który umiał postępować z kobietami,

czego zazdrościli mu wszyscy mężczyźni.

Uśmierciłem go w prologach dziesięciu książek z Dirkiem Pittem. Zawsze chciał odegrać większą rolę w powieściach, ale nie narzekał, bo cieszyła go sława.

Do zobaczenia, stary, bardzo nam Ciebie brakuje.

Kwiecień 1848 Cieśnina Wiktorii, Ocean Arktyczny

Krzyk rozszedł się po statku niczym wycie rannego zwierzęcia. Żałosne zawodzenie brzmiało jak błaganie o śmierć. Do jęku dołączył drugi, potem trzeci, aż w ciemności rozbrzmiał cały upiorny chór. Kiedy makabryczne wrzaski umilkły, nastąpiła chwila niespokojnej ciszy, po której znów odezwały się udręczone głosy. Kilku marynarzy, tych, którzy jeszcze pozostali przy zdrowych zmysłach, słuchało tych odgłosów i modliło się o lżejszą śmierć dla siebie.

W swojej kajucie kapitan James Fitzjames też słuchał i ścisnął w dłoni kawałek srebrzystej skały. Uniósł zimny lśniący minerał do oczu i zaklął, patrząc na jego błyszczącą powierzchnię. Czymkolwiek był ten kamień, okazał się przekleństwem dla statku. Jeszcze zanim wnieśli go na pokład, przynosił śmierć. Dwaj marynarze wypadli za burtę łodzi wielorybniczej podczas transportu pierwszej partii skał i szybko zamarзли w lodowatych wodach Arktyki. Inny zginął podczas bójki na noże, kiedy próbował wymienić minerał na tytoń z szalonym cieślą okrętowym. W ciągu ostatnich tygodni ponad połowa załogi z wolna popadła w obłęd. Bez wątplenia to wina srogiej zimy, rozmyślał kapitan, ale tajemnicza skała też odgrywała jakąś rolę.

Z zamyślenia wyrwało go walenie do drzwi kajuty. Nie chciał tracić energii na wstawanie i otwieranie, więc po prostu rzucił ochryple:

- Tak?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazał się w nich niski mężczyzna z rumianą, brudną twarzą i w poplamionym swetrze.

- Kapitanie, jeden czy dwaj z tamtych znów próbują się przedrzeć przez barykadę - oznajmił z wyraźnym szkockim akcentem kwatermistrz okrętowy.

- Wezwijcie porucznika Fairholme'a. - Fitzjames podniósł się wolno. - Niech zbierze ludzi.

Rzucił odłamek na koję i wyszedł za kwatermistrem z kajuty. Poszli mrocznym, cichnącym stęchlizną korytarzem, oświetlonym kilkoma małymi lataniami. Kiedy minęli główny właz, kwatermistrz zniknął, a Fitzjames pomaszerował dalej. Wkrótce zatrzymał się przed wysoką stertą blokującą drogę. Stos beczek, skrzyń i baryłek w korytarzu sięgał do wyższego pokładu i tworzył prowizoryczną barykadę, która odgradzała część dziobową statku. Gdzieś z drugiej strony dobiegały odgłosy przesuwania skrzyń oraz stęknięcia.

- Znów zaczynają, panie kapitanie - powiedział senny żołnierz piechoty morskiej, pełniący wartę przy sterce z muszkietem typu Brown Bess. Ledwie dziewiętnastoletni wartownik miał niechlujny zarost, który sterczał jak ciernie.

- Niedługo zostawimy im statek - odparł Fitzjames zmęczonym głosem.

Za nimi zaskrzypiała drewniana drabina, gdy trzech mężczyzn wspięli się do głównego włazu z dolnego pokładu. Lodowaty podmuch wdarł się na chwilę do korytarza, potem jeden z mężczyzn zasłonił szczelnie otwór brezentem. Wychudły oficer w grubej kurtce munduru wyłonił się z mroku i podszedł do Fitzjamesa.

- Panie kapitanie, zbrojownia jest nadal zabezpieczona - zameldował porucznik Fairholme, wypuszczając obłok pary z ust. - Kwatermistrz McDonald zbiera ludzi w mesie oficerskiej. - Uniósł

mały pistolet skałkowy. - Wzięliśmy trzy sztuki broni dla siebie.

Fitzjames skinął głową i popatrzył na dwóch towarzyszy Fairholme'a, wymizerowanych żołnierzy - Królewskiej Piechoty Morskiej. Każdy z nich trzymał muszkiet.

- Dziękuję, poruczniku - odrzekł spokojnie. - Nie będzie żadnej strzelaniny, dopóki nie wydam rozkazu.

Zza barykady dobiegł przeraźliwy krzyk, potem głośny brzęk garnków i rondli. Szaleństwo narasta, pomyślał Fitzjames. Mógł sobie tylko wyobrazić, co się dzieje po drugiej stronie zapory.

- Są coraz bardziej agresywni - powiedział cicho porucznik. Fitzjames przytaknął ponuro. Gdy wstępował do Służby Badań Arktyki, nie spodziewał się, że kiedykolwiek będzie musiał poskramiać oszalałą załogę. Optymistyczny i przyjacielski, szybko awansował w Królewskiej Marynarce Wojennej i kiedy miał trzydzieści lat, już dowodził okrętem. Teraz, sześć lat później, oficer, nazywany niegdyś „najprzystojniejszym mężczyzną w Royal Navy”, walczył o przetrwanie i stał przed najcięższą dotychczas próbą.

Może to nic dziwnego, że część załogi postradała zmysły. Zimowanie w Arktyce na pokładzie statku uwięzionego w lodzie było koszmarnym przeżyciem. Marynarze od miesięcy tkwili w ciemności i bezlitosnym zimnie, stłoczeni w ciasnych kajutach na dolnym pokładzie. Walczyli ze szczurami, zmagali się z klaustrofobią i odosobnieniem, na dodatek mieli skorbut i odmrożenia. Przetrwanie jednej zimy było wystarczająco trudne, tymczasem załoga Fitzjamesa zimowała w Arktyce już trzeci rok i dawały jej się we znaki nie tylko choroby, ale i niedostatek żywności oraz paliwa. Śmierć kierownika ekspedycji, sir Johna Franklina, pogorszyła jeszcze sytuację.

Fitzjames wiedział, że dzieje się coś groźniejszego. Kiedy bosmanmat zdarł z siebie ubranie, wspiał się na górny pokład i zeskoczył z wrzaskiem na krę, można to było uznać za pojedynczy przypadek obłądki. Gdy jednak trzy czwarte załogi zaczęło krzyczeć przez sen, snuć się apatycznie po statku, bełkotać niezrozumiale i mieć halucynacje, było to najwyraźniej coś innego. Kiedy chorzy stali się agresywni, Fitzjames kazał ich po cichu przenieść do części dziobowej i odosobnić.

- Coś na statku doprowadza ich do szaleństwa - rzekł cicho Fairholme, jakby czytał w myślach kapitana.

Fitzjames miał przytaknąć, gdy nagle mała skrzynka spadła ze szczytu barykady i omal nie ugodziła go w głowę. W otworze na górze ukazała się blada wychudła twarz, oczy żarzyły się na czerwono w chybotliwym blasku świec. Mężczyzna przecisnął się szybko przez dziurę i stoczył po zaporze w dół. Kiedy wstał, Fitzjames rozpoznał w nim jednego z palaczy, którzy obsługiwali silnik parowy statku. Mimo przenikliwego zimna wewnątrz kadłuba, palacz był bez koszuli. Wymachiwał ciężkim nożem rzeźniczym zabranym z kambuza.

- Gdzie owieczki na rzeź?! - wrzasnął i uniósł nóż.

Zanim zadał cios, żołnierz Królewskiej Piechoty Morskiej dzielił go kolbą muszkietu w skroń. Nóż uderzył w jakąś skrzynię, gdy mężczyzna runął na pokład i strużka krwi pociekła mu po twarzy.

Fitzjames odwrócił się od nieprzytomnego palacza do marynarzy wokół siebie. Zmęczeni, wynędzniali i wymizerowani patrzyli na niego, czekając na rozkazy.

- Natychmiast opuszczamy statek. Do zmroku zostało jeszcze ponad pół godziny. Zdamy dotrzeć do „Terrora”. Poruczniku, niech pan przyniesie ekwipunek do mesy.

- Ile sań przygotować?

- Żadnych. Niech pan spakuje tylko tyle bagażu, żeby każdy mógł go udźwignąć.

- Tak jest - odpowiedział Fairholme i zniknął wraz z dwoma ludźmi w głównym włazie

prowadzącym na dół.

W ładowni statku leżały parki, ciepłe buty i rękawice, które załoga nosiła w czasie pracy na pokładzie lub wypraw saniami. Fairholme i jego pomocnicy szybko zabrali na górę zimowe ubrania i zanieśli je do dużej mesy na rufie.

Fitzjames poszedł do swojej kajuty, wziął kompas, złoty zegarek i listy do rodziny. Otworzył dziennik okrętowy i drżącą ręką zrobił ostatni wpis. Zaciśnął powieki z poczuciem porażki i zamknął oprawioną w skórę księgę. Tradycja nakazywała, by zabrał ze sobą dziennik, ale zamiast tego schował go pod kluczem w biurku na stercie dagerotypów.

Jedenastu mężczyzn, tylu pozostało przy zdrowych zmysłach z sześćdziesięcioosobowej załogi, czekało na niego w mesie. Kapitan włożył parę i buty, tak jak pozostali, i poprowadził ich na górę głównym włazem. Odsunęli na bok pokrywę, wydostali się na główny pokład i oddali na pastwę żywiołów. Poczuli się tak, jakby przekroczyli wrota zamrożonego piekła.

Z ciemnego i wilgotnego wnętrza statku weszli w oślepiającą biel. Wyjący wiatr ciskał w nich milionami drobnych kryształków lodu i przenikał ich ciała falami zimna o temperaturze minus siedemdziesięciu trzech stopni Celsjusza. Nieba nie sposób było odróżnić od ziemi w wirującej śnieżnej zamieci. Zmagając się z porywami wichury, Fitzjames doznał na oślep przez zaśnieżony pokład do drabiny i zszedł na lód.

Niemal kilometr dalej tkwił uwięziony w zamrożonych wodach bliźniaczy statek ekspedycji, HMS „Terror”. Zadymka ograniczała widoczność do kilku metrów. Gdyby nie odnaleźli „Terrora”, zginęliby podczas poszukiwań na pokrywie lodowej. Drewniane słupki orientacyjne, białe co trzydzieści metrów między dwoma statkami, miały zapobiec zgubieniu drogi, ale trudno było je dostrzec w szalejącej zamieci.

Fitzjames wyjął kompas i ustawił na dwanaście stopni, gdyż wiedział, że to jest kierunek do „Terrora”. W rzeczywistości bliźniaczy statek utknął na wschód od miejsca, w którym stał kapitan, ale bliskość północnego bieguna magnetycznego zakłócała wskazania. Modląc się w duchu, by pokrywa lodowa nie przesunęła się od czasu ostatniego namiaru, Fitzjames pochylił się nad kompasem i ruszył w wyznaczonym kierunku. Wszyscy marynarze byli połączeni liną i wyglądali jak ogromna stonoga.

Młody kapitan brnął naprzód ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w kompasie, lodowaty wiatr sypał mu śniegiem w twarz. Fitzjames odliczył sto kroków, przystanął i się rozejrzał. Poczul ulgę, gdy przez zadymkę dostrzegł pierwszy słupek orientacyjny. Ruszył dalej, sprawdził namiar i skierował się do następnego palika. Sznur mężczyzn posuwał się od słupka do słupka przez nierówne śnieżne pagórki, które często miały wysokość dziesięciu czy dwunastu metrów. Fitzjames skupiał się całkowicie na marszu, żeby nie myśleć o statku pozostawionym bandzie szaleńców. W głębi duszy wiedział, że chodzi o przetrwanie. Po trzech latach w Arktyce tylko to się liczyło.

Głośny huk zgasił tłącą się w jego duszy nadzieję. Hałas był ogłuszający mimo wycia wiatru. Zabrzmiał jak wystrzał z dużej armaty, ale kapitan natychmiast go rozpoznał. To pokrywa lodowa, która składała się z grubych warstw, poruszała się chybotliwie pod jego stopami.

Odkąd dwa statki ekspedycji utknęły wśród lodu we wrześniu 1846 roku, przebyły ponad dwadzieścia mil morskich, popychane przez masy lodu nazywane lodowym strumieniem Beauforta. Z powodu niezwykle zimnego lata tkwiły uwięzione w lodzie przez cały 1847 rok, a tegoroczna wiosna odwilż trwała bardzo krótko. Powrót mrozów znów kazał wątpić w to, że statki uwolnią się tego lata. Jednocześnie ruchy lodu groziły fatalnymi następstwami, gdyż mocne drewniane

kadłuby mogłyby zostać zmiażdżone jak pudełka zapalek. Sześćdziesiąt siedem lat później Ernest Shackleton będzie patrzył bezradnie, jak jego statek „Endurance” zostaje zgnieciony przez rozszerzającą się pokrywę lodową w Antarktyce.

Z walącym sercem Fitzjames przyspieszył kroku, gdy w oddali rozległ się następny trzask o sile grzmotu. Lina w jego rękach naprężyła się - mężczyźni z tyłu nie mogli za nim nadążyć, ale nie zwolnił. Dotarł do ostatniego słupka orientacyjnego, zmrużył oczy i wpatrzył się w zamieć. Wśród białych wirów przez moment zamajaczyła przed nim ciemna sylwetka statku.

- Jest tuż przed nami! - krzyknął do ludzi za sobą. - Ruszajcie się, jesteśmy prawie na miejscu!

Cała grupa rzuciła się do przodu. Kiedy wspięli się na nierówne lodowe wzniesienie, ich oczom wreszcie ukazał się „Terror”. Statek o długości trzydziestu jeden metrów wyglądał niemal identycznie z ich własnym, łącznie z szerokim złotym pasem na czarnym kadłubie. Ale teraz ledwo przypominał statek: zdjęto żagle i noki rei, a nad pokładem rufowym rozciągnięto wielkie brezentowe zadaszenie. Sterty śniegu, usypane dla izolacji, sięgały niemal do relingów, maszt i olinowanie pokrywała gruba warstwa lodu. Mocny moździerzowiec, którym kiedyś był „Terror”, przypominał teraz ogromny rozerwany karton mleka.

Fitzjames wszedł na pokład, gdzie zaskoczył go widok marynarzy biegających po oblodzonych deskach. Podszedł kadet marynarki wojennej i zaprowadził Fitzjamesa oraz jego ludzi przez główny właz na dół do kambuza. Steward rozdał porcje brandy, mężczyźni otrzepali ubrania z lodu i ogrzali ręce przy piecu kuchennym. Kiedy kapitan rozkoszował się trunkiem, który rozgrzewał mu żołądek, zauważył gorączkową krzątaninę w mrocznych pomieszczeniach. Marynarze pokrzykiwali do siebie i przesuwali zapasy głównym korytarzem. Podobnie jak jego ludzie, załoga „Terrora” wyglądała przerażająco. Większość bladych, wychudłych mężczyzn miała zaawansowany skorbut. Fitzjames też stracił już dwa zęby wskutek niedoboru witaminy C, powodującego owrzodzenie dziąseł i krwawienie z nosa. Choć na pokład zabrano baryłki soku cytrynowego i racjonowano go regularnie, z czasem utracił swoje wartości. W dodatku brakowało świeżego mięsa, toteż wszyscy chorowali. Wiedzieli, że nieleczony może okazać się bardzo groźny.

Zjawił się kapitan „Terrora”, twardy Irlandczyk Francis Crozier. Weteran wypraw arktycznych, spędził większość życia na morzu. Jak wielu przed nim, pociągało go znalezienie drogi między Atlantykiem a Pacyfikiem przez niezbadane obszary Arktyki. Odkrycie Przejścia Północno-Zachodniego byłoby może ostatnim wielkim wyczynem, którego jeszcze nie dokonano. Tuziny ludzi podejmowały bezskuteczne wysiłki, ale ta ekspedycja różniła się od poprzednich. Sukces załóg dwóch przystosowanych do arktycznych warunków statków pod dowództwem małomównego sir Johna Franklina wydawał się pewny. Ale Franklin zmarł rok wcześniej po nieudanej próbie dotarcia do wybrzeża Ameryki Północnej zbyt późnym latem. Statki utknęły na pełnym morzu, gdy lód zamknął się wokół nich. Uparty Crozier zamierzał ocalić ludzi, którzy mu pozostali, uratować ich przed porażką i okryć chwałą.

- Opuściliście „Erebusa”? - zapytał sarkastycznie Fitzjamesa. Młodszy kapitan przytaknął.

- Reszta załogi postradała zmysły.

- Dostałem twoją wcześniejszą wiadomość o waszych kłopotach. Bardzo dziwne. Jeden czy dwóch moich ludzi straciło rozum na jakiś czas, ale nie doszło do masowego obłądzenia.

- To diabelnie niepokojące - odrzekł Fitzjames z wyraźnym zmieszaniem. - Cieszę się, że opuściłem ten dom wariatów.

- Są już martwi - mruknął Crozier. - My też możemy wkrótce zginąć.

- Pokrywa lodowa pęka.

Crozier skinął głową. Lód często rozrywał się w punktach naprężenia na skutek ruchów podpowierzchniowych. Choć większość pęknięć zdarzała się jesienią i wczesną zimą gdy zaczynało zamarzać otwarte morze, wiosną pokrywie lodowej zagrażały odwilż i wstrząsy.

- Wręgi kadłuba skrzypią - oznajmił Crozier. - Obawiam się, że to nadchodzi. Kazałem przenieść na lód prowiant i pozostałe łodzie. Wygląda na to, że będziemy musieli zostawić oba statki wcześniej, niż planowaliśmy - dodał z lękiem. - Modlę się tylko, żeby sztorm ustał, zanim trzeba będzie ruszyć w drogę.

Po zjedzeniu wydzielonych racji konserwowej baraniny z pasternakiem Fitzjames i jego ludzie dołączyli do załogi „Terrora”, wyładowującej ekwipunek na pokrywę lodową. Głośne trzaski powtarzały się rzadziej, ale wciąż przebijały się przez wycie wiatru. W środku statku marynarze nasłuchiwali denerwujących skrzypnięć i trzeszczenia drewnianego kadłuba pod naporem ruchomego lodu. Kiedy ostatnia skrzynia stanęła na lodzie, mężczyźni stłoczyli się w mrocznym wnętrzu „Terrora” i czekali na to, co przygotuje im natura.

Przez czterdzieści osiem godzin z niepokojem słuchali odgłosów i modlili się, by statek ocalał. Niestety. Śmiertelny cios nadszedł szybko, nagle uderzenie spadło bez ostrzeżenia. Mocny statek uniósł się i przewrócił na burtę, potem część kadłuba pękła jak balon. Tylko dwaj marynarze zostali ranni, ale szkody były nie do naprawienia. „Terror” wcześniej czy później musiał pójść na dno.

Crozier zarządził ewakuację i kazał załadować żywność do trzech szalup z płozami ułatwiającymi transport po lodzie. Razem z Fitzjamesem w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy przeczornie przenieśli kilka łodzi z zaopatrzeniem na brzeg najbliższego lądu. Zapasy zgromadzone na Ziemi Króla Williama mogły okazać się ratunkiem dla bezdomnej załogi. Ale umęczonych marynarzy dzieliło od tego miejsca czterdzieści pięć kilometrów nierównego lodu.

- Moglibyśmy przejąć „Erebusa” - zasugerował Fitzjames, patrząc na maszty swojego statku widoczne nad poszarpanymi białymi wzniesieniami.

- Ludzie są zbyt wyczerpani, by walczyć z tamtymi i z żywiołem - odparł Crozier. - On albo zatonie, tak jak „Terror”, albo będzie tkwił w lodzie kolejne lato. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Boże, zmiłuj się nad nimi - mruknął Fitzjames, gdy po raz ostatni spojrział na odległy statek.

Ośmioosobowe drużyny zaprzęły się do ciężkich szalup niczym muły do pługów i ruszyły po krze w stronę lądu. Wiatr szczęśliwie ustał, temperatura wzrosła prawie do zera. Ale wysiłek szybko zaczął się dawać we znaki głodnej i przemarzniętej załodze.

Ciągnąc i pchając ciężkie ładunki, dotarli do kamienistej plaży po pięciu dniach morderczej wędrówki. Trudno o bardziej niegościnne miejsce niż Ziemia Króla Williama, dziś nazywana Wyspą Króla Williama. Na niskiej, smaganej wiatrem masie lądu wielkości stanu Connecticut prawie nie występowały flora i fauna. Nawet miejscowi Inuici omijali ten teren, wiedząc, że trudno tam upolować karibu czy fokę.

Crozier i jego ludzie nie mieli o tym wszystkim pojęcia. Tylko dzięki własnym wyprawom saniami mogliby stwierdzić, że ten ląd jest wyspą, a nie częścią kontynentu północnoamerykańskiego, jak powszechnie uważano w roku 1845. Być może zresztą Crozier to wiedział. Jak również i to, że północno - zachodni kraniec Ziemi Króla Williama od najbliższej cywilizacji dzieli półtora tysiąca kilometrów. Niewielka osada handlowa, założona przez Kompanię Hudsonską daleko na południu na brzegach rzeki Great Fish, dawała największą nadzieję na ocalenie. Ale południowy skrawek Ziemi

Króla Williama i ujście rzeki dzieliło około stu pięćdziesięciu mil pełnego morza, co oznaczało, że będą musieli dalej ciągnąć te przeklęte szalupy po lodzie.

Crozier pozwolił załodze odpoczywać przez kilka dni w punkcie zgromadzenia zapasów i wydawał ludziom pełne racje żywnościowe, by nabrali sił przed trudami podróży. Potem już nie mógł dłużej czekać. Wiedział, że w drodze do osady Kompanii Hudsonskiej będzie się liczył każdy dzień, bo trzeba zdążyć przed jesiennymi opadami śniegu. Doświadczony kapitan nie łudził się, że wszyscy dobrną do celu lub choćby w jego pobliże. Ale gdyby dopisało im szczęście, kilku najbardziej wytrzymałych mogłoby dotrzeć tam w samą porę, by wysłać pomoc pozostałym. To była ich jedyna szansa.

Znów ciągnęli łodzie noga za nogą. Lód wzdłuż brzegu wydawał się mniej groźny, ale szybko zdali sobie sprawę, że podążają ku śmierci. Niedożywieni, nie wytrzymywali ciężkiego wysiłku na mrozie. Być może bardziej niż odmrożenia dokuczało im pragnienie. Ponieważ skończyło się paliwo do przenośnych kuchenek gazowych, nie mogli rozpuszczać lodu, by mieć wodę pitną. Rozpaczliwie napychali śniegiem usta, aby wyssać kilka kropli, a potem trzęśli się z zimna. Jak karawana pokonująca Saharę, zmagali się z odwodnieniem i innymi dolegliwościami. Dzień po dniu, jeden po drugim, zaczęli umierać w marszu na południe. Najpierw kopano płytkie mogiły, potem pozostawiano zmarłych na lodzie, żeby nie tracić sił.

Fitzjames wspiął się na szczyt niewielkiego zaśnieżonego wzniesienia, uniósł rękę i przystanął. Dwie ośmioosobowe drużyny z saniami zatrzymały się chwiejnie za nim i poluzowały uprząże linowe przymocowane do drewnianych szalup. Ciężka łódź z prowiantem i ekwipunkiem ważyła ponad dziewięćset kilogramów. Ciągnięcie jej przypominało wleczenie nosorożca po lodzie. Wszyscy mężczyźni opadli na kolana, by odpocząć, i wciągali łapczywie lodowate powietrze do płuc.

Na bezchmurnym niebie świeciło jasne słońce, rażący blask odbijał się od śniegu. Fitzjames zdjął gogle z siatką ochronną. Szedł od marynarza do marynarza ze słowami otuchy i oglądał ich odmrożenia. Prawie skończył inspekcję drugiej drużyny, gdy jeden z mężczyzn krzyknął:

- Panie kapitanie, to „Erebus”! Uwolnił się z lodu.

Fitzjames odwrócił się i zobaczył, jak jeden z marynarzy wskazuje linię horyzontu. Podoficer wysunął się z uprząży i ruszył truchtem w stronę brzegu i pokrywy lodowej.

- Strickland! Stójcie! - rozkazał Fitzjames.

Ale mężczyzna nie posłuchał. Nie zwolnił lecz biegł dalej po nierównej krze ku ciemnej smudze na horyzoncie, potykając się i zataczając. Fitzjames popatrzył w tamtą stronę i otworzył usta ze zdziwienia. W odległości piętnastu kilometrów rysowały się wyraźnie czarny kadłub i maszty dużego żaglowca. To musiał być „Erebus”.

Fitzjames przyglądał się statkowi przez kilka sekund, wstrzymując oddech. Strickland miał rację. Żaglowiec się poruszał, dryfował, jakby wydostał się z lodowej pułapki.

Zaskoczony kapitan podszedł do szalupy, pogrzebał pod ławką i wyciągnął składaną lunetę. Kiedy skierował ją na statek, rozpoznał „Erebusa”, który wyglądał teraz jak okręt widmo ze zwiniętymi żaglami i pustymi pokładami. Fitzjames zastanawiał się, czy obłąkani mężczyźni na dole w ogóle wiedzą, że płyną. Podniecenie na widok statku opadło, gdy przyjrzał się powierzchni wokół kadłuba. „Erebusa” otaczał lód.

- Nadal jest uwięziony - mruknął i zauważył, że żaglowiec sunie rufą do przodu. „Erebus” tkwił w krze długości piętnastu kilometrów, która oderwała się od pokrywy lodowej na morzu i dryfowała na południe. Szanse na przetrwanie statku trochę wzrosły, ale wciąż groziło mu zmiżdżenie przez

pękający lód.

Fitzjames westchnął i odwrócił się do dwóch swoich najsprawniejszych ludzi.

- Reed, Sullivan, przyprowadźcie Stricklanda z powrotem - warknął. Dwaj mężczyźni puścili się w pogoń za podoficerem, który dotarł już do lodu i zniknął za wielkim spiętrzeniem kry. Fitzjames znów popatrzył na statek, szukając wzrokiem uszkodzeń kadłuba lub oznak życia na pokładzie. Ale odległość była zbyt duża, żeby dostrzec szczegóły. Pomyślał o dowódcy ekspedycji, Franklinie. Jego zwłoki leżały w łodzi w ładowni. Może jednak zostanie pochowany w Anglii, pomyślał Fitzjames, choć wiedział, że sam ma małe szanse na powrót do domu nieważne czy żywy czy martwy.

Minęło pół godziny, zanim Reed i Sullivan wrócili do łodzi. Obaj patrzyli w ziemię, jeden z nich trzymał szalik, którym Strickland miał owiniętą szyję i twarz.

- Gdzie on jest? - zapytał kapitan.

- Wpadł do przysypanej śniegiem dziury w pokrywie lodowej - odrzekł Sullivan, takielarz o smutnych niebieskich oczach. - Próbowaliśmy go wyciągnąć, ale poszedł pod wodę, zanim zdążyliśmy go chwycić. - Uniósł sztywny szalik, żeby pokazać, że tylko to udało im się ocalić.

Nieważne, pomyślał Fitzjames. Gdyby go wyciągnęli i tak prawdopodobnie umarłby z wychłodzenia, zanim zdołaliby go przebrać w suche rzeczy. Strickland właściwie miał szczęście. Przynajmniej się nie męczył.

Fitzjames wrócił do rzeczywistości i krzyknął ostro do ponurej załogi:

- Do uprzęży! Ruszamy dalej.

Nie skomentował ani słowem straty jednego z ludzi.

Mijały dni, zmęczenie narastało, gdy podążali na południe. Stopniowo utworzyły się grupki, posuwające się różnym tempem. Crozier i garstka jego ludzi z „Terrora” maszerowali mozolnie wzdłuż wybrzeża piętnaście kilometrów przed innymi. Fitzjames szedł następny, a dopiero kilka kilometrów za nim wlokły się trzy czy cztery grupki maruderów, najsłabszych i najbardziej chorych, którzy nie nadążali. Ich los był praktycznie przesądzony. Fitzjames stracił trzech marynarzy i pozostało mu tylko trzynastu do ciągnięcia ciężkiego ładunku.

Słabszy wiatr i umiarkowana temperatura podsycaly w mężczyznach nadzieję na ocalenie. Ale późnowiosenna zamieć zgasiła ich optymizm. Niczym całun śmierci, czarna powłoka chmur pojawiła się na zachodzie i szybko nadciągała. Wichura smagała zlodzoną powierzchnię i uderzała bezlitośnie w płaską wyspę. Chłostany wiatrem Fitzjames nic nie widział i nie miał innego wyjścia niż odwrócić łódź do góry dnem i schronić się pod drewnianym kadłubem. Przez cztery dni wichur walił w marynarzy jak młot. Uwięzieni w kryjówce z niewielką ilością wody i bez źródła ciepła, z wyjątkiem własnych ciał, wyczerpani mężczyźni zaczęli powoli umierać.

Jak reszta mężczyzn, Fitzjames tracił i odzyskiwał przytomność, gdy organizm powoli przestawał funkcjonować. Kiedy koniec był blisko, wstąpiła w niego dziwna energia. Być może sprawiła to ciekawość umierającego. Przepelził po ciałach towarzyszy do krawędzi nadburcia, wyczołgał się spod szalupy i wyprostował. Porywisty wiatr przycichł na chwilę, dzięki czemu stał nieruchomo w zapadającym zmierzchu. Popatrzył ponad lodem w dal, potem zmusił się, by znów spojrzeć.

„Erebus” nadal tam był. Ciemny kształt na horyzoncie posuwał się z lodem jak czarna zjawia.

- Jaką tajemnicę skrywasz?! - krzyknął Fitzjames, choć ostatnie słowo wydostało się spomiędzy jego spękanych warg jako słaby szept. Z błyszczącymi oczami utkwionymi w linię widnokrzęgu osunął się martwy na łódź.

Daleko wśród lodu „Erebus” płynął cicho naprzód niczym zamarznięty grobowiec. Tak jak jego

załoga, stał się ofiarą surowych arktycznych warunków, będąc ostatnim śladem próby przebycia przez Franklina Przejścia Północno-Zachodniego. Wraz z jego zniknięciem historię szalonej załogi Fitzjamesa przesłoniła pomroka dziejów. Ale kapitan nie wiedział, że jego statek skrywa tajemnicę, która ponad wiek później będzie miała wpływ na przetrwanie człowieka na naszej planecie.

CZEŚĆ I
ODDECH DIABŁA

Kwiecień 2011 Droga wodna Inside Passage, Kolumbia Brytyjska

Osiemnastometrowy kuter o stalowym kadłubie wyglądał tak, jak powinny wyglądać wszystkie statki rybackie, co jednak rzadko się zdarza. Sieci były starannie zwinięte, nic nie zaśmiecało pokładu. Kadłub i nadbudówka nie nosiły śladów rdzy ani brudu, warstwa świeżej farby pokrywała najbardziej podniszczone miejsca. Nawet zużyte odbojniki czyszczono regularnie. Choć „Ventura” nie przynosiła największych zysków spośród statków łowiących na północnych wodach Kolumbii Brytyjskiej, była z nich najlepiej utrzymana. Stan kutra był odbiciem charakteru jego właściciela, skrupulatnego i ciężko pracującego człowieka nazwiskiem Steve Miller. Podobnie jak „Ventura”, Miller nie pasował do wizerunku przeciętnego rybaka. Lekarz traumatolog, którego zmęczyło ratowanie ofiar wypadków samochodowych w Indianapolis, wrócił do rodzinnego miasteczka nad północno-zachodnim Pacyfikiem, żeby spróbować czegoś innego. Miał konto bankowe dające mu poczucie bezpieczeństwa i kochał morze, więc rybołówstwo wydawało się idealnym wyborem. Płynąc teraz kutrem w porannej mżawce, wyrażał zadowolenie z życia szerokim uśmiechem.

Młody kudłaty brunet zajrzał do sterówki.

- Gdzie dzisiaj biorą szyper? - zawołał do Millera.

Miller popatrzył przez przednią szybę, uniósł głowę i pociągnął nosem.

- Bez wątpienia przy zachodnim brzegu wyspy Gil, Bucky. - Wyszczrzył zęby, sięgając po przynętę. - Lepiej przekimaj się teraz trochę, bo niedługo będziemy mieli robotę.

- Jasne, szefie. Jakies dwadzieścia minut?

- Raczej osiemnaście. - Miller spojrzal z uśmiechem na mapę. Przekręcił koło sterowe o kilka stopni i wycelował dziób w przesmyk między dwiema zielonymi masami lądu na wprost. Płynęli drogą wodną Inside Passage, która ciągnie się od Vancouver do Juneau. Szlak morski wijący się między tuzinami porośniętych sosnami wysp kojarzy się z malowniczymi norweskimi fiordami.

Tylko od czasu do czasu napotykali rybaków lub turystów, którzy zarzucali z łodzi wędki na łososia lub halibuta i ustępowali z drogi statkom wycieczkowym zdążającym na Alaskę. Jak większość niezrzeszonych rybaków, Miller szukał cenniejszych łososi pacyficznych i wybierał je niewodem w pobliżu wąskich zatok na oceanie. Był zadowolony, że wychodzi na swoje, bo wiedział, że niewielu się wzbogaciło na połowach w tych stronach. Jednak mimo małego doświadczenia udawało mu się osiągać skromne zyski dzięki planowaniu i zapałowi. Wypił łyk kawy z kubka i zerknął na ekran radaru. Zauważywszy dwa statki kilka mil morskich na północ, wyszedł ze sterówki, żeby skontrolować sieci po raz trzeci tego dnia. Uspokojony, że nie są dziurawe, wrócił na mostek.

Bucky stał przy relingu i palił papierosa, zamiast drzemać. Skinął głową Millerowi i spojrzal na niebo. Mimo grubej warstwy szarych chmur wciąż tylko lekko mżyło. Bucky popatrzył przez cieśninę Hecate na zielone wyspy na zachodzie. Na lewo od dziobu nad powierzchnią wody unosiła się niezwykle gęsta mgła. Mgła często pojawiała się w tym rejonie, ale ta wyglądała dziwnie. Była bielsza i bardziej skłębiona niż zazwyczaj. Bucky zaciągnął się marlboro, wydmuchnął dym i wszedł

do sterówki.

Miller też zauważył białe opary i przyglądał się im przez lornetkę.

- Już to zobaczyłeś, szefie? Niefajne, nie? - zagadnął przeciągle Bucky.

- Owszem. Nie widzę nigdzie żadnego statku, który mógł to wypuścić - odparł Miller, badając wzrokiem horyzont. - Może to jakiś dym albo obłok spalin z Gil.

- Właśnie, może komuś wybuchła wędzarnia ryb - odrzekł załogant, pokazując krzywe zęby w szerokim uśmiechu.

Miller odłożył lornetkę i chwycił ster. Ich trasa wokół wyspy Gil prowadziła prosto przez środek mgły. Z niepokojem postukał knykciami w zużyte drewniane koło sterowe, ale nie zmienił kursu.

Kiedy kuter zbliżył się do mgły, Miller spojrzał na wodę i zmarszczył brwi. Morze wyraźnie zmieniało kolor z zielonego poprzez brązowy na miedziany. Kilka martwych łososi unosiło się w czerwonej toni srebrzystymi brzuchami do góry. „Ventura” wpłynęła w białą chmurę.

Mężczyznom w sterówce natychmiast zrobiło się chłodno, jakby ktoś zarzucił na nich zimny, mokry koc. Miller poczuł wilgoć w gardle, mocny smak kwasu w ustach, mrowienie w głowie i ucisk w piersi. Kiedy zaczerpnął powietrza, nogi ugięły się pod nim i zobaczył gwiazdy. W tym momencie do kabiny wpadł drugi załogant.

- Kapitanie... duszę się - wysapał rumiany facet z długimi bakami. Oczy wychodziły mu na wierzch i siniał. Gdy Miller zrobił krok w jego stronę, mężczyzna upadł na pokład, nieprzytomny.

Sterówka zawirowała Millerowi w oczach, gdy rzucił się rozpaczliwie do radia. Dostrzegł niewyraźnie, że Bucky leży rozciągnięty na pokładzie. Z coraz większym uciskiem w klatce piersiowej chwycił mikrofon i strącił mapy i ołówki. Uniósł mikrofon do ust i próbował nadać SOS, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Opadł na kolana i poczuł się tak, jakby całe jego ciało było miażdżone na kowadle. Ucisk narastał i powoli ogarnęła go ciemność. Starał się nie stracić przytomności, ale miał wrażenie, że zapada się w pustkę. Walczył desperacko, potem wydał ostatnie tchnienie, gdy śmierć wyciągnęła po niego lodowatą rękę.

2

- Połów na pokładzie! - zawołała Summer Pitt w kierunku sterówki. - Zabierz nas do następnego magicznego miejsca.

Wysoka, gibka oceanografka w turkusowej kurtce przeciwdeszczowej stała na odkrytym pokładzie rufowym łodzi badawczej. W rękach trzymała imitację wędki z nawiniętą na kołowrotek polipropylenową żyłką. Linka sięgała do końca pręta, gdzie dyndała na wietrze cenna zdobycz Summer. Nie była to ryba, lecz szary plastikowy pojemnik do pobierania próbek wody morskiej z głębin. Summer chwyciła go ostrożnie i ruszyła do kabiny, gdy nagle silniki pod pokładem zwiększyły z hałasem obroty. Gwałtowne przyspieszenie omal nie zważyło jej z nóg, kiedy łódź wyrwała naprzód.

- Mniej gazu! - krzyknęła, gdy wreszcie dotarła do sterówki. Jej brat, usadowiony za sterem, odwrócił się i zachichotał.

- Chciałem jedynie zobaczyć, czy utrzymasz się na palcach nóg - odrzekł Dirk Pitt junior. - Całkiem dobrze naśladowałaś pijaną baletnicę.

Uwaga tylko rozsierdziła Summer. Ale po chwili dostrzegła humorystyczną stronę zdarzenia i natychmiast się roześmiała.

- Nie zdziw się, jeśli dziś w nocy znajdziesz wiadro mokrych małżów na swojej koi - powiedziała.

- Mogą być, ale koniecznie w sosie Cajun - odparł Dirk, cofnął przepustnicę i zmniejszył szybkość. Potem spojrział na cyfrową mapę nawigacyjną na monitorze. - A przy okazji, to była próbka 17-F.

Summer przelała wodę morską do przezroczystej buteleczki i napisała punkt pobrania na nalepce. Potem umieściła próbkę obok tuzina innych w walizce wyłożonej pianką. Oceniali stan planktonu wzdłuż południowego wybrzeża Alaski, kiedy kanadyjskie Ministerstwo Rybołówstwa i Gospodarki Morskiej dowiedziało się o ich projekcie i zwróciło z prośbą o przeprowadzenie badań aż do Vancouver. Drogą wodną Inside Passage nie tylko kursowały statki wycieczkowe, lecz również migrowały humbaki, płetwale i inne wieloryby interesujące biologów morskich. Mikroskopijny plankton odgrywał kluczową rolę w wodnym łańcuchu pokarmowym, gdyż przyciągał kryl, główny pokarm wielorybów fiszbinowych. Dirk i Summer zdawali sobie sprawę, jak ważne jest uzyskanie pełnego obrazu ekologicznego tego regionu, i otrzymali zgodę na rozszerzenie projektu od swoich szefów w NUMA, Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

- Jak daleko do następnego punktu poboru próbek? - zapytała Summer, usiadła na drewnianym stołku i popatrzyła na przetaczające się fale.

Dirk znów spojrział na monitor komputera i zlokalizował mały czarny trójkąt u góry ekranu. Oprogramowanie HYPACK zaznaczyło poprzednie miejsca postoju i wytyczyło trasę do następnego celu.

- Około ośmiu mil morskich. Mamy mnóstwo czasu na przekąskę. - Otworzył chłodzarkę,

wyciągnął kanapkę z szynką i piwo korzenne, potem obrócił koło sterowe, żeby utrzymać łódź na kursie.

Czternastometrowa aluminiowa motorówka mknęła po gładkiej wodzie jak strzała. Miała turkusowy kolor, jak wszystkie jednostki badawcze NUMA. Na pokładzie złożono ocieplane skafandry płetwonurków, akwalungi, aparaturę naukową i nawet mały ROV - zdalnie sterowany pojazd podwodny wyposażony w kamerę wideo. Łódź nie zapewniała komfortu, ale nadawała się doskonale do prowadzenia badań wód przybrzeżnych.

Dirk skręcił na sterburtę, żeby ominąć szerokim łukiem biały statek wycieczkowy linii żeglugowej Princess, który płynął w przeciwnym kierunku. Garstka turystów pomachała do nich, więc Dirk wystawił rękę przez boczne okno i odpowiedział tym samym.

- Chyba kursują co godzinę - zauważyła Summer.

- W miesiącach letnich przepływa ich tędy ponad trzydzieści, więc jest tu ruch jak na autostradzie New Jersey Turnpike.

- Nawet nie widziałeś jej na oczy. Dirk pokręcił głową.

- Dobra, więc jak na autostradzie międzystanowej H-1 w Honolulu w godzinach szczytu.

Rodzeństwo pochodziło z Hawajów i oboje kochali morze. Ich samotna matka wcześniej rozbudziła w nich zainteresowanie biologią morską i zachęciła do nauki nurkowania w młodym wieku. Dirk i Summer, bliźniaki, byli wysportowani i uwielbiali przygody. Większość młodych lat spędzili na wodzie lub blisko niej i wybrali kierunki studiów zgodne z ich zainteresowaniami. Wylądowali na przeciwległych wybrzeżach, Summer uzyskała dyplom Instytutu Oceanograficznego Scrippsów, Dirk zdobył wykształcenie inżyniera morskiego w Nowojorskiej Wyższej Szkole Morskiej.

Matka dopiero na łożu śmierci wyznała im, że ich ojcem jest dyrektor Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, imiennik Dirka. Wzruszające spotkanie doprowadziło do zażyłości z człowiekiem, którego wcześniej nie znali. Teraz pracowali pod jego kierunkiem w dziale projektów specjalnych NUMA. To wymarzone zajęcie umożliwiało im wspólne podróżowanie po świecie, badanie oceanów i odkrywanie niekończących się tajemnic głębin.

Dirk minął wolno kuter rybacki płynący na północ i przymknął przepustnicę ćwierć mili morskiej dalej. Kiedy zbliżyli się do celu, wyłączył silniki i dodryfował do wyznaczonej pozycji. Summer przeszła na rufę i przyczepiała do żyłki wędkarskiej pusty pojemnik, gdy w pobliżu wynurzyły się dwa morświny i popatrzyły z zaciekawieniem na łódź.

Dirk wyszedł na pokład.

- Uważaj, jak będziesz zarzucała wędkę. Walnięcie morświna psuje karmę.

- A walnięcie brata?

- O wiele bardziej.

Uśmiechnął się, kiedy morskie ssaki zniknęły pod powierzchnią. Rozglądał się dookoła w nadziei, że znów się pojawią, gdy zauważył kuter rybacki, który mijali wcześniej. Mała jednostka zmieniała stopniowo kurs, skręcała na południe. Dirk zorientował się, że kuter zatacza krąg i wkrótce skieruje się prosto na jego łódź.

- Lepiej się pospiesz, Summer. Tamten facet chyba nie patrzy, dokąd płynie.

Summer zerknęła na zbliżający się kuter i cisnęła pojemnik za burtę. Obciążony, szybko pogrążył się w ciemnej toni, kiedy odwinęły się cztery metry luźnej linki. Gdy znieruchomiała, Summer nią szarpnęła, co spowodowało, że pojemnik się odwrócił i napełnił wodą. Nawijając linkę na

kołowrotek, spojrzała na kuter rybacki. Nadal skręcał w odległości zaledwie trzydziestu metrów, jego dziób zaczynał celować w łódź NUMA.

Dirk już wrócił do sterówki i wcisnął przycisk na konsoli. Zabrzmiały dwa klaksony powietrzne na dziobie. Głośny dźwięk rozszedł się po wodzie, ale sternik kutra nie zareagował. Nadal wykonywał manewr grożący kolizją z łodzią badawczą.

Dirk pospiesznie włączył silniki i pchnął przepustnicę, gdy Summer skończyła wciągać próbkę wody. Łódź wyrwała ostro w lewo i zwolniła po kilku metrach, kiedy kuter przepłynął tuż obok.

- Wygląda na to, że nikogo nie ma na mostku! - krzyknęła Summer i zobaczyła, jak Dirk odwiesza mikrofon radia.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Nie odpowiadają na wezwania. Przejmij ster.

Summer wpadła do kabiny, schowała próbkę wody i zajęła miejsce brata. Domyśliła się, co zamierza.

- Chcesz wejść na pokład? - zapytała.

- Tak. Dogoń go i podpłyn do burty.

Summer ruszyła w pościg za kutrem. Najpierw płynęła w jego kilwaterze, potem się z nim zrównała. Zataczał coraz szerszy krąg. Spojrzała z niepokojem tam, dokąd zmierzał. Obrany kurs i wzbierający przypływ kierowały go ku wyspie Gil. Za kilka minut dotrze do lądu i rozpruje sobie kadłub na skalistym brzegu.

- Lepiej się pospiesz! - zawołała do brata. - Zaraz wpadnie na skały. Dirk skinął głową i pokazał jej, żeby przysunęła się do kutra. Wspiął się na dziób łodzi i stanął pochylony po zewnętrznej stronie niskiego relingu. Summer zwlekała chwilę, chcąc wyczuć szybkość i promień skrętu kutra, potem zaczęła do niego podpływać. Kiedy dzieliło ich pół metra, Dirk skoczył i wylądował na pokładzie obok sieci. Summer natychmiast się oddaliła i stanęła kilka metrów za kutrem.

Dirk ominął sieci i skierował się prosto do sterówki. Ujrzał tam makabryczny widok. Trzej mężczyźni leżeli na pokładzie z cierpieniem na twarzach. Jeden z nich miał otwarte szkliste oczy i nienaturalnie mocno ścisnął ołówek w sztywnej dłoni. Dirk poznał po ich bladości, że są martwi, ale szybko sprawdził im tętno. Zauważył ze zdziwieniem, że nie krwawią, nie odnieśli żadnych widocznych obrażeń. Stwierdziwszy brak oznak życia, ujął z ponurą miną ster, wyprostował kurs i powiedział Summer przez radio, żeby płynęła za nim.

Wzdrygnął się i poprowadził małą jednostkę do najbliższego portu, zastanawiając się, co spowodowało śmierć mężczyzn leżących u jego stóp.

3

Członek ochrony Białego Domu stał przy wejściu z Pennsylvania Avenue i patrzył ze zdumieniem na człowieka idącego chodnikiem. Niski mężczyzna maszerował z wypiętą piersią oraz uniesioną głową i wyglądał bardzo władczo. Z płomiennorudymi włosami i kozią bródką tej samej barwy przypominał koguta obchodzącego kurnik. Ale to nie powierzchowność ani postawa mężczyzny przykuły uwagę strażnika, lecz wielkie niezapalone cygaro w ustach.

- Charlie... czy to nie wiceprezydent? - zapytał kolegę w wartowni. Ale drugi agent rozmawiał przez telefon i go nie usłyszał. Mężczyzna doszedł tymczasem do małego wejścia obok stanowiska ochrony.

- Dobry wieczór - powiedział energicznym tonem. - Jestem umówiony o ósmej z prezydentem.

- Czy mógłbym zobaczyć pański dowód tożsamości? - warknął nerwowo strażnik.

- Nie noszę przy sobie czegoś takiego - odparł szorstko mężczyzna. Przystanął i wyjął cygaro z ust. - Nazywam się Sandecker.

Strażnik poczerwieniał.

- W porządku, ale proszę o pański dokument.

Sandecker popatrzył na niego zmrużonymi oczami, potem złagodniał.

- Wiem, że wykonujesz po prostu swoją pracę, synu. Zadzwoń do Meade'a, szefa sztabu prezydenckiego, i powiedz mu, że tu jestem.

Zanim strażnik zdążył odpowiedzieć, jego kolega wystawił głowę z wartowni.

- Dobry wieczór, panie wiceprezencie. Kolejne późne spotkanie z prezydentem? - zagadnął.

- Dobry wieczór, Charlie - odrzekł Sandecker. - Tak, niestety tylko o tej porze możemy spokojnie porozmawiać.

- Proszę wejść - rzucił Charlie.

Sandecker zrobił krok, przystanął i odwrócił się do znieruchomiałego strażnika, który chciał go wylegitymować.

- Widzę, że macie nowego pracownika. - Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń mężczyźnie. - Tak trzymaj, synu. - Odwrócił się i ruszył podjazdem do Białego Domu.

Choć wiceprezydent James Sandecker spędził większość życia zawodowego w stolicy, nigdy nie uznawał urzędowego waszyngtońskiego protokołu. Emerytowany admirał, który przez wiele lat kierował Narodową Agencją Badań Morskich i Podwodnych, słynął z tego, że zawsze mówi to, co myśli. Był zaskoczony, kiedy prezydent zaproponował mu objęcie stanowiska po zmarłym zastępcy. Mimo że nie miał w sobie nic z polityka, chętnie się zgodził, bo wiedział, że będzie mógł zrobić więcej dla ochrony środowiska naturalnego i swoich ukochanych oceanów.

Po objęciu urzędu wiceprezydenta starał się unikać wszelkiej ostentacji. Stale wymykał się obstawie, co frustrowało agentów Secret Service przydzielonych do jego ochrony. Był fanatykiem ćwiczeń fizycznych i często widywano go biegającego samotnie wzdłuż Mail. Pracował w biurowcu Eisenhower Executive Office Building, zamiast korzystać z pomieszczeń w Zachodnim Skrzydle, gdyż

źle się czuł w politycznej mgłę, która spowijała Biały Dom. Nawet przy kiepskiej pogodzie chodził Pennsylvania Avenue na spotkania w siedzibie prezydenta, bo wolał spacer na świeżym powietrzu niż przejście podziemnym tunelem łączącym dwa budynki. Przy dobrej pogodzie wspinał się nawet na Capitol Hill na spotkania w Kongresie, co męczyło agentów Secret Service, którzy musieli za nim nadążyć.

Przeszedł przez następny punkt kontrolny przy wejściu do Zachodniego Skrzydła i pracownik Białego Domu zaprowadził go do Gabinetu Owального. Sandecker został wpuszczony północno-zachodnimi drzwiami, przeszedł przez pokój wyłożony niebieskim dywanem i usiadł na wprost prezydenckiego biurka. Popatrzył na swojego przełożonego i omal się nie skrzywił.

Prezydent Garner Ward wyglądał okropnie. Niezależny populistą z Montany, który zewnątrz i z charakteru przypominał trochę Teddy'ego Roosevelta, miał worki pod zaczerwienionymi oczami, niezdrową cerę i zmęczoną twarz, jakby od tygodnia nie spał. Spojrzał na Sandeckera z ponurą miną, co było nietypowe dla zwykle wesołego szefa państwa.

- Garner, za dużo ślęczysz po nocach - powiedział Sandecker zatroskanym tonem.

- Nic na to nie poradzę - odrzekł prezydent znużonym głosem. - Jesteśmy w diabelnie trudnej sytuacji.

- Widziałem w wiadomościach, że cena benzyny doszła do dwóch dolarów i sześćdziesięciu czterech centów za litr. Ten ostatni kryzys paliwowy jest bardzo poważny.

Krajowi groził kolejny niespodziewany wzrost cen ropy. Iran wstrzymał cały eksport surowca w odpowiedzi na zachodnie sankcje, strajki w Nigerii spowodowały spadek wydobywania niemal do zera. Gorsze dla Stanów Zjednoczonych było zawieszenie sprzedaży przez Wenezuelę, o czym zdecydował gwałtowny prezydent tego państwa. Cena benzyny i oleju opałowego szybko podskoczyła, w całym kraju zaczęło brakować paliw.

- Najgorsze dopiero przed nami - odparł prezydent i podsunął Sandeckerowi list przez biurko. - To od premiera Kanady - ciągnął. - Parlament uchwalił ustawę o drastycznym ograniczeniu emisji gazów cieplarnianych i rząd kanadyjski jest zmuszony przerwać eksploatację większości pól naftowych w zagłębiu Athabaska. Premier zawiadamia nas z żalem, że w związku z tym cały eksport ropy do Stanów Zjednoczonych zostanie wstrzymany, dopóki nie rozwiążą problemu emisji dwutlenku węgla.

Sandecker przeczytał pismo i pokręcił wolno głową.

- Ropa z kanadyjskich piaszczystych złóż to prawie piętnaście procent naszego importu. To będzie miazdzący cios dla gospodarki.

Kraj już odczuł dotkliwie niedawny wzrost cen paliw. Setki osób na północnym wschodzie zmarło podczas mroźnej zimy, kiedy wyczerpały się zapasy oleju opałowego. Linie lotnicze i firmy transportowe stanęły na krawędzi bankructwa, setki tysięcy ludzi zatrudnionych w innych branżach zwolniono z pracy. Cała gospodarka zaczęła się chylić ku upadkowi, społeczeństwo było oburzone na rząd, że niewiele robi, aby podaż dorównała popytowi.

- Nie ma sensu irytować się na Kanadyjczyków - powiedział prezydent. - Wyłączenie Athabaski z eksploatacji to słuszne posunięcie w dobie nasilającego się globalnego ocieplenia.

Sandecker przytaknął.

- Właśnie dostałem raport Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych o temperaturach oceanów. Morza ogrzewają się dużo szybciej, niż wcześniej przewidywano, a ich poziom podnosi się w tym samym tempie. Wydaje się, że nie ma sposobu na powstrzymanie topnienia polarnej

pokrywy lodowej. Przybór wód spowoduje na świecie zmiany, jakich nawet niepotrafimy sobie wyobrazić.

- Jakbyśmy nie mieli dość innych problemów - mruknął prezydent. - Czekają nas jeszcze reperkusje ekonomiczne. Światowa kampania antywęglowa zyskuje poparcie. Mnóstwo krajów może rozpocząć sugerowany bojkot amerykańskich i chińskich towarów, jeśli nie przestaniemy spalać węgla.

- Prawda jest taka - zauważył Sandecker - że elektrownie na węgiel emitują najwięcej gazów cieplarnianych, ale też dostarczają nam połowę energii elektrycznej. I mamy największe złoża na świecie. To prawdziwy dylemat.

- Nie wiem, czy nasza gospodarka wytrzymałaby międzynarodowy bojkot - odrzekł cicho prezydent. Wyczerpany, usiadł wygodnie i przetarł oczy. - Obawiam się, Jim, że jeśli nie podejmiemy właściwych działań, to wszystko skończy się katastrofą ekonomiczną i ekologiczną.

Sandecker widział wyraźnie, że sytuacja niekorzystnie wpływa na zdrowie prezydenta.

- Musimy dokonać kilku trudnych wyborów - odparł. Współczuł człowiekowi, którego uważał za bliskiego przyjaciela. - Nie zdołasz sam rozwiązać wszystkich problemów, Garner.

W zmęczonych oczach szefa państwa pojawił się nagle gniewny błysk.

- Może i nie zdołam. Ale przynajmniej powinienem spróbować. Co najmniej dziesięć lat temu wiedzieliśmy, na co się zanoszą, a jednak nikt nie chciał nic zrobić. Poprzednie administracje wspierały koncerny naftowe i przeznaczały nędzne grosze na badania nad odnawialnymi źródłami energii. To samo dotyczy globalnego ocieplenia. Kongres był zbyt zajęty ochroną przemysłu węglowego, by dostrzec w nim zagrożenie dla świata. Wszyscy wiedzieli, że nasza ekonomiczna zależność od zagranicznej ropy pewnego dnia wyjdzie nam bokiem, i stało się.

- Krótkowzroczność naszych poprzedników nie podlega dyskusji - zgodził się Sandecker. - Waszyngton nigdy nie słynął z odwagi. Ale musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby naprawić błędy przeszłości. Jesteśmy to winni Amerykanom.

- Amerykanom - powtórzył z udumą prezydent. - Co ja mam im teraz powiedzieć? Przepraszamy, że chowaliśmy głowy w piasek? Wybaczcie, że stoimy w obliczu braku paliw, hiperinflacji, bezrobocia i kryzysu gospodarczego? I przykro nam, ale reszta świata chce, żebyśmy przestali wykorzystywać węgiel, więc światła też nie będzie? - Prezydent zapadł się w głębiej fotel i wpatrzył niewidzącym wzrokiem w ścianę. - Nie mogę obiecać im cudu.

Zapadło długie milczenie, w końcu Sandecker odezwał się cicho:

- Nie musisz. Wystarczy pokazać, że jesteś z nimi. To będzie trudne do przełknięcia, ale musimy odejść od ropy. Ludzie potrafią wiele znieść, kiedy trzeba. Przemów do nich w tym tonie, a będą z nami i pogodzą się z przyszłymi wyrzeczeniami.

- Być może - odpowiedział przygnębiony prezydent. - Ale czy będą z nami, kiedy się zorientują, że może jest za późno?

Elizabeth Finlay podeszła do okna sypialni i spojrzała na niebo. Od rana trochę mżyło i nie zanosiło się, że przestanie. Odwróciła się i spojrzała na wody portu w Victorii, omywające kamienny wał nadmorski za domem. Woda była spokojna, lekka bryza zwiewała pianę z grzbietów fal. Wiosenny dzień nad północno-zachodnim Pacyfikiem wydawał się odpowiedni na żeglowanie.

Włożyła gruby sweter, a na niego znoszony żółty sztormiak i zeszła po schodach na parter okazałego nadbrzeżnego domu, zbudowanego w latach dziewięćdziesiątych XX wieku przez jej nieżyjącego już męża. Z dużych okien rozciągał się wspaniały widok na centrum Victorii za portem, tak jak to zaplanował zakochany w mieście T.J. Finlay, dominujący na lokalnej scenie politycznej. Spadkobierca majątku, którego źródłem była kolej Canadian Pacific Railway, wcześniej zajął się polityką i został popularnym, długoletnim członkiem parlamentu. Zmarł niespodziewanie na atak serca, ale byłby szczęśliwy, gdyby wiedział, że jego żona, z którą spędził trzydzieści pięć lat życia, łatwo wygrała wybory do parlamentu i zajęła jego miejsce.

Delikatna, ale odważna Elizabeth Finlay pochodziła ze starej rodziny kanadyjskich osadników i była z tego bardzo dumna. Niepokoiły ją zagraniczne wpływy oraz inwestycje w Kanadzie i opowiadała się głośno za zaostrzeniem przepisów imigracyjnych, a także ograniczeniami majątkowymi obcokrajowców. Irytowała biznesmenów, ale powszechnie podziwiano jej śmiałość, szczerłość i uczciwość.

Wyszła tylnymi drzwiami, przecięła wypielęgnowany trawnik i zeszła po stopniach na ciężki drewniany pomost wrzynający się w zatokę. Zadowolony czarny labrador deptał jej po piętach i niestrudzenie merdał ogonem. Przy pomoście cumował smukły dwudziestometrowy pełnomorski jacht motorowy. Miał prawie dwadzieścia lat, ale był tak zadbany, że lśnił jak nowy. Naprzeciw niego stała pięciometrowa drewniana żaglówka klasy Wayfarer z jaskrawożółtym kadłubem. Podobnie jak jacht, stara łódź regatowa wyglądała, jakby dopiero niedawno została zwodowana z nowymi żaglami i olinowaniem, wypolerowana na wysoki połysk.

Na odgłos kroków na pomoście z pokładu jachtu zszedł chudy siwy mężczyzna.

- Dzień dobry, pani Finlay. Zamierza pani popłynąć „Columbią Empress”? - zapytał, wskazując jacht.

- Nie, Edwardzie, dziś nastawiłam się na żagiel. To lepszy sposób na oderwanie się od polityki w Ottawie.

- Doskonały wybór - pochwalił i pomógł wejść jej oraz psu na pokład. Odcumował łódź i odepchnął ją od pomostu. Finlay postawiła grot. - Proszę uważać na frachtowce - ostrzegł jeszcze. - Dziś jest spory ruch.

- Dziękuję, Edwardzie. Wrócę w porze lunchu.

Bryza szybko wydeła żagiel i Finlay udało się wypłynąć na wody portu bez silnika zaburtowego. Wzięła kurs na południowy wschód i wymanewrowała za promem zmierzającym do Seattle. Usiadła w małym kokpicie, włożyła kapok i rozejrzała się wokół. Na lewo od niej oddalał się malowniczy

brzeg Wyspy Wiktorii; budynki z przełomu wieku z dwuspadowymi dachami przypominały rząd domków dla lalek. Daleko na wprost, wzdłuż cieśniny Juan de Fuca sunął sznur frachtowców, jedne płynęły do Vancouver, inne do Seattle. W przesmyku widać było kilka mocnych żaglówek i kutrów rybackich, ale na rozległym akwenie pozostawało dużo miejsca dla innych jednostek. Finlay popatrzyła na małą motorówkę, która się z nią zrównała. Samotny sternik pomachał do niej przyjaźnie i ją wyprzedził.

Usiadła wygodnie, odetchnęła słonym powietrzem i postawiła kołnierz dla ochrony przed rozbryzgami wody. Żeglowała w stronę grupki wysp na wschód od Victorii, pozwalając, by wayfarer płynął sam, i nie myślała o niczym. Przed dwudziestoma laty ona i T.J. pokonali Pacyfik dużo większą łodzią. Przemierzając puste przestrzenie oceanu, przekonała się, że samotność dobrze jej robi. Zawsze uważała, że żeglowanie działa uspokajająco. Zaledwie po kilku minutach na wodzie zniknęły codzienne stresy i opadały emocje. Często żartowała, że kraj potrzebuje więcej żaglówek, a mniej psychologów.

Mała łódź cięła falujące delikatnie wody w zatoce. Kiedy Finlay zbliżyła się do wyspy Discovery, skręciła na południowy wschód i wpłynęła do osłoniętej zatoczki wcinającej się w brzeg zielonej wyspy o długości zaledwie półtora kilometra. Stado orek wynurzyło się w pobliżu i Finlay ściagała je przez kilka minut, dopóki nie zniknęły pod powierzchnią. Znów zrobiła zwrot ku wyspie i zobaczyła, że w pobliżu jest pusto, z wyjątkiem motorówki, która wyprzedziła ją wcześniej. Łódź motorowa zataczała przed nią szerokie kręgi. Finlay pokręciła z niechęcią głową na hałas dużego silnika.

Motorówka zatrzymała się nagle kawałek przed nią i kobieta zauważyła, że sternik manipuluje przy wędce. Skręciła w lewo, żeby go ominąć. Kiedy oddaliła się o kilka metrów, zaskoczyły ją głośny plusk i wołanie o pomoc.

Obejrzała się. Mężczyzna młócił desperacko ramionami w wodzie, co wskazywało, że nie umie pływać. Ciężar grubej kurtki pociągnął go w dół; zniknął na moment pod wodą, ale zdołał się wynurzyć. Finlay przestawiła ostro rumpel, złapała podmuch wiatru w żagiel i skierowała łódź w stronę tonącego. Kiedy się zbliżyła, opuściła szybko grot i dodryfowała do topiącego się mężczyzny.

Stwierdziła, że jest potężny, ma ogorzałą cerę i krótkie włosy. Choć miotał się jak człowiek spanikowany, patrzył na swoją wybawczynię przenikliwie, bez cienia strachu w oczach. Odwrócił się i spojrzał z rozdrażnieniem na czarnego labradora, który stał przy relingu łodzi żaglowej i nieustannie szczekał.

Finlay wiedziała, że nie należy szarpać się z tonącą osobą, więc rozejrzała się po pokładzie za bosakiem. Nie znalazłszy go, zwinęła prędko cumę rufową i rzuciła z wprawą za burtę. Udało mu się chwycić linę, potem znów poszedł pod wodę. Finlay oparła nogę na krawędzi nadburcia i zaczęła przyciągać cumę do siebie. Mężczyzna wynurzył się za rufą, kaszląc i łapiąc gwałtownie powietrze.

- Spokojnie, wszystko będzie dobrze - zapewniła pocieszającym tonem, doholowała go bliżej i zaknagowała linę.

Mężczyzna przyciągnął się do rufy, dysząc ciężko.

- Może mi pani pomóc wejść na pokład? - wysapał i uniósł wysoko ramię.

Odruchowo sięgnęła w dół i złapała go za grubą rękę. Ale zanim zdążyła się zaprzeczyć, żeby podciągnąć mężczyznę do góry, poczuła mocne szarpnięcie, gdy niedoszły topielec chwycił ją za nadgarstek, odchylił się do tyłu i odepchnął nogami od łodzi. Drobną starszą kobietą straciła równowagę, wypadła za burtę i uderzyła głową w wodę.

Zaskoczenie zastąpił szok spowodowany nagłym zanurzeniem w lodowatym morzu. Elizabeth Finlay zatchnęła się z zimna, potem odzyskała panowanie i machnęła nogami, żeby wydostać się na powierzchnię. Ale nie zdołała.

Mężczyzna puścił jej nadgarstek, lecz trzymał ją teraz za ramię powyżej łokcia. Ku swemu przerażeniu Finlay poczuła, że pogrąża się coraz głębiej. Tylko naprężona do granic możliwości uprząż bezpieczeństwa chroniła ją przed opadnięciem niżej. Szarpana przez linę, spojrzała przez kipieli pęcherzy powietrza na podwodnego napastnika. Doznała szoku na widok regulatora akwalungu w ustach mężczyzny. Spróbowała mu się wyrwać, odepchnęła od niego i poczuła gąbczastą warstwę pod jego ubraniem.

Skafander neoprenowy. Nagle zdała sobie sprawę, że on chce ją utopić.

Po momencie paniki nastąpił przyływ adrenaliny i kobieta zaczęła walczyć. Trafiła mężczyznę łokciem w twarz i regulator wypadł mu z ust. Napastnik puścił ją, więc wzbiła się rozpaczliwie ku powierzchni. Ale wyciągnął drugą rękę i złapał ją za kostkę, zanim zdążyła wynurzyć głowę. Jej los był przesądzony.

Zmagała się desperacko z zabójcą jeszcze przez minutę, dopóki nie zabrakło jej powietrza w płucach. Kiedy ogarnęła ją ciemność, pomyślała ze zgrozą o losie swojego labradora, którego przytłumione szczekanie docierało pod wodę. Powoli straciła siły, gdy ustał dopływ tlenu do mózgu. Nie mogąc dłużej wstrzymać oddechu, mimowolnie wciągnęła do płuc zimną słoną wodę. Zadławiła się, zamachała ostatni raz rękami i straciła przytomność.

Napastnik trzymał jej bezwładne ciało pod powierzchnią jeszcze przez dwie minuty, potem wynurzył się ostrożnie obok żaglówki. Nie widząc nikogo wokół, podpłynął do motorówki i wdrapał się na pokład. Zdjął luźną kurtkę, a potem uwolnił się szybko od akwalungu i pasa balastowego. Ściągnął skafander płetwonurka, włożył suche ubranie, odpalił silnik i śmignął obok żaglówki. Czarny labrador na łodzi czekał ponuro i wpatrywał się w swoją martwą panią dryfującą za rufą.

Mężczyzna spojrzał na psa bez współczucia, potem odwrócił się od miejsca zbrodni i popłynął spokojnie w kierunku Victorii.

Powrót „Ventury” do macierzystego portu w Kitimat natychmiast wywołał poruszenie. Większość mieszkańców jedenastotysięcznego miasta znała nieżyjących rybaków, niektórzy byli ich sąsiadami, część nawet się z nimi przyjaźniła. Zaledwie kilka minut po tym, jak Dirk przybił kutrem do nabrzeża Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, miejscowi dowiedzieli się o jego przybyciu. Rodzina i przyjaciele szybko gromadzili się na kei, dopóki nie zostali odsunięci za zaporę, którą ustawił potężnie zbudowany policjant.

Summer przycumowała łódź badawczą NUMA tuż za rufą „Ventury” i dołączyła do brata, wzbudzając zainteresowanie pobliskich gapiów. Furgonetka ze szpitala wjechała tyłem na nabrzeże i załadowano do niej trzy przykryte ciała na noszach. W obskurnej szopie z przynętami tuż obok Dirk i Summer składali zeznania.

- Wszyscy trzej byli martwi, kiedy pan wszedł na pokład?

Monotonny głos przesłuchującego pasował do jego twarzy. Szef lokalnej policji patrzył na Dirka i Summer nieruchomymi szarymi oczami, miał mały nos i nijakie usta. Dirk natychmiast zaszufladkował go jako sfrustrowanego stróża prawa, który ma większe ambicje niż praca w Kitimat.

- Tak - odrzekł Dirk. - Od razu sprawdziłem im tętno, ale poznałem po kolorze skóry i temperaturze ciała, że nie żyją już od jakiegoś czasu.

- Ruszał pan zwłoki?

- Nie, przykryłem je tylko kocami, kiedy zbliżyliśmy się do portu. Wydaje mi się, że umarli tam, gdzie upadli.

Inspektor skinął obojętnie głową.

- Słyszeliście wcześniej wezwania pomocy przez radio? Widzieliście w okolicy jakieś inne statki czy łodzie?

- Nie odebraliśmy żadnego SOS - oświadczyła Summer.

- Zauważyłem tylko jeden statek wycieczkowy - dodał Dirk. - Był kilka mil morskich na północ od nas, kiedy znaleźliśmy „Venturę”.

Szef policji przyglądał się im przez minutę w krępującej ciszy, potem zamknął mały notes, w którym zapisywał zeznania.

- Jak myślicie, co się wydarzyło? - zapytał i w końcu jego kamienna twarz ożyła, gdy zmarszczył brwi.

- Ustalenie przyczyny zostawiam patologom - odparł Dirk - choć gdyby kazał mi pan zgadywać, powiedziałbym, że zatruli się tlenkiem węgla. Może nieszczelność układu wydechowego pod sterówką spowodowała przedmuch spalin do środka.

- Wszystkich znalazł pan na mostku, więc to możliwe - przytaknął inspektor. - A jak pan się czuje?

- Dobrze. Na wszelki wypadek otworzyłem wszystkie okna.

- Pamięta pan coś jeszcze?

Dirk spojrział w górę, potem skinął głową.

- Dziwną wiadomość pod sterem. Szef policji znów zmarszczył brwi.

- Niech pan mi pokaże.

Dirk zaprowadził jego i Summer na „Venturę” do nadbudówki. Zatrzymał się przy kole sterowym i wskazał w dół. Inspektor uklęknął, żeby się lepiej przyjrzeć, niezadowolony, że coś przeoczył podczas wstępnych oględzin. Mało wyraźny napis ołówkiem widniał na stanowisku sternika zaledwie kilka centymetrów nad pokładem. Leżący mężczyzna mógł przed śmiercią próbować napisać tam ostatnią wiadomość.

Szef policji wyjął latarkę i oświetlił drukowane litery. Ktoś nagryzmolił drżącą ręką: „dusz wil”. Inspektor wyciągnął ramię i podniósł żółty ołówek, który potoczył się pod przegrodę.

- Ten napis jest blisko miejsca, gdzie leżał szyper - zauważył Dirk. - Może upadł i nie zdążył sięgnąć do radia.

Policjant chrząknął, wciąż zły, że nie dostrzegł wcześniej tego, co Dirk.

- Te bazgroły nic nie znaczą. Mogły już tu być. - Odwrócił się i popatrzył na rodzeństwo. - Co robicie w cieśninie Hecate?

- Jesteśmy z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, oceniamy stan fitoplanktonu wzdłuż Inside Passage - wyjaśniła Summer. - Pobieramy próbki wody między Juneau a Vancouver na zlecenie kanadyjskiego Ministerstwa Rybołówstwa.

Inspektor spojrział na łódź NUMA i skinął głową.

- Muszę was poprosić o pozostanie w Kitimat dzień lub dwa, dopóki nie zakończymy wstępnego śledztwa. Możecie cumować tutaj, to miejski port. Gdybyście potrzebowali noclegu, przecnicę czy dwie stąd jest motel. Zapraszam do mojego biura jutro o trzeciej po południu. Przyślę po was samochód.

- Chętnie pomożemy - odrzekł oschle Dirk, trochę poirytowany, że traktuje się ich jak podejrzanych.

Po przesłuchaniu on i Summer poszli nabrzeżem do swojej łodzi. Podnieśli wzrok, gdy fiberglasowa łódź robocza, prawie identyczna z ich łodzią, podpłynęła z rykiem do kei. Sternik podszedł za szybko i uderzył mocno dziobem w nabrzeże tuż po wyłączeniu silników. Wysoki mężczyzna w flanelowej koszuli wybiegł z nadbudówki, chwycił cumę dziobową i przeskoczył na keję. Szybko przycumował za łodzią NUMA i pomaszerował drewnianym pomostem; jego buty dudniły na deskach. Kiedy się zbliżył, Summer zauważyła surowe rysy i kudłatą głowę, ale w dużych ciemnych oczach dostrzegła pewien urok.

- To wy znaleźliście „Venturę”? - zapytał, patrząc twardo na Dirka i Summer. Mówił jak wykształcony człowiek, co dziwnie kontrastowało z jego powierzchownością.

- Tak - potwierdził Dirk. - Przyprowadziłem ją do portu. Mężczyzna skinął energicznie głową, pobiegł dalej i złapał szefa policji na brzegu. Summer obserwowała, jak wdaje się w ożywioną rozmowę z inspektorem. Dyskutowali podniesionymi głosami.

- Nie mogę powiedzieć, że zgotowano nam tu gorące powitanie - mruknął Dirk, wchodząc na łódź NUMA. - Czy wszyscy tutaj zachowują się jak niedźwiedzie grizzly?

- Chyba wnieśliśmy zbyt dużo dramatyzmu do małego sennego Kitimat - odrzekła Summer.

Zabezpieczyli łódź, wzięli próbki wody i poszli do położonego wśród lasów północy miasta, które okazało się wcale nie takie senne. W Kitimat trwał miniboomb gospodarczy dzięki głębokowodnemu portowi usytuowanemu na południowy zachód od śródmieścia. Międzynarodowy

kapitał zwrócił uwagę na jego możliwości i miasto stawało się najbardziej ruchliwym portem kanadyjskim na północ od Vancouver. Starą hutę Alcon Aluminium rozbudowano ostatnio za miliard dolarów, rozwijały się przemysł drzewny i turystyka.

Znaleźli firmę spedycyjną, wysłali próbki wody do laboratorium NUMA w Seattle i zjedli późną kolację. W drodze powrotnej do motelu wstąpili do portu, żeby zabrać kilka rzeczy z łodzi. Stojąc na mostku, Summer przyłapała się na tym, że patrzy na „Venturę” przycumowaną przed nimi. Ekipa dochodzeniowa skończyła pracę i na kutrze było pusto. Dirk wyłonił się spod pokładu i zauważył skupienie siostry.

- Nie przywrócimy ich do życia - powiedział. - Za nami długi dzień. Chodźmy do motelu, czas spać.

- Myślę o tym napisie w sterówce i zastanawiam się, co szyper chciał przekazać. Jestem ciekawa, czy nie jakieś ostrzeżenie.

- Szybko umarli. Nie wiemy nawet, czy to była ostatnia wiadomość. Summer po namyśle pokręciła głową. Czuła, że napis coś oznacza.

Ale nie miała pojęcia, co. Obiecała sobie, że się dowie.

Pomyślał, że wystrój lokalu nigdy nie doczeka się prezentacji w magazynie „Architectural Digest”, ale wędzony łosoś i jajka smakowały jak w pięciogwiazdkowej restauracji. Uśmiechnął się szeroko do głowy łosia sterczącej nad Summer, gdy przełykał kolejny kęs śniadania. Wypchany łeb był jednym z tuzina innych na ścianie. Każde zwierzę zdawało się patrzeć na Summer szklanymi oczami.

Dziewczyna spojrzała na wyszczerzony pysk niedźwiedzia grizzly, skrzywiła się i pokręciła głową.

- Widok tych wszystkich zwierząt przejechanych przez samochody wystarczy, żeby stać się weganinem.

- Tutejszy wypychacz zwierząt jest pewnie najbogatszym facetem w Kitimat - odparł Dirk.

- I pewnie właścicielem tego motelu.

Summer upiła mały łyk kawy z filiżanki, gdy drzwi lokalu otworzyły się i wszedł wysoki mężczyzna. Skierował się prosto do ich stolika i oboje rozpoznali energicznego człowieka, którego spotkali na nabrzeżu poprzedniego dnia.

- Mogę się przysiąc? - zapytał spokojnym tonem.

- Proszę bardzo - rzucił Dirk, odsunął krzesło i wyciągnął rękę do nieznanego. - Dirk Pitt. To moja siostra Summer.

Mężczyzna uniósł lekko brwi, kiedy zerknął na Summer.

- Miło mi was poznać - odpowiedział i uściśnął im dłonie. - Nazywam się Trevor Miller. Mój starszy brat Steve był szyperem „Ventury”.

- Przykro nam z powodu tego, co się stało wczoraj - odrzekła Summer. Wyczytała z oczu mężczyzny, że jest głęboko wstrząśnięty śmiercią brata.

- Był porządnym człowiekiem - oświadczył Trevor i zapatrzył się w przestrzeń. Potem spojrzał na Summer i uśmiechnął się nieśmiało. - Przepraszam za moje wczorajsze zachowanie. Właśnie dostałem przez radio wiadomość o śmierci brata i byłem zdenerwowany i przybity.

- To oczywiste - przyznała Summer. - Chyba wszyscy byliśmy trochę zdenerwowani.

Trevor zapytał o ich udział w sprawie i Summer opowiedziała mu, jak natknęli się na kuter rybacki podczas badania wody w cieśninie Hecate.

- Pański brat długo łowił w tych stronach? - spytał Dirk.

- Nie, dopiero od dwóch czy trzech lat. Był lekarzem, ale porzucił praktykę dla rybołówstwa, swojej pasji. Radził sobie całkiem dobrze mimo wszystkich restrykcji nakładanych obecnie na rybaków, żeby chronić łowiska.

- Dziwna zmiana zawodu - zauważyła Summer.

- Wychowaliśmy się na wodzie. Nasz ojciec był inżynierem w tutejszej firmie górniczej i zapalonym rybakim. Dużo podróżowaliśmy, ale zawsze mieliśmy łódź. Steve wyruszał w morze, kiedy tylko miał okazję. Pływał nawet na trawlerze w szkole średniej.

- Utrzymywał „Venturę” w doskonałym stanie - stwierdził Dirk. - Jeszcze nie widziałem tak wymuskanego kutra rybackiego.

- Żartował, że „Ventura” jest dumą północnego zachodu. Był perfekcjonistą. Zawsze dbał o swój kuter i sprzęt. Dlatego to wszystko jest takie niepokojące. - Trevor wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w dal za oknem, potem odwrócił do Dirka i zapytał cicho: - Nie żyli, kiedy pan ich znalazł?

- Niestety. Kuter zataczał kręgi, nikt nim nie sterował, kiedy go zobaczyliśmy.

- Rozbiłby się o skały na brzegu wyspy Gil, gdyby Dirk nie przeskoczył na jego pokład - dodała Summer.

- Cieszę się, że pan to zrobił - rzekł Trevor. - Autopsja wykazała, że się udusili. Policja jest pewna, że zatrul się tlenkiem węgla. Ale obejrzałem dokładnie całą łódź i nie znalazłem nieszczelności w układzie wydechowym.

- Silnik jest dość daleko za sterówką, więc to zastanawiające. Być może nie było przedmuchu, tylko jakieś niecodzienne połączenie siły i kierunku wiatru z warunkami żeglugi spowodowało, że spaliny zebrały się w kabinie - podsunął Dirk. - Dziwne, że trzech ludzi umarło tak szybko.

- To wcale nie musiało być takie niezwykle - odparła Summer. - Kilka lat temu zatonoło tajemniczo dużo urlopowiczów zakwaterowanych na łodziach mieszkalnych na jeziorze Powell. W końcu odkryto, że spaliny gromadziły się za ich rufami i zatrwały pływaków w wodzie.

- Steve był bardzo ostrożny - powiedział Miller.

- Nie jest trudno paść ofiarą niewidzialnego zabójcy - zauważył Dirk.

Rozmowa źle wpływała na Trevora, pobladał z napięcia. Summer naląła mu filiżankę kawy i spróbowała zmienić temat.

- Jeśli moglibyśmy jakoś pomóc, proszę powiedzieć - zachęciła z wyrazem prawdziwej troski w szarych łagodnych oczach.

- Dziękuję za próbę uratowania brata i jego załogi, i za ocalenie „Ventury”. Moja rodzina jest wam wdzięczna. - Zawahał się, potem dodał: - Jest jedna rzecz, o którą chciałbym poprosić. Moglibyście zabrać mnie tam, gdzie ich znaleźliście?

- To ponad pięćdziesiąt mil morskich stąd - odrzekł Dirk.

- Możemy popłynąć moją łodzią. Rozwija prędkość dwudziestu pięciu węzłów. Chciałbym po prostu zobaczyć, gdzie Steve był w tym tragicznym czasie.

Summer zerknęła na zegar ścienny pod wyszczerzoną pumą.

- Jesteśmy umówieni z inspektorem policji dopiero o trzeciej - zwróciła się do brata. - Zdamy popłynąć tam i z powrotem, jeśli się pospieszymy.

- Muszę sprawdzić ROV-a i zobaczyć, czy dostaliśmy coś z laboratorium w Seattle - odparł Dirk.

- Popłynij z panem Millerem, a ja zajmę się inspektorem na wypadek, gdybyś się spóźniła.

- Mówcie mi po imieniu. I odstawię ją na czas - obiecał Trevor i uśmiechnął się do Summer, jakby prosił jej ojca o pozwolenie na randkę. Zaskoczona poczuła, że się czerwieni.

- Zarezerwuj mi miejsce pod oślepiającą lampą do przesłuchań. - Wstała. - Do zobaczenia o trzeciej.

Trevor pomógł Summer wejść na łódź, potem szybko odcumował. Kiedy odbijali od nabrzeża, dziewczyna wychyliła się za burtę i zobaczyła na kadłubie logo kanadyjskiego Ministerstwa Zasobów Naturalnych. Gdy zostawili za sobą port i nabrali szybkości w Zatoce Douglasa, weszła do kabiny i usiadła na ławce obok sternika.

- Co robisz w Ministerstwie Zasobów Naturalnych? - zagadnęła Trevora.

- Jestem inspektorem ochrony środowiska w departamencie leśnictwa - odrzekł i ominął drewnowiec sunący środkiem farwateru. - Kontroluję zakłady przemysłowe na północnym wybrzeżu Kolumbii Brytyjskiej. Miałem szczęście, że trafiłem do Kitimat, bo rozwój portu zapewnia mi pracę. - Odwrócił się do Summer i uśmiechnął. - Ale to na pewno nuda w porównaniu z tym, co ty i twój brat robicie w NUMA.

- Pobieranie próbek planktonu wzdłuż Inside Passage nie jest zbyt ciekawe i ekscytujące - wyjaśniła.

- Chętnie bym zobaczył wasze wyniki. Mamy raporty o masowym obumieraniu morskiej flory i fauny w kilku tutejszych rejonach, ale nigdy nie udało mi się tego udokumentować.

Summer się roześmiała.

- Z przyjemnością połączymy siły z takim miłośnikiem badania głębin jak ty.

Łódź mknęła po spokojnych wodach krętego szlaku. W wąską zatokę wrzynały się malownicze zielone cyple porośnięte gęsto sosnami. Summer śledziła trasę na mapie nawigacyjnej i kazała Trevorowi zwolnić, gdy wpłynęli na główny farwatek przez cieśninę Hecate. Złapała ich kilkuminutowa ulewa i zapadł szary mrok. Kiedy zbliżyli się do wyspy Gil, deszcz ustał i widoczność wzrosła do mili morskiej czy dwóch. Summer popatrzyła na radar i na horyzont. Nie zauważyła wokół innych jednostek pływających.

- Daj mi ster - zażądała, podniosła się i położyła rękę na kole. Trevor spojrział na nią niechętnie, ale wstał i odsunął się na bok. Summer skierowała łódź ku wyspie, potem zwolniła i skręciła na północ. - Byliśmy mniej więcej tutaj, kiedy zobaczyliśmy „Venturę” w odległości jakiejś mili od nas. Nadpływała z północnego zachodu, zataczała powoli kręgi i zmierzała wprost na nas. Doszłoby do zderzenia, gdybyśmy nie uciekli jej z drogi.

Trevor wyjrzał przez okno i spróbował w wyobraźni odtworzyć całą scenę.

- Pobrałam właśnie próbkę wody. W sterówce było pusto i nikt nie odpowiadał przez radio. Podpłynęliśmy do burty kutra i Dirk przeskoczył na jego pokład. Tam znalazł twojego brata. - Głos Summer się załamał.

Trevor skinął głową poszedł na rufę i zapatrzył się w dal. Zaczęło mżyć, krople deszczu spływały mu po twarzy. Summer przez jakiś czas nie przeszkadzała mu w rozmyślaniach, potem podeszła cicho do niego i wzięła go za rękę.

- Przykro mi z powodu śmierci twojego brata - szepnęła.

Ścisnął jej dłoń, ale nadal patrzył w przestrzeń. Nagle coś go zaintrygowało i wyteżył wzrok.

Biała chmura zmaterializowała się na wodzie kilkadziesiąt metrów od dziobu - rosła szybko i sunęła ku łodzi.

- Dziwnie to białe jak na mgłę - zauważyła Summer ze zdziwieniem. Poczowała w powietrzu gryzącą woń, kiedy obłok podpłynął bliżej.

Chmura dotarła do dziobu, gdy mżawka raptownie przerodziła się w ulewę. Trevor i Summer wskoczyli do sterówki. Patrzyli przez okno, jak biały opar rozplywa się w strugach deszczu.

- Dziwne - stwierdziła Summer, kiedy Trevor włączył silnik. Wziął kurs na Kitimat i otworzył przepustnicę do oporu. Wtedy zobaczył martwe ryby w wodzie.

- Oddech diabła - powiedział cicho.

- Co?

- Oddech diabła - powtórzył i spojrzał z niepokojem na Summer. - Indianin z plemienia Haisla łowił ryby w tym rejonie kilka tygodni temu. Morze wyrzuciło jego zwłoki na jedną z wysp. Władze podały, że utonął, zapewne staranowany przez statek, który nie dostrzegł go we mgle. A może dostał ataku serca, nie wiem.

Deszcz przestał padać, ale Trevor nie odrywał wzroku od farwateru przed łodzią.

- I co? - zniecierpliwiła się Summer po dłuższej chwili.

- Nigdy o tym nie myślałem. Ale kilka dni temu mój brat znalazł skifa tego człowieka i poprosił mnie, bym oddał go rodzinie. Indianin mieszkał w Kitamaat Village, osadzie plemienia Haisla. Badałem dla nich wodę i zaprzyjaźniłem się z niektórymi tubylcami. Kiedy dotarłem do rodziny topielca, jego wuj zaczął krzyczeć, że to wszystko przez oddech diabła.

- Co miał na myśli?

- Według niego diabeł uznał, że dla Indianina wybiła ostatnia godzina, i wypuścił zimny biały oddech śmierci, który zgładził jego i wszystko wokół.

- Florę i faunę morską, jak w raportach? Trevor spojrzał na Summer z półuśmiechem.

- Podejrzewam, że ten stary był pijany, kiedy plótł te brednie. W opowieściach Haisla roi się od opisów mocy sił nadprzyrodzonych.

- To rzeczywiście brzmi jak babskie gadanie - zgodziła się Summer.

Ale przeszedł ją zimny dreszcz. Milczeli przez resztę drogi i myśleli o dziwnych słowach członka plemienia Haisla, i o tym, co widzieli.

Byli kilka mil morskich od Kitimat, kiedy firmowy helikopter przeleciał tuż nad ich łodzią i skręcił w stronę cypla z północnego brzegu, gdzie wśród drzew stał obiekt przemysłowy. Przy drewnianym pomoście, który wrzynał się w zatokę, cumowało parę małych łodzi i duży luksusowy jacht. Na przyległym trawniku rozstawiono wielki biały namiot bankietowy.

Summer przechyliła głowę na bok.

- Prywatny teren łowiecki dla sławnych i bogatych? - zapytała.

- Nic tak reprezentacyjnego. To doświadczalny zakład sekwestracji dwutlenku węgla, zbudowany przez firmę Terra Green Industries. Wydawałem zgodę na jego lokalizację i uczestniczyłem w inspekcjach podczas budowy.

- Znam metodę sekwestracji dwutlenku węgla. Gaz się gromadzi, skrapla i wpompowuje w ziemię lub dno morza. To kosztowna operacja.

- Nowe ograniczenia w emisji gazów cieplarnianych wywołały duże zainteresowanie tą technologią. W Kanadzie obowiązują wyjątkowo surowe normy wypuszczania dwutlenku węgla do atmosfery. Firmy mogą teraz brać kredyty na proekologiczną modernizację, ale koszty są dużo

wyższe, niż się spodziewano. Zwłaszcza przedsiębiorstwa wydobywcze i energetyczne szukają tańszych rozwiązań. Goyette liczy na to, że zarobi mnóstwo pieniędzy na sekwestracji, jeśli dostanie pozwolenie na rozszerzenie działalności.

- Mitchell Goyette, ten znany obrońca środowiska?

- Tak, jest właścicielem Terra Green. Wielu Kanadyjczyków uważa go za bohatera. Buduje w całym kraju elektrownie wodne, wiatrowe i słoneczne, propaguje wykorzystywanie paliwa wodorowego.

- Znam jego koncepcję ulokowania elektrowni wiatrowych na morzu wzdłuż wybrzeża Atlantyku, żeby produkować czystą energię. Ale ten jacht nie wygląda na napędzany wodorem. - Summer wskazała luksusowy statek.

- Nie, Goyette nie wie o życiu pełnego wyrzeczeń jak prawdziwy zielony. Stał się miliarderem dzięki ruchowi ekologicznemu, ale nikt mu tego nie wypomina. Niektórzy uważają, że jemu wcale nie zależy na ochronie środowiska, tylko na robieniu pieniędzy.

- Najwyraźniej nieźle mu idzie - odrzekła Summer, wciąż patrząc na jacht. - Dlaczego zbudował zakład sekwestracji akurat tutaj?

- Och, to oczywiste: Athabaska. W tym zagłębiu naftowym w Albercie zużywa się mnóstwo energii na otrzymywanie surowej ropy z piasków roponośnych. Podczas procesu powstają duże ilości dwutlenku węgla. Na mocy nowej ustawy o ograniczeniu emisji gazów cieplarnianych rafinerie, które nie rozwiążą problemu dwutlenku, zostaną zamknięte. Mitchell Goyette ma pole do popisu. Koncerny naftowe zbudowały już mały rurociąg z pól naftowych do Kitimat. Goyette przekonał ich do prowadzenia drugiego, mającego służyć do transportu skroplonego dwutlenku węgla.

- Widzieliśmy parę małych tankowców w zatoce - powiedziała Summer.

- Protestowaliśmy zdecydowanie przeciwko budowie rurociągów w obawie, że będą wycieki ropy, ale lobby przemysłowe zwyciężyło. Tymczasem Goyette przekonał rząd, że jego zakład musi stać na wybrzeżu, i dostał przydział terenu od Ministerstwa Zasobów Naturalnych.

- Szkoda, że w takiej dziewiczej okolicy.

- W resorcie wielu się sprzeciwiało tej lokalizacji, ale minister zasobów naturalnych ostatecznie podpisał zgodę. Podobno będzie dziś gościem na uroczystym otwarciu zakładu.

- A ty się nie załapałeś? - spytała Summer.

- Zaproszenie dla mnie najwyraźniej zawieruszyło się na poczcie. Nie, zaraz, pies je zjadł. - Trevor się roześmiał. Summer po raz pierwszy widziała go odprężonego, z ciepłym błyskiem w oczach.

Przyłączyli się do Kitimat i Trevor przybił do nabrzeża za przycumowaną łodzią NUMA. Dirk siedział w kabinie i pisał na laptopie. Na widok Summer i Trevora zamknął komputer i wyszedł na pokład z ponurą miną.

Summer spojrzała na zegarek.

- Wróciłam przed trzecią, i to z zapasem.

- Spotkanie z szefem policji to nasze najmniejsze zmartwienie - odparł Dirk. - Właśnie dostałem z Seattle wyniki badań próbek wody, które wysłaliśmy wczoraj do laboratorium.

- Coś nie tak?

Dirk wręczył Summer wydruk i popatrzył na zatokę.

- Te rzekomo nieskazitelnie czyste wody są śmiertelnym zagrożeniem dla wszystkiego, co w nich pływa.

8

Mitchell Goyette dopił szampana Krug Cios du Mesnil z wyrazem rozanielenia na twarzy. Odstawił pusty kryształowy kieliszek na stół w momencie, gdy podmuch od rotora helikoptera zmarszczył powierzchnię namiotu nad jego głową.

- Przepraszam panów - powiedział basem. - To na pewno premier.

Zostawił grupkę lokalnych polityków, wyszedł z namiotu i skierował się na pobliskie lądowisko.

Był potężnie zbudowany oraz miał wytworne maniery. Duże oczy, zaczesane do tyłu włosy i wieczny szeroki uśmiech upodabniały go do dzika. Ale poruszał się zgrabnie, niemal z wdziękiem, który maskował jego arogancję. Dorobił się majątku sprytem, oszustwem i szantażem.

Nie zaczynał od zera. Kawalek ziemi odziedziczony po rodzinie zamienił w małą fortunę, gdy pewna firma energetyczna złożyła mu ofertę wydzierżawienia terenu pod budowę elektrowni wodnej. Goyette wynegocjował sprytnie procent od zysków za użytkowanie jego ziemi, słusznie przewidując wzrost zapotrzebowania na energię w rozkwitającym gospodarczo Vancouver. Inwestował w przemysł wydobywczy, drzewny oraz energetyczny i budował własne hydroelektrownie. Zakrojona na szeroką skalę kampania reklamowa koncentrowała się na wykorzystywaniu przez niego alternatywnych źródeł energii i kreowała go na trybuna ludowego, by umocnić jego pozycję w negocjacjach z rządem. Niewielu wiedziało, że Goyette ma większość udziałów w holdingach gazowych, węglowych i naftowych, a jego starannie tworzony wizerunek to szczyt hipokryzji.

Goyette obserwował, jak śmigłowiec Sikorsky S-76 nieruchomieje przez chwilę w powietrzu, a potem siada na dużym okrągłym lądowisku. Silniki ucichły, drugi pilot wysiadł i otworzył boczne drzwi pasażera. Niski mężczyzna z lśniąco srebrzystymi włosami wyszedł z maszyny i schylił głowę pod obracającymi się łopatami wirnika. Towarzyszyli mu dwaj bliscy współpracownicy.

Goyette wyszczerzył zęby.

- Panie premierze, witamy w Kitimat i naszym nowym obiekcie Terra Green. Jak minął lot?

- To wygodny helikopter. Byłem zadowolony, że deszcz przestał padać i mogliśmy podziwiać widoki. - Premier Kanady, elegancki mężczyzna nazwiskiem Barrett, wyciągnął rękę i uściskał dłoń Goyette'owi. - Miło znów pana widzieć, Mitch. I dzięki za transport. Nie wiedziałem, że porywa pan też jednego z członków mojego gabinetu.

Wskazał łysiejącego mężczyznę o zgaszonym spojrzeniu, który wysiadł ze śmigłowca i dołączył do grupki. Goyette się rozpromienił.

- Minister zasobów naturalnych, pan Jameson, bardzo pomógł przy uzyskaniu zgody na lokalizację naszego zakładu właśnie tutaj. - Odwrócił się do Jamesona i dodał: - Zapraszam do obejrzenia produktu finalnego.

Minister nie odwzajemnił wylewności. Uśmiechnął się z przymusem.

- Cieszę się, że obiekt funkcjonuje.

- Pierwszy z wielu, dzięki panu - odrzekł Goyette i mrugnął do premiera.

- Tak, pański dyrektor do spraw inwestycji mówił nam, że macie już teren pod budowę w

Nowym Brunswiku. - Barrett pokazał na helikopter.

- Mój dyrektor do spraw inwestycji? - zapytał zdeorientowany Goyette i spojrzał we wskazanym kierunku. Następny mężczyzna wyłonił się z bocznych drzwi i rozprostował ramiona. Zmrużył ciemne oczy przed blaskiem słońca i przeczesał ręką krótkie włosy. Granatowy garnitur na zamówienie nie zdołał ukryć jego muskularnej budowy, ale nadawał mu wygląd menedżera. Goyette'owi omal nie opadła szczeka, kiedy mężczyzna podszedł i uśmiechnął się szeroko z pewnością siebie.

- Panie Goyette, mam dla pana do podpisu papiery dotyczące naszej własności w Vancouver. - Poklepał dla efektu skórzaną torbę na ramię z paskiem, którą trzymał pod pachą.

- Doskonale - wymamrotał Goyette, gdy odzyskał panowanie nad sobą po szoku wywołanym pojawieniem się wynajętego zabójcy, wysiadającego z jego prywatnego helikoptera. - Niech pan zaczeka w biurze kierownika zakładu, niedługo tam przyjdziemy.

Odwrócił się i poprowadził premiera do białego namiotu. Podano wino i zakąski przy akompaniamencie kwartetu smyczkowego, zanim Goyette doszedł z dygnitarzami do wejścia na teren zakładu sekwestracyjnego. Inżynier o zabawnej twarzy przedstawił się jako kierownik obiektu i zabrał grupkę na krótkie zwiedzanie. Przeszli przez dwie duże stacje pomp i wyszli na zewnątrz, gdzie inżynier wskazał kilka ogromnych zbiorników ukrytych częściowo wśród sosen.

- Dwutlenek węgla dociera tutaj z Alberty w stanie ciekłym i trafia do tych zbiorników - wyjaśnił. - Potem jest wpompowywany pod ciśnieniem w ziemię pod nami. Został tu wydrążony ośmiusetmetrowy szyb, który przechodzi przez grubą warstwę skały stropowej i sięga do porowatych osadów wypełnionych słoną wodą. Budowa geologiczna tutaj jest idealna do zatrzymywania dwutlenku węgla i praktycznie nie ma możliwości jego wycieku na powierzchnię.

- A co by się stało, gdyby nastąpiło trzęsienie ziemi? - zapytał premier.

- Jesteśmy co najmniej pięćdziesiąt kilometrów od najbliższej znanej linii uskokowej, więc takie zagrożenie właściwie nie istnieje. A gaz składujemy na takiej głębokości, że jego przypadkowe uwolnienie spowodowane ruchami tektonicznymi jest praktycznie niemożliwe.

- Ile dokładnie dwutlenku węgla z rafinerii w Athabasce sekwestrujemy tutaj?

- Niestety tylko ułamek. Musielibyśmy mieć dużo więcej takich zakładów, żeby przyjmować stamtąd wszystko i umożliwić im wznowienie produkcji na maksymalnym poziomie.

- Jak pan wie - Goyette nie zapominał o własnych sprawach - produkcja ropy w Albercie drastycznie spada z powodu nowych ograniczeń emisji dwutlenku węgla. W podobnie trudnej sytuacji są elektrownie opalane węglem na wschodzie. Wpłynie to w ogromnym stopniu na gospodarkę kraju. Ale rozwiązanie tego problemu leży w pana gestii. Znaleźliśmy już w tym regionie następne tereny odpowiednie do budowy kolejnych zakładów sekwestracyjnych. Potrzebujemy tylko pańskiej pomocy, żeby ruszyć z miejsca.

- Być może, ale nie podoba mi się pomysł zrobienia z wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej zbiornika zanieczyszczeń przemysłowych z Alberty - odparł oschle premier. Pochodził z Vancouver i wciąż był dumny ze swojej rodzinnej prowincji.

- Niech pan nie zapomina o podatku, który Kolumbia Brytyjska pobiera od każdej tony metrycznej dwutlenku węgla przekraczającej jej granicę. Część tej opłaty trafia do skarbu państwa. To jest pewny dochód prowincji. Poza tym może pan zauważył nasz port. - Goyette wskazał wielki budynek nad małą zatoką. - Mamy kryty basen portowy długości stu pięćdziesięciu metrów dla zbiornikowców z ciekłym dwutlenkiem węgla. Przyjmujemy już transporty i zamierzamy pokazać, że możemy neutralizować gaz emitowany zarówno przez przemysł w Vancouver, jak i przez górnictwo

oraz leśnictwo wzdłuż pozostałej części wybrzeża. Jeśli dostaniemy zgodę na budowę podobnych zakładów w całym kraju, będziemy w stanie poradzić sobie ze znaczną częścią dwutlenku węgla emitowanego do atmosfery w Kanadzie. A po zwiększeniu przepustowości obiektów na wybrzeżu moglibyśmy nawet neutralizować gaz ze Stanów Zjednoczonych i Chin, z przyzwoitym zyskiem.

Politykowi zabłyśły oczy na wzmiankę o dodatkowych wpływach do państwowej kasy.

- Czy ta technologia jest całkowicie bezpieczna? - zapytał.

- Nie przyjmujemy odpadów radioaktywnych, panie premierze. To zakład doświadczalny i działa bez zarzutu od kilku tygodni. Na tym nie można stracić. Ja buduję i eksploatuję takie obiekty, i gwarantuję, że są bezpieczne. Rząd tylko wydaje mi na to pozwolenia i dostaje, co mu się należy.

- Ile zostaje dla pana?

Goyette roześmiał się jak hiena.

- Radzę sobie. Potrzebuję tylko stałej zgody pana premiera oraz pana ministra zasobów naturalnych na uruchamianie zakładów i rurociągów. A z tym chyba nie będzie problemu, panie ministrze?

Jameson spojrział na Goyette'a z uległością.

- Mamy do siebie zaufanie.

- Doskonale - powiedział Barrett. - Niech pan mi przyśle swoje propozycje, przekażę je doradcom. Gdzie jest ten doskonały szampan?

Kiedy wracali do namiotu bankietowego, Goyette dyskretnie odciągnął na bok ministra zasobów naturalnych.

- Mam nadzieję, że dostarczono ci bmw? - zagadnął z wilczym uśmiechem.

- To wspaniały prezent, moja żona była zachwycona. Ale wolałbym, żeby następne dowody wdzięczności mniej rzucały się w oczy.

- Bez obaw. Przelew na twój zamorski rachunek powierniczy już poszedł.

Jameson zignorował ostatnie słowa.

- Co to za bzdura z tymi nowymi zakładami wzdłuż wybrzeża? Obaj wiemy, że budowa geologiczna tego miejsca nie jest odpowiednia. Twój tak zwany uwadniacz zatka się już za kilka miesięcy.

- Będzie działać w nieskończoność - zapewnił Goyette. - Rozwiązaliśmy problem przepustowości. I dopóki będziesz przysyłał ten sam zespół geologów do oceny lokalizacji, nie będzie przeszkód w realizacji naszego planu ekspansji na wybrzeżu. Szef tego zespołu chętnie skorygował swoje wnioski za dość umiarkowaną cenę. - Wyszczrzył zęby.

Jameson zasepił się, że w ministerstwie kwitnie korupcja i nie tylko on ma brudne ręce. Nigdy nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, kiedy obudził się rano ze świadomością, że Goyette go kupił. To było kilka lat temu. Poznali się na meczu hokejowym. Jameson ubiegał się wtedy po raz pierwszy o miejsce w parlamencie. W Goyette'cie znalazł bogatego dobroczyńcę, który miał taką samą wizję rozwoju kraju. Datki na kampanię polityczną rosły w miarę, jak Jameson robił karierę, i w pewnym momencie głupio przekroczył dopuszczalną granicę. Darmowe podróże samolotami i wakacje przekształciły się w końcu w jawne łapówki w gotówce. Jameson miał ambicje i utrzymywał żonę i czwórkę dzieci z pensji urzędnika służby cywilnej, więc brał pieniądze oraz przekonywał samego siebie, że popieranie strategii Goyette'a jest słuszne. Dopiero gdy został ministrem zasobów naturalnych, zobaczył jego prawdziwą twarz. Zorientował się, że wizerunek obrońcy środowiska, stworzony na użytek opinii publicznej, to sprytnie wymyślona fasada, za którą kryje się rzeczywisty

Goyette, chciwy megaloman. Na każdą zbudowaną przez niego z wielkim szumem elektrownię wiatrową przypadało pół tuzina kopalń węgla będących jego własnością, ale oficjalnie należących do kogoś innego. Minister zatwierdzał lipne licencje wydobywcze, fałszowane raporty ekologiczne i subwencje. W zamian regularnie dostawał wysokie łapówki. Kupił elegancki dom w ekskluzywnej dzielnicy Ottawy Rockcliffe Park i posyłał dzieci do najlepszych szkół. Ale nigdy nie chciał, żeby sprawy zaszły tak daleko. Wiedział, że nie ma odwrotu.

- Nie wiem, ile jeszcze twoich pomysłów będę mógł poprzeć - powiedział zmęczonym głosem.

- Poprzesz tyle, ile będzie trzeba - syknął Goyette. Jego spojrzenie złodowaciało. - Chyba że chcesz spędzić resztę życia w więzieniu Kingston.

Jameson z rezygnacją pokręcił głową. Uspokojony Goyette złagodniał i wskazał namiot.

- Rozchmurz się i chodź. Przyłączymy się do premiera i wypijemy za bogactwa, którymi wkrótce nas obdaruje.

9

Clay Zak trzymał nogi na biurku kierownika zakładu i przeglądał niedbale książkę o historii regionu. Zerknął przez panoramiczne okno, gdy od warkotu silnika odlatującego helikoptera zadrżały szyby. Goyette wszedł do pokoju kilka sekund później. Z trudem powstrzymywał irytację.

- Coś takiego, mój dyrektor do spraw inwestycji - powiedział. - Zdaje się, że przegapiłeś lot powrotny.

- Podróż tutaj nie była wygodna - zauważył Zak i schował książkę do torby na ramię. - Było ciasno i duszno z tymi wszystkimi politykami na pokładzie. Naprawdę powinieneś kupić Eurocoptera EC-155. Jest dużo szybszy. Nie musiałbyś tyle czasu spędzać w towarzystwie prostytutek. A przy okazji, ten minister zasobów naturalnych naprawdę cię nie lubi.

Goyette zignorował te uwagi i usiadł w skórzanym fotelu na wprost biurka.

- Premier właśnie się dowiedział o śmierci Elizabeth Finlay - oznajmił. - Uznano, że to nieszczęśliwy wypadek na wodzie.

- Tak, wypadła za burtę i utonęła. - Zak się uśmiechnął. - A wydawałoby się, że żeglarka powinna umieć pływać.

- Załatwiłeś to bez śladu? - zapytał Goyette przyciszonym głosem.

Zak zrobił zbolaną minę.

- Dlatego właśnie nie jestem tani. Żadnych podejrzeń, że to nie był tragiczny wypadek. Chyba że jej pies potrafi mówić.

Wyciągnął się w fotelu i spojrzał na sufit.

- Nie ma Elizabeth Finlay, więc nic nie stoi na przeszkodzie, żeby eksportować gaz ziemny i ropę do Chin. - Pochylił się i szturchnął Goyette'a. - Ile byś stracił, gdyby wprowadzono zakaz?

Goyette popatrzył w ciemne oczy zabójcy, ale nic z nich nie wyczytał. Na ogorzalej, lekko pociągłej twarzy nie dostrzegł żadnych emocji. Zak miał minę pokerzysty. Jego spojrzenie nie zdradzało stanu duszy. Jeśli w ogóle ją ma, pomyślał Goyette. Wiedział, że zatrudnianie najemnika to igranie z ogniem, ale Zak był ostrożnym profesjonalistą. A korzyści okazały się ogromne.

- Nie byłaby to nieistotna suma - odrzekł w końcu.

- Dochodzimy do mojego honorarium.

- Dostaniesz tyle, ile uzgodniliśmy. Połowę teraz, połowę po zamknięciu śledztwa. Pieniądze wpłyną na twoje konto na Kajmanach, tak jak poprzednio.

- Może czas - Zak się uśmiechnął - żeby odpoczął kilka tygodni na słonecznych Karaibach.

- Krótki wyjazd z Kanady to chyba niezły pomysł. - Goyette się zawahał. Nie mógł się zdecydować, czy bawić się w to dalej. Musiał przyznać, że Zak dobrze się spisał. I zawsze zacierał ślady. - Mam dla ciebie następną propozycję. To niewielka robota. I nie mokra. W Stanach.

- Słucham - zachęcił Zak. Nie odrzucił jeszcze żadnej oferty. Choć uważał Goyette'a za kretyna, musiał przyznać, że facet dobrze płaci. Wyjątkowo dobrze.

Goyette wręczył mu teczkę z aktami.

- Możesz to przeczytać w samolocie, najbliższym, który stąd odlatuje. Przy bramie czeka kierowca, zawiezie cię na lotnisko.

- Mam lecieć rejsowym samolotem? Jak tak dalej pójdzie, będziesz musiał poszukać sobie nowego dyrektora do spraw inwestycji.

Zak wstał i wyszedł z biura jak władca. Goyette pokręcił głową.

10

Lisa Lane przetarła zmęczone oczy i znów wpatrzyła się w tablicę Mendelejewa, taką samą, jaką wisała w pracowni chemicznej każdej szkoły średniej w kraju. Była biochemikiem, od dawna znała układ pierwiastków na pamięć i mogłaby go wyrecytować obudzona w środku nocy. Teraz przyglądała mu się w nadziei, że coś ją zainspiruje, podsunie jej nowy pomysł.

Poszukiwała trwałego katalizatora do oddzielania cząsteczki tlenu od cząsteczki węgla. Zatrzymała wzrok na czterdziestym piątym pierwiastku, rodzie o symbolu Rh. Jej symulacja komputerowa stale wskazywała metal jako ewentualny katalizator. Rod wydawał się najlepszy, ale okazał się zupełnie nieskuteczny, nie mówiąc o tym, że był potwornie drogim metalem szlachetnym. Jej projekt w Laboratorium Badań Środowiska Naturalnego i Technologii Uniwersytetu imienia Jerzego Waszyngtona utknął w miejscu. Ale gdyby nastąpił przełom, korzyści byłyby tak ogromne, że nie mogła się poddać. Musiała znaleźć rozwiązanie.

Patrząc na pole tabeli oznaczające rod, zauważyła, że poprzedzający go pierwiastek ma podobny symbol, Ru. Zakręciła w zamyśleniu pasmo długich brązowych włosów i powiedziała głośno:

- Ruten.

Jeszcze nie miała możliwości przetestować tego metalu z grupy platynowców.

- Bob! - zawołała do żyłastego mężczyzny w fartuchu laboratoryjnym, siedzącego w pobliżu przy komputerze. - Przyszła już ta próbka rutenu, o którą prosiłam?

Bob Hamilton spojrział na nią i przewrócił oczami.

- Ruten. Trudniej go dostać niż wolny dzień. Musiałem się skontaktować z dwudziestoma dostawcami, ale żaden go nie miał. W końcu skierowano mnie do pewnego laboratorium geologicznego w Ontario, gdzie trochę go mieli. Kosztuje jeszcze więcej niż rod, więc zamówiłem tylko pięćdziesiąt gramów. Sprawdź, czy już jest.

Wyszedł z laboratorium i ruszył korytarzem do małego magazynu, gdzie trzymano pod kluczem specjalne materiały. Asystent za zakratowanym oknem sięgnął po małą skrzynkę i pchnął ją przez ladę. Bob wrócił do laboratorium i położył przesyłkę na biurku Lisy.

- Masz szczęście. Dostarczyli to wczoraj.

Lisa otworzyła skrzynkę i zobaczyła kilka okruchów matowego metalu w plastikowym pojemniku. Wyjęła jedną próbkę, umieściła na szkiełku i obejrzała pod mikroskopem. Okruch przypominał w powiększeniu puszystą kulę śnieżną. Lisa sprawdziła jego masę i włożyła go do hermetycznej komory w dużej szarej obudowie, przymocowanej do spektrometru masowego. Z urządzeniem były połączone cztery komputery i kilka butli ze sprężonym gazem. Lisa usiadła przy jednej z klawiatur i wpisała serię poleceń, które zainicjowały program testowy.

- Walczysz o bilet do Sztokholmu na odebranie Nagrody Nobla? - zagadnął Bob.

- Zadowolilibym się biletem na mecz Redskins, gdyby coś z tego wyszło. - Zerknęła na zegar ścienny i zapytała: - Chcesz wyskoczyć na lunch? Pierwsze wyniki będą najwcześniej za jakąś godzinę.

- Wchodzę w to - odrzekł Bob, zdjął szybko fartuch laboratoryjny i popędził do drzwi.

Po zjedzeniu kanapki z indykiem w stołówce Lisa wróciła do swojego małego biura na zapleczu laboratorium. Chwilę później Bob zajrzał do pokoju z oczami wytrzeszczonymi ze zdumienia.

- Lisa, lepiej chodź i to zobacz - wyjąkał.

Weszła za nim w pośpiechu do laboratorium i serce zamarło jej na moment, kiedy zobaczyła, że Bob skierował się do spektrometru. Wskazał monitor jednego z komputerów, który wyświetlał rząd cyfr biegnących w dół ekranu obok zmieniającego się wykresu kolumnowego.

- Zapomniałaś wyjąć próbkę rodu przed rozpoczęciem nowego testu. Ale spójrz na wyniki. Poziom szczawianu jest niesamowity - powiedział cicho.

Lisa popatrzyła na monitor i zadrżała. Układ detektorów w spektrometrze zestawiał tabelarycznie rezultat wymuszonej reakcji chemicznej. Katalizator rutenowy skutecznie rozbijał wiązanie dwutlenku węgla i sprawiał, że cząsteczki łączyły się w dwuwęglowy związek zwany szczawianem. W przeciwieństwie do poprzedniego katalizatora połączenie rutenu z rodem nie tworzyło odpadowego produktu ubocznego. Lisa przypadkiem otrzymała wynik, który starali się uzyskać naukowcy na całym świecie.

- Nie do wiary - wymamrotał Bob. - Reakcja katalityczna jest prawidłowa.

Lisie zakręciło się w głowie i klapnęła na krzesło. Sprawdziła wynik dwa razy w poszukiwaniu błędu, ale żadnego nie znalazła. W końcu dopuściła do siebie myśl, że może naprawdę trafiła na żyłę złota.

- Muszę zawiadomić Maxwella - oznajmiła.

Doktor Horace Maxwell był dyrektorem Laboratorium Badań Środowiska Naturalnego i Technologii Uniwersytetu imienia Jerzego Waszyngtona.

- Maxwella? Oszalałaś? Za dwa dni składa sprawozdanie w Kongresie.

- Wiem. Mam mu towarzyszyć. Bob pokręcił głową.

- To samobójstwo. Jeśli zawiadomisz go teraz, napisze o tym w sprawozdaniu, żeby dostać większe fundusze dla laboratorium.

- To nie byłoby takie złe.

- Gdyby udało się powtórzyć wyniki. Jeden test laboratoryjny nie wyjaśni tajemnic wszechświata. Zrobmy wszystko jeszcze raz i udokumentujmy starannie każdy krok, zanim pójdziemy do Maxwella. A przynajmniej zaczekajmy, aż złożymy sprawozdanie - przekonywał Bob.

- Chyba masz rację. Możemy powtórzyć eksperyment w różnych wariantach, żeby zdobyć pewność. Jedynym ograniczeniem jest ilość rutenu.

- To z pewnością nasz najmniejszy problem - odrzekł proroczo Bob.

Samolot linii Air Canada wznosił się wysoko nad Ontario, krajobraz w dole widoczny przez małe okna pierwszej klasy przypominał zieloną patchworkową kołdrę. Claya Zaka to nie interesowało, skupiał uwagę na zgrabnych nogach młodej stewardesy, która prowadziła wózek z napojami. Napotkała wzrokiem jego spojrzenie i wręczyła mu martini w plastikowym kubku.

- Ostatnie, jakie mogę panu podać - powiedziała z uśmiechem. - Niedługo lądujemy w Toronto.

Wyszczrzył zęby.

- Tym bardziej będzie mi smakowało.

Ubrany w podróżny strój biznesmena, luźne spodnie khaki i niebieski blezer, nie różnił się od innych dyrektorów handlowych lecących na konferencję. Prawda wyglądała zupełnie inaczej.

Był jedynym dzieckiem samotnej matki alkoholiczki i chował się bez opieki w zakazanej dzielnicy Sudbury w Ontario. W wieku piętnastu lat rzucił szkołę i zaczął pracować w pobliskiej kopalni niklu, gdzie nabrał siły fizycznej, która nie osłabła dwadzieścia lat później. Jego kariera górnika trwała jednak krótko, tylko do czasu, gdy wbił kilof w ucho koledze, który drwił z jego pochodzenia.

Uciekł z Ontario do Vancouver, zmienił tożsamość i zajął się branżą narkotykową. Wykorzystywał swoją siłę i bezwzględność jako egzekutor na usługach głównego lokalnego dystrybutora amfetaminy o przydomku Szwed. Pieniądze przychodziły łatwo, ale Zak gospodarował nimi niezwykle inteligentnie jak na samouka. Czytał zachłannie i rozsądnie studiował biznes i finanse. Zamiast przepuszczać nieuczciwe zarobki na łatwe kobiety i bajeranckie auta, jak to robili jego kumple, inwestował mądrze w akcje i nieruchomości. Kres jego lukratywnemu zajęciu położyła zasadzka.

Nie zorganizowała jej policja, lecz dostawca z Hongkongu, który chciał przejąć kontrolę nad rynkiem. Szwed i jego obstawa zginęli w strzelaninie podczas nocnej transakcji w Stanley Park w Vancouver. Zak zdołał umknąć i zniknął w labiryncie żywoptotów.

Nie spieszył się z zemstą i przez wiele tygodni obserwował luksusowy jacht wynajęty przez chiński syndykat. Wykorzystał wiedzę nabytą w kopalni i podłożył ładunek wybuchowy z zapalnikiem czasowym, który rozerwał statek i zabił wszystkich na pokładzie. Kiedy sprawdzał skutki eksplozji z małej motorówki, zauważył w wodzie mężczyznę wyrzuconego za burtę pobliskiego jachtu przez falę uderzeniową. Wiedział, że władze szybko zamkną śledztwo w sprawie śmierci znanego dilera narkotyków, ale mogą je ciągnąć, jeśli jedną z ofiar będzie bogaty obywatel, więc podpłynął i wyłowił nieprzytomnego człowieka.

Kiedy Mitchell Goyette odzyskał świadomość, jego wdzięczność nie miała granic, co nie zdarzało się często.

- Uratował mi pan życie - wykrztusił, kaszląc. - Odwdzięczę się.

- Niech więc da mi pan pracę - odparł Zak.

Uśmieł się serdecznie, kiedy przypominał to Goyette'owi po latach. Nawet Goyette potraktował

to z humorem. Potentat docenił nietypowe umiejętności byłego górnika i znów zatrudnił go jako egzekutora. Ale wiedział, że lojalność Zaka jest na sprzedaż i nie spuszczał go z oka. Zak natomiast lubił być samotnym wilkiem. Miał wpływ na Goyette'a, i choć był zadowolony z wynagrodzenia, bawiło go wyprowadzanie z równowagi bogatego i potężnego pracodawcy.

Samolot wylądował w Toronto w Międzynarodowym Porcie Lotniczym imienia Lestera B. Pearsona kilka minut przed czasem. Zak otrząsnął się z błogostanu po martini wypitych podczas lotu, wyszedł z kabiny pierwszej klasy i skierował do stanowiska wypożyczalni samochodów w oczekiwaniu na wyładunek bagażu. Wziął kluczyki do beżowego czterodrzwiowego sedana i pojechał na południe wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Ontario. Po pokonaniu stu dwunastu kilometrów opuścił szybką drogę przy drogowskazie z napisem „Niagara”. Półtora kilometra od słynnych wodospadów przekroczył most Rainbow i znalazł się w stanie Nowy Jork, gdzie wręczył urzędnikowi imigracyjnemu fałszywy paszport kanadyjski.

Za wodospadami czekała go już tylko krótka jazda na południe do Buffalo. Znalazł w mieście lotnisko i spokojnie wsiadł do samolotu lecącego do Waszyngtonu. Podróż boeingiem 767, w połowie pustym, odbył pod innym fałszywym nazwiskiem, tym razem z amerykańskim dokumentem tożsamości. Zapadł już zmierzch, gdy odrzutowiec przeleciał nad rzeką Potomac i podszedł do lądowania w Narodowym Porcie Lotniczym imienia Ronalda Reagana. Zak po raz pierwszy znalazł się w stolicy Stanów Zjednoczonych i z zaciekawieniem spoglądał na pomniki z tylnego siedzenia taksówki. Kiedy patrzył na migające czerwone światła na szczycie obelisku ku czci Waszyngtona, zastanawiał się, czy prezydent nie uznałby tego monumentu za absurd.

Zameldował się w hotelu Mayflower, przestudiował akta, które dał mu Goyette, i zjechał windą na poziom holu do wyłożonego boazerią baru Town & Country Lounge. Znalazł cichy boks w rogu, zamówił martini i spojrzął na zegarek. Kwadrans po siódmej chudy mężczyzna z potarganą brodą podszedł do jego stolika.

- Pan Jones? - zapytał nerwowo. Zak uśmiechnął się lekko.

- Tak. Proszę usiąść - odrzekł.

- Nazywam się Bob Hamilton. Jestem z Laboratorium Badań Środowiska Naturalnego i Technologii Uniwersytetu Waszyngtona - powiedział cicho przybyły. Popatrzył na Zaka z niepokojem, potem wziął głęboki oddech i wsunął się niepewnie do boksu.

Zdarzył się cud. Krótko po spotkaniu prezydenta z Sandeckerem na biurko szefa państwa trafił następny list od premiera Kanady z propozycją rozwiązania pogłębiającego się kryzysu. Premier napisał, że w zeszłym roku natrafiono na duże złoża gazu ziemnego w odległej części Arktyki Kanadyjskiej i nie nadano temu rozgłosu. Wstępne badania wykazały, że zasoby te, odkryte w Cieśninie Melville'a, mogą być jednymi z najbogatszych na świecie. Prywatna firma, która je odkryła, ma już flotę zbiornikowców do transportu gazu do Ameryki.

Właśnie takiego pokrzepienia potrzebował prezydent, by móc realizować dalsze plany. Szybko przygotowano umowę handlową, żeby paliwo zaczęło płynąć. Choć cena rynkowa wzrosła, firma obiecała dostarczać tyle gazu, ile zdoła przewieźć. Przynajmniej tak zapewnił dyrektor generalny, niejaki Mitchell Goyette.

Prezydent zignorował zastrzeżenia swoich doradców ekonomicznych i politycznych i szybko zadziałał. W telewizji ogólnokrajowej przedstawił z Gabinetu Ovalnego zarys swojego ambitnego programu.

- Rodacy, znaleźliśmy się w bardzo trudnej sytuacji - powiedział przed kamerami, maskując powagą swój charakterystyczny optymizm. - Codzienne życie utrudnia nam kryzys energetyczny, a przyszłej egzystencji zagraża degradacja środowiska. Nasza zależność od zagranicznej ropy spowodowała katastrofalne skutki ekonomiczne, które odczuwamy wszyscy, godząc się jednocześnie na emisję szkodliwych gazów cieplarnianych. Przybywa niepokojących dowodów na to, że przegrywamy walkę z globalnym ociepleniem. Dla bezpieczeństwa naszego kraju i całego świata zamierzam doprowadzić do tego, że Stany Zjednoczone przestaną emitować do atmosfery dwutlenek węgla do roku 2020. Niektórzy mogą uznać to za drastyczne lub nawet nierealne rozwiązanie, ale nie mamy innego wyjścia. Apeluję do sektora prywatnego, instytucji naukowych i naszych własnych agencji rządowych o wzmożenie prac nad alternatywnymi paliwami i odnawialnymi źródłami energii. Ropa nie może i nie będzie napędzać w przyszłości naszej gospodarki. Do Kongresu trafi wkrótce projekt finansowania badań i wdrażania nowych technologii.

Jestem pewien, że mając odpowiednie środki i determinację, osiągniemy wspólnie ten cel. Mimo to musimy dziś być gotowi do wyrzeczeń, aby uporać się z emisją gazów cieplarnianych i zmniejszyć naszą zależność od ropy, co dławi naszą gospodarkę. W związku z obecną dostępnością gazu ziemnego wydaję niniejszym polecenie, żeby wszystkie nasze krajowe elektrownie na węgiel i ropę zostały przystosowane w ciągu dwóch lat do zasilania gazem. Oznajmiam z zadowoleniem, że chiński przywódca, prezydent Zhen, zgodził się podjąć podobne kroki w swoim kraju. Dodatkowo przedstawię wkrótce naszym rodzimym wytwórcom samochodów plany szybszego wprowadzenia do masowej produkcji pojazdów napędzanych gazem ziemnym i hybrydowych, elektryczno - - spalinowych. Mam nadzieję, że nastąpi to na całym świecie.

Czekają nas ciężkie czasy, ale z waszą pomocą możemy liczyć na bezpieczniejszą przyszłość. Dziękuję za uwagę.

Kiedy wyłączono kamery, do prezydenta Warda podszedł szef sztabu, niski łysiejący mężczyzna nazwiskiem Charles Meade.

- Doskonałe przemówienie, panie prezydencie. Uważam, że powinno uspokoić antywęglowych fanatyków i zażegnać niebezpieczeństwo proponowanego przez nich bojkotu.

- Dzięki, Charlie, obyś miał rację - odrzekł prezydent. - Moje wystąpienie na pewno odniesie jeden skutek. Stracę szansę na reelekcję - dodał z krzywym uśmiechem.

Sala 2318 w biurowcu Kongresu Rayburn Building była wyjątkowo zatłoczona reporterami i widzami. Posiedzenia kongresowej podkomisji energetyki i środowiska naturalnego przy drzwiach otwartych rzadko przyciągały więcej niż garstkę obserwatorów. Ale po przedstawieniu przez prezydenta planu ograniczenia emisji gazów cieplarnianych media zainteresowały się zapowiadzianym spotkaniem podkomisji na temat nowych technologii w walce z globalnym ociepleniem.

Zebrany tłum z wolna przycichł, gdy drzwi się otworzyły i osiemnastu członków Kongresu zajęło swoje miejsca na podium. Ostatnia weszła atrakcyjna kobieta o cynamonowych włosach. Miała na sobie ciemnopurpurowy kostium od Prady, który pasował do fiołkowego koloru jej oczu. Loren Smith, oddana swojej pracy parlamentarzystka z siódmego okręgu wyborczego w Kolorado, nie straciła nic ze swojej kobiecości, odkąd została członkinią Kongresu lata temu. Mimo że przekroczyła czterdziestkę, wciąż przyciągała wzrok aparycją i elegancją, ale jej koledzy dawno się przekonali, że uroda i modne stroje Loren nie przyćmiewają jej inteligencji oraz znajomości polityki.

Podeszła z wdziękiem do środkowego krzesła na podium i usiadła obok pulchnego siwego kongresmena z Georgii, który przewodniczył komisji.

- Otwieram posiedzenie - oznajmił z wyraźnym akcentem. - Ze względu na zainteresowanie opinii publicznej tematem dzisiejszego spotkania, rezygnuję z wygłoszenia uwag wstępnych i zapraszam pierwszego gościa do złożenia sprawozdania. - Odwrócił się i mrugnął do Loren, na co odpowiedziała uśmiechem. Choć reprezentowali przeciwne obozy, przyjaźnili się od dawna i należeli do mniejszości w Kongresie, która nie grała pod publiczność, lecz dbała o dobro kraju.

Przemysłowcy i naukowcy informowali kolejno o postępach w pracach nad alternatywnymi źródłami energii o zerowej emisji dwutlenku węgla. Każdy mówca przedstawiał optymistyczny obraz dalszej przyszłości, ale wahał się, gdy komisja pytała o możliwość natychmiastowego wdrożenia nowych technologii.

- Metoda masowej produkcji wodoru nie została jeszcze udoskonalona - tłumaczył jeden z ekspertów. - Nawet gdyby wszyscy w kraju mieli samochody napędzane wodorowymi ogniwami paliwowymi, wodoru nie wystarczyłoby nawet dla ułamka tych pojazdów.

- Jak daleko jesteśmy od celu? - zapytał kongresmen z Missouri.

- Jakies dziesięć lat - odparł ekspert.

Po sali przebiegł pomruk. Wszyscy stojący przed komisją powtarzali to samo. Rozwój technologii i ulepszanie produktów postępowały bardzo wolno. Nic nie zapowiadało przełomu, który pozwoliłby sprostać wymaganiom prezydenta i uratować kraj i świat przed katastrofalnymi skutkami przyspieszonego globalnego ocieplenia.

Ostatni składał sprawozdanie niski mężczyzna w okularach, dyrektor Laboratorium Badań Środowiska Naturalnego i Technologii Uniwersytetu imienia Jerzego Waszyngtona w podmiejskiej okolicy Marylandu. Loren pochylila się i uśmiechnęła, gdy rozpoznała Lisę Lane siadającą obok

doktora Horace'a Maxwella. Po wygłoszeniu przez dyrektora laboratorium wstępnego oświadczenia Loren zadała mu pierwsze pytanie:

- Doktorze Maxwell, pańskie laboratorium przoduje w badaniach paliw alternatywnych. Czy może nam pan powiedzieć, jakiego postępu technologicznego możemy się spodziewać w najbliższej przyszłości w wyniku waszej pracy?

Maxwell skinął głową, zanim odezwał się głosem przypominającym gdakanie kury:

- Realizujemy kilka programów badawczych w zakresie energii słonecznej, biopaliw i syntezy wodoru. Ale w odpowiedzi na pani pytanie muszę niestety stwierdzić, że nie mamy jeszcze gotowego produktu, który spełniałby warunki postawione przez prezydenta.

Loren zauważyła, że Lisa przygryzła wargę po ostatnich słowach dyrektora. Reszta komisji wzięła Maxwella w obroty i maglowała go jeszcze przez godzinę, ale było jasne, że nie usłyszą żadnej rewelacji. Prezydent postawił wszystko na jedną kartę i rzucił wyzwanie najtęższymi umysłom w świecie przemysłu i nauki w nadziei, że rozwiążą problem energetyczny, ale doznawał zawodu.

Kiedy posiedzenie zostało zamknięte i dziennikarze wypadli z sali, by przekazać relacje, Loren zeszła do doktora Maxwella, podziękowała mu za sprawozdanie i przywitała się z Lisą.

- Cześć, współlokatorko. - Uśmiechnęła się i uściskała koleżankę ze studiów, z którą w college'u dzieliła pokój. - Myślałam, że jesteś ciągle w Narodowym Laboratorium Brookhaven w Nowym Jorku.

- Nie, odeszłam stamtąd kilka miesięcy temu, żeby wziąć udział w programie doktora Maxwella. Miał większy fundusz na badania. - Lisa uśmiechnęła się szeroko. - Chciałam do ciebie zadzwonić, odkąd przeniosłam się do Waszyngtonu, ale byłam zavalona robotą.

- Współczuję. Po przemówieniu prezydenta praca waszego laboratorium stała się nagle bardzo ważna.

Lisa spoważniała i przysunęła się do Loren.

- Chciałabym z tobą porozmawiać o moich badaniach - powiedziała przyciszonym głosem.

- Może zjemy dziś razem kolację? Mąż przyjeżdża po mnie za pół godziny. Byłoby nam szalenie miło, gdybyś się do nas przyłączyła.

Lisa zastanawiała się przez chwilę.

- Z przyjemnością. Tylko uprzedzę doktora Maxwella, że wrócę dziś sama do domu. Twój mąż nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby mnie odwiedzić?

Loren się roześmiała.

- Przejażdżki z pięknymi dziewczynami to jedna z jego ulubionych rozrywek.

Loren i Lisa stały na północnych schodach Rayburn Building, gdy sznur limuzyn i czterodrzwiowych mercedesów ciągnął alejką dla dygnitarzy i zabierał zamożniejszych członków Kongresu i towarzyszących im lobbystów. Uwagę Lisy zwróciło pojawienie się lidera większości parlamentarnej i nie dostrzegła zabytkowego kabrioletu, który zatrzymał się przy krawężniku i niemal zawadził o jej udo wysoko wygiętym błotnikiem. Wytrzeszczyła oczy, kiedy męski brunet z błyszczącymi zielonymi oczami wyskoczył z samochodu, chwycił Loren w objęcia i pocałował namiętnie.

Loren odepchnęła go z zakłopotaniem.

- Liso, to mój mąż, Dirk Pitt.

Pitt zobaczył zaskoczenie na twarzy Lisy, uśmiechnął się ciepło i uściśnął jej dłoń.

- Bez obaw - powiedział ze śmiechem. - Uwodzę piękne kobiety, tylko jeśli są członkiniami

Kongresu.

Lisa zaczerwieniła się lekko. Dostrzegła w jego oczach zamiłowanie do przygód i serdeczność.

- Zaprosiłam Lisę na kolację - wyjaśniła Loren.

- Bardzo się cieszę. Mam nadzieję, że nie będzie pani przeszkadzało trochę wiatru - rzekł Pitt i wskazał samochód.

- To jest coś - wyjąkała Lisa. - Co to za auto?

- Auburn Speedster z 1932 roku. Właśnie skończyłem robić hamulce dziś w nocy i pomyślałem, że warto by je wypróbować.

Lisa popatrzyła na smukłą sylwetkę kremowo-niebieskiego samochodu. Był dwuosobowy, nie miał tylnej kanapy. Nadwozie zwężało się za fotelami kierowcy i pasażera i tworzyło kształt trójkąta przy tylnym zderzaku.

- Nie zmieścimy się wszyscy - zauważyła.

- Zmieścimy - uspokoił ją Pitt.

Podszedł do auta i nacisnął płaski wierzch tylnej części karoserii. Rozłożyło się schowane siedzenie dla jednej osoby.

- O rety, zawsze chciałam przejechać się czymś takim. - Bez wahania wspięła się na stopień i usadowiła na dodatkowym miejscu dla pasażera. - Mój dziadek opowiadał mi, jak jeździł na takim siedzeniu w packardzie swojego ojca w czasie Wielkiego Kryzysu - wyjaśniła.

- Nie ma lepszego sposobu na oglądanie świata - zażartował Pitt, mrugnął do niej i pomógł Loren wsiąść z przodu.

Przebili się przez zatłoczoną w godzinie szczytu Mail, przejechali przez most George'a Masona i skierowali na południe do Wirginii. Kiedy miejskie pomniki zostały za nimi, ruch zmalął i Pitt docisnął pedał gazu. Smukły auburn z potężnym dwunastocylindrowym silnikiem pod maską rozpedził się gładko i przekroczył dozwoloną prędkość. Gdy Pitt przyspieszał, Lisa uśmiechała się szeroko i machała jak mała dziewczynka do innych samochodów, rozkoszując się wiatrem we włosach. Z przodu uśmiechnięta Loren położyła rękę na kolanie męża, który zdawał się we wszystkim poszukiwać przygody.

Pitt minął Mount Vernon i zjechał z głównej szosy. Na małym skrzyżowaniu skręcił w drogę gruntową, która wiła się wśród drzew i kończyła przy małej restauracji nad rzeką Potomac. Zaparkował auburna i wyłączył silnik.

- Zjemy najlepsze kraby w okolicy - oznajmił, gdy poczuł ich zapach.

Restauracja mieściła się w starym nadrzecznym domu przerobionym na lokal gastronomiczny o prostym wystroju, ale przytulnej atmosferze. Posadzono ich przy stoliku z widokiem na Potomac, wkrótce sala zaczęła się zapełniać miejscowymi.

- Wiem od Loren, że jesteś chemikiem na Uniwersytecie Waszyngtona - zwrócił się Pitt do Lisy po zamówieniu piwa i krabów.

- Tak, w grupie prowadzącej badania nad środowiskiem naturalnym, która zajmuje się problemem globalnego ocieplenia - wyjaśniła.

- Gdyby kiedyś ci się znudziło, NUMA mogłaby cię zatrudnić do prowadzenia badań podwodnych - powiedział z uśmiechem. - Mamy duży zespół analizujący skutki ocieplenia się mórz i wzrostu poziomu ich kwaśności. Właśnie miałem przegląd projektu z grupą, która bada nasycenie oceanów dwutlenkiem węgla i ewentualne możliwości zwiększenia jego absorpcji w głębokiej wodzie.

- Cieszę się, że przy ogólnym zainteresowaniu atmosferą ktoś zwraca uwagę również na oceany. Wydaje mi się, że w waszych i naszych badaniach mogą być wspólne elementy. Pracuję nad zmniejszeniem zawartości dwutlenku węgla w powietrzu. Chętnie zobaczyłabym wyniki badań twojego zespołu.

- To tylko wstępny raport, ale może ci się przyda. Wyślę ci kopię. Albo lepiej podrzucę ci ją rano. Ja też mam się stawić w Kongresie - dodał, spojrzawszy na Loren i przewrócił oczami.

- Wszystkie agencje rządowe muszą uzasadniać wysokość swoich rocznych budżetów - odparła Loren. - Zwłaszcza te kierowane przez zbuntowanych piratów. - Roześmiała się, przytuliła do Pitta i odwróciła do przyjaciółki. - Liso, wspomniałaś po posiedzeniu, że chciałabyś porozmawiać o swoich badaniach. Powiedz coś więcej.

Lisa wypłała duży łyk piwa i spojrzała ufnie na Loren.

- Nie mówiłam o tym nikomu poza moim asystentem, ale uważam, że dokonaliśmy bardzo ważnego odkrycia - rzekła cicho, jakby się obawiała, że mogą ją usłyszeć goście przy sąsiednich stolikach.

- Opowiadaj - ponagliła zaintrygowana Loren.

- Moje badania wiążą się z manipulowaniem cząsteczkami węglowodorów. Znaleźliśmy katalizator, który według mnie umożliwi przeprowadzanie sztucznej fotosyntezy na masową skalę.

- Jak w roślinach? Zamianę światła w energię?

- Tak, pamiętasz to z botaniki. Ale dla pewności... Weźmy tamtą dużą paproć. - Wskazała donicę pod oknem. - Czerpie energię świetlną ze słońca, wodę z gleby i dwutlenek węgla z powietrza, żeby wytwarzać węglowodany, źródło paliwa potrzebnego do wzrostu. Jedynym produktem odpadowym jest tlen, dzięki któremu żyjemy. Tak wygląda podstawowy cykl fotosyntezy.

- Ale w rzeczywistości ten proces jest tak skomplikowany, że naukowcy nie są w stanie go przeprowadzić - zauważył Pitt z rosnącym zainteresowaniem.

Lisa siedziała cicho, kiedy kelnerka rozwijała na stoliku brązowy pergamin i kładła na nim parujące kraby. Gdy zaczęli je rozbijać drewnianymi młotkami, ciągnęła:

- W ogólnym sensie masz rację. Udało się odtworzyć fragmenty fotosyntezy, ale nie uzyskano nawet w przybliżeniu takiego efektu, jaki występuje w przyrodzie. Powodem jest złożoność zjawiska. Dlatego setki naukowców pracujących na całym świecie nad sztuczną fotosyntezą skupiają zwykle uwagę na poszczególnych fazach procesu.

- Ty też? - zagadnęła Loren.

- Tak. Badania w naszym laboratorium koncentrują się na zdolności roślin do rozbijania cząsteczek wody na ich poszczególne elementy. Jeśli uda nam się skopiować ten proces, a pewnego dnia do tego dojdzie, to uzyskamy niewyczerpane źródło taniego paliwa wodorowego.

- Dokonałaś przełomu w innym zakresie? - spytała Loren.

- Skupiłam się na reakcji nazywanej „fotosystem I” i na rozpadzie dwutlenku węgla, który następuje podczas tego procesu.

- Jakie są podstawowe trudności? - dociekał Pitt.

Lisa dobrała się do drugiego kraba i wyssała mięso z tylnego odnóża.

- Pycha. Zasadniczym problemem jest opracowanie skutecznego sposobu inicjowania rozpadu chemicznego. W przyrodzie powoduje to chlorofil, ale zbyt szybko się rozkłada w laboratorium. Szukałam sztucznego katalizatora, który mógłby rozdzielić cząsteczki dwutlenku węgla. - Przestała jeść i mówiła cicho dalej: - Znalazłam rozwiązanie. Przypadkiem. Przez pomyłkę zostawiłam w

komorze testowej próbkę rodu i dodałam do niej inny pierwiastek o nazwie ruten. Ta kombinacja wywołała natychmiastową reakcję, której rezultatem było połączenie się cząsteczek dwutlenku węgla w szczawian.

Loren wytarła ręce po krabach i wypła łyk piwa.

- Od tej całej chemii zaczyna mi się kręcić w głowie - poskarżyła się.

- A nie od piwa i krabów? - zapytał z uśmiechem Pitt.

- Przepraszam - zmieszała się Lisa. - Większość moich przyjaciół to biochemicy, więc czasami zapominam, że nie wszyscy nimi są.

- Loren ma o wiele lepszą głowę do polityki niż do nauk ścisłych - zażartował Pitt. - Mówiłaś o wyniku twojego eksperymentu.

- Innymi słowy, reakcja katalityczna przekształciła dwutlenek węgla w prosty związek. Po jego dalszym przetworzeniu można otrzymać paliwo na bazie węgla, takie jak etanol. Ale najważniejszy był rozpad dwutlenku węgla.

Stos krabów zmienił się w stertę połamanych odnóży i pustych skorup. Kelnerka w średnim wieku sprzątnęła sprawnie ze stołu i wróciła po chwili z kawą oraz ciastem cytrynowym.

- Wybacz, ale nie wiem, czy dobrze cię rozumiem - powiedziała Loren między kęsami.

Lisa popatrzyła przez okno na migoczące światła po drugiej stronie rzeki.

- Jestem przekonana, że mój katalizator może być wykorzystany do skonstruowania wysoko wydajnego urządzenia do sztucznej fotosyntezy.

- Do zastosowania na skalę przemysłową? - zapytał Pitt. Lisa przytaknęła ze skromną miną.

- Na pewno. Potrzebne są tylko światło, rod i ruten, żeby się udało. Loren pokręciła głową.

- Zaraz, więc chodzi o to, że będziemy mogli zbudować obiekt przerabiający dwutlenek węgla na nieszkodliwą substancję? I będzie to możliwe w elektrowniach i innych zakładach przemysłowych zaturowających środowisko?

- Tak. A nawet więcej.

- To znaczy?

- Będzie można zbudować setki takich obiektów. Pod względem zmniejszenia ilości dwutlenku węgla to byłoby jak sosnowy las w pigułce.

- Mówisz właściwie o obniżeniu istniejącego poziomu dwutlenku węgla w atmosferze - stwierdził Pitt.

Lisa przytaknęła.

Loren chwyciła ją za rękę i ścisnęła.

- Więc... znalazłaś sposób na zahamowanie globalnego ocieplenia - szepnęła.

Lisa popatrzyła nieśmiało na swoje ciasto i skinęła głową.

- Proces jest sprawdzony. Trzeba jeszcze nad nim popracować, ale uważam, że w ciągu kilku miesięcy można byłoby zaprojektować i zbudować ośrodek sztucznej fotosyntezy na dużą skalę. Wymaga to tylko pieniędzy i politycznego poparcia. - Spojrzała na Loren.

Loren zapomniała o deserze.

- Ale dlaczego doktor Maxwell nie wspomniał o tym dzisiaj w Kongresie?

Lisa przeniosła wzrok na paproć.

- Bo jeszcze mu o tym nie powiedziałam - odrzekła cicho. - Odkrycia dokonałam zaledwie kilka dni temu. Szczerze mówiąc, trochę mnie to oszołomiło. Mój asystent przekonał mnie, że lepiej nie mówić o tym doktorowi Maxwellowi przed jego wizytą w Kongresie, że najpierw powinniśmy być

pewni wyników. Obawialiśmy się oboje ewentualnej wrzawy w mediach.

- Słusznie - przyznał Pitt.

- Więc masz jeszcze wątpliwości co do wyników? - zapytała Loren. Lisa pokręciła głową.

- Powtórzyliśmy eksperyment co najmniej tuzin razy z tym samym rezultatem. Jestem stuprocentowo pewna, że katalizator działa.

- No to czas ruszyć z miejsca - zawyrokowała Loren. - Wtajemnicz jutro Maxwella w sprawę, a ja przedstawię ją w Kongresie. Potem spróbuję umówić nas z prezydentem.

- Z prezydentem? - Lisa się zaczerwieniła.

- Naturalnie. Musi wydać dekret, że mamy przygotować plan uruchomienia produkcji, żeby można było przeznaczyć na to środki z funduszu specjalnego. Prezydent zna problem dwutlenku węgla. Jeśli rozwiązanie jest w naszym zasięgu, na pewno natychmiast nakaże działania.

Lisa milczała, przytłoczona wizją konsekwencji. W końcu skinęła głową.

- Oczywiście, masz rację. Zrobię to jutro.

Pitt zapłacił rachunek i poszli do samochodu. Wracali do miasta, pogrążeni w myślach o odkryciu Lisy. Kiedy Pitt zatrzymał się przed jej domem w Alexandrii, Loren wysiadła i uściskała starą przyjaciółkę.

- Jestem z ciebie taka dumna - oświadczyła. - Kiedyś żartowałyśmy, że zmienimy świat. Ty już tego dokonałaś. - Uśmiechnęła się.

- Dzięki za dodanie mi odwagi - odrzekła Lisa. - Dobranoc, Dirk. - Pomachała do Pitta.

- Nie zapomnij. Widzimy się rano. Przyniosę ci raport o dwutlenku węgla w oceanach.

Kiedy Loren wsiadła z powrotem do samochodu, Pitt wrzucił pierwszy bieg i pomknął ulicą.

- Georgetown czy hangar? - zapytał. Loren przytuliła się do niego.

- Dzisiaj hangar.

Pitt uśmiechnął się i ruszył w stronę Narodowego Portu Lotniczego imienia Ronalda Reagana. Choć byli małżeństwem, nadal mieszkali oddzielnie. Loren nie pozbyła się modnej miejskiej rezydencji w Georgetown, ale większość czasu spędzała w eklektycznym domu Pitta.

Po dotarciu do lotniska Pitt skierował się zakurzoną boczną drogą w stronę ciemnej pustej przestrzeni. Przejechał przez elektryczną bramę i zatrzymał się przed słabo oświetlonym hangarem, który wyglądał tak, jakby marniał od dziesięcioleci. Pitt wprowadził kod do pilota i patrzył, jak odsuwają się boczne drzwi. Rozbłysły lampy pod sufitem i oświetliły lśniące wnętrze, jakby żywcem przeniesione z muzeum transportu. Tuziny błyszczących zabytkowych samochodów stały równo na środku hali. Wzdłuż ściany majestatyczny pullmanowski wagon kolejowy tkwił na stalowych szynach wpuszczonych w podłogę. Zardzewiała wanna ze starym silnikiem zaburtowym była przyśrubowana z boku, zniszczona łódź pneumatyczna leżała w pobliżu. Kiedy Pitt wjechał do hangaru, blask reflektorów auburna padł na dwa samoloty w głębi, starego forda trimotora i smukłego odrzutowego Messerschmitta ME-262 z okresu II wojny światowej. Obie maszyny, podobnie jak wiele samochodów w kolekcji, pozostały po dawnych przygodach. Nawet wanna i tratwa mogłyby opowiedzieć o niebezpieczeństwie i utraconej miłości. Pitt trzymał je z sentymentu jako przypomnienie o kruchości życia.

Zaparkował auburna obok odrestaurowywanego Rolls-royce'a Silver Ghost z 1921 roku i wyłączył silnik. Kiedy drzwi garażowe zamknęły się za nimi, Loren odwróciła się do Pitta i zapytała:

- Ciekawe, co pomyśleliby moi wyborcy, gdyby wiedzieli, że mieszkam w opuszczonym hangarze lotniczym?

- Pewnie by ci współczuli i zwiększyli datki na kampanię - odrzekł ze śmiechem Pitt.

Wziął ją za rękę i poprowadził po spiralnych schodach do mieszkania na poddaszu zajmującego jeden róg budynku. Loren wykorzystwała swoje małżeńskie prawa i zmusiła Pitta do przerobienia kuchni i dodania jednego pokoju, który służył jej za salę do ćwiczeń i gabinet do pracy. Ale nie odważyła się ruszać mosiężnych bulajów, obrazów statków i innych morskich akcentów nadających mieszkaniu zdecydowanie męski charakter.

- Naprawdę uważasz, że wynalazek Lisy może cofnąć globalne ocieplenie? - spytała Loren, nalewając do dwóch kieliszków pinot noir z butelki opatrzonej etykietką „Sea Smoke Botella”.

- Jeśli znajdą się na to wystarczające środki, to czemu nie? Oczywiście przejście od eksperymentów do produkcji jest zawsze trudniejsze, niż się ludziom wydaje. Ale skoro już istnieje działający model, to najważniejsze zostało zrobione.

Loren przeszła przez pokój i podała Pittowi kieliszek.

- Jak wybuchnie bomba, zrobi się naprawdę gorąco - powiedziała, już obawiając się nawału zajęć.

Pitt otoczył ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie.

- Nie szkodzi - odrzekł z szerokim uśmiechem. - Ta noc jeszcze należy do nas.

Pitt podwiózł Loren do lotniskowej stacji metra, skąd miała pociąg do Kongresu, i pojechał do kwatery głównej NUMA, wysokiego szklanego budynku na brzegu Potomacu. Wziął kopię raportu o absorpcji dwutlenku węgla przez oceany, wrócił do auburna i skręciwszy na północny zachód w Massachusetts Avenue, wjechał w głąb Dystryktu Kolumbii. W stolicy zaczynał się piękny wiosenny dzień. Do męczących letnich upałów i duchoty, które przypominają że miasto zbudowano na mokradłach, zostało jeszcze kilka tygodni. Ciepły poranek nadawał się doskonale do jazdy kabrioletem. Pitt wiedział, że bezpieczniej byłoby zostawić go w hangarze, ale nie mógł się oprzeć pokusie jeszcze jednej przejażdżki odkrytym auburnem. Stary samochód był niezwykle zwrotny, a większość kierowców zostawiała mu dużą swobodę ruchu, gdy gapiła się na jego smukłe linie.

Pitt postronnym osobom wydawał się okropnie staromodnym człowiekiem i był taki w każdym calu. Uwielbiał stare samoloty i samochody, jakby wychował się wśród tych maszyn w innym życiu. Ta miłość dorównywała niemal jego fascynacji morzem i tajemnicami głębin. Nie potrafił usiedzieć spokojnie na miejscu, zawsze ciągnęło go w świat. Być może rozumienie historii, którym się wyróżniał, pozwalało mu znajdować rozwiązania problemów współczesnego świata dzięki znajomości przeszłości.

Pitt dotarł do Laboratorium Badań Środowiska Naturalnego i Technologii Uniwersytetu imienia Jerzego Waszyngtona w cichej bocznej ulicy przy Rock Creek Park niedaleko ambasady Libanu. Zaparkował przed dwupiętrowym ceglany budynek i poszedł do wejścia z raportem NUMA pod pachą. Strażnik w holu wręczył mu identyfikator gościa i wskazał drogę do biura Lisy na pierwszym piętrze.

Dirk zaczekał, aż sprzątacze w szarym kombinezonie wypchnie wózek ze śmieciami z windy. Barczysty ciemnooki mężczyzna spojrzął na Pitta przenikliwie, potem minął go z pogodnym uśmiechem. Pitt wcisnął guzik pierwszego piętra i czekał cierpliwie, aż kabina dowiezie go na miejsce. Usłyszał przytłumione „ding”, kiedy winda przystanęła, ale zanim drzwi się rozsunęły, potężny wstrząs zwałił go z nóg.

Eksplozja nastąpiła w odległości trzydziestu metrów od niego, lecz cały budynek zatrzęsł się jak podczas trzęsienia ziemi. Kabina zadygotała i zakołysała się, potem zgasło światło i zapadła ciemność. Pitt potarł guz z tyłu głowy, wstał ostrożnie i znalazł po omacku panel z przyciskami. Żaden nie działał. Przesunął dłońmi po drzwiach, wetknął palce w szczelinę pośrodku i rozsunął wewnętrzne połówki. Zewnętrzne drzwi na pierwszym piętrze znajdowały się pół metra powyżej podłogi kabiny. Wyciągnął ręce, otworzył siłą zewnętrzne drzwi i podciągnął się na podest pierwszego piętra. Wpadł w sam środek chaosu.

Wycie alarmu zagłuszało krzyki. Gęsty pył unosił się w powietrzu i utrudniał oddychanie. Pitt zobaczył przez mgłę kurzu, jak tłum ludzi przedziera się na dół po schodach. Największe zniszczenia były w głównym korytarzu, który ciągnął się przed nim. Wybuch nie naruszył konstrukcji budynku, ale wyleciały szyby w oknach i przewróciło się kilka ścianek działowych. Pitt stwierdził z niepokojem,

że pracownia Lisy była blisko centrum eksplozji.

Poszedł korytarzem, ustępując drogi grupie zakurzonych i kaszlących naukowców. Szkło zazgrzytało mu pod butami, gdy mijał wybite okno. Błada kobieta z zakrwawioną ręką wyszła z pokoju i Pitt przystanął, by pomóc jej owinąć apaszką ranę.

- Gdzie jest biuro Lisy Lane? - zapytał.

Kobieta wskazała dziurę w ścianie po lewej stronie korytarza i powlokła się do schodów.

Pitt podszedł do poszarpanego otworu, który pozostał po drzwiach, i zajrzał do środka. Gęsta chmura białego dymu wciąż unosiła się w powietrzu i wypływała wolno na dwór przez panoramiczne okno bez szyby. Z ulicy dochodziły dźwięki syren nadjeżdżających wozów strażackich.

W laboratorium tliły się pozostałości elektroniki i poniewierały różne szczątki. Pitt zauważył stary palnik Bunsena wbity w boczną ścianę przez podmuch eksplozji. Dymiące pogorzeliśko i podziurawione ściany potwierdzały jego obawy, że wybuch rzeczywiście nastąpił w pracowni Lisy. Ściany jednak nadal stały i meble nie uległy zniszczeniu, co wskazywało wyraźnie, że skutki nie są katastrofalne. Pitt przypuszczał, że nikt nie zginął w innych częściach budynku. Ale użytkownicy tego pomieszczenia pewnie nie mieli tyle szczęścia.

Szybko przeszukał pokój, wołając Lisę po imieniu, gdy przekopywał się przez szczątki. Omal jej nie przeoczył, w ostatniej chwili dostrzegł zakurzony damski pantofel, który wystawał spod przewróconej szafki na akta. Szybko odciągnął mebel na bok i zobaczył leżącą Lisę. Lewą nogę miała skręconą pod nienaturalnym kątem, bluzkę przesiąkniętą krwią. Ale podniosła wzrok na Pitta, popatrzyła na niego apatycznie i zamrugła, kiedy go rozpoznała.

- Nie uczyli cię, że należy się trzymać z daleka od eksperymentów z chemikaliami, które robią bum? - zapytał z wymuszonym uśmiechem.

Przesunął dłonią wzdłuż jej zakrwawionego ramienia i natrafił na duży kawałek szkła, który przebił bluzkę. Tkwił luźno w ciele, więc Pitt wyciągnął go szybkim szarpnięciem i ucisnął ranę, żeby zatamować krwawienie. Lisa skrzywiła się i zemdlala.

Pitt się nie ruszył i sprawdził jej tętno wolną ręką. Do pokoju wkroczył strażak, wymachując toporkiem.

- Potrzebuję ratownika medycznego! - krzyknął Pitt.

Strażak spojrział na niego z zaskoczeniem i wywołał kogoś przez radio. Zespół ratownictwa medycznego zjawił się po kilku minutach i zajął szybko raną. Pitt poszedł za nimi, kiedy nieśli ją na noszach do czekającej karetki.

- Ma słabe tętno, ale myślę, że przeżyje - powiedział do Pitta jeden z pracowników paramedycznych, zanim samochód odjechał do Szpitala Uniwersytetu Georgetown.

Kiedy Pitt przedzierał się przez tłum służb i gapiów, zatrzymał go nagle młody ratownik.

- Niech pan lepiej usiądzie i pozwoli mi to obejrzeć - nalegał podekscytowany i wskazał jego ramię. Pitt spojrział w dół i zobaczył, że ma czerwony rękaw.

- Bez obaw, to nie moja krew - wyjaśnił.

Doszedł do krawężnika i stanął jak wryty. Auburn był zasypany potłuczonym szkłem i cały porysowany. Kawałek szafki na akta przebił chłodnicę i pod autem rosła kałuża płynu. Gruda zaprawy murarskiej oderwana od budynku rozdarła skórzane siedzenie. Pitt spojrział w górę i pokręcił głową, gdy zdał sobie sprawę, że przypadkiem zaparkował dokładnie pod biurem Lisy.

Usiadł na stopniu samochodu, wziął się w garść i popatrzył na zamęt wokół niego. Wyły syreny, poszkodowani pracownicy laboratorium kręcili się oszołomieni. Dym wciąż unosił się z budynku, ale

na szczęście nie pojawił się ogień. Przyglądając się temu wszystkiemu, Pitt miał dziwne wrażenie, że eksplozja nie była przypadkowa. Wstał, pomyślał o Lisie, spojrzał na uszkodzonego auburna i poczuł, jak narasta w nim gniew.

Clay Zak zza żywopłotu po drugiej stronie ulicy obserwował z zadowoleniem rozwój wypadków. Kiedy karetka z Lisą odjechała i dym zaczął rzednąć, odszedł. Przeciął kilka przecznic i skręcił w zaułek, gdzie zaparkował wypożyczony samochód. Zdjął szary kombinezon, wrzucił go do śmietnika, wsiadł za kierownicę i pojechał niespiesznie do Narodowego Portu Lotniczego imienia Ronalda Reagana.

Lekka mgła wisiała nisko nad spokojnymi wodami wokół Kitimat, gdy pierwsze szare przebłęski świtu oświetliły wschodni kraniec nieba. Odległe dudnienie ciężarówki jadącej ulicami miasta dotarło do portu i przerwało poranną ciszę.

W kabinie łodzi roboczej NUMA Dirk odstawił kubek gorącej kawy i uruchomił silnik. Diesel ożył natychmiast i pomrukiwał cicho w wilgotnym powietrzu. Pitt wyjrzał przez okno kokpitu i zobaczył wysoką postać na nabrzeżu.

- Twój wielbiciel zjawił się punktualnie - powiedział głośno. Summer wyłoniła się z kubryku na dole, spojrzała pogardliwie na brata i wyszła na pokład rufowy. Trevor Miller podszedł z ciężką walizką pod pachą.

- Cześć - powitała go Summer. - Udało ci się?

Trevor podał jej walizkę i wszedł na pokład. Popatrzył na dziewczynę z zachwytem i skinął głową.

- Mamy szczęście, że w Kitimat jest ogólnodostępny basen pływacki o wymiarach olimpijskich. Szef obsługi chętnie wypożyczył mi swój analizator jakości wody za skrzynkę piwa.

Dirk wystawił głowę ze sterówki.

- Cena nauki - stwierdził.

- Wskazania na pewno nie będą tak dokładne, jak wyniki analiz komputerowych NUMA, ale przynajmniej sprawdzimy poziom pH.

- Poznamy orientacyjne wartości. Jeśli gdzieś natrafimy na niski poziom pH, będziemy wiedzieli, że kwaśność wzrosła. A takie zjawisko może wywoływać zwiększona zawartość dwutlenku węgla w wodzie morskiej - wyjaśniła Summer. Otworzyła walizkę. W środku były profesjonalny przenośny analizator wody i plastikowe buteleczki. - Zobaczymy, czy wskazania będą się pokrywały z ustaleniami laboratorium. To ważne.

Wyniki testu przeprowadzonego w laboratorium w Seattle mocno ich zaskoczyły. Poziom pH w kilku próbkach wody pobranych niedaleko wylotu Zatoki Douglasa okazał się trzysta razy niższy od poziomu bazowego gdziekolwiek indziej wzdłuż Inside Passage. Najbardziej zatrważający był skład ostatniej próbki, którą pobrali kilka minut przed spotkaniem z „Venturą”. Analiza wykazała, że woda niewiele się różni od kwasu akumulatorowego.

- Dzięki, że się w to włączyliście - powiedział Trevor, kiedy Summer odcumowała łódź i Dirk odbił od brzegu. - To w końcu lokalny problem.

- Wody nie mają granic, tak jak państwa. Jeśli gdzieś jest zagrożone środowisko, musimy to zbadać - odparł Dirk.

Summer spojrzała Trevorowi w oczy i dostrzegła w nich głęboki niepokój. Niewypowiedzianą obawę, że to się wiąże ze śmiercią jego brata.

- Widzieliśmy się wczoraj z inspektorem policji - odezwała się cicho. - Nie miał nic do dodania na temat wydarzenia na „Venturze”.

- Wiem - odrzekł Trevor lodowatym tonem. - Zamknął sprawę, bo uznał, że to wypadek. Twierdzi, że gazy spalinowe prawdopodobnie zgromadziły się w sterówce i wszyscy się zaczadzili. Oczywiście nie ma na to dowodu... - Głos mu się załamał.

Summer pomyślała o dziwnej białej chmurze, którą widzieli na wodzie, i o niesamowitej opowieści członka plemienia Haisla o oddechu diabła.

- Ja też w to nie wierzę.

- Nie wiem, co się naprawdę stało. Może to nam coś wyjaśni. - Trevor popatrzył na analizator wody.

Dirk pędził z maksymalną szybkością przez ponad dwie godziny, dopóki nie dotarli do cieśniny Hecate. Śledził system nawigacyjny i gdy według współrzędnych GPS znaleźli się w miejscu, gdzie pobrali ostatnią próbkę wody, wyłączył silnik. Summer spuściła za burtę pojemnik, nabrała wody morskiej, przelała ją do buteleczki i włożyła do niej sondę analizatora.

- Pokazuje, że pH wynosi sześć i cztery dziesiąte. Poziom nie jest aż taki niski jak dwa dni temu, ale jednak dużo poniżej normalnego.

- To wystarczy do zniszczenia fitoplanktonu i w rezultacie do unicestwienia łańcucha pokarmowego - zauważył Dirk.

Summer popatrzyła na spokojne piękno wyspy Gil i zatoczki i pokręciła głową.

- Trudno zgadnąć, co może powodować taką wysoką kwasowość w takiej nieskażonej okolicy.

- Może jakiś przepływający frachtowiec miał wyciek z zęzy albo wyrzucił do morza toksyczne odpady - podsunął Dirk.

- Tutaj to mało prawdopodobne - zaprzeczył Trevor. - Trasy żeglugowe przebiegają po drugiej stronie wyspy Gil. Tędy pływają zwykle tylko kutry rybackie i promy. I oczywiście czasami statki wycieczkowe kursujące na Alaskę.

- Więc musimy płynąć dalej, dopóki nie zlokalizujemy źródła - odrzekła Summer, oznaczyła próbkę i przygotowała pojemnik do pobrania następnej.

Przez kilka godzin Dirk zataczał łodzią coraz szersze kręgi, a Summer i Trevor pobierali tuziny próbek wody. Ku ich rozczerowaniu w żadnej poziom pH nie był nawet w przybliżeniu taki niski jak w raporcie laboratorium w Seattle. Kiedy pozwolili łodzi dryfować i jedli późnopołudniowy lunch, Dirk wydrukował diagram i pokazał pozostałym.

- Zbadaliśmy powierzchnię wody o promieniu ośmiu mil morskich z punktu pobrania pierwszej próbki. Jak się okazuje, tam mieliśmy najniższy odczyt. Wszędzie na południe stamtąd poziom pH jest normalny. Ale na północ sprawa wygląda inaczej. Rejestrujemy obniżony poziom pH w sektorze o kształcie zbliżonym do trójkąta.

- Może to prądy morskie - zauważył Trevor. - I jednorazowy wyciek zanieczyszczeń.

- Albo naturalne zjawisko - podsunęła Summer. - Jakiś podwodny minerał pochodzenia wulkanicznego podwyższa kwasowość.

- Teraz, kiedy wiemy, gdzie szukać, znajdziemy odpowiedź - zapewnił Dirk.

- Nie rozumiem - zdziwił się Trevor.

- Technika NUMA przyjdzie nam z pomocą - odparła Summer. - Mamy na pokładzie sonar boczny i ROV - a. Jeśli coś jest na dnie, wykryjemy to w ten czy inny sposób.

- Ale będziemy musieli poczekać z tym do jutra - stwierdził Dirk, gdy zerknął na zegarek i zobaczył, że zrobiło się późno. Uruchomił silnik, wziął kurs na Kitimat i rozpędził łódź do dwudziestu pięciu węzłów. Kiedy zbliżali się do miasta, gwizdnął cicho na widok zbiornikowca do

transportu gazu ziemnego, który stał w krytym basenie portowym w małej zatoczce. - Nie do wiary, że wpuścili tutaj taki statek - powiedział.

- Pewnie go rozładują w zakładzie sekwestracji dwutlenku węgla Mitchella Goyette'a - domyśliła się Summer. Kiedy Trevor wyjaśnił jej bratu, co to za obiekt, Dirk cofnął przepustnicę i skręcił w stronę zbiornikowca.

- Co ty robisz? - zapytała Summer.

- Dwutlenek węgla i kwasowość pasują do siebie jak masło orzechowe i dżem; to twoje własne słowa - odparł. - Może ten problem ma jakiś związek z tym statkiem.

- Zbiornikowce dostarczają dwutlenek węgla do zakładu. Któryś mógł mieć wyciek po drodze - zauważył Trevor. - Choć ten statek musiał przyplłynąć dziś w nocy albo wcześniej rano.

- Trevor ma rację - przytaknęła Summer. - Tego zbiornikowca nie było tu wczoraj i nie widzieliśmy go przedtem.

Przyjrzała się nabrzeżu przy obiekcie Goyette'a. Luksusowy jacht zniknął, wszystkie pozostałe łodzie też.

- Nie zaszkodzi pobrać paru próbek, żeby sprawdzić, czy są uczciwi - podsunął Dirk.

Chwilę później z krytego basenu portowego wystartowała ciemna motorówka i wzięła kurs prosto na łódź NUMA. Dirk ją zignorował i nie zmienił kierunku ani nie zwolnił.

- Ktoś się obudził - mruknął. - Nie jesteśmy nawet milę morską od ich terenu. Drażliwi ludzie.

Obserwował, jak motorówka się zbliża, zatacza krąg i podpływa do jego burty. W łodzi siedzieli trzej mężczyźni w brązowych mundurach ochroniarzy, które nie robiły specjalnego wrażenia, w przeciwieństwie do karabinów szturmowych Heckler & Koch HK416 na kolanach strażników.

- To prywatny obszar wodny! - warknął jeden z mężczyzn przez megafon. - Macie natychmiast zawrócić. - Inny, krępy Inuit ostrzyżony jak rekrut, machnął karabinem w stronę sterówki łodzi NUMA dla podkreślenia tych słów.

- Chciałem tylko powędkować w tamtej zatoczce! - odkrzyknął Dirk i wskazał farwater prowadzący do krytego basenu portowego. - Roi się w niej od ryb.

- Nic z tego - padła odpowiedź przez megafon. Rekrut wstał i wycelował karabin w Dirka, potem pokazał mu lufą, żeby zawrócić. Pitt niedbale zakręcił kołem sterowym w prawo i odpłynął. Udał, że ignoruje widok broni i pomachał przyjaźnie do ludzi w motorówce. Kiedy ruszyli, Summer nonszalancko wychyliła się za burtę z pokładu rufowego i pobrała próbkę wody.

- Po co im taka silna ochrona? - zapytał Dirk Trevora, gdy pokonywali ostatnie mile do Kitimat.

- Twierdzą, że strzegą technologii, ale kto wie, jaka jest prawda? Zachowują się jak paranoicy, odkąd się tu pojawili. Sprowadzili własną ekipę budowlaną do postawienia zakładu i własny personel do obsługi. Pracują tam głównie Tlingitowie, ale nietutejsi. Słyszałem, że nie zatrudnili nikogo stąd. W dodatku personel mieszka na terenie obiektu. Nikt nigdy nie widział ich w mieście.

- Byłeś w tym zakładzie?

- Nie - odparł Trevor. - Zajmowałem się tylko wpływem jego lokalizacji na środowisko, i temu podobne. Oglądałem plany i obchodziłem plac budowy, ale nigdy mnie nie zaprosili po jej ukończeniu. Kilka razy chciałem przeprowadzić kontrolę po uruchomieniu zakładu, ale moi szefowie nie poparli mojej prośby.

- Taki potężny facet jak Mitchell Goyette potrafi zastraszyć, kogo chce - zauważył Dirk.

- Dokładnie tak. Słyszałem pogłoski, że stosował naciski, żeby otrzymać teren pod budynek. Zgodę inspekcji budowlanej i ochrony środowiska dostał bez problemu, co się tutaj prawie nie

zdarza. Gdzieś komuś dał w łapę.

Summer weszła do sterówki, niosąc przed sobą buteleczkę wody, i przerwała im rozmowę.

- Kwasowość jest normalna, przynajmniej milę morską od zakładu. Trevor popatrzył w zadumie na obiekt za nimi.

- To za daleko, żeby coś stwierdzić na pewno.

Dirk też miał zamyśloną minę. Lubił trzymać się zasad, ale nie tolerował terroru. Summer żartowała, że jest jowialnym pocziwiną, który zawsze daje coś żebrakowi i otwiera drzwi kobiecie. Ale jeśli ktoś mu się sprzeciwiał, stawał się diabłem tasmańskim. Zachowanie ochroniarzy zirytowało go, wzbudziło w nim podejrzenia i podniosło mu ciśnienie krwi. Zaczekał, aż dopłyną do Kitimat, pożegnają się z Trevorem i umówią na kolację za godzinę, a potem odwrócił się do Summer.

- Chciałbym się przyrzyć bliżej temu zakładowi sekwestracyjnemu.

Zapadał zmierzch. Summer popatrzyła na pierwsze światła miasta odbijające się w wodzie i powiedziała coś, czego Dirk się nie spodziewał:

- Wiesz, że ja też.

Minęła szósta wieczorem, kiedy Loren i Pitt przyjechali do Szpitala Uniwersytetu Georgetown i dostali zgodę na wejście do sali Lisy Lane. Biorąc pod uwagę, że niedawno otarła się o śmierć, wyglądała nieźle. Lewe ramię miała obandażowane, złamaną nogę w gipsie i na wyciągu. Była blada z powodu upływu krwi, ale zupełnie przytomna i ożywiła się na widok gości.

Loren podbiegła i cmoknęła ją w policzek, Pitt postawił przy łóżku wielki wazon różowych lilii.

- Widzę, że dobrzy ludzie w Georgetown ładnie cię poskładali - powiedział z szerokim uśmiechem.

Loren przysunęła sobie krzesło.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytała przyjaciółkę.

- Całkiem dobrze, jak na te okoliczności - odrzekła Lisa z wymuszonym uśmiechem. - Środek przeciwbólowy nie do końca radzi sobie z moją nogą, ale lekarze mówią, że zrośnie się prawidłowo i będzie jak nowa. Tylko przypomnij mi, żebym odwołała zajęcia z aerobiku na kilka następnych tygodni. - Odwróciła się z poważną miną do Pitta. - Dali mi sześć jednostek czerwonych krwinek, odkąd tu jestem. Lekarz powiedział, że miałam szczęście. Umarłabym z upływu krwi, gdybyś mnie w porę nie znalazł. Dzięki za uratowanie mi życia.

Pitt zlekceważył słowa podzięk i mrugnął do niej.

- Jesteś teraz zbyt ważna, żeby cię stracić.

- To cud, że ocalałaś - stwierdziła Loren. - Wiem od Dirka, jak wyglądało laboratorium. Nie do wiary, że nikt w budynku nie zginął.

- Doktor Maxwell wpadł tu wcześniej. Obiecał mi nową pracownię. - Lisa się uśmiechnęła. - Choć był trochę zawiedziony, że nie wiem, co się stało.

- Nie wiesz, co spowodowało wybuch? - spytała Loren.

- Nie. Myślałam, że coś eksplodowało w sąsiedniej pracowni.

- Sądząc po zniszczeniach, centrum wybuchu było w pokoju, gdzie cię znalazłem - oznajmił Pitt.

- Tak, doktor Maxwell mówił mi o tym. Chyba mi nie uwierzył, że nie trzymałam tam żadnych niebezpiecznych materiałów.

- To było dość potężne bum - rzucił Pitt. Lisa przytaknęła.

- Leżałam tutaj i przypomielałam sobie całe wyposażenie pracowni. Wszystkie używane przez nas materiały są nietknięte. Mamy kilka butli z gazem do eksperymentów, ale doktor Maxwell powiedział, że znaleziono je nienaruszone. Sprzęt jest w zasadzie bezpieczny. Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby tak eksplodować.

- Nie zwracaj sobie tym głowy - odparła Loren. - Może wybuchło coś w budynku, stara instalacja gazowa czy coś takiego.

Weszła pielęgniarka o surowym wyrazie twarzy. Uniosła oparcie w łóżku Lisy i postawiła przed nią tacę z kolacją.

- Lepiej już pójdziemy, żebyś mogła się podelektować szpitalnymi epikurejskimi przysmakami -

powiedział Pitt.

- Na pewno nie mogą się równać z wczorajszymi krabami - odrzekła Lisa i spróbowała się roześmiać. Potem zmarszczyła brwi. - Doktor Maxwell wspomniał, że eksplozja poważnie uszkodziła zabytkowy samochód zaparkowany przed budynkiem. Auburn?

Pitt zrobił zbolaną minę i skinął głową.

- Niestety. Ale nie przejmuj się. Da się go wyremontować i będzie jak nowy, tak jak ty.

Ktoś zapukał do drzwi i do sali wszedł chudy mężczyzna ze zmierzwioną brodą.

- Bob - powitała go Lisa. - Cieszę się, że wpadłeś. To są moi przyjaciele. - Przedstawiła mu

Loren i Pitta. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że wyszedłeś z tego bez jednego zadrapania.

- Miałem szczęście, akurat jadłem lunch w stołówce - odparł Bob Hamilton, patrząc niepewnie na Loren i Pitta.

- Rzeczywiście - przyznała Loren. - Jest pan zaskoczony tak jak Lisa tym, co się stało?

- Kompletnie. Któryś z naszych zbiorników ciśnieniowych mógł być nieszczelny, ale myślę, że to raczej coś w budynku. Dziwny wypadek. W każdym razie wyniki badań Lisy przepadły.

- Naprawdę? - zmartwił się Pitt.

- Wszystkie komputery z bazami danych zostały zniszczone - potwierdził Bob.

- Powinniśmy być w stanie je odtworzyć, jak wrócę do pracy... jeśli jeszcze mam gdzie pracować - zażartowała Lisa.

- Zażądam, żeby rektor uniwersytetu zagwarantował, że budynek jest bezpieczny, zanim znów tam wejdiesz - obiecała Loren. Odwróciła się do Hamiltona. - Właśnie wychodziliśmy. Było nam bardzo miło poznać pana, Bob. - Pochyliła się i znów pocałowała Lisę. - Trzymaj się, kochanie. Odwiedzę cię jutro.

- Co za straszne przeżycie - odezwała się do Pitta, kiedy po wyjściu z sali szli jasno oświetlonym korytarzem szpitalnym do windy. - Tak się cieszę, że nic jej nie będzie.

Kiedy Pitt tylko lekko skinął głową, przyjrzała mu się uważniej. W jego zielonych oczach zobaczyła zadumę, którą widywała wiele razy, zawsze wtedy, gdy próbował wytropić zaginiony wrak statku lub wyjaśnić tajemnicę jakichś starych dokumentów.

- Gdzie jesteś myślami? - zapytała w końcu.

- Przy lunchu - odparł zagadkowo.

- Przy lunchu?

- O której większość ludzi jada lunch? - spytał. Spojrzała na niego dziwnie.

- Chyba między jedenastą trzydzieści a pierwszą, o ile się nie mylę.

- Wszedłem do budynku tuż przed eksplozją. Była dziesiąta piętnaście a nasz przyjaciel Bob już jadł lunch - wyjaśnił sceptycznym tonem. - Jestem prawie pewien, że widziałem go po drugiej stronie ulicy wśród gapiów po odjeździe karetki pogotowia z Lisą. Nie wyglądał na zbyt przejętego tym, że życie jego koleżanki jest zagrożone.

- Mógł być w szoku. Ty też. I może należy do facetów, którzy przywodzą do pracy o piątej rano, więc o dziesiątej są głodni. - Popatrzyła na niego z powątpiewaniem i pokręciła głową. - Będziesz musiał bardziej się postarać.

- Pewnie masz rację - przyznał i wziął ją za rękę, gdy wyszli frontowymi drzwiami ze szpitala. - Nie będę się spierać z politykiem.

Arthur Jameson robił porządek na swoim mahoniowym biurku, kiedy jego asystent zapukał w otwarte drzwi i wszedł. Z przestronnego, ale konserwatywnie urządzonego gabinetu ministra zasobów naturalnych na dwudziestym pierwszym piętrze Sir William Logan Building rozciągał się imponujący widok na Ottawę i asystent nie mógł się oprzeć pokusie zerknięcia przez okno, gdy podszedł do biurka. Usadowiony w skórzanym fotelu z wysokim oparciem, Jameson spojrział na stary zegar, który pokazywał, że dochodzi czwarta. Nadzieja na wcześniejsze opuszczenie biura rozwiała się wraz z wejściem asystenta.

- Tak, Steven? - zwrócił się do dwudziestoparolatka podobnego trochę do Jima Carreya. - Czym chcesz mi zepsuć weekend?

- Bez obaw, panie ministrze, nie mam wieści o żadnej katastrofie ekologicznej - odrzekł z uśmiechem asystent. - Przyszedł tylko krótki raport z Pacyficznego Centrum Leśnictwa w Kolumbii Brytyjskiej i pomyślałem, że powinien pan rzucić na to okiem. Jeden z naszych terenowych inspektorów ochrony środowiska informuje o niezwykle wysokiej kwasowości wód w okolicy Kitimat.

Minister nagle zeszywniał.

- Kitimat, mówisz?

- Tak. Niedawno wizytował pan tam zakład sekwestracji dwutlenku węgla, prawda?

Jameson skinął głową, chwycił raport i szybko przebiegł go wzrokiem. Odprężył się wyraźnie, gdy przestudiował mapkę rejonu.

- Te badania przeprowadzono jakieś sześćdziesiąt mil morskich od Kitimat wzdłuż Inside Passage. W tamtej okolicy nie ma zakładów przemysłowych. Pewnie popełniono błąd przy sprawdzaniu próbek. Wiesz, ile takich pomyłkowych raportów stale dostajemy - rzekł uspokajająco. Zamknął akta i odsunął je na bok blatu bez zainteresowania.

- Nie powinniśmy zadzwonić do Kolumbii Brytyjskiej i kazać im powtórzyć analizę wody? - podsunął asystent.

Jameson wypuścił wolno powietrze z płuc.

- Owszem, tak trzeba zrobić. Zadzwon do nich w poniedziałek i zażądaj przeprowadzenia kolejnego testu. Nie ma sensu się podniecać, chyba że wyniki się potwierdzą.

Asystent przytaknął, ale stał przed biurkiem, jakby zapuścił korzenie. Jameson spojrział na niego z ojcowiskim wyrazem twarzy.

- Możesz już iść, Steven. Zabierz narzeczoną na kolację. Podobno otworzyli świetne nowe bistro nad rzeką.

Asystent uśmiechnął się szeroko.

- Za mało mi pan płaci, panie ministrze, żebym mógł tam jadać. Ale chętnie wyjdę wcześniej z pracy. Życzę miłego weekendu i do zobaczenia w poniedziałek.

Jameson obserwował, jak asystent wychodzi z gabinetu, i czekał, aż jego kroki ucichną w głębi

korytarza. Wtedy chwycił raport i przeczytał szczegóły. Nie wyglądało na to, żeby kwasowość wody miała coś wspólnego z funkcjonowaniem zakładu Goyette'a, ale przeczucie mówiło mu co innego. Za głęboko w tym siedzę, żeby przeciwstawić się teraz Goyette'owi, pomyślał. Podniósł słuchawkę telefonu, szybko wybrał numer, który znał na pamięć, i zazgrzytał niecierpliwie zębami, kiedy usłyszał trzeci sygnał. W końcu odebrała kobieta, w jej głosie wyczuwało się kompetencję.

- Terra Green Industries. Czym mogę służyć?

- Jameson przy aparacie, minister zasobów naturalnych - odparł szorstko. - Z Mitchellem Goyette'em proszę.

Dirk i Summer odepchnęli sprawnie łódź od nabrzeża i podryfowali przez zatokę. Kiedy prąd zniósł ich na tyle daleko, że przestali być widoczni z portu, Dirk uruchomił silnik i popłynął wolno farwaterem. Chmury tylko gdzieniegdzie przesłaniały niebo, więc drogę oświetlały im gwiazdy. Jedyne hałas z nadmorskiej knajpy towarzyszył warkotowi ich silnika, gdy oddalali się powoli od miasta.

Dirk trzymał się środka farwateru, podążając za latarnią na maszcie odległego kutra rybackiego, który wychodził wcześniej w morze na połów cennego łososia. Zostawili za sobą Kitimat, przebyli kilka mil morskich w ciemności i pokonali szeroki zakręt. Woda przed nimi lśniła jak wypolerowany chrom i odbijała jasne światła zakładu sekwestracyjnego Terra Green.

Kiedy płynęli z prądem, Dirk spostrzegł, że teren oświetlają umieszczone wysoko mocne reflektory, a sosny rzucają abstrakcyjne cienie.

Tylko wielki zadaszony basen portowy tonął w ciemności i ukrywał obecność przycumowanego w środku zbiornikowca do transportu ciekłego gazu ziemnego.

Summer wyjęła lornetkę noktowizyjną i przyjrzała się brzegowi, gdy mijali zakład w bezpiecznej odległości.

- Na Zachodzie bez zmian - oznajmiła. - Zerknęłam pod ten duży dach i nie zauważyłam żywej duszy wokół basenu i na statku.

- O tej porze dyżuruje na pewno tylko paru ochroniarzy, którzy siedzą w wartowni i patrzą na podgląd z kamer wideo.

- Miejmy nadzieję, że raczej oglądają zapasy w telewizji i będziemy mogli pobrać próbki i spływać.

Posuwali się równym tempem, dopóki nie znaleźli się dwie mile morskie za zakładem. Dirk, niewidoczny za kilkoma zakrętami na farwaterze, przekręcił koło sterowe w prawo, zbliżył się do lądu i wyłączył światła nawigacyjne. Blask gwiazd wystarczał, by widzieć zadrzewiony brzeg, ale Dirk cofnął przepustnicę i nie odrywał oka od głębokościomierza. Summer stała obok, obserwowała przeszkody przez lornetkę noktowizyjną i podawała bratu szeptem zmiany kursu.

Utrzymując silnik na obrotach tuż powyżej biegu jałowego, podeszli na odległość trzech czwartych mili morskiej od Terra Green, niewidoczni z obiektu. Zatoczka była ostatnim miejscem, gdzie mogli się ukryć, dalej blask reflektorów padał na farwater. Summer podniosła kotwicę na dziobie, Dirk wyłączył silnik. Nocną ciszę mącił tylko lekki szum pobliskich sosen. Wiatr zmienił kierunek i przynosił szum pomp i generatorów prądotwórczych z zakładu, hałas zagłuszał szmery i plusk z łodzi.

Dirk zerknął na zegarek do nurkowania Doxa i tak jak Summer włożył ciemny skafander neoprenowy.

- Nadciąga przypływ - powiedział cicho. - Będziemy musieli płynąć pod prąd, ale za to z powrotem z prądem.

Przeanalizował to wcześniej tego wieczoru, więc wiedział, że powrót do łodzi będzie łatwiejszy. Choć zapewne nie miałyby to dużego znaczenia. Oboje doskonale pływali i często brali udział w maratonach morskich, ilekroć byli blisko ciepłych wód.

Summer wyregulowała paski jednobutlowego akwalungu na kamizelce ratunkowej, potem przypięła małą torbę z kilkoma pustymi buteleczkami do pobrania próbek wody. Zaczekała, aż Dirk będzie gotowy, i włożyła płetwy.

- Pływanie o północy we wspinałym północno-zachodnim Pacyfiku - rzekła, patrząc na gwiazdy.
- To niemal romantyczne.

- Nie widzę nic romantycznego w pływaniu w wodzie o temperaturze pięciu stopni Celsjusza - odparł Dirk i wsunął rurkę do oddychania między zęby.

Skinęli w milczeniu głowami i zsunęli się za burtę do chłodnej czarnej wody. Wyregulowali pływalność, zorientowali się w położeniu celu i wyruszyli z zatoczki do zakładu. Płynęli blisko powierzchni i przebijali ją głowami jak dwa aligatory. Oszczędzali tlen w akwalungach i oddychali przez silikonowe rurki rześkim nocnym powietrzem.

Prąd okazał się nieco silniejszy, niż Dirk się spodziewał, gdyż na fąwaler spływała woda z rzeki Kitimat. Radzili sobie z tym łatwo, ale dodatkowy wysiłek podnosił ciepłość ciała. Mimo niskiej temperatury wody Dirk czuł, że poci się w neoprenowym skafandrze.

Pół mili morskiej od obiektu poczuł klepięcie w ramię. Odwrócił się i zobaczył, że Summer wskazuje brzeg. W cieniu kępy sosen dostrzegł łódź zakotwiczoną blisko lądu. Była zaciemniona, podobnie jak ich, i w słabym nocnym świetle nie mógł ocenić jej wymiarów.

Skinął Summer głową i popłynął dalej fąwalerem, omijając łódź szerokim łukiem. Poruszali się równym tempem, dopóki nie dotarli na odległość dwustu metrów od zakładu. Zrobili krótki odpoczynek i Dirk spróbował zorientować się w rozkładzie obiektu oświetlonego blaskiem reflektorów.

Na terenie stał duży budynek w kształcie litery L, której podstawa sąsiadowała z krytym basenem portowym. Ze środka dochodził odgłos pomp i generatorów, przetwarzano tam skroplony dwutlenek węgla. Kilka metrów od budynku stał drugi, z oknami, najwyraźniej biurowy, usytuowany obok lądowiska dla helikoptera. Dirk domyślał się, że kwatery mieszkalne personelu są ulokowane wzdłuż drogi prowadzącej do Kitimat. Na prawo od niego wchodził w wodę mocny pomost z jedną przycumowaną łodzią. Dirk rozpoznał ciemną motorówkę ochroniarzy, którzy przepędzili ich wcześniej tego dnia.

Summer podpłynęła do niego i sięgnęła do torby. Odkorkowała pustą buteleczkę i pobrała próbkę wody, gdy dryfowali.

- Po drodze już wzięłam dwie - szepnęła. - Jeśli uda nam się pobrać jeszcze jedną lub dwie z basenu portowego, powinniśmy mieć komplet.

- To będzie nasz następny postój - odrzekł Dirk. - Od tego miejsca płyniemy pod powierzchnią.

Ustalił kierunek z kompasu na nadgarstku, wsunął regulator akwalungu między zęby i wypuścił powietrze z kamizelki ratunkowej. Opadł kilkadziesiąt centymetrów pod powierzchnię i zaczął płynąć ku masywnemu krytemu basenowi portowemu. Budynek z blachy falistej był dość wąski, po obu stronach znajdującego się w nim statku pozostawało bardzo niewiele wolnej przestrzeni. Ale basen miał większą długość niż boisko do futbolu amerykańskiego i w środku łatwo mieścił się dziewięćdziesięciometrowy zbiornikowiec.

Podświetlona tarcza kompasu była ledwo widoczna w atramentowej wodzie, ale Dirk starał się

odczytywać namiar ze wskazań przyrządu. W wodzie stawało się coraz jaśniej od światła na brzegu, gdy zbliżał się do wylotu basenu. Płynął naprzód, dopóki przed nim nie pojawił się ciemny kształt kadłuba statku. Wzniósł się wolno i wypłynął na powierzchnię niemal dokładnie pod relingiem rufowym zbiornikowca. Szybko obrzucił wzrokiem brzegi pobliskiego basenu portowego, ale o tak późnej porze nikt się tam nie kręcił. Odsunął kaptur z jednego ucha i nasłuchiwał głosów, lecz hałas pomp zagłuszyłby nawet krzyk. Oddalił się nieco od statku i spróbował przyjrzeć mu się dokładniej.

Choć z jego perspektywy zbiornikowiec wydawał się spory, w rzeczywistości był bardzo mały jak na jednostkę do transportu ciekłego gazu ziemnego. Miał opływowy kształt i mógł przewieźć dwa i pół tysiąca metrów sześciennych ładunku w dwóch poziomych metalowych zbiornikach pod pokładem. Zaprojektowano go do żeglugi przybrzeżnej i nie dorównywał wielkością ogromnym pełnomorskim statkom tego typu, które zabierały w jeden rejs ponad pięćdziesiąt razy więcej ciekłego paliwa.

Dirk ocenił, że zbiornikowiec ma dziesięć do dwunastu lat. Wskazywał na to stan spojeń skądinąd dobrze utrzymanego kadłuba. Dirk nie wiedział, jak zmodyfikowano statek, by przystosować go do transportu skroplonego dwutlenku węgla, ale przypuszczał, że w niewielkim stopniu. Choć dwutlenek węgla jest nieco gęściejszy od gazu ziemnego, wymaga niższej temperatury i ciśnienia, żeby przejść w stan ciekły. Dirk zadarł głowę i odczytał nazwę „Chichuyaa”, wymalowaną na rufie złotymi literami, i biały napis „Panama City” poniżej.

Wodę wzburzyły pęcherze powietrza kilka metrów dalej i głowa Summer przebiła powierzchnię. Dziewczyna popatrzyła na zbiornikowiec i basen portowy, potem skinęła głową bratu, wyciągnęła buteleczkę i pobrała próbkę wody. Kiedy skończyła, Dirk wskazał dziób statku i zanurkował. Summer poszła w jego ślady i popłynęła za nim. Posuwając się wzdłuż ciemnego zarysu kadłuba, minęli zbiornikowiec i wynurzyli się bezszelestnie przed jego dziobem. Dirk spojrzał na znaki wolnej burty w górze i zauważył, że statek jest obciążony prawie do maksimum.

Summer skupiła uwagę na płataninie rur nad nią. Wisiały w powietrzu niczym grube czułki i łączyły zbiornikowiec ze stacją pomp przy basenie portowym. Wielkie przegubowe przewody kołysały się od ruchu skroplonego dwutlenku węgla, który nimi płynął. Niewielkie obłoki pary unosiły się z dachu przepompowni, następowała kondensacja schłodzonego i sprężonego gazu. Summer sięgnęła do torby po ostatnią pustą buteleczkę i zastanawiała się, czy woda wokół niej jest skażona, kiedy pobierała ostatnią próbkę. Włożyła pełną buteleczkę do torby i podpłynęła do brata, który dryfował w pobliżu. Gdy dotarła do niego, wskazał wylot basenu portowego.

- Spływajmy - szepnął.

Summer przytaknęła i zaczęła się odwracać, gdy nagle znieruchomiała. Przyglądała się rurom w górze. Z zagadkową miną wycelowwała w nie palec. Dirk przechylił głowę i patrzył przez chwilę na przewody, ale nie zauważył nic niezwykłego.

- O co chodzi? - zapytał.

- O ruch tych rur - odrzekła Summer. - Wydaje mi się, że dwutlenek węgla jest wpompowywany do statku.

Dirk przyjrzał się falującym przewodom. Poruszały się rytmicznie, ale trudno było się zorientować, w którym kierunku przepływa ciecz. Spojrzał na siostrę i przytaknął.

Przecucia zwykle jej nie myliły. To mu wystarczyło, by uznać, że warto sprawdzić, w czym rzecz.

- Myślisz, że to coś znaczy? - dociekała Summer, patrząc na dziób statku.

- Trudno powiedzieć - odparł cicho Dirk. - Wpompowywanie dwutlenku węgla na statek nie miałoby sensu. Może przebiega tędy rurociąg z Athabaski z ciekłym gazem ziemnym.

- Trevor mówił, że jest tylko mały ropociąg i linia przesyłowa dwutlenku węgla.

- Zauważyłaś, czy ten zbiornikowiec miał mniejsze zanurzenie dziś rano?

- Nie przyglądałam się - przyznała Summer. - Choć teraz powinien mieć dużo mniejsze, skoro od jakiegoś czasu wyładowuje gaz.

Dirk popatrzył na statek.

- Niewiele wiem o zbiornikowcach do transportu gazu, ale o ile się orientuję, pompy na lądzie służą do ich załadunku, a pompy na pokładzie do wyładunku. Sądząc po odgłosie, tutejsza przepompownia pracuje.

- Może tłoczyć gaz pod ziemię albo do tymczasowych zbiorników magazynowych.

- To prawda. Ale jest za głośno, żeby stwierdzić, czy pompy pokładowe działają.

Przepłynął kilka metrów do krawędzi basenu portowego, wystawił głowę z wody i się rozejrzał. Na brzegu ani na widocznej części statku nadal nikogo nie było. Zdjął akwalung oraz pas balastowy i powiesił na pobliskim pachołku cumowniczym.

- Chyba nie zamierzasz wejść na pokład? - szepnęła Summer, jakby jej brat oszalał.

Dirk wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.

- A jak inaczej wyjaśnimy tę tajemnicę, mój drogi Watsonie? Summer wiedziała, że nie zdoła wytrzymać w wodzie, czekając na brata, więc niechętnie powiesiła swój sprzęt do nurkowania obok jego i wspięła się na brzeg basenu portowego. Kiedy szła cicho za Dirkiem w kierunku statku, mruknęła pod nosem:

- Dzięki, Sherlocku.

Ruch na ekranie był ledwo dostrzegalny. Aleucki ochroniarz właściwie nie powinien go zobaczyć. Przypadkowo rzucił okiem na zestaw monitorów i zauważył drobne fale w wodzie tuż za rufą zbiornikowca. Szybko zrobił zbliżenie obrazu z kamery na dachu i wypatrzył w wodzie ciemny obiekt, który zaraz zniknął pod powierzchnią. Pomyślał, że to najprawdopodobniej zabłąkana foka, ale miał dobry pretekst do przerywania nużącego siedzenia w wartowni i wyjścia na zewnątrz.

Sięgnął po radio i wywołał marynarza wachtowego na pokładzie „Chichuyai”.

- Tu ochrona zakładu. Kamera wyłapała obiekt w wodzie za waszą rufą. Podpłynę tam motorówką i sprawdzę.

- Przyjąłem, ochrona - odrzekł zasnany głos. - Zapalimy ci światła.

Ochroniarz włożył kurtkę, wziął latarkę i stanął przed szafą z bronią. Popatrzył na czarny karabin szturmowy H&K, ale wybrał pistolet samopowtarzalny Glock i wetknął go do kabury.

- Lepiej nie strzelać do fok o tej porze - mruknął pod nosem i poszedł na nabrzeże.

Zbiornikowiec wywoływał kakofonię mechanicznych dźwięków, gdy schłodzony gaz płynął rurami zawieszonymi nad jego pokładem. Dirk wiedział, że kilku robotników nadzoruje przepływ, ale są albo w czeluściach statku, albo przy pulpicie sterowniczym w stacji pomp. Choć brzeg basenu portowego był słabo oświetlony, sam zbiornikowiec tonął w blasku reflektorów, co prawie uniemożliwiało ukrycie się na pokładzie. Dirk oceniał, że wystarczy im minuta lub dwie na sprawdzenie, czy pompy na statku pracują.

Dotarli ostrożnie wzdłuż basenu portowego do głównego trapu w śródkręciu. Ich mokre skafandry neoprenowe piszczały przy każdym ruchu, ale nie starali się zachowywać ciszy. Hałas z pobliskiej stacji pomp skutecznie zagłuszał te odgłosy i warkot silnika motorówki kierującej się do krytego basenu portowego.

Ochroniarz doprowadził małą łódź do celu bez świateł. Pokręcił się niezauważony przez kilka minut wokół rufy, potem popłynął wzdłuż zewnętrznej burty zbiornikowca. Minął dziób statku i zaczął zawracać, gdy dostrzegł sprzęt do nurkowania zawieszony na pachołku cumowniczym. Wyłączył szybko silnik, dodryfował do brzegu basenu, przywiązał motorówkę i obejrzał ekwipunek.

Summer zobaczyła go pierwsza kątem oka, kiedy się odwróciła, by wejść po trapie. Dirk zrobił już kilka kroków w górę.

- Mamy towarzystwo - poinformowała i wskazała głową ochroniarza. Dirk zerknął szybko na Aleutę, odwróconego tyłem do nich.

- Wchodzimy na pokład. Na statku możemy go zgubić, jeśli nas zobaczy.

Pochylił się nisko i wbiegł długimi susami po trapie. Summer ruszyła za nim. Byli wyraźnie widoczni z miejsca, w którym znajdował się ochroniarz, i spodziewali się, że lada chwila krzyknie do nich, żeby się zatrzymali. Jednak udało im się wspiąć niepostrzeżenie na szczyt trapu. Ale gdy Dirka dzielił już tylko krok od otwartego relingu, na pokładzie mignął niewyraźny cień. Dirk

zorientował się za późno, że ktoś zamachnął się na niego pałką. Spróbował zrobić unik w pół kroku, ale nie zdołał, i dostał drewnianym kijem w głowę. Kaptur neoprenowego skafandra zamortyzował zabójczy cios, ale Dirk zobaczył wszystkie gwiazdy i kolana się pod nim ugięły. Stracił równowagę, przechylił się w bok i uderzył biodrem w poręcz trapu. Tułów przeważył, nogi poszybowały do góry i runął na zewnątrz.

Zdążył jeszcze dostrzec, jak Summer wyciąga ręce, lecz nie udało jej się go chwycić. Otworzyła usta w krótkim krzyku, choć nie usłyszał jej głosu. Zniknęła mu z widoku, gdy pokoziołkował w dół.

Opadanie wydawało się trwać wieczność. Kiedy w końcu wylądował w wodzie, ku swemu zaskoczeniu nie poczuł bólu, tylko zimno, zanim ogarnęła go ciemność.

Cień na szczycie trapu wszedł w blask światła i stał się wielkim mężczyzną z gęstą zmierzwioną brodą do piersi. Popatrzył na Summer płonącymi oczami i uśmiechnął się lekko, gdy machnął niedbale pałką w jej kierunku.

Summer znieruchomiała na trapie, potem cofnęła się odruchowo, przenosząc wzrok z osiłka na ciemną wodę w dole. Dirk uderzył mocno w powierzchnię i jeszcze się nie wynurzył. Poczwała drżenie pod stopami, obejrzała się i zobaczyła za sobą ochroniarza wbiegającego po trapie. Umundurowany i ogolony Aleuta wydał jej się mniej groźny od troglodyty na statku, więc szybko zawróciła.

- Mój brat wpadł do wody. Tonie! - krzyknęła, próbując przebiec obok ochroniarza. Błyskawicznie wydobyl glocka z kabury na biodrze i wycelował w jej szczupłą postać.

- Wtargnęliście na prywatny teren - wygłosił monotonnym tonem bez cienia litości. - Zatrzymam cię, dopóki nie skontaktuję się rano z szefostwem firmy.

- Daj ją mnie - warknął dzikus na pokładzie. - Pokażę jej prawdziwe wtargnięcie. - Ryknął śmiechem, plując śliną wokół siebie.

- To sprawa ochrony zakładu, Johnson - odparł Aleuta, patrząc na marynarza z pogardą.

- Silnik nam wysiadł w łodzi, szukaliśmy pomocy - odezwała się Summer. - Mój brat...

Wyjrzała za poręcz trapu i się wzdrygnęła. Powierzchnia wody poniżej była gładka, nie zauważyła ani śladu Dirka.

Ochroniarz pokazał jej lufą pistoletu, żeby poszła na dół. Ruszył za nią i obejrzał się na Johnsona.

- Wyłów tego człowieka, jeżeli go znajdziesz. Jak jeszcze będzie żywy, przyprowadź go do wartowni. - Zmierzył osiłka ostrym spojrzeniem i dodał: - Dla twojego własnego dobra lepiej, żeby nie był trupem.

Troglodyta chrząknął i niechętnie zszedł za nimi po trapie. Prowadzona brzegiem basenu portowego Summer starała się wypatrzyć Dirka w wodzie. Ochroniarz ignorował jej błagania o pomoc. W świetle lampy w górze zobaczyła jego zimny wzrok i zamilkła. Być może nie był sadystą jak Johnson, ale wydawał się zdolny do zabójstwa. Wpadła w rozpacz i szła bezradnie ze spuszczoną głową. Obawiała się, że nieprzytomny Dirk uderzył w wodę i zginął. Od tamtej chwili minęło kilka minut i dręczyła ją gorzka świadomość, że nie mogła nic zrobić.

Johnson zszedł po trapie i przyjrzał się wodzie. Ani śladu ciała. Zbadał wzrokiem krawędź basenu portowego, ale nie zauważył mokrych plam, które wskazywałyby, że tamten wydostał się na brzeg. Nie mógł niepostrzeżenie przepłynąć wzdłuż całego statku. Johnson uznał, że jego ofiara leży martwa gdzieś na dnie. Wspiął się na trap, popatrzył po raz ostatni na gładką powierzchnię i wrócił na statek, przeklinając ochroniarza.

Trzy metry pod powierzchnią Dirk, choć nieprzytomny, daleki był od śmierci. Po upadku starał się nie odzyskiwać siły, ale pograżył się w ciemności. Ocknął się na moment i poczuł, że płynie bez wysiłku. Potem coś pojawiło się między jego wargami i odniósł wrażenie, że ma w ustach odkręcony

wąż ogrodowy. Wkrótce znów otoczył go nieprzenikniony mrok.

Cios w skroń ocucił go po raz drugi. Coś uderzyło go w plecy i nogi, po czym poczuł się tak, jakby wpychano go do szafy. Usłyszał swoje imię, ale nie mógł rozróżnić reszty słów. Głos umilkł wraz z oddalającymi się krokami. Spróbował ze wszystkich sił otworzyć oczy, ale nie zdołał. Ból głowy powrócił i stał się tak dotkliwy, że znów zobaczył gwiazdy. A potem światła, dźwięk i ból szczęśliwie znów zniknęły.

Z basenu portowego ochroniarz poprowadził Summer obok długiego budynku, gdzie mieściła się stacja pomp. Niespodziewana brutalność wobec brata zaszokowała Summer, ale teraz zmusiła się do stłumienia dręczących ją uczuć i logicznego myślenia. Co jest ważnego w tym zakładzie, że zachowują się tak agresywnie? Czy rzeczywiście wpompowują dwutlenek węgla do zbiornikowca? Zerknęła przez ramię na Aleutę, który szedł kilka kroków za nią z wyciągniętym pistoletem. Nawet wynajęta ochrona zachowywała się tak, jakby strzegła ściśle tajnego obiektu.

Hałas pomp ucichł, gdy minęli główny budynek i wyszli na niewielką otwartą przestrzeń. Kiedy zbliżali się do biurowca i sąsiadującej z nim wartowni, Summer usłyszała szelest w zaroślach na lewo od niej. Przypomniała sobie wypchanego niedźwiedzia grizzly w restauracji i szybko odbiła w prawo. Zdezorientowany ochroniarz przesunął lufę pistoletu i wyciągnął głowę w stronę krzaków. Szelest umilkł, gdy Aleuta podszedł bliżej, potem nagle jakaś postać wypadła zza krzewów i wzięła zamach. Ochroniarz obrócił się, żeby strzelić, ale nie zdążył, gdyż przedmiot wypuszczony z ręki napastnika uderzył go w skroń. Summer odwróciła się i zobaczyła, jak na ziemi ląduje pas balastowy z ołowianymi obciążnikami przesuniętymi do jednego końca. Ochroniarz upadł, ale zdołał się podnieść na jedno kolano. Ogłuszony i zakrwawiony, wycelował wolno z pistoletu w ciemną postać i nacisnął spust.

Gdyby czubek buta Summer nie trafił go w szczękę, pocisk utkwiłby w ciele nieznajomego. Ale potężne kopnięcie w usta sprawiło, że ochroniarz strzelił za wysoko i padł jak długi. Stracił przytomność, broń wysunęła mu się z ręki.

- Te piękne nogi są bardziej niebezpieczne, niż przypuszczałem - powiedział znajomy głos.

Summer spojrzała na zarośla i zobaczyła uśmiechniętego Trevora Millera. Podobnie jak ona był w neoprenowym skafandrze płetwonurka i wydawał się trochę zdyszany.

- Trevor - wyjąkała zaskoczona. - Co tu robisz?

- To samo, co ty. Chodź, wynośmy się stąd. Podniósł pistolet ochroniarza i cisnął w krzaki, potem chwycił ją za rękę i ruszył sprintem do basenu portowego. Summer zauważyła, że w budynku zapala się światło, starała się jednak dotrzymać kroku Trevorowi. Dobięgli do przycumowanej motorówki ochroniarza. Summer zatrzymała się i spojrzała w ciemną toń, gdy Trevor zbierał w pobliżu sprzęt do nurkowania i wrzucał do łodzi.

- Dirk wpadł do wody - wysapała i wskazała na trap.

- Wiem - odrzekł Trevor. Skinął w kierunku motorówki i odsunął się na bok.

Dirk, oszołomiony i półprzytomny, leżał na tylnej ławce i patrzył na nich szklistymi oczami. Uniósł z wysiłkiem głowę i mrugnął do siostry. Summer zamurowało. Wskoczyła do łodzi i przykucnęła obok niego, czując ogromną ulgę.

- Jak się wykaraskałeś? - zapytała, patrząc na strużkę zakrzepłej krwi na jego skroni.

Dirk z trudem wyciągnął rękę i wskazał Trevora, który odcumował motorówkę i zeskoczył do środka.

- Obawiam się, że nie ma czasu na frazesy - odrzekł z uśmiechem. Uruchomił silnik, pchnął przepustnicę, okrążył rufę zbiornikowca i wypłynął z krytego basenu portowego. Nie patrząc za siebie, wy dostał się na farwater i zwiększył obroty.

Summer próbowała zbadać rany Dirka w świetle gwiazd. Natrafiła na duży zakrwawiony guz na jego ciemieniu. Kaptur skafandra uchronił go przed głębszym rozcięciem skóry i być może gorszym losem.

- Zapomniałem włożyć kask - wymamrotał, starając się skupić wzrok na Summer.

Odetchnęła z ulgą i roześmiała się głośno.

- Masz taką twardą głowę, że trudno ją rozbić.

Płynęli przez noc, Trevor trzymał się linii brzegowej, dopóki nagle nie cofnął przepustnicy. Przed nimi kołysała się zaciemniona łódź, którą Summer widziała wcześniej. Teraz rozpoznała w niej służbową motorówkę Trevora. Ekolog dobił do burty swojej łodzi, pomógł Dirkowi i Summer zając w niej miejsce, potem zostawił motorówkę ochroniarza w dryfie. Szybko podniósł kotwicę i ruszył. Kiedy byli daleko od zakładu, przeciął farwater, skręcił i skierował się z powrotem do Kitimat.

Gdy mijali obiekt Terra Green, dostrzegli snopy światła kilku latarek, przeczesujące teren, ale nie zauważyli oznak alarmu. Zawinęli niepostrzeżenie do portu w Kitimat, Trevor wyłączył silnik i przycumował łódź. Na pokładzie rufowym Dirk zaczął odzyskiwać formę, choć jeszcze kręciło mu się trochę w głowie i łupało go pod czaszką. Uścisnął Trevorowi dłoń, kiedy ekolog pomógł mu zejść na ląd.

- Dzięki, że mnie wyłowileś. Gdyby nie ty, zapadłbym w długi sen pod wodą.

- Szczęśliwy zbieg okoliczności. Płynąłem wplaw wzdłuż basenu portowego i usłyszałem zbliżającą się motorówkę. Ukryłem się pod trapem, zanim ochroniarz wszedł na brzeg. Nie wiedziałem, że to ty, dopóki nie rozpoznałem głosu Summer tuż przed twoim upadkiem do wody. Wylądowałaś blisko mnie. Nie dawałaś znaku życia, więc natychmiast wepchnąłem ci do ust mój regulator. Najtrudniej było utrzymać nas obu w zanurzeniu, dopóki nie zniknęliśmy z widoku.

Summer uśmiechnęła się szeroko.

- To wstyd, żeby pracownik państwowy wdzierał się na teren prywatny.

- To wszystko wasza wina - odparł Trevor. - Stale mówiliście o znaczeniu próbek wody, więc pomyślałem, że musimy wiedzieć, czy ten problem ma jakiś związek z zakładem.

Wręczył jej torbę z kilkoma buteleczkami wody.

- Mam nadzieję, że potwierdzą moje - powiedziała Summer i wyjęła swoje próbki. - Oczywiście muszę odzyskać łódź, żeby dokończyć analizy.

- Firma taksówkowa Millera jest zawsze do usług. Rano mam inspekcję w kopalni, ale po południu mogę cię tam podrzucić.

- Byłoby wspaniale. Dzięki, Trevor. Może następnym razem powinniśmy ściślej współpracować ze sobą - odrzekła Summer z urzekającym uśmiechem.

Trevorowi zabłyśły oczy.

- Bardzo bym chciał.

Rozproszone bryły lodu unoszące się na rozfalowanych wodach cieśniny Lancaster wyglądały w mroku jak poszarpana pianka pływająca w morzu gorącej czekolady. Na ciemnym tle wyspy Devon czarny kolos sunął wzdłuż horyzontu, zostawiając za sobą smugę dymu.

- Odległość sześć i pół mili morskiej, panie kapitanie. Jest na naszym kursie. - Sternik, rudy chorąży z wielkimi uszami, przeniósł wzrok z ekranu radaru na kapitana i czekał na odpowiedź.

Kapitan Dick Weber opuścił lornetkę, ale nie oderwał oczu od statku w oddali.

- Idź na niego, przynajmniej dopóki się nie zidentyfikuje - rozkazał bez odwracania głowy.

Chorąży wykonał kołem sterowym pół obrotu i wrócił do obserwacji wyświetlacza radaru. Dwudziestoczworometrowy kuter patrolowy Kanadyjskiej Straży Przybrzeżnej płynął wolno przez ciemne arktyczne wody ku zbliżającej się jednostce. Przydzielony do służby wzdłuż wschodnich dońców Przejścia Północno-Zachodniego „Harp” był na morzu od kilku dni. Choć zimowy lód pękał wcześniej, kuter napotkał dopiero pierwszy statek handlowy w tym sezonie. Miesiąc lub dwa później roiliby się tu od tankowców i kontenerowców zdążających północnym szlakiem tranzytowym w towarzystwie lodołamaczy.

Zaledwie kilka lat wcześniej wyśmiano by pomysł nadzorowania żeglugi w Przejściu Północno-Zachodnim. Od czasów pierwszych wypraw człowieka do Arktyki duże powierzchnie pokrywy lodowej pozostawały zamrożone przez cały rok z wyjątkiem niewielu letnich dni. Tylko nieliczne wytrwałe ekspedycje naukowe i czasami załogi lodołamaczy miały odwagę torować sobie drogę zmrożonym szlakiem. Ale globalne ocieplenie wszystko zmieniło i teraz przejście było żeglowne przez kilka miesięcy w roku.

Naukowcy oceniają, że tylko w ciągu ostatnich trzydziestu lat ubyły prawie sto cztery tysiące kilometrów kwadratowych arktycznego lodu. Szybkie topnienie jest w dużym stopniu skutkiem albedo. Lód arktyczny odbija do dziewięćdziesięciu procent promieniowania słonecznego. Woda morska powstająca w wyniku jego topnienia pochłania taką samą ilość promieniowania i odbija tylko około dziesięciu procent. To tłumaczy fakt, że temperatura w Arktyce rośnie w tempie dwukrotnie szybszym od globalnego.

Patrząc, jak dziób „Harpa” kruszy cienką krę, Weber przeklinał w duchu wpływ zmian klimatycznych na jego życie. Przeniesiono go z Quebecu, gdzie pełnił wygodną służbę na Rzece Świętego Wawrzyńca, do jednego z najbardziej odludnych rejonów na naszej planecie. Pomyślał, że choć dowodzi kutrem patrolowym, jego zajęcie niewiele się różni od pracy kasjera w punkcie pobierania opłat przy wjeździe na autostradę.

Nie winił swoich przełożonych, bo postąpili po prostu zgodnie z zarządzeniem pobrządkującego szabelką premiera Kanady. Kiedy skute lodem odcinki Przejścia Północno-Zachodniego zaczęły rozmarzać i stawać się żeglowne, premier szybko oświadczył, że ten szlak to kanadyjskie wody wewnętrzne i przyznał fundusze na budowę portu morskiego w Nanisivik. Wkrótce potem obiecał stworzenie floty lodołamaczy wojskowych i nowych baz w Arktyce. Potężne lobby nakłoniło

parlament do poparcia premiera i wprowadzenia rygorystycznych przepisów dla zagranicznych statków pokonujących przejście.

Każda obca jednostka pływająca, która zamierzała skorzystać ze szlaku, musiała teraz informować Straż Przybrzeżną o swojej planowanej trasie, płacić za tranzyt podobnie jak w Kanale Panamskim i mieć eskortę kanadyjskiego lodołamacza na trudniejszych odcinkach przejścia. Kilka państw, między innymi Rosja, Dania i Stany Zjednoczone, nie uznały roszczeń Kanady i odradzały podróże tym szlakiem. Ale inne rozwinięte kraje zgodziły się na narzucone warunki ze względów ekonomicznych. Statki handlowe kursujące między Europą a Azją Wschodnią mogły skracać sobie drogę o tysiące mil morskich, omijając Kanał Panamski. Oszczędności były jeszcze większe w wypadku bardzo dużych jednostek, które nie mieściły się w kanale i musiały okrążyć przylądek Horn. Możliwość obniżenia kosztu transportu jednego kontenera o tysiąc dolarów szybko przekonała duże i małe linie żeglugowe do korzystania z arktycznego szlaku.

Gdy okazało się, że topnienie lodu postępuje szybciej, niż przewidywali naukowcy, kilku pierwszych armatorów zaczęło wykorzystywać trasę przez zimne wody. Gruby lód wciąż blokował pewne fragmenty szlaku przez dużą część roku, ale latem przejście regularnie rozmarzało. Potężne lodołamacze pomagały statkom, które chciały pokonać arktyczną trasę między wrześniem i kwietniem. Stawało się jasne, że za dziesięć czy dwadzieścia lat Przejście Północno-Zachodnie będzie żeglowne przez cały rok.

Obserwując zbliżający się czarny statek handlowy, Weber życzył sobie w duchu, żeby cały szlak znów zamarzał na dobre. Obecność frachtowca przynajmniej przerwała nudę patrzenia na góry lodowe, pomyślał szyderczo.

- Odległość dwie mile morskie i maleje - zameldował sternik. Weber odwrócił się do chudego radiooperatora wciśniętego w róg małej sterówki.

- Hopkins, zażądaj identyfikacji i podania rodzaju ładunku - warknął.

Radiooperator kilkakrotnie wywołał statek, ale nie dostał żadnej odpowiedzi. Sprawdził nadajnik i ponowił próbę.

- Nie zgłasza się, panie kapitanie - oznajmił w końcu ze zdziwioną miną. Wiedział z własnego doświadczenia, że załogi statków w Arktyce zwykle dużo rozmawiają ze sobą.

- Próbuje dalej - polecił Weber. - Jesteśmy już wystarczająco blisko, żeby za chwilę odczytać jego nazwę.

- Jedna mila morska - potwierdził sternik.

Weber przyjrzał się statkowi przez lornetkę. Stosunkowo nieduży kontenerowiec miał najwyżej sto dwadzieścia metrów długości. Wyglądał na dość nowy, ale transportował tylko kilka kontenerów na górnym pokładzie. Dziwne. Kapitan wiedział, że podobne jednostki często przewożą sześć czy siedem warstw kontenerów. Spojrzał na znak wolnej burty i zauważył ze zdumieniem, że jest wysoko nad wodą. Przeniósł wzrok na zaciemnioną sterownię i szczyt masztu za nadbudową. Zaskoczył go widok łopoczącej na wietrze bandery Stanów Zjednoczonych.

- Amerykanie - mruknął. Był zaskoczony, bo amerykańscy armatorzy nieoficjalnie bojkotowali przejście zgodnie z apelem rządu USA. Skierował lornetkę na dziób statku i zdołał odczytać w gasnącym wieczornym świetle biały napis. - Nazywa się „Atlanta” - powiedział do Hopkinsa. Radiooperator skinął głową i znów wywołał statek, wymieniając jego nazwę, ale bez skutku.

Weber powiesił lornetkę na metalowym haczyku, znalazł właściwy segregator na stole nawigacyjnym, otworzył go i poszukał nazwy „Atlanta” na wydruku komputerowym. Wszystkie

zagraniczne statki, które planowały tranzyt przez Przejście Północno-Zachodnie, miały obowiązek zawiadamiać o tym Kanadyjską Straż Przybrzeżną z czterodobowym wyprzedzeniem. Weber upewnił się, że jego rejestr został uaktualniony przez łącze satelitarne wcześniej tego dnia, ale nie natrafił na „Atlantę”.

- Podchodzimy do jego dziobu prawą burtą. Hopkins, poinformuj ich, że są na kanadyjskich wodach terytorialnych i każ im się zatrzymać do inspekcji.

Kiedy radiooperator nadawał wiadomość, sternik zmienił kurs i spojrzął na ekran radaru.

- Farwater przed nami zwięża się, panie kapitanie - zameldował. - Za jakieś półtorej mili morskiej będziemy mieli dryfujący lód z lewej burty.

Weber skinął głową. Nie odrywał wzroku od „Atlanty”. Kontenerowiec płynął zadziwiająco szybko, z prędkością ponad piętnastu węzłów, jak oceniał Weber. Gdy kuter Straży Przybrzeżnej znalazł się bliżej, Weber znów zwrócił uwagę na to, że statek ma małe zanurzenie. Zastanawiał się, dlaczego jednostka z niewielkim ładunkiem wybrała tę trasę.

- Pół mili morskiej do przechwycenia - oznajmił sternik.

- W porządku. Podejdź na sto metrów - rozkazał kapitan.

Czarny kontenerowiec ignorował kuter patrolowy Straży Przybrzeżnej, tak się przynajmniej wydawało Kanadyjczykom. Gdyby uważniej śledzili wyświetlacz radaru, dostrzegliby, że amerykańska jednostka przyspiesza i lekko zmienia kurs.

- Dlaczego się nie zgłaszają? - mruknął sternik, coraz bardziej zniecierpliwiony daremnymi wezwaniami radiowymi Hopkinsa.

- Zaraz zwrócimy na siebie ich uwagę - odparł Weber. Podeszedł do konsoli i wcisnął przycisk syreny okrętowej. Nad wodą rozległy się dwa długie sygnały. Mężczyźni na mostku czekali w milczeniu na reakcję. Nic.

Weber nie mógł zrobić nic więcej. W przeciwieństwie do amerykańskiej Straży Przybrzeżnej, kanadyjska jest organizacją cywilną. Załoga „Harpa” nie miała przeszkolenia wojskowego, a kuter nie był uzbrojony.

Sternik popatrzył na ekran radaru.

- Nie zmniejsza prędkości, panie kapitanie. Chyba nawet przyspiesza. Dopływamy do pokrywy lodowej.

Weber wyczuł nagły niepokój w jego głosie. Sternik koncentrował się na kontenerowcu i zlekceważył obserwację paku, który mieli teraz z lewej burty. Z prawej zbliżał się statek handlowy. Był jakieś dziesięć metrów od nich i już prawie zrównał się z kutrem patrolowym.

Weber spojrzął w górę na mostek w wysokiej nadbudowie „Atlanty”. Zastanawiał się, co za dureń dowodzi kontenerowcem. Nagle zobaczył, że dziób frachtowca skręca w stronę „Harpa”, i zdał sobie sprawę, że to nie żarty.

- Ster mocno w lewo! - krzyknął.

Nikt się nie spodziewał, że statek handlowy skieruje się prosto na nich, ale natychmiast wyrósł nad nimi. Niczym robak pod uniesioną nogą słonia kuter patrolowy próbował rozpaczliwie uniknąć zmiżdżenia. Na rozkaz Webera sternik szaleńczo obrócił koło do oporu i pomodlił się, żeby zdążyli uciec przed kontenerowcem. Ale „Atlanta” była za blisko.

Kadłub frachtowca staranował „Harpa” z głuchym łomotem. Uderzenie nastąpiło jednak w rufę, gdy kuter już prawie wykonał unik. Siła kolizji przechyliła mniejszą jednostkę i omal jej nie przewróciła, kiedy przez pokład przelała się wielka fala. Po chwili, która przerażonej załodze

wydała się wiecznością, „Harp” stopniowo się wyprostował i oddalił od burty statku. Ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Marynarze Straży Przybrzeżnej nie wiedzieli, że stracili ster. Śruba szaleńczo wirowała i kuter wpadł na pobliski pak. Wbił się w gruby lód i zatrzymał tak gwałtownie, że wszyscy polecili do przodu.

Na mostku Weber wstał z pokładu i pomógł wyłączyć silnik, a potem szybko ocenił stan ludzi i jednostki. Nikt nie odniósł większych obrażeń niż skaleczenia i siniaki, ale kuter patrolowy ucierpiał poważniej. Oprócz braku steru miał zgnieciony dziób. Tkwił w lodzie cztery dni, zanim dotarł do niego holownik, który ściągnął go do portu, gdzie naprawiono uszkodzenia.

Weber starł strużkę krwi z rozciętego policzka, wyszedł na skrzydło mostka i popatrzył na zachód. Widział światła nawigacyjne statku handlowego zaledwie przez chwilę, potem duży frachtowiec zniknął w ciemnej mgłę na horyzoncie. Kapitan pokręcił głową.

- Ty bezczelny draniu - mruknął. - Zapłacisz mi za to.

Słowa Webera się nie sprawdziły. Szybko przesuający się front burzowy na południe od Ziemi Baffina unieruchomił samolot zwiadowczy CP-140 Aurora Dowództwa Kanadyjskich Sił Powietrznych, wezwany przez Straż Przybrzeżną. Kiedy maszyna wreszcie wystartowała ze swojej bazy w Greenwood w Nowej Szkocji i doleciała nad cieśninę Lancaster, minęło ponad sześć godzin. Na zachodzie lodołamacz marynarki wojennej i inny kuter patrolowy Straży Przybrzeżnej zablokowały przejście przy Wyspie Księcia Walii i oczekiwały na agresywny frachtowiec. Ale duży czarny statek się nie pojawił.

Kanadyjska Straż Przybrzeżna i Siły Powietrzne przeczesywały żeglowne rejony morza wokół cieśniny Lancaster przez trzy dni w poszukiwaniu kontenerowca. Każdą możliwą do pokonania trasę na zachód sprawdzono kilka razy. Ale amerykański statek handlowy przepadł bez śladu. Skonsternowane dowództwo odwołało obławę, a Weber i jego załoga zastanawiali się, jakim cudem tajemniczy frachtowiec rozpułnął się wśród lodów Arktyki.

Doktor Kevin Bue spojrział na ciemniejące niebo na zachodzie i się skrzywił. Zaledwie kilka godzin wcześniej świeciło jasne słońce, powietrze było nieruchome i termometr wskazywał siedem stopni Celsjusza poniżej zera. Ale potem barometr opadł jak kamień wrzucony do studni i zerwał się zachodni wiatr, który stopniowo przybierał na sile. Pół kilometra dalej szare, wzburzone wody Arktyki rozbiły się z rozbryzgami o nierówną krawędź pokrywy lodowej.

Bue naciągnął szczelniej kaptur parki, odwrócił się tyłem do przenikliwego wiatru i popatrzył na swój tymczasowy dom, w którym mieszkał przez kilka ostatnich tygodni. Stacja Arktyczna Numer 7 nie dostałaby wielu gwiazdek w przewodniku turystycznym Mobila za luksus czy wygody. Pół tuzina budynków z prefabrykatów tworzyło ciasne półkole, ich wejścia były zwrócone na południe. Trzy małe kwatery mieszkalne stłoczone razem po jednej stronie sąsiadowały z największym budynkiem, który pełnił funkcję kuchni, jadalni i miejsca spotkań. W przysadzistym pawilonie naprzeciwko mieściły się wspólne laboratorium i stanowisko łączności, zaśnieżony magazyn stał na samym końcu półokrągłego obozu.

Stacja Arktyczna Numer 7 była jedną z kilku tymczasowych pływających placówek naukowych kanadyjskiego Ministerstwa Rybołówstwa i Gospodarki Morskiej. Badano w niej ruchy arktycznego paku. Od chwili powstania tej stacji przed rokiem przebyła ona prawie dwieście mil morskich, dryfując na ogromnej lodowej tafli przez Morze Beauforta na południe. Teraz znajdowała się sto pięćdziesiąt mil morskich od wybrzeża Ameryki Północnej, niemal na wprost Jukonu. Obóz miał jednak przed sobą krótki żywot. Nadchodzące lato zwiastowało pęknięcie tafli lodowej, na której był położony. Codzienne pomiary paku wskazywały, że stałe topnienie zmniejszyło już jego grubość z metra do trzydziestu pięciu centymetrów. Bue przewidywał, że on i jego czteroosobowy zespół będą zmuszeni zwinąć obóz najdalej za dwa tygodnie i czekać na ewakuację samolotem Twin Otter z podwoziem nartowym.

Oceanograf arktyczny ruszył przez śnieg po kostki do pawilonu łączności. Przez głośny szelest drobin lodu niesionych wiatrem po ziemi usłyszał nierównomierne obroty silnika dieslowskiego. Spojrzał za budynki i zobaczył żółtą spycharko-ładowarkę, która jeździła tam i z powrotem i usypywała wysokie sterty śniegu. Maszyna odśnieżała stu pięćdziesięciometrowe lądowisko za obozem. Prymitywny pas startowy umożliwiał cotygodniowe zaopatrywanie stacji w żywność i inne artykuły przez samoloty Twin Otter. Bue dbał o to, żeby prowizoryczne lądowisko zawsze było odśnieżone.

Przestał się interesować krążącą spycharko-ładowarką, przestąpił próg budynku, gdzie mieściły się laboratorium i stanowisko łączności, otrzepał nogi ze śniegu i wszedł dalej. Minął kilka ciasnych wnęk wypełnionych periodykami naukowymi oraz sprzętem badawczym i skręcił do kłitki z radiem satelitarnym. Blondyn z oczami szaleńca i z szerokim wesołym uśmiechem podniósł wzrok znad aparatury. Scott Case był błyskotliwym fizykiem i specjalizował się w badaniach promieniowania słonecznego na biegunach. Jak wszyscy w obozie pełnił kilka funkcji, między innymi radiooperatora.

- Znowu prawie same zakłócenia - oznajmił. - Odbiór z satelity zerowy, nasz nadajnik naziemny działa niewiele lepiej.

- Nadciągający sztorm na pewno nie pomaga - odparł Bue. - Czy w Tuktoyaktuk w ogóle wiedzą że próbujemy ich wywołać?

Case pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, ale nie dostaję odpowiedzi.

Hałas spycharko-ładowarki uprzążającej śnieg na dworze przedzierał się przez cienkie ściany.

- Odsnieżasz lądowisko na wszelki wypadek? - zapytał Case.

- Na dziś jest zaplanowana dostawa z Tuktoyaktuk. Mogą nie wiedzieć, że za jakąś godzinę znajdziemy się w samym środku potężnej zameci. Próbuje dalej, Scott. Postaraj się odwołać dzisiejszy lot ze względu na bezpieczeństwo pilotów.

Zanim Case zdążył nadać wiadomość, radio nagle ożyło. Wśród trzasków z odbiornika dobiegł autorytatywny głos:

- Stacja Arktyczna Numer 7, Stacja Arktyczna Numer 7, tu statek badawczy NUMA „Narwhal”. Słyszycie nas? Odbiór.

Bue ubiegł Case'a i chwycił szybko mikrofon.

- „Narwhal”, tu doktor Kevin Bue, Stacja Arktyczna Numer 7, proszę mówić.

- Doktorze Bue, nie chcemy się mieszać, ale słyszeliśmy, jak wywołujecie bazę Straży Przybrzeżnej w Tuktoyaktuk, i złapaliśmy kilka ich odpowiedzi bez odzewu z waszej strony. Wygląda na to, że nie możecie się skomunikować z powodu warunków atmosferycznych. Możemy wam pomóc w przekazaniu wiadomości?

- Bylibyśmy ogromnie wdzięczni.

Bue poprosił amerykański statek o przekazanie do Tuktoyaktuk wiadomości, żeby opóźnili wysłanie samolotu z zaopatrzeniem o dwadzieścia cztery godziny z powodu złej pogody. Kilka minut później „Narwhal” nadał przez radio potwierdzenie z Tuktoyaktuk.

- Serdeczne dzięki - odrzekł przez radio Bue. - To zaoszczędzi biednemu pilotowi ciężkiego lotu.

- Nie ma za co. A przy okazji, gdzie jest wasz obóz?

Bue podał ostatnią pozycję pływającej stacji arktycznej, a statek swoją.

- Jesteście przygotowani do przetrwania nadciągającego sztormu? - zapytał „Narwhal”. - Znosi się na to, że będzie silny.

- Jak dotąd dajemy sobie radę ze wszystkim, co na nas zsyła Dobra Czarodziejka Północy, ale dzięki za troskę - odparł Bue.

- Trzymajcie się, Stacja Arktyczna 7. „Narwhal”, bez odbioru. Bue odłożył mikrofon z wyrazem ulgi na twarzy.

- I kto mówi, że Arktyka to nie miejsce dla Amerykanów? - zwrócił się do Case'a, włożył parkę i wyszedł z budynku.

Trzydzieści pięć mil morskich na południowy zachód kapitan Bill Stenseth sprawdzał z niepokojem lokalne prognozy meteorologiczne. Wielki mężczyzna o skandynawskich rysach i budowie obrońcy liniowego Zawodowej Ligi Futbolu Amerykańskiego przeżywał już sztormy na wszystkich oceanach świata. Jednak w obliczu gwałtownego załamania pogody wśród lodów Arktyki doświadczony kapitan „Narwhala” czuł się niepewnie.

- Według ostatniej prognozy wiatr jeszcze przybierze na sile - powiedział, nie odrywając oczu od dokumentu. - Chyba czeka nas prawdziwa wichura. Nie chciałbym być jednym z tamtych biedaków na

łodzie - dodał i wskazał radio.

Stojący obok niego na mostku Rudi Gunn stłumił zboląły uśmiech. Żegluga w paszczy potężnego arktycznego sztormu nie zapowiadała się przyjemnie. Chętnie zamieniłby się miejscami z mieszkańcami stacji arktycznej. Pomyślał, że pewnie przesiedzą zawieruchę w ciepłej kwaterze, grając w bezika. Zamiłowanie Stensetha do zmagania z żywiołem na morzu było typowe dla starego marynarza, który nigdy nie czuł się dobrze na lądzie.

Gunn nie podzielał jego upodobań. Choć ukończył Akademię Morską Stanów Zjednoczonych w Annapolis i pływał przez kilka lat po morzach, teraz więcej czasu spędzał za biurkiem. Był wicedyrektorem Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych i zwykle przebywał w budynku jej centrali w Waszyngtonie. Niski, żylasty, w okularach w rogowych oprawkach stanowił fizyczne przeciwieństwo Stensetha. Ale tak samo lubił podejmować wyzwania z dziedziny oceanologii i często uczestniczył w pierwszych testach nowego statku lub sprzętu podwodnego.

- Bardziej współczuję niedźwiedziom polarnym - odrzekł Gunn. - Kiedy uderzy sztorm?

Stenseth popatrzył na przybyszające grzywy fal wokół dziobu statku.

- Za jakąś godzinę. Najdalej za dwie. Proponowałbym wydobyć i zabezpieczyć „Bloodhonda” w ciągu najbliższych trzydziestu minut.

- Nie zechcą tak prędko wrócić do budy. Zejdę do centrum operacyjnego i przekażę informację. Daj mi znać, jeśli pogoda pogorszy się wcześniej, niż przewidujesz.

Stenseth skinął głową, Gunn opuścił mostek i poszedł ku rufie. Sześćdziesięciometrowy statek badawczy kołysał się na coraz bardziej wzburzonym morzu i Gunn musiał kilka razy złapać się poręczy, żeby nie stracić równowagi. Kiedy zbliżył się do rufy, spojrzął w dół na duży basen zanurzeniowy w kadłubie. Woda na powierzchni już falowała i wylewała się na pokład. Gunn dotarł zejściówką do drzwi z napisem „Lab” i wszedł do rozległego pomieszczenia. Na końcu w wydzielonej części z mnóstwem monitorów na przegrodzie dwaj technicy śledzili i rejestrowali transmisję danych spod wody.

- Są na dnie? - zapytał Gunn.

- Tak - odrzekł jeden z mężczyzn. - Około dwóch mil morskich na wschód od nas. Już na kanadyjskich wodach.

- Macie przekaz na żywo?

Technik przytaknął i wręczył Gunnowi słuchawkę z mikrofonem.

- „Bloodhound”, tu „Narwhal”. Obserwujemy tutaj szybkie pogarszanie się warunków pogodowych. Przerwijcie badania i wracajcie na powierzchnię.

Po nadaniu przez Gunna wiadomości długo nic się nie działo, potem zabrzmiała odpowiedź przerywana zakłóceniami.

- Przyjąłem, „Narwhal” - rozległ się szorstki głos z teksańskim akcentem. - Kończymy za pół godziny. „Bloodhound”, bez odbioru.

Gunn otworzył usta, żeby się odezwać, ale zrezygnował. Pomyślał, że dyskusja z dwoma upartymi facetami na drugim końcu linii jest bezcelowa. Zdjął słuchawkę, pokręcił w milczeniu głową, zagłębił się w fotelu z wysokim oparciem i czekał, aż minie pół godziny.

Niczym ogar, od którego pochodziła jego nazwa, „Bloodhound” posuwał się z nosem przy ziemi, tyle że ta ziemia leżała sześćset metrów pod powierzchnią Morza Beauforta, a nos był sztywną kapsułą z czujnikami elektronicznymi. „Bloodhonda”, dwuosobową łódź podwodną z tytanowym kadłubem, skonstruowano specjalnie do poszukiwań otworów hydrotermalnych na dużych głębokościach. Gejzery wyrzucają bardzo gorącą wodę ze skorupy ziemskiej i często tworzą skarbnice niezwykle okazów flory i fauny morskiej. Ale dwóch mężczyzn w łodzi podwodnej NUMA bardziej interesowało znalezienie złóż minerałów kojarzonych z wieloma otworami hydrotermalnymi. Nierzadko wydostają się nimi spod dna morskiego bryłki zawierające mangan, żelazo, a nawet złoto. Postęp techniczny w górnictwie podwodnym sprawia, że obszary z otworami termalnymi mogą stać się znaczącymi zagłębiami wydobywczymi.

- Temperatura wody znów się podniosła o stopień. Ten stary komin musi być gdzieś tutaj - powiedział przeciągłym basem Jack Dahlgren.

Muskularny inżynier morski na siedzeniu drugiego pilota łodzi podwodnej popatrzył na monitor komputera stalowoniebieskimi oczami.

Podrapał się w gęste kowbojskie wąsy i spojrzał przez pleksiglasowy bulaj na ponure i nijakie dno morskie, oświetlone przez sześć silnych reflektorów. Nic w podwodnym krajobrazie nie wskazywało na bliską obecność otworu hydrotermalnego.

- Może po prostu idziemy śladem jakiejś czkawki z dołu - odparł pilot, przeniósł wzrok na Dahlgrena i dodał: - Fałszywy trop.

Al Giordino wyszczerzył zęby na żart dużo młodszego Teksańczyka i omal nie wypuścił z ust niezapalonego cygara. Niski, przysadzisty Włoch, z ramionami o grubości pni drzew, czuł się najlepiej na siedzeniu pilota. Po latach spędzonych w Grupie Projektów Specjalnych NUMA, gdzie pilotował wszystko, od sterowców do batyskafów, kierował teraz działem techniki podwodnej agencji. Budowanie i testowanie prototypów, takich jak „Bloodhound”, było dla niego bardziej pasją niż pracą.

On i Dahlgren już od dwóch tygodni poszukiwali otworów hydrotermalnych na dnie morskim w Arktyce. Korzystając z wcześniejszych pomiarów batymetrycznych, badali rejony, gdzie występowały podpowierzchniowe rozpadliny i wypiętrzenia, które powstały na skutek aktywności wulkanicznej. Jak dotąd, nie natrafili na czynne otwory hydrotermalne, co ich zniechęcało, gdyż chcieli jak najprędzej wypróbować możliwości „Bloodhonda”.

Dahlgren zignorował uwagę Giordina i zerknął na zegarek.

- Minęło dwadzieścia minut, odkąd Rudi wezwał nas do powrotu. Jest już pewnie kłębkim nerwów. Chyba powinniśmy wcisnąć przycisk jazdy do góry, bo inaczej przeżyjemy dwa sztormy na powierzchni.

- Rudi jest nieszczęśliwy, kiedy nie ma się czym przejmować - odpowiedział Giordino - ale może lepiej nie gniewać bogów pogody.

Obrócił wolant pilota w lewo, skierował łódź podwodną na zachód i popłynął tuż nad dnem morskim. Po przebyciu kilkuset metrów zobaczyli tu i tam małe głazy. Dno wznosiło się stopniowo, skał przybywało i były coraz większe. Dahlgren wziął mapę batymetryczną i spróbował ustalić ich pozycję.

- Niedaleko powinna być nieduża górka. Nie wiadomo, dlaczego nie wydała się sejsmologom zbyt interesująca.

- Pewnie dlatego, że za długo siedzieli w klimatyzowanym biurze. Dahlgren odłożył mapę, popatrzył na monitor komputera i nagle aż podskoczył w swoim fotelu.

- A niech to! Temperatura wody wzrosła o pięć stopni. Giordino uśmiechnął się lekko na widok dużego zgrupowania skał na dnie morza.

- Budowa geologiczna też się zmienia - stwierdził. - To mi wygląda na okolicę otworu. Spróbujmy do niego dotrzeć, kierując się temperaturą wody.

Skorygował kurs i Dahlgren sprawdził temperaturę. Jej wzrost poprowadził ich w górę stromego wzniesienia. Drogę zablokowało im wysokie skupisko głazów i Giordino poderwał łódź podwodną niczym samolot. Kiedy przepłynęli nad szczytem i opadli po drugiej stronie, zobaczyli zupełnie inną scenę. Szary, ponury księżycowy krajobraz ustąpił miejsca opalizującej podwodnej oazie. Żółte mięczaki, czerwone mrówki i złociste kraby zaścielały dno morskie w całej tęczy kolorów. Błękitna kałamarnica przemknęła obok bulaja, za nią pojawiła się ławica srebrzystych dorszy polarnych. Niemal momentalnie przenieśli się z czarno-białego pustkowia do świata o elektryzujących barwach, który tętnił życiem.

- Teraz wiem, jak się czuła Dorołka, kiedy wylądowała w krainie Oz - mruknął Dahlgren.

- Jaka jest temperatura wody?

- Dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza i rośnie. Gratuluję, szefie, właśnie zafundowałeś sobie otwór termalny.

Giordino przytaknął z satysfakcją.

- Zaznacz naszą pozycję. I wypróbujmy wreszcie wykrywacz minerałów, zanim...

Z radia dobiegła nagle wiadomość przesłana przez dwa podwodne transpondery.

- „Narwhal” do „Bloodhonda”... „Narwhal” do „Bloodhonda” - rozległ się napięty głos. - Natychmiast wracajcie. Fale osiągają trzy metry wysokości i szybko rosną. Powtarzam, macie się natychmiast wynurzyć.

- ...Rudi wezwie nas do domu - dokończył Dahlgren przerwane zdanie Giordina.

Giordino wyszczerzył zęby.

- Zauważyłeś, że Rudi mówi wyższym głosem, kiedy jest zdenerwowany?

- Ale to nadal on podpisuje nam czeki - przypomniał Dahlgren.

- No więc lepiej, żebyśmy nie porysowali naszej nowej zabawki. Złapmy szybko kilka próbek skał i wynośmy się stąd.

Dahlgren odpowiedział Gunnowi przez radio i chwycił sterowniki manipulatora zamontowanego na zewnętrznym kadłubie łodzi podwodnej. Giordino skierował „Bloodhonda” ku bryłkom wielkości grejpfrutów i zawiesił nad nimi kapsułę z sensorami. Dahlgren użył przegubowego ramienia z nierdzewnej stali jako miotły i zgarnął kilka kawałków skały do kosza pod głowicą sensorową. Komputery pokładowe szybko określiły gęstość i własności magnetyczne próbek.

- Skład magmowy z zawartością piroksenów. Widzę koncentrację manganu i żelaza. Są też nikiel, platyna i siarczki miedzi - zameldował Dahlgren, patrząc na wyniki analizy komputerowej.

- Całkiem dobry początek. Zachowaj to. Każemy chłopakom w laboratorium rozłupać próbki i sprawdzić, jak precyzyjne są odczyty sensorów. Kiedy minie sztorm, zbadamy dokładnie to miejsce.
- Wygląda obiecująco. Giordino pokręcił głową.
- Mimo to jestem trochę zawiedziony, mój przyjacielu.
- Brakiem złota?
- Zgadza się. Chyba nie obłowię się tutaj, tak jak miałem nadzieję. Ku rozdrażnieniu Dahlgrena śmiech Giordina rozbrzmiewał w łodzi podwodnej przez większość drogi powrotnej.

Na Morzu Beauforta wyrastały czterometrowe fale i wiał porywisty wiatr, gdy „Bloodhound” przebił powierzchnię wody w basenie zanurzeniowym „Narwhala”. Statek badawczy kołysał się i przechylał na wzburzonym morzu, a woda z basenu zalewała pokład. Łódź podwodna dwa razy uderzyła bokiem w krawędź basenu pokrytą elastycznym tworzywem, zanim udało się założyć liny dźwigu i wyciągnąć ją z wody. Giordino i Dahlgren wydostali się szybko z „Bloodhonda”, wzięli próbki skał i zanieśli do sąsiedniego centrum operacyjnego. Gunn czekał na nich z niezadowoloną miną i obrzucił Giordina wściekłym spojrzeniem.

- Ta łódź kosztowała dziesięć milionów dolarów, a ty o mało nie zgmiotłeś jej jak puszkę po piwie. Wiesz, że nie wolno nam prowadzić operacji podwodnych w takich warunkach.

Jakby dla podkreślenia jego słów wał napędowy statku zadrżał nagle pod ich stopami, kiedy „Narwhal” pokonywał z trudem głęboką dolinę fal.

- Odpręż się, Rudi. - Giordino się rozpromienił i rzucił Gunnowi jedną z mokrych bryłek. Wicedyrektor NUMA złapał ją tak, że ochlapał sobie koszulę wodą morską z mułem.

Obejrzał skałę i uniósł brwi.

- Jesteście na tropie?

- Lepiej - odezwał się Dahlgren. - Wyniuchaliśmy jakąś dewiację termiczną i Al doprowadził nas prosto do serca otworu. Z półtorakilometrowej rozpadliny wylewa się gorąca zupa z mnóstwem klusek.

Wyraz twarzy Gunna złagodniał.

- Lepiej, żeby się okazało, że coś znaleźliście, skoro wynurzyliście się tak późno. - Zrobił minę jak dziecko w sklepie ze słodyczami. - Dostrzeżliście jakieś oznaki istnienia złoża minerałów?

Giordino skinął głową.

- Wygląda na to, że jest duże. Widzieliśmy tylko jego część, ale wydaje się rozległe.

- A co z sensorami? Jak się spisywał „Bloodhound”?

- Wył jak kojot przy pełni księżyca - odparł Dahlgren. - Sensory wykryły ponad trzynaście różnych pierwiastków.

- Będziemy musieli zostawić laboratorium sprawdzenie dokładności aparatury „Bloodhonda” - dodał Giordino. - Według sensorów w tej mokrej skale, którą trzymasz w rękę, jest pełno manganu i żelaza.

- Na dnie leży pewnie tyle tego towaru, że wystarczyłoby ci na zakup tysiąca „Bloodhoundów”, Rudi - powiedział Dahlgren.

- Czy sensory wykryły jakkolwiek obecność złota? - zapytał Gunn. Giordino przewrócił oczami i ruszył do wyjścia z centrum operacyjnego.

- Wszyscy myślą, że jestem Midasem - burknął, zanim zniknął za drzwiami.

Wiosenny sztorm nie przesuwiał się szerokim frontem, ale miał siłę ciosu boksera wagi ciężkiej, gdy przetaczał się na południowy wschód przez Morze Beauforta. Prędkość wiatru dochodziła w porywach do stu kilometrów na godzinę, padający śnieg zacinał poziomo, płatki zamieniały się w twarde drobiny lodu. Zadymka często ograniczała widoczność do zera, już i tak nieprzyjazne środowisko naturalne arktycznej Północy stało się miejscem brutalnego ataku żywiołu.

Kevin Bue słyszał i czuł, jak szkielec jadalni skrzypi i drży w podmuchach wichury i zastanawiał się nad wytrzymałością konstrukcji.

Dopił resztkę kawy i spróbował się skoncentrować na periodyku naukowym rozłożonym na stole. Choć przeżył już tuzin sztormów w Arktyce, ich gwałtowność wciąż wytrącała go z równowagi. Podczas gdy reszta zespołu zajmowała się pracą, Bue nie potrafił się skupić, kiedy cały obóz wydawał takie odgłosy, jakby za chwilę miał się rozpaść.

Zwalisty kucharz i jednocześnie stolarz nazwiskiem Benson usiadł przy stole na wprost Bue i pociągnął łyk parującej kawy ze swojego kubka.

- Nieźle dmucha, co? - zapytał z szerokim uśmiechem przez gęstą czarną brodę.
- Zaraz nas porwie - odrzekł Bue i popatrzył na dach, który kołysał się niebezpiecznie.
- Jeśli tak, to mam nadzieję, że wylądujemy w jakimś miejscu, gdzie jest ciepło i są zimne drinki - powiedział Benson i napił się kawy. Spojrzał na pusty kubek Bensaona, wziął go i wstał. - Doleję ci.

Podszedł do dużego srebrnego dzbanka i napełnił kubek. Ruszył z powrotem do Bue i nagle przystanął z wyrazem zdziwienia na twarzy. Przez szum wichury usłyszał wysoki metaliczny dźwięk. Ale nie to go zaniepokoiło, lecz towarzyszący temu ostry trzask.

Bue podniósł wzrok na Bensaona i też wychwycił te odgłosy. Hałas zbliżał się szybko i gdzieś w obozie rozległ się krzyk. Potem cały świat runął. Tylne ściany budynku rozpadła się całkowicie ze zgrzytem, a na jej miejscu pojawił się wielki szary klin. Wysoki obiekt sunął szybko przez jadalnię, siejąc spustoszenie na szerokości dziesięciu metrów. Oderwany od wsporników dach pofrunął z wiatrem, do środka wdarł się podmuch zimnego powietrza. Bue przyglądał się z przerażeniem, jak szara masa pochłania Bensaona wśród rozprysku lodu i piany. W jednym momencie kucharz stał z kubkiem kawy w ręku, w następnym już zniknął.

Podłoga wygięła się do góry i Bue został rzucony wraz ze stołem w stronę drzwi. Podniósł się z trudem i wpatrzył w szarego kolosa, który zmaterializował się przed nim. Skołowany umysł podpowiedział mu w końcu, że to statek przedziera się przez środek obozu i cienki lód pod nim.

Zamieć nadawała kadłubowi upiorny wygląd, ale Bue zdołał odczytać duży biały numer „54” na dziobie. Kiedy burta mijała go z głośnym łoskotem, Bue dostrzegł wielką amerykańską banderę na szczycie masztu. Potem jednostka zniknęła w tumanie bieli. Bue odruchowo powlókł się w tamtym kierunku, wołając Bensaona, i omal nie wpadł do czarnej rzeki, która powstała za rufą.

Otrząsnął się z szoku, podniósł z podłogi swoją pogniecioną parkę, włożył ją i wyszedł przez szczątki drzwi. Kiedy zmagął się z wiatrem i próbował ocenić stan obozu, poczuł, że grunt pod jego

stopami kołysze się w dziwny sposób. Przebył łukiem kilkadziesiąt metrów w prawo i zatrzymał się tam, gdzie lód opadał do wody. Tuż za nim stały wcześniej trzy kwatery mieszkalne. Teraz wszystkie zniknęły, na ich miejscu w ciemnej wodzie pływały bryły lodu.

Bue upadł na duchu. Wiedział, że jeden z jego ludzi miał wolne i niedawno poszedł spać. Brakowało jeszcze dwóch - radiooperatora Case'a i konserwatora Quinlona.

Odwrócił się ku budynkowi laboratorium w oddali i zobaczył, że niebieskie ściany nadal stoją. Spróbował podejść bliżej i znów omal nie wpadł do wody. Od laboratorium oddzielał go metrowy przesmyk w lodzie. Zaryzykował, wziął rozbieg, przeskoczył nad nim i wylądował twardo na drugim brzegu. Przebrnął dalej pod wiatr i dotarł na próg. Odpoczął chwilę, pchnął drzwi i zmarł.

Laboratorium, podobnie jak jadalnię, unicestwił przepływający statek. W środku niewiele pozostało, tylko trochę szczątków, które unosiły się na wodzie. Jakimś cudem stanowisko łączności ocalało, oderwało się od reszty budynku i utrzymało w pionie. Przez świst wiatru Bue usłyszał głos Case'a wzywający pomocy.

Podszedł i zastał radiooperatora za biurkiem, mówiącego do mikrofonu nieczynnego nadajnika. Generatory prądotwórcze ulokowane w magazynie zatonęły jako jedne z pierwszych po szarzy statku. Obóz został pozbawiony zasilania.

Bue położył dłoń na ramieniu Case'a i radiooperator po chwili odłożył mikrofon. W jego szklistych oczach czaił się strach. Nagle pod nimi rozległ się trzask i grunt zaczął drżeć.

- Lód pęka! - krzyknął Bue. - Wynośmy się stąd.

Postawił Case'a na nogi, wyskoczyli z boksu i pobiegli po lodzie. Trzask zdawał się ich ścigać. Pokonali niskie wzniesienie, obejrżeli się i zobaczyli, że lód pod laboratorium i stanowiskiem łączności popękał jak stłuczone lustro. Tafla podzieliła się na tuzin części, które szybko oddaliły się od siebie, i pozostałości budynku poszły pod wodę. W niespełna dwie minuty na oczach Bue cały obóz przestał istnieć.

Kiedy dwaj mężczyźni patrzyli w osłupieniu na pobojuwisko, Bue wydało się, że wśród wycia wiatru usłyszał ludzki krzyk. Wpatrzył się w zamieć i wytężył słuch. Ale najpierw dostrzegł w wodzie blisko stanowiska łączności miotającą się postać.

- To Quinlon! - zawołał Case, który też zauważył mężczyznę. Odzyskał panowanie nad sobą i rzucił się w kierunku konserwatora.

Quinlon szybko przegrywał walkę z lodowatą wodą. Obciążony parką i zimowymi butami pewnie już by utonął, gdyby nie trzymał się pływającej bryły lodu. Nie miał siły wydostać się na powierzchnię, ale zdołał skierować się w stronę Bue i Case'a.

Dwaj mężczyźni podbiegli do krawędzi lodu, wyciągnęli ręce i chwycili Quinlona za ramię, którym rozpaczliwie wymachiwał. Doholowali kolegę bliżej i spróbowali wydobyć z wody, ale udało im się tylko unieść go kilka centymetrów, nim zsunął się z powrotem. W nasiąkniętym wodą ubraniu i butach przeciętnie zbudowany Quinlon ważył teraz prawie sto czterdzieści kilogramów. Bue i Case zorientowali się, że popełnili błąd, złapali kolegę jeszcze raz, odwrócili poziomo i w końcu wywlekli z wody.

- Musimy go zabrać z tego wiatru - zarządził Bue i rozejrzał się za jakimś schronieniem. Zniknęły wszystkie postawione przez człowieka budynki obozu z wyjątkiem małej części zgniecionej baraku magazynu, która odpływała teraz na kawałku lodu wielkości samochodu osobowego.

- Za pryzmę śniegu przy lądowisku - zaproponował Case i wskazał przez zadymkę.

Kiedy Quinlon oczyszczał pas startowy, usypał spycharko-lądowarką kilka stert śniegu. Choć

większość lądowiska już nie istniała, Case miał rację. Niecałe pięćdziesiąt metrów od nich wznosiła się wysoka pryzma śnieżna.

Dwaj mężczyźni chwycili konserwatora za ramiona i zaczęli ciągnąć po lodzie jak worek kartofli. Wiedzieli, że ich kolega jest bliski śmierci, i jeśli ma przeżyć, nie może pozostać w podmuchach zachodniego wiatru o temperaturze minus dwudziestu stopni. Dysząc i pocąc się mimo zimna, doholowali Quinlona za trzymetrową stertę śniegu, gdzie nie wiało tak mocno jak na otwartej przestrzeni.

Szybko zdjęli mu mokre ubranie, które już zdążyło zamarznąć, i natarli ciało śniegiem, by wchłonęło wilgoć. Usunęli resztki śniegu i opatulili głowę oraz tułów własnymi suchymi parkami. Quinlon zsiniał i trząsł się niekontrolowanie, ale nie stracił przytomności, co oznaczało, że ma szansę przeżyć. Bue i Case wykopali w boku pryzmy małą jamę, wsunęli do niej konserwatora, a potem wpełzli tam sami w nadziei, że razem będzie im cieplej.

Bue wyrzwał z nędznej jaskini i zobaczył, że wodny przesmyk między ich kryjówką a pokrywą lodową się poszerza. Dryfowali teraz wolno na krze na Morze Beauforta. Naukowiec słyszał co kilka minut głośny trzask, gdy ich tafla lodowa pękała na coraz mniejsze kawałki.

Wiedział, że ich schronienie w końcu się rozpadnie na wzburzonych wodach i wszyscy trzej wylądują w morzu.

Ponieważ nikt nie miał pojęcia, w jakim znaleźli się położeniu, stracili nadzieję na ratunek. Drżąc z zimna, Bue myślał o szarym statku, który tak niespodziewanie i bez przyczyny bezlitośnie zniszczył ich obóz. Starał się znaleźć sens w tym brutalnym akcie, ale nie potrafił. Pokręcił gwałtownie głową, by pozbyć się obrazu upiornego statku, popatrzył ze współczuciem na swoich towarzyszy i czekał w milczeniu na śmierć.

Wiadomość nadana przez radio zabrzmiała słabo i tylko raz. Radiooperator „Narwhala” wielokrotnie prosił o jej potwierdzenie, ale bez skutku.

Kapitan Stenseth przebiegł wzrokiem zapisany ręcznie tekst, pokręcił głową i jeszcze raz przeczytał wiadomość, którą zanotował jego łącznościowiec.

- „SOS, SOS, tu Stacja Arktyczna 7, obóz się rozpada...” - wyrecytował głośno i spojrzał gniewnie na radiooperatora. - Tylko to odebrałeś?

Łącznościowiec przytaknął. Stenseth się odwrócił i podszedł do sternika.

- Cała naprzód - warknął. - Kurs zero jeden pięć. - Odwrócił się do pierwszego oficera. - Chcę mieć wyznaczoną trasę do podanej pozycji tej stacji arktycznej. I trzech dodatkowych obserwatorów na mostku. - Natychmiast wyrósł nad ramieniem radiooperatora. - Zawiadom regionalną Straż Przybrzeżną, naszą i kanadyjską, że odebraliśmy wezwanie o pomoc i płyniemy na miejsce. Przekaż to wszystkim statkom w okolicy, jeśli jakieś są. Potem wezwij Gunna i Giordina na mostek.

- Panie kapitanie, najbliższej jest baza Kanadyjskiej Straży Przybrzeżnej w Tuktoyaktuk. To ponad dwieście mil morskich stąd.

Stenseth popatrzył na zamieć za szybami sterowni i wyobraził sobie sytuację mieszkańców stacji arktycznej.

- W takim razie wygląda na to - odrzekł cicho łagodniejszym tonem - że ich jedyny anioł stróż ma turkusowe skrzydła.

„Narwhal” normalnie rozwijał szybkość dwudziestu trzech węzłów, ale teraz, na wzburzonym morzu, ledwo wyciągał dwanaście. Sztorm osiągnął apogeum, prędkość wiatru przekraczała w porywach sto dziesięć kilometrów na godzinę, dziesięciometrowe fale miały statkiem jak korkiem. Sternik monitorował nerwowo autopilota i czekał, kiedy mechanizm odmówi posłuszeństwa od ciągłych korekt kursu niezbędnych do utrzymania statku na wyznaczonym kierunku północno-wschodnim.

Gunn i Giordino wkrótce dołączyli do Stensetha na mostku i przeczytali wiadomość ze stacji arktycznej.

Gunn potarł podbródek.

- Jest trochę za wcześnie na to, żeby lód pękał w taki katastrofalny sposób. Choć ruchoma pokrywa lodowa na pewno może się rozpaść w krótkim czasie. Normalnie coś by ich zaalarmowało.

- Może zaskoczyło ich małe pęknięcie w jakiejś części obozu, na przykład z radiostacją lub generatorami prądotwórczymi - podsunął Stenseth.

- Miejmy nadzieję, że to nic gorszego - zgodził się Gunn, patrząc na zawieruchę na zewnątrz. - Dopóki mają jakieś schronienie przed sztormem, nie powinno im się nic stać.

- Jest jeszcze jedna możliwość - dodał cicho Giordino. - Stacja arktyczna mogła zostać usytuowana zbyt blisko morza. Sztorm mógł pokruszyć krawędź pokrywy lodowej i rozerwać obóz.

Dwaj pozostali mężczyźni przytaknęli ponuro. Wiedzieli, że w takim wypadku szansa przeżycia

byłaby niewielka.

- Jaka jest prognoza pogody? - zapytał Gunn.

- Sztorm potrwa jeszcze sześć do ośmiu godzin. Obawiam się, że w tym czasie nic nie zrobimy.

Nie zdołamy wysadzić ekipy poszukiwawczej na lód - odrzekł Stenseth.

- Panie kapitanie - przerwał sternik - góra lodowa.

Stenseth podniósł wzrok i zobaczył bryłę lodu wielkości domu, dryfującą na lewo od dziobu.

- Zredukuj obroty silników o jedną trzecią. W jakiej jesteście odległości od stacji arktycznej?

- Niecałe osiemnaście mil morskich, panie kapitanie.

Stenseth podszedł do dużego wyświetlacza radaru i ustawił zasięg na dwadzieścia mil. Cienka, nierówna zielona linia przecinała ekran poniżej górnej krawędzi. Pozostawała nieruchoma. Kapitan wskazał punkt tuż pod nią, gdzie koncentryczny krąg na wyświetlaczu wyznaczał odległość dwudziestu mil morskich.

- Tu jest pozycja stacji arktycznej - powiedział posępnie.

- Tak, jeśli nie była na brzegu oceanu - zauważył Giordino. Gunn popatrzył zmrużonymi oczami na ekran i popukał palcem w niewyraźną kropkę na jego krawędzi.

- W pobliżu jest jakiś statek.

Stenseth przyjrzał się dokładniej i stwierdził, że jednostka płynie na południowy wschód. Kazał radiooperatorowi wywołać statek, ale nie dostali odpowiedzi.

- Może nielegalnie polują na wieloryby - zasugerował. - Japończycy zapuszczają się czasem na Morze Beauforta i łowią bielugi.

- Przy tym sztormie są pewnie zbyt zajęci, żeby się zgłosić przez radio - odparł Giordino.

Kiedy zbliżyli się do pokrywy lodowej i miejsca pobytu stacji arktycznej, szybko zapomnieli o nieznanej jednostce. Morze przed „Narwhalem” pokrywały coraz większe bryły lodu. Cała załoga była już przygotowana do akcji ratowniczej. Ponad tuzin naukowców, mimo fatalnej pogody, odważnie tkwiło obok marynarzy na pokładzie. Stali w sztormiakach przy relingach przechylającego się niebezpiecznie statku badawczego i wypatrywali na morzu kanadyjskich kolegów.

„Narwhal” dotarł do określonej pozycji stacji arktycznej i Stenseth doprowadził statek na odległość trzydziestu metrów od pokrywy lodowej. Posuwali się wolno wzdłuż poszarpanej krawędzi i omijali liczne góry lodowe, które oderwały się od paku. Kapitan kazał włączyć wszystkie światła na pokładzie i powtarzać sygnały ogłuszającą syreną okrętową. Silny wiatr trochę osłabł i czasami można było coś dostrzec przez wirujący śnieg. Wszyscy przeszukiwali wzrokiem grubo lód i zimne wody, wypatrując śladów obozu lub jego mieszkańców. Ale bez rezultatu. Jeśli ktoś pozostał na miejscu, spoczywał teraz sześćset metrów pod powierzchnią ciemnoszarego morza.

Kevin Bue stwierdził, że ich lodowe schronienie o wymiarach pancernika zmalało do wielkości domku jednorodzinne. Fale morskie uderzały w górę lodową jak tarany i rozbijały ją na mniejsze kawałki, które też się kruszyły. Gdy ich kryjówka się kurczyła, jej przechyły były coraz większe, im dalej dryfowali po wzburzonym Morzu Beauforta. Zmniejszająca się bryła lodu zanurzała się głęboko, woda zalewała jej dolne partie. Trzęsący się z zimna Bue dostał dodatkowo choroby morskiej.

Ale kiedy spoglądał na swoich towarzyszy niedoli, zdawał sobie sprawę, że nie powinien narzekać. Quinlon był bliski utraty przytomności z powodu hipotermii, Case sprawiał podobne wrażenie. Radiooperator siedział skulony i patrzył szklonym wzrokiem w przestrzeń. Na próby nawiązania rozmowy reagował tylko mruganiem.

Bue zastanawiał się, czy nie odebrać Quinlonowi parek, żeby on i Case mogli się trochę ogrzać, ale się nie zdecydował. Choć konserwator był w najgorszym stanie, oni dwaj nie mieli większych niż on szans na przeżycie. Bue spojrzał na rozszalałe szare wody wokół lodowej tratwy i przyszło mu do głowy, żeby rzucić się do morza. Przynajmniej wszystko szybko by się skończyło. Zrezygnował, kiedy stwierdził, że nie miałby siły przejść tuzina kroków do krawędzi lodu.

Wielka fala zakołysała lodową platformą i usłyszał ostry trzask pod stopami. Pod jego siedziskiem wyłobionym w śniegu pojawiło się nagle pęknięcie. Rozdzielało szybko górę lodową. Po uderzeniu następnej fali bryła lodu pod nim odpadła i zanurzyła się w ciemnym morzu. Bue chwycił się odruchowo ostrego boku śnieżnej pryzmy i stanął na wąskiej półce, gdzie leżał Quinlon. Case, który siedział po przeciwnej stronie, nawet nie drgnął, gdy Bue rozpaczliwie przywarł do pionowej ściany lodowej rozpadliny i zawisnął tuż nad falami.

Bue poczuł, że serce wali mu jak oszalałe, wbił desperacko palce w lód i podciągnął się na szczyt pozostałej sterty śniegu. Ich schronienie zmalało do wielkości miniwana i kołysało się teraz gwałtownie na wzburzonym morzu. Bue czekał, aż cała pryzma runie i wszyscy trzej znajdą śmierć w lodowatej wodzie. Wiedział, że teraz to już kwestia minut.

Nagle ujrzał przez zamieć jasne światło. Błyszczało jak słońce za zasłoną deszczu. Oślepiło go, więc zamknął oczy. Kiedy je otworzył po kilku sekundach, blask zniknął. Widział tylko biel lodu, którym wiatr dmuchał mu w twarz. Wyteżył wzrok, by odszukać światło, ale pozostał jedynie sztorm. Zrezygnowany, opuścił wolno powieki, czuł, że traci siły.

Jack Dahlgren kazał unieść zatankowanego zodiaca ponad krawędź burty, kiedy z mostka przyszło polecenie wodowania. Ubrany w jaskrawo-żółty kombinezon umożliwiający przetrwanie w trudnych warunkach, wspiął się do pontonu i sprawdził, czy w wodoszczelnym pojemniku są aparat nadawczo-odbiorczy i przenośne urządzenie GPS. Uruchomił silnik i patrzył na krępa postać biegnącą przez pokład.

Al Giordino nie miał czasu włożyć kombinezonu; chwycił tylko parkę z mostku i popędził na dół do zodiaca. Gdy wskoczył do środka, Dahlgren uniósł kciuk i czekający marynarz szybko opuścił łódź pneumatyczną na powierzchnię morza. Dahlgren zaczekał, aż Giordino odczepi hak wciągarki i pchnął przepustnicę. Niewielki ponton wystrzelił naprzód po wysokich falach, rozpryskując lodowatą wodę. Al uchylił się przed rozbryzgiem i wskazał przed „Narwhala”.

- Szukamy małej góry lodowej jakieś dwieście metrów na lewo od dziobu! - krzyknął. - Dokładnie na wprost mamy tafłę lodową, więc będziesz musiał ją ominąć - dodał i machnął w lewo.

Przez oślepiający śnieg Dahlgren dostrzegł niewyraźną masę bieli na powierzchni morza przed nimi. Spojrzał na kompas i skierował zodiaca w lewo. Płynął, dopóki kilka metrów przed sobą nie zobaczył lodowej tafli. Skręcił ostro, pomknął wzdłuż jej krawędzi i zwolnił nieco, kiedy się zorientował, że dotarł na drugą stronę.

Stracili już „Narwhala” z oczu, tafła ustąpiła miejsca tuzinom niewielkich gór lodowych, które unosiły się na wzburzonym morzu. Silny wiatr zwiewał drobiny śniegu z powierzchni lodowca, co ograniczało widoczność do niecałych piętnastu metrów. Giordino siedział na dziobie, wpatrywał się w morze niczym orzeł w poszukiwaniu zdobyczy i wskazywał Dahlgrenowi kierunek. Posuwali się między bryłami lodu wielkości kufrów i większymi górami lodowymi, wszystkie się kołysały i zderzały ze sobą. Giordino poprowadził Dahlgrena wokół kilku małych gór, potem gorączkowo pokazał wysoką lodową wieżę.

- To ta! - zawołał.

Dahlgren zwiększył obroty silnika i popłynął ku krawędzi dryfującego lodu, który wydawał mu się taki sam jak inne. Tyle że na jego szczycie widniała ciemna plama. Kiedy się zbliżyli, Dahlgren dostrzegł człowieka rozciągniętego na górze. Szybko okrążył bryłę, chcąc znaleźć miejsce do wylądowania, ale ze wszystkich stron wznosiły się pionowe zbocza. Gdy dotarli do przeciwległego końca, zauważyli jeszcze dwóch ludzi wciśniętych do wydrążonej jamy tuż powyżej poziomu wody.

- Wbij się pod tamten nawis! - wrzasnął Giordino. Dahlgren skinął głową i zawołał:

- Trzymaj się!

Zatoczył pontonem łuk, żeby nabrać rozpędu, otworzył przepustnicę i wycelował dziób prosto w górę. Łódź pokonała ślizgiem krawędź lodu i uderzyła mocno w śnieżną pryzmę tuż pod dwoma wychłodzonymi mężczyznami. Dahlgren i Giordino omal nie wypadli przy gwałtownym hamowaniu.

Giordino szybko wstał, otrzepał śnieg z głowy i barków, i uśmiechnął się do Case'a, który patrzył na niego apatycznie.

- Za pięć minut dostaniecie gorącego rosółu, przyjaciele - powiedział Al, chwycił Quinlona jak szmacianą lalkę i ułożył w pontonie między dwiema ławkami. Potem złapał Case'a za ramię i wsadził go do zodiaca. Dahlgren wyjął dwa suche koce ze schowka i otulił nimi obu pasażerów.

- Dosięgniesz trzeciego? - zapytał.

Giordino spojrział na rozkołysaną stertę śniegu wyższą od niego o dwa metry.

- Tak, ale trzymaj silnik na chodzie. Ta kostka lodu jest mało stabilna.

Wyszedł z łodzi pneumatycznej, wbił czubek buta w stwardniały śnieg i zaczął się wspinać. Przy każdym kroku uderzał pięścią w zamrożoną skorupę, żeby wydrążyć oparcie dla ręki, a potem dla stopy, gdy wdrapie się wyżej. Góra lodowa bujała się na falach i kilka razy myślał, że spadnie do wody. Piał się na szczyt najszybciej jak mógł, w końcu wystawił głowę ponad krawędź ściany i zobaczył Bue leżącego twarzą w dół. Szarpnął go za tułów, przyciągnął bliżej bezwładne ciało i przewiesił sobie przez ramię. Otoczył ręką nogi mężczyzny i zaczął niepewnie schodzić z powrotem.

Miał wrażenie, że dźwiga worek kartofli. Nie tracił jednak czasu, szybko ześlizgnął się kilka kroków, potem odepchnął od śniegowej ściany i zeskoczył do gumowego kadłuba zodiaca w dole. Położył Bue obok jego towarzyszy, wyskoczył z pontonu i napał na dziób. Wbił krótkie potężne nogi w śnieg, zepchnął łódź z lodu i wskoczył do środka, kiedy Dahlgren włączył wsteczny bieg.

Ledwo zawrócili i ruszyli naprzód, wyrosła przed nimi wielka fala. Giordino przygwoździł leżących mężczyzn do pokładu, zanim woda uderzyła w dziób. Lodowata piana opryskała wszystkich, zodiac stanął dęba, potem runął w dolinę fali, gdy przetoczyła się dalej. Dahlgren napał na drugą wielką falę i pokonał ją trochę mniej gwałtownie.

Kiedy sytuacja nieco się uspokoiła, Dahlgren i Giordino obejrzel się w momencie, gdy dwie fale dotarły do góry lodowej. Patrzyli z niezdrową fascynacją, jak pierwsza fala przechyliła na bok wysoką bryłę lodu. Zanim zdążyła wrócić do pionu, uderzyła w nią druga i całkowicie ją unicestwiła. Kiedy wzburzona woda przetoczyła się dalej, na powierzchnię wypłynęło powoli kilka dużych kawałków lodu.

Gdyby przyплыnęli odrobinę później, Bue, Case i Quinlon zostaliby zmyci przez fale do lodowatego morza i zginęli w ciągu paru minut.

Trzej Kanadyjczycy, każdy w innym stadium hipotermii, wciąż żyli, kiedy miotanego falami zodiaca podnoszono z morza i opuszczano na pokład „Narwhala”. Dahlgrenowi szczęśliwie udało się dotrzeć do statku badawczego w ciągu zaledwie kilku minut. Sztorm uniemożliwiał wszelką łączność satelitarną i odbiornik GPS okazał się bezużyteczny. Dahlgren zaufał wskazaniom kompasu i płynął zgodnie z nimi w kierunku pozycji „Narwhala”. Wielka kra dryfująca obok pozwalała na swobodną żeglugę po wzburzonym morzu. Giordino usłyszał syrenę okrętową i po chwili dojrzał przez zamieć jasno oświetlony statek NUMA.

Opatulony Rudi Gunn stał na pokładzie, gdy ponton osiadł na statku, i natychmiast kazał przenieść uratowanych mężczyzn do izby chorych. Bue i Case szybko doszli do siebie, ale Quinlon był nieprzytomny przez kilka godzin. Kiedy lekarz okrętowy gorączkowo usiłował przywrócić jego ciało właściwą ciepłość, serce Quinlona dwukrotnie się zatrzymało i musiano go reanimować. W końcu temperatura jego ciała wzrosła do trzydziestu sześciu kresiek i ciśnienie krwi się ustabilizowało.

Giordino i Dahlgren otrzepali się z lodu, przebrali w suche rzeczy i poszli na mostek do Gunna.

- Nie wiecie, czy ktoś tam jeszcze ocalał? - spytał Gunn dwóch zmęczonych mężczyzn.

Dahlgren pokręcił głową.

- Zapytałem o to samo tego przytomnego faceta. Powiedział mi, że w stacji arktycznej było z nimi jeszcze dwóch ludzi, ale jest pewien, że obaj zginęli, kiedy statek zniszczył obóz.

- Statek?

Dahlgren przytaknął ponuro.

- Mówiąc ściślej, amerykański okręt wojenny. Przebił się przez lód i rozwalił cały kompleks.

- To niemożliwe - odparł Gunn.

- Powtarzam tylko słowa tamtego gościa. Gunn milczał z niedowierzaniem.

- Mimo to spróbujmy ich znaleźć - powiedział w końcu cicho. Potem popatrzył współczująco na obu mężczyzn i dodał: - Przeprowadziliście bohaterską akcję ratunkową w strasznych warunkach.

- Nie zamieniłbym się miejscami z tymi facetami - odrzekł Giordino. - Ale Dahlgren bohaterem? A to dobre. - Roześmiał się.

- Za te słowa nie podzielę się z tobą moją butelką jacka danielsa - odparował Dahlgren.

Giordino otoczył ramieniem Teksanczyka i wyprowadził go ze sterowni.

- Tylko jedna kolejka, przyjacielu, i dopilnuję, żeby Jukon był twój.

„Narwhal” przeszukiwał morze przez dwie godziny, ale znalazł tylko zniszczone resztki niebieskiego dachu wśród dryfującego lodu. Gunn niechętnie odwołał akcję, kiedy większość kawałków kry oddaliła się w końcu od pokrywy lodowej.

- W Prudhoe Bay są lepsze warunki, ale Tuktoyaktuk jest bliżej o jakieś pięćdziesiąt mil morskich. Mają tam lotnisko - powiedział Stenseth, patrząc na mapę północnoamerykańskiego wybrzeża.

Gunn zajrzał kapitanowi przez ramię.

- Do tego drugiego płynęlibyśmy z falami. Chyba byłoby dobrze wysadzić ich na ląd jak najszybciej. Niech będzie Tuktoyaktuk.

Miasto leży na północnym wybrzeżu Kanady kawałek na wschód od granicy z Alaską, daleko na północ od koła podbiegunowego i poza granicą lasów, na pofałdowanym skalistym terenie, który przez większość roku znajduje się pod śniegiem.

„Narwhal” płynął przez wzburzone wody czternaście godzin, zanim wiosenny sztorm wreszcie osłabł. Na Morzu Beauforta nadal piętrzyły się wysokie fale, kiedy statek NUMA wszedł do osłoniętej zatoki Kugmallit w pobliżu miasta Tuktoyaktuk. Łódź patrolowa Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej wprowadziła „Narwhala” do portu, gdzie czekało puste stanowisko cumownicze. Uratowanych naukowców przeniesiono szybko do dwóch furgonetek i zawieziono do miejscowego centrum medycznego. Po dokładnych badaniach lekarskich uznano, że mężczyźni mogą odbyć dalszą podróż samolotem do Yellowknife.

Następnego dnia, kiedy we trzech przylecieli do Calgary rządowym odrzutowcem, wydarzenie stało się tematem dnia. Zaczęła się medialna szopka, wszystkie główne gazety i stacje telewizyjne trąbiły tylko o tym. Opowieść Bue o amerykańskim okręcie wojennym, który staranował obóz na lodzie i zostawił jego mieszkańców na pewną śmierć, rozpałał gniew w wielu Kanadyjczykach, zmęczonych mocarstwowością południowego sąsiada.

W kanadyjskich kręgach rządowych zawrzało. Najbardziej oburzeni byli funkcjonariusze Straży Przybrzeżnej i wojskowi, rozwścieczeni już niedawnym incydem z tajemniczym statkiem „Atlanta”. Tracący popularność nacjonalistyczny premier natychmiast postanowił poprawić swoje notowania, wykorzystując zdarzenie. Bue, Case i Quinlon zostali przyjęci w jego rezydencji przy Sussex Drive w Ottawie, po czym wystąpili przed kamerami, by jeszcze raz zrelacjonować zniszczenie stacji arktycznej przez Amerykanów. Premier, z udawanym gniewem, określił incydent jako barbarzyński akt agresji.

- Suwerenność Kanady nie będzie więcej naruszana - grzmiał w telewizji. Przy poparciu rozgniewanego parlamentu kazał wysłać dodatkowe siły morskie do Arktyki i zagroził zamknięciem granicy i wstrzymaniem eksportu ropy i gazu. - Naród kanadyjski nie pozwoli się zastraszyć. Jeśli ochrona naszej suwerenności wymaga prowadzenia wojny, to niech się tak stanie! - krzyknął czerwony jak burak.

Przez noc jego popularność w sondażach gwałtownie wzrosła. Widząc reakcję opinii publicznej, inni politycy też demonstrowali w mediach antyamerykańską postawę. Historia ocalałych mieszkańców stacji arktycznej żyła własnym życiem, podsycana przez zależne media i wyrachowanego przywódcę kraju. Stała się opowieścią o brutalnym ataku i bohaterstwie jego ofiar, które okryły się chwałą. Tylko w każdym nowym opisie tragedii jakoś zapomniano o roli załogi statku NUMA i jej odważnej akcji, która uratowała życie trzem naukowcom.

- Jim, masz chwilę?

Idący korytarzem Zachodniego Skrzydła Białego Domu wiceprezydent James Sandecker odwrócił się i zobaczył ambasadora Kanady, Johna Davisa. Dystyngowany dyplomata z krzaczastymi srebrzystymi brwiami podszedł do niego z posępną miną.

- Dzień dobry, John - powitał go Sandecker. - Co cię tu sprowadza o tak wczesnej porze?

- Dobrze, że cię widzę, Jim - odrzekł Davis i trochę się rozchmurzył. - Niestety, wysłano mnie tutaj po to, żebym zrobił waszemu poczciwemu prezydentowi awanturę w związku z tym incydentem w Przejściu Północno-Zachodnim.

- Właśnie idę na spotkanie z prezydentem na ten temat. Zniszczenie stacji arktycznej to straszna tragedia, ale zapewniono mnie, że w pobliżu nie było żadnego z naszych okrętów wojennych.

- Niemniej jednak sytuacja jest trudna. Twardogłowi w naszym rządzie rozdmuchują tę sprawę ponad wszelką miarę. - Ambasador zniżył głos do szeptu. - Nawet premier wymachuje szabelką, choć wiem, że robi to wyłącznie dla korzyści politycznych. Obawiam się tylko jakiejś bezsensownej eskalacji, która może doprowadzić do katastrofy.

Ponury wyraz szarych oczu Davisa powiedział Sandeckerowi, że jego niepokój jest uzasadniony.

- Nie przejmuj się, John, zdrowy rozsądek zwycięży. Zbyt dużo mamy do stracenia, by pozwolić na niekorzystny rozwój wypadków.

Davis skinął lekko głową.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Jim. Chciałbym wyrazić wdzięczność załodze waszego statku NUMA. Milczy się o tym w prasie, ale dokonali niezwykłego wyczynu.

- Przekażę im to. Pozdrów ode mnie Maggie. I musimy niedługo znów razem pożeglować.

- Z przyjemnością. Trzymaj się, Jim.

Członek personelu Białego Domu wprowadził Sandeckera do Gabinetu Owального północno - zachodnim wejściem. Przy stoliku do kawy siedzieli szef sztabu prezydenckiego, doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego i sekretarz obrony. Prezydent z boku nalewał do filiżanki kawy z zabytkowego srebrnego dzbanka.

- Nalać ci, Jim? - zapytał. Wciąż miał podkrążone oczy, ale wydawał się w lepszej formie niż podczas ostatniej wizyty Sandeckera.

- Jasne, Garner. Czarnej.

Pozostali wyglądali na zaskoczonych, że Sandecker zwraca się do prezydenta po imieniu, ale niewiele go to obchodziło. Warda też nie. Prezydent wręczył Sandeckerowi filiżankę kawy i usiadł w złoconym fotelu z uszakami.

- Straciłeś pokaz fajerwerków, Jim - powiedział Ward. - Ambasador Kanady właśnie dał mi popalić za dwa incydenty w Arktyce.

Sandecker skinął głową.

- Spotkałem go w korytarzu. Zdaje się, że traktują to bardzo poważnie.

- Kanadyjczykom nie podoba się nasz plan skierowania wody z Wielkich Jezior do nawadniania pól uprawnych na Środkowym Zachodzie - odezwał się szef sztabu Meade. - I nie jest tajemnicą, że ich premier ma za niskie notowania, żeby wygrać jesienne wybory do parlamentu.

- Mamy podstawy sądzić, że próbuje się też zamknąć naszym koncernom naftowym dostęp do Arktyki Kanadyjskiej - dodała Moss, doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego, krótkowłosa blondynka. - Kanadyjczycy pilnie strzegą swoich arktycznych złóż ropy i gazu, które stale zyskują na znaczeniu.

- Zważywszy naszą obecną sytuację, wybrali raczej nieodpowiedni moment, by odwrócić się do nas plecami - zauważył Meade.

- Nieodpowiedni dla nas - uściślił Sandecker.

- Masz rację, Jim - przytaknął prezydent. - W tej chwili Kanadyjczycy z pewnością mają kilka mocnych kart w rękę.

- I już zaczynają nimi grać - dorzuciła Moss. - Ambasador oznajmił, że premier Barrett zamierza wprowadzić dla amerykańskich statków całkowity zakaz żeglugi szlakami wodnymi Arktyki Kanadyjskiej. Jego złamanie będzie uznane za wtargnięcie na wody terytorialne i spowoduje reakcję militarną.

- Premier nie bawi się w subtelności - zauważył prezydent.

- Posunął się nawet do tego, że polecił ambasadorowi napomknąć o rozważanym ograniczeniu eksportu ropy, gazu ziemnego i energii elektrycznej do Stanów Zjednoczonych - zwrócił się Meade do Sandeckera.

- Ostro grają - odparł Sandecker. - Dziewięćdziesiąt procent naszego importowanego gazu ziemnego pochodzi z Kanady. I wiem, że liczysz na dostawy z Cieśniny Melville'a, które miały rozwiązać nasze problemy energetyczne - dodał, kierując te słowa do prezydenta.

- Nie możemy sobie pozwolić na zmniejszenie importu gazu - oświadczył prezydent. - Ma decydujące znaczenie dla przezwyciężenia obecnego kryzysu naftowego i stabilizacji gospodarczej.

- Działania premiera idą w parze z treścią jego przemówień na temat suwerenności Kanady, które ostatnio wygłasza, żeby zwiększyć swoją malejącą popularność - dorzuciła Moss. - Kilka lat temu dostrzegł korzyści ekonomiczne płynące z wykorzystania wolnego od lodu Przejścia Północno-Zachodniego i ogłosił, że szlak jest własnością Kanady. Jego retoryka trafia do przekonania kanadyjskim tradycjonalistom.

- Te arktyczne złoża to pokaźne źródło energii - powiedział Meade.

- Rosjanie podnoszą wrzawę o to samo - przypomniał Sandecker. - Konwencja Prawa Morza ONZ otworzyła drzwi do zbudowania dodatkowego imperium arktycznego na zasadzie rozszerzenia istniejących roszczeń terytorialnych na obszary podmorskie. My też włączyliśmy się do tego pędu po ziemię pod wodą, podobnie jak Kanadyjczycy, Rosjanie, Duńczycy i Norwegowie.

- To prawda - przyznała Moss - ale nasze roszczenia nie dotyczą wód kanadyjskich. To Przejście Północno-Zachodnie jest powodem tej całej hysterii. Być może dlatego, że umożliwia dostęp do wszystkich arktycznych bogactw naturalnych i ich transport.

- Wydaje mi się, że Kanadyjczycy mają dość solidne podstawy prawne do tego, by uważać przejście za część swoich wód wewnętrznych - stwierdził prezydent.

Sekretarz obrony zjeżył się. Służył kiedyś w marynarce wojennej tak jak Sandecker, potem zarządzał jednym z głównych koncernów naftowych, zanim powrócił do sektora publicznego.

- Panie prezydencie - odrzekł basem. - Stany Zjednoczone zawsze stały na stanowisku, że

Przejsście Północno-Zachodnie jest szlakiem międzynarodowym. Pozwolę sobie dodać, że Konwencja Prawa Morza również nakazuje umożliwianie tranzytu drogami wodnymi, które są uznawane za międzynarodowe.

- Zakładając, że jesteśmy w przyjaznych stosunkach z Kanadą, dlaczego przejmujemy się tym, że uważają ten szlak za swoje wody terytorialne? - zapytał prezydent.

- Bo jest to niezgodne z zasadami obowiązującymi w cieśninach Malakka, Bab al-Mandab i Gibraltarze - wyrecytowała Moss. - Tamte drogi wodne są otwarte dla statków wszystkich krajów, nie mówiąc o swobodnym ruchu naszych okrętów wojennych.

- Tak samo jest w Bosforze i Dardanelach - uzupełnił Sandecker.

- Właśnie - przytaknęła Moss. - Jeśli Przejsście Północno-Zachodnie będziemy traktowali inaczej, może to zachęcić Malezyjczyków do decydowania o żegludze w cieśninie Malakka, na przykład. To zbyt ryzykowne.

- Nie zapominajmy o naszej flocie podwodnej - dodał Sandecker. - Nie możemy zrezygnować z operacji w Arktyce.

- Jim ma absolutną rację - powiedział sekretarz obrony. - Od czasu do czasu bawimy się tam w berka z rosyjskimi deltami i musimy mieć na oku Chińczyków. Właśnie przetestowali nową klasę wystrzeliwanych spod wody pocisków balistycznych o zasięgu ośmiu tysięcy kilometrów. Należy się spodziewać, że pójdą w ślady Rosjan i ukryją swoje okręty podwodne pod lodem, żeby zdobyć możliwość pierwszego odpalenia rakiet. Panie prezydencie, Arktyka pozostanie terenem operacyjnym decydującym o naszym bezpieczeństwie narodowym. Nie możemy sobie pozwolić na to, że zostaniemy odcięci od szlaków wodnych, które przebiegają w pobliżu naszych granic.

Prezydent podszedł do okna od wschodu i popatrzył na Ogród Różany.

- Wycofanie się nie wchodzi chyba w rachubę. Ale nie ma też potrzeby podsycać nieufności. Zastosujemy się do zakazu przez dziewięćdziesiąt dni. Chcę, żeby w tym okresie wszystkie amerykańskie statki i okręty, łącznie z podwodnymi, trzymały się z daleka od wód Arktyki Kanadyjskiej. Przez ten czas emocje powinny opaść. Potem wydam Departamentowi Stanu polecenie zorganizowania spotkania z premierem Barrettem i spróbujemy naprawić stosunki między naszymi krajami.

- Słuszna decyzja - zgodził się Meade. - Zaraz zadzwonię do sekretarza stanu.

- Jeszcze jedno, panie prezydencie - odezwał się sekretarz obrony. - Chciałbym opracować kilkuwariantowy plan kontruderzenia na wypadek, gdyby sytuacja tego wymagała.

- Na litość boską! - zagrzemiał prezydent. - Mówimy o Kanadzie. - W pokoju zapadła cisza, gdy Ward spojrzał gniewnie na sekretarza obrony. - Rób swoje - powiedział. - O ile cię znam, masz już pewnie gotowy cały plan inwazji.

Sekretarz obrony siedział z kamienną twarzą. Nie zamierzał zaprzeczać.

- Moim zdaniem powinniśmy się skoncentrować na ustaleniu, kto zaatakował Kanadyjczyków i dlaczego - wtrącił Sandecker. - Co właściwie wiemy o tych dwóch incydentach w Arktyce?

- Niestety, bardzo niewiele, bo oba miały miejsce na zupełnym odludziu - odrzekła Moss. - Najpierw statek handlowy pod amerykańską banderą staranował kuter patrolowy Kanadyjskiej Straży Przybrzeżnej. Wiemy od Kanadyjczyków tylko tyle, że był to mały kontenerowiec o nazwie „Atlanta”. Kanadyjczycy myśleli, że zatrzymają go dalej w przejściu, w pobliżu wyspy Somerset, ale się nie pojawił. Uważają, że mógł zatonać, ale nasi analitycy są zdania, że niepostrzeżenie zawrócił na Atlantyk. W rejestrach morskich figuruje tuzin statków o takiej nazwie, choć tylko jeden ma

porównywalne wymiary i konfigurację. Od trzech tygodni stoi w suchym doku w Mobile w Alabamie.

- Być może Kanadyjczycy mają rację i rzeczywiście zatonął z powodu uszkodzeń podczas kolizji - podsunął prezydent. - W przeciwnym razie musimy przyjąć, że go błędnie zidentyfikowano.

- Dziwne, że zamierzali przepłynąć przejście, a potem zniknęli - zauważył Sandecker. - A co z tą stacją arktyczną na Morzu Beauforta? Podobno nigdzie w pobliżu nie było żadnej z naszych jednostek.

- Zgadza się - potwierdziła Moss. - Wszyscy trzej uratowani mieszkańcy obozu twierdzą, że widzieli szary okręt wojenny pod amerykańską banderą, który zdemolował ich siedzibę. Jeden z mężczyzn zapamiętał, że okręt nosił numer 54. Tak się składa, że FFG-54 jest akurat na Morzu Beauforta.

- Jedna z naszych fregat?

- Tak, „Ford” z Everett w stanie Waszyngton. W czasie tamtego zdarzenia brał udział w ćwiczeniach floty podwodnej niedaleko przylądka Barrow jako okręt wsparcia, ale był ponad trzysta mil morskich od miejsca katastrofy. Poza tym nie jest przystosowany do kruszenia lodu, więc nie przebiłby się przez gruby pak, na którym rozbito obóz.

- Znów błędna identyfikacja? - chciał wiedzieć prezydent.

- Nikt tego nie wie na pewno. W tamtym rejonie jest mały ruch, w dodatku był wtedy silny sztorm, który znacznie ograniczał widoczność.

- A co ze zdjęciami satelitarnymi? - spytał Sandecker. Moss przerzuciła papiery i wyjęła raport.

- Obserwacja satelitarna tamtego regionu jest dość sporadyczna, z oczywistych przyczyn. Niestety nie mamy żadnych zdjęć z tych dwunastu godzin, podczas których wydarzyła się katastrofa.

- Wiemy na pewno, że to nie był „Ford”? Nasi nie mogli się pomylić? - zapytał prezydent.

- Nie, panie prezydencie - upierał się sekretarz obrony. - Kazałem dowództwu Floty Pacyfiku przejrzeć ich zapisy nawigacyjne. „Ford” nawet się nie zbliżył do pozycji tamtej stacji arktycznej.

- Podzieliliśmy się tą informacją z Kanadyjczykami?

- Szef ich sztabu obrony widział nasze dane i przyznał prywatnie, że „Ford” prawdopodobnie nie jest winny - odrzekł sekretarz obrony. - Ale ich politycy nie wierzą w to, co im pokazujemy. Zważywszy na to, jak daleko zaszli od czasu incydentu, nie mają powodu, żeby teraz się wycofywać.

- Trzeba znaleźć statek oraz okręt wojenny i wybrnąć z tego kłopotu - zdecydował prezydent.

Jego doradcy zamilkli, świadomi tego, że szansa prawdopodobnie już przepadła. Bez bezpośredniego dostępu do Arktyki Kanadyjskiej niewiele mogli działać.

- Zrobimy, co będziemy mogli - obiecał sekretarz obrony.

Szef sztabu spojrział na zegarek i wyprowadził wszystkich z Gabinetu Owalnego, żeby prezydent zdążył się przygotować do następnego spotkania. Kiedy Ward został sam, stanął przy oknie i popatrzył na Ogród Różany.

- Wojna z Kanadą - mruknął pod nosem. - To dopiero będzie dziedzictwo.

Mitchell Goyette wpatrywał się bezmyślnie z oszklonej kajuty pełniące funkcję gabinetu na górnym pokładzie jachtu w srebrzysty hydroplan, który przecinał port. Mały samolot szybko oderwał się od powierzchni wody i skierował na południe nad wysokimi budynkami wzdłuż portu w Vancouver. Potentat pociągnął łyk martini, potem spojrzął na gruby kontrakt na biurku.

- Warunki są do przyjęcia? - zapytał.

Niski brunet w grubych okularach, siedzący naprzeciwko niego, skinął głową.

- Dział prawny przejrzał treść umowy i nie znalazł nic niepokojącego. Chińczycy są zadowoleni z pierwszej dostawy i czekają niecierpliwie na następne.

- Po uzgodnionej cenie i bez limitów ilościowych?

- Tak. Są gotowi kupować rocznie do pięciu milionów ton nieoczyszczonego bituminu z Athabaski i tyle gazu ziemnego z Cieśniny Melville'a, ile zdołamy dostarczyć. Za jedno i drugie zapłacą dziesięć procent więcej, niż wynoszą ceny na rynku transakcji natychmiastowych, jeśli zgodzimy się na wydłużone terminy płatności.

Goyette rozparł się w fotelu i uśmiechnął.

- Nasze pełnomorskie barki okazały się dobrym środkiem transportu obu ładunków na masową skalę. W przyszłym tygodniu włączymy piątą serię barek do przewozu ciekłego gazu ziemnego. Zakładane dochody z handlu z Chińczykami wyglądają obiecująco.

- Odkrycie złóż gazu w Cieśninie Melville'a zapowiada nieoczekiwany dopływ sporej gotówki. Nasze symulacje pokazują, że na każdej dostawie do Chin możemy zarobić netto prawie pięć milionów dolarów.

Jeśli rząd nie wprowadzi ograniczeń w eksporcie bogactw naturalnych do Chin, zbijesz kapitał na ich potrzebach energetycznych.

- Po zasmucającej śmierci pani Finlay chyba nie musimy się tego obawiać - odrzekł Goyette ze znaczącym uśmiechem.

- Przy ograniczeniach w Athabasce z powodu zaostrzenia norm emisji dwutlenku węgla układ z Chińczykami również holdingom w Albercie przyniesie korzyści. Oczywiście nie wywiążesz się z podpisanej umowy z Amerykanami na dostarczanie im gazu ziemnego z Cieśniny Melville'a.

- Chińczycy zapłacą mi dziesięć procent więcej.

- Amerykański prezydent liczył na zwiększone dostawy gazu w nadziei na zahamowanie kryzysu energetycznego w Stanach - powiedział prawnik ostrzegawczym tonem.

Goyette się roześmiał.

- A tak, i naciskają na mnie, żebym ich ratował moimi zasobami w Cieśninie Melville'a. Ale podgrzejemy trochę atmosferę. - W jego oczach błysnął nagle gniew. - Niech się kiszą we własnym sosie, dopóki się nie udławią. Wtedy zatańczą, jak im zagram, i zapłacą wszystko, żeby przetrwać. Będziemy im wysyłać gaz naszymi zbiornikowcami i odbierali od nich skroplony dwutlenek węgla. Za jedno i drugie każemy sobie słono zapłacić. Oczywiście najpierw sfinansują rozbudowę naszej

floty barek. Nie będą mieli wyboru. - Wyszczerył zęby w szerokim uśmiechu.

- Ale nie sprzyja nam sytuacja polityczna. Głośno o tak zwanej ustawie antyamerykańskiej, która mogłaby zaszkodzić naszym interesom z Chinami. Niektórzy radykalni członkowie parlamentu są praktycznie gotowi wypowiedzieć wojnę Stanom.

- Nie mam władzy nad głupotą polityków. Musimy usunąć Amerykanów z Arktyki, zwiększyć wydobywanie ropy i gazu, i rozszerzyć nasze prawa górnicze. Poszczyło się nam, gdy odkryliśmy złoża gazu w Cieśninie Melville'a, a ta strategia jak dotąd przynosi dobre wyniki.

- Zespół geofizyków jest bliski dotarcia do złóż gazu w cieśninie i innych obiecujących miejscach. Mam nadzieję, że minister zasobów naturalnych nadal będzie spełniał nasze żądania.

- Nie przejmuj się Jamesonem, robi wszystko, co mu każę. A przy okazji, co z „Atlantą”?
- Dotarła bez przygód do Nowego Jorku, wzięła ładunek i jest teraz w drodze na wschód do Indii. Nie wygląda na to, żeby wzbudzała czyjeś podejrzenia.

- To dobrze. Wyślij ją do Indonezji do przemalowania przed jej powrotem do Vancouver.
- Załatwione - odrzekł prawnik.

Goyette usiadł wygodnie w fotelu i spróbował drinka.

- Widziałeś gdzieś Marcy?

Marcy, jedna z kilku byłych striptizerek na liście płac Goyette'a, spacerowała zwykle po jachcie w skąpym stroju.

Doradca zaprzeczył. Zrozumiał aluzję, że rozmowa skończona.

- Zawiadomię Chińczyków, że umowa stoi - powiedział, wziął od Goyette'a podpisany kontrakt i szybko wyszedł z gabinetu.

Goyette dopił martini, sięgnął po słuchawkę telefonu wewnętrznego, żeby zadzwonić do głównej kabiny, i znieruchomiał na dźwięk znajomego głosu.

- Jeszcze jednego drinka, Mitchell?

Odwrócił się i zobaczył w głębi gabinetu Claya Zaka z dwiema szklaneczkami martini w jednym ręku. Zak miał na sobie luźne ciemne spodnie i ciemnoszary sweter z golfem i był ledwo widoczny na tle brunatnych ścian. Podeszedł do Goyette'a niedbałym krokiem, postawił przed nim jednego drinka i usiadł.

- Mitchell Goyette, król Arktyki, co? Widziałem zdjęcia twoich pełnomorskich barek i muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Wyglądają imponująco.

- Zaprojektowano je specjalnie do tego, do czego służą - odparł Goyette, gdy wreszcie odzyskał mowę. Na jego twarzy malowało się niezadowolenie i zanotował sobie w pamięci, że musi porozmawiać z ochroną. - Z pełnym ładunkiem są w stanie przetrwać huragan drugiego stopnia.

- Niesamowite - rzucił Zak między łykami martini. - Choć podejrzewam, że twoi zieloni poplecznicy byliby rozczarowani, gdyby się dowiedzieli, że wrywasz z nieskażonego krajobrazu Kanady bogactwa naturalne, żeby wydebić trochę dolców od Chińczyków.

Goyette zignorował komentarz.

- Nie spodziewałem się, że wrócisz tak prędko. W Stanach wszystko poszło dobrze?

- Jasne. Miałaś rację, że warto zainteresować się pracą pewnego laboratorium. Odbyłem ciekawą rozmowę o sztucznej fotosyntezie z twoim człowiekiem.

Zak opisał szczegółowo badania Lisy Lane i jej niedawne odkrycie. Goyette odprężył się, kiedy pojął, jakie znaczenie ma przełom naukowy, którego dokonała. Znów wyjrzał przez okno.

- Wygląda na to, że mogliby zbudować zakład konwersji dwutlenku węgla, a potem łatwo

stworzyć całą sieć - powiedział. - Choć byłaby to kwestia lat lub nawet dziesięcioleci.

Zak pokręcił głową.

- Nie jestem naukowcem, ale według twojej wtyki sprawa przedstawia się inaczej. On twierdzi, że nie potrzeba na to dużych nakładów kapitałowych. Jego zdaniem w ciągu pięciu lat mogłyby powstać setki takich zakładów wokół dużych miast i głównych obiektów przemysłowych.

- Ale dopilnowałeś, żeby pozostało to tylko teorią? - zapytał Goyette, świdrując Zaka wzrokiem.

- Żadnych trupów, pamiętasz? Laboratorium i wszystkie materiały dotyczące badań przestały istnieć, tak jak sobie życzyłeś. Ale najważniejsza osoba żyje i zna na pamięć wzór chemiczny. Przypuszczam, że teraz nie tylko ona.

Goyette patrzył na Zaka bez mrugnięcia okiem i zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, powstrzymując tym razem zabójcę przed działaniem.

- Twój kret sprzedaje pewnie teraz odkrycia konkurencji - dodał Zak.

- Jeśli tak, to nie pożyje długo - odparł Goyette, sapnął i pokręcił głową. - To mogłoby pokrzyżować moje plany rozwoju zakładu sekwestracji dwutlenku węgla. Co gorsza, umożliwiłoby ponowne uruchomienie rafinerii w Athabasce, a nawet jej rozbudowę. Cena bituminu z Athabaski na pewno by spadła i mój kontrakt z Chińczykami diabli by wzięli! Nie dopuszczę do tego!

Zak, widząc furię Goyette'a wywołaną chciwością, roześmiał się głośno, co jeszcze bardziej rozwścieczyło potentata. Sięgnął do kieszeni, wyjął szary kamyk i pchnął przez biurko. Goyette'owi odruchowo udało się go złapać.

- Oj, Mitchell, Mitchell. Nie ogarniasz całości. Gdzie się podział wielki obrońca środowiska, król Zielonych, najlepszy przyjaciel nawiedzonych ekologów?

- O czym ty gadasz? - zapytał drwiąco Goyette.

- Trzymasz w ręku asa. Minerał o nazwie ruten. Katalizator do sztucznej fotosyntezy. Klucz do całej sprawy.

Goyette obejrzał uważnie kamyk.

- Mów - zażądał krótko.

- Jest rzadszy niż złoto. Wydobywano go na świecie tylko w kilku miejscach i żadne już nie działa. Ta próbka pochodzi z magazynu geologicznego w Ontario, który prawdopodobnie jest ostatnim źródłem tego minerału. Bez rutenu sztuczna fotosynteza nie będzie możliwa i twój problem zniknie. Nie mówię, że można to załatwić, ale gdyby ktoś miał ten kamyk, mógłby powstrzymać globalne ocieplenie. Pomyśl, jak wtedy czciłiby cię twoi zieloni przyjaciele.

Chciwość i żądza władzy zawsze były motorem działań Goyette'a. Zak niemal widział w oczach przemysłowca symbole dolarów, kiedy ten rozważał rysujące się perspektywy.

- Musimy spenetrować rynek - rzekł z pożądlivością w oczach. - Zaraz przydzielę do tego ludzi.

- Spojrzał na Zaka i dorzucił: - Masz w sobie coś z detektywa. Nie wybrałbyś się do tego magazynu w Ontario, żeby ustalić, skąd wzięli ruten i ile jeszcze go zostało?

- Pod warunkiem że dostanę firmowy samolot - odpowiedział Zak z uśmiechem.

- Jest twój - burknął Goyette. - Ale najpierw załatw pewną drobną sprawę. Ktoś mnie irytuje w Kitimat.

- W Kitimat? To chyba niedaleko Prince Rupert?

Goyette potwierdził i wygrzebał faks od ministra zasobów naturalnych. Zak przeczytał treść, skinął głową i dopił martini.

- Zajmę się tym w drodze do Ontario - zapewnił, schował wydruk do kieszeni i wstał. Ruszył do

drzwi, potem nagle odwrócił się do Goyette'a. - Wiesz, ten twój kret, Bob Hamilton, dobrze się spisał. Zastanów się, czy nie dać mu premii za przekazane informacje. Być może dzięki nim nieźle zarobisz.

- Mam nadzieję - mruknął gospodarz, zamknął oczy i się skrzywił. - A następnym razem zapukaj przed wejściem, dobra?

Kiedy otworzył oczy, mężczyzny już nie było.

Zapaleni żeglarze z Potomac Yacht Club korzystali z ładnej pogody w niedzielny poranek i byli już na wodzie, kiedy Pitt wszedł na główne nabrzeże o dziewiątej. W jego kierunku zmierzał otyły mężczyzna, który taszczył pusty kanister i pocił się obficie w parnym powietrzu.

- Przepraszam, gdzie cumuje „Roberta Ann”? - zapytał Pitt.

- To łódź Dana Martina - rozpromienił się grubas. - Stoi przy ostatnim pomoście na trzecim albo czwartym stanowisku. Niech pan mu powie, że Tony chce z powrotem swoją wiertarkę elektryczną.

Pitt podziękował i ruszył w stronę odległego pomostu. Szybko zauważył „Robertę Ann”, gdy wszedł po pochylni z nabrzeża. Lśniaca drewniana żaglówka miała niecałe dwanaście metrów długości. Zbudowano ją w Hongkongu w latach trzydziestych XX wieku z teku oraz mahoni i dodano mnóstwo elementów z mosiądzu, które błyszczały w słońcu. Łódź była w nienagannym stanie i emanował z niej romantyzm innej epoki. Podziwiając smukły kształt, Pitt wyobrażał sobie Clarka Gable’a i Carole Lombard, płynących pod gwiazdami do Cataliny ze skrzynką szampana na pokładzie. Czar prysł, gdy nagle z rufy dobiegł potok niecenzuralnych słów. Pitt podszedł bliżej i zobaczył mężczyznę w przedziale silnikowym, pochylonym nad małym silnikiem żaglówki.

- Dostanę pozwolenie wejścia na pokład?! - zawołał Pitt. Mężczyzna się wyprostował i jego twarz złagodniała na widok Pitta.

- Dirk Pitt. Co za miła niespodzianka! Przyszedłeś pozartować z moich umiejętności wilka morskiego?

- Wręcz przeciwnie. Wygląda na to, że twoja „Roberta Ann” jest w idealnym stanie - odrzekł Pitt, wszedł na pokład i uściśnął dłoń Danowi Martinowi. Twardy bostończyk o gęstych brunatnych włosach patrzył na przybysza niebieskimi oczami, w których migotały wesołe błyski.

- Staram się przygotować ją do Regat o Puchar Prezydenta w przyszłym tygodniu, ale nie mogę uporać się z silnikiem. Nowy gaźnik, przewody elektryczne i pompa paliwa, a nie chce odpalić.

Pitt pochylił się nad włazem i przyjrzał czterocylindrowemu silnikowi.

- Pochodzi chyba ze starego amerykańskiego austina - powiedział, przypominając sobie małe auto produkowane w latach dwudziestych i trzydziestych.

- Zgadza się. A właściwie z amerykańskiego bantama. Drugi właściciel miał przedstawicielstwo handlowe Bantama i najwyraźniej zamienił oryginalny silnik. Wszystko grało, dopóki nie zacząłem remontu.

- Zawsze tak jest.

- Napijesz się piwa? - zapytał Martin i wytarł ścierką umazane olejem ręce.

- Trochę dla mnie za wcześnie - odmówił Pitt.

Martin otworzył chłodziarkę, poszperał w środku i wyjął butelkę sama adamsa. Odkapslował ją, oparł się o reling i pociągnął solidny łyk.

- Domyślam się, że nie przyszedłeś tylko pogadać o łodziach. Pitt uśmiechnął się szeroko.

- Nie, to tak przy okazji. Chciałem cię zapytać, Dan, co wiesz o eksplozji w laboratorium na

Uniwersytecie Waszyngtona w zeszłym tygodniu.

- Skoro dyrektor NUMA nie dzwonił do mojego biura, to przypuszczam, że to nieoficjalne pytanie?

- Całkowicie prywatne - przytaknął Dirk.

- Dlaczego cię to interesuje? - Martin przeniósł wzrok na butelkę piwa i przyjrzał się uważnie etykietce.

- Lisa Lane, której pracownia naukowa wyleciała w powietrze, jest bliską przyjaciółką mojej żony. Właśnie wszedłem do budynku, żeby dać jej pewien raport, gdy nastąpił wybuch.

- Dziwne, że nikt nie zginął - odparł Martin. - Ale wiele świadczy o tym, że to była kontrolowana eksplozja.

- Tvoi ludzie tym się zajmują?

- Policja waszyngtońska nie potrafiła ustalić przyczyny, więc uznała, że to zamach terrorystyczny i wezwała nas. Przydzieliliśmy do sprawy trzech agentów parę dni temu.

Dan Martin kierował Sekcją Krajowych Operacji Antyterrorystycznych w Wydziale Antyterrorystycznym FBI. Podobnie jak Pitt, był miłośnikiem starych samochodów oraz łodzi i przyjaźnił się z dyrektorem NUMA od czasu, gdy przed kilkoma laty rywalizował z nim na konkursie zabytkowych aut.

- Więc nikt nie wierzy, że to był wypadek? - zapytał Pitt.

- Nie możemy tego jeszcze stwierdzić na pewno, ale nic na to nie wskazuje. Policyjni śledczy najpierw podejrzewali, że pękła rura gazowa, ale wybuch nastąpił w dużej odległości. I gaz nie eksplodował, bo wtedy zniszczenia byłyby dużo większe.

- W takim razie ktoś podłożył ładunek albo wywaliło coś w samym laboratorium.

Martin skinął głową.

- Powiedziano mi, że stały tam butle z tlenem i dwutlenkiem węgla, więc można przypuszczać, że to one wybuchły. Moi ludzie zrobili dokładną analizę pogorzelniska, która powinna wykazać, czy użyto materiału wybuchowego. Jutro mam dostać wyniki.

- Lisa Lane twierdzi, że nie mogło eksplodować nic, co przechowywała w laboratorium.

Orientujesz się, jakie badania prowadziła?

- Podobno biochemiczne, związane z gazami cieplarnianymi.

Pitt wyjaśnił, że pracowała nad sztuczną fotosyntezą i dokonała przełomowego odkrycia krótko przed wybuchem.

- Myślisz, że jest jakiś związek między jednym i drugim? - zapytał Martin, skończył piwo i wrzucił pustą butelkę z powrotem do chłodziarki.

- Nie mam pewności, tylko podejrzenia. Będiesz to wiedział, kiedy ustalisz, czy podłożono ładunek wybuchowy.

- Kogoś obstawiasz? Pitt zaprzeczył.

- Lane o nikim nie wspomniała, kiedy ją o to zapytałem.

- Jeśli wykluczemy przypadkową eksplozję, zaczniemy śledztwo od początku i sprawdzimy, kto mógłby za tym stać. Ale dodałbym do listy sabotaż. Mogą być jakieś powództwa przeciwko Uniwersytetowi Waszyngtona, które nas ukierunkują.

- Możecie zbadać jeszcze jeden trop. Chodzi mi o asystenta Lisy Lane, faceta nazwiskiem Bob Hamilton. Tu też nie mam żadnych dowodów, ale jego nieobecność w laboratorium w momencie wybuchu wydaje mi się podejrzana.

Martin spojrział na Pitta i dostrzegł w jego oczach błyski niepokoju. Znał Pitta wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie polega on tylko na przeczuciach i nie jest paranoikiem. Jeśli Pitt coś podejrzewał, to miał do tego podstawy.

- Każę go sprawdzić - przyrzekł Martin. - Coś jeszcze?

- Błąd w montażu - przytaknął Dirk z chytrym uśmiechem. Wsunął się do małego pomieszczenia silnikowego i zdjął kopułkę aparatu zapłonowego umieszczonego wysoko na silniku. Obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni i umocował z powrotem.

- Spróbuj teraz - polecił Martinowi.

Agent FBI wszedł do kokpitu żaglówki i wcisnął przycisk rozrusznika. Wał korbowy obrócił się dwa razy, mały silnik ożył i zaczął pracować jak maszyna do szycia na sterydach. Martin pogrzał go kilka minut i wyłączył z zakłopotaną miną.

- Byłbym zapomniał. Tony chce odzyskać swoją wiertarkę - powiedział Pitt na odchodnym.

- Dobrze, że wpadłeś, Dirk. - Martin się uśmiechnął. - Dam ci znać, do czego doszliśmy w sprawie laboratorium.

- Będę wdzięczny. Powodzenia w regatach.

Kiedy Pitt zszedł na pomost, Martin coś sobie przypomniał.

- Słyszałem, że skończyłeś naprawiać swojego auburna i jeździsz nim po mieście! - zawołał. - Chętnie bym go zobaczył.

Pitt pokręcił głową ze zboląłą miną.

- To niestety paskudna plotka. Odwrócił się i odszedł.

Wyniki analizy szczątków znalezionych w laboratorium na Uniwersytecie imienia Jerzego Waszyngtona trafiły na biurko Martina następnego dnia o dziesiątej rano. Po konsultacji z agentem kierującym dochodzeniem Martin podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Pitta.

- Dirk, mam już wstępne wyniki analizy z laboratorium, ale niestety nie mogę ci przysłać kopii raportu.

- Rozumiem - odparł Pitt. - A możesz mi powiedzieć, co się okazało?

- Miałeś rację. Nasi specjaliści są niemal pewni, że podłożono ładunek wybuchowy. Znaleźli śladowe pozostałości nitrogliceryny w pomieszczeniu.

- To składnik wybuchowy dynamitu, zgadza się?

- Tak, jest powszechnie stosowany w zwykłych laskach dynamitu. Mało nowoczesne, ale ma dużą siłę eksplozji.

- Nie wiedziałem, że jeszcze produkują ten materiał.

- Używa się go do celów przemysłowych, przede wszystkim w górnictwie.

- Jest jakaś szansa na ustalenie jego pochodzenia?

- Wytwarza go bardzo niewielu producentów, a każdy według trochę innego wzoru chemicznego, który jest faktycznie znakiem rozpoznawczym. Nasze laboratorium już dopasowało próbki do materiału wybuchowego pewnego kanadyjskiego producenta.

- To chyba zawęża zakres poszukiwań.

- Owszem, ale trop może się urwać. Wyślemy agentów na rozmowę do tej firmy z poleceniem sprawdzenia rejestrów sprzedaży, ale nie robiłbym sobie wielkich nadziei. Materiał wybuchowy mógł być ukradziony jakiejś spółce górniczej, która nawet się nie zorientowała, że coś zginęło. Mam tylko nadzieję, że to nie jest początek serii zamachów bombowych.

- Założę się, że nie - odrzekł Pitt. - Myślę, że celem była pracownia naukowa Lisy Lane.

- Pewnie masz rację. Znaleźliśmy nawet coś na poparcie tej teorii. Nasi specjaliści ustalili, że ładunek wybuchowy był zapakowany w tekturowe pudełko. Wynika z tego, że zamachowiec nie zamierzał nikogo okaleczyć ani zabić, bo wtedy użyłby bomby rurowej, która się rozrywa, a jej odłamki ranią ludzi. A tu najwyraźniej nie o to chodziło.

- Całe szczęście - powiedział Pitt. - Ale przypuszczam, że wasza praca dopiero się zaczyna.

- Tak, wyniki analizy zmusiły nas do wszczęcia szeroko zakrojonego śledztwa. Przesłuchamy wszystkich w budynku. Może ktoś widział coś podejrzanego i podsunie nam świeży trop. - Martin wiedział, że dochodzenia w sprawach eksplozji należą do wyjątkowo trudnych.

- Dzięki za informacje, Dan, i powodzenia. Jeśli coś mi przyjdzie do głowy, dam ci znać.

Pitt się rozłączył i poszedł korytarzem na briefing na temat boi NUMA w Zatoce Meksykańskiej ostrzegających o huraganach. Po spotkaniu opuścił budynek centrali. Eksplozja w laboratorium Uniwersytetu imienia Jerzego Waszyngtona nie dawała mu spokoju. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że to zdarzenie będzie miało poważne następstwa.

Pojechał do Szpitala Uniwersytetu Georgetown w nadziei, że Lisy jeszcze nie wypisano. Zastał ją w sali na pierwszym piętrze w towarzystwie krępego mężczyzny w trzyczęściowym garniturze. Obcy poderwał się z krzesła w rogu pokoju i obrzucił Pitta podejrzliwym wzrokiem.

- Wszystko w porządku, agencie Bishop - uspokajała Lisa z łóżka. - To mój przyjaciel, Dirk Pitt.

Agent FBI skinął głową wyszedł i stanął w korytarzu. Lisa przywitała się z Pittem.

- Dasz wiarę, że FBI przesłuchiwało mnie cały dzień, a teraz nawet na chwilę nie zostawiają mnie samej?

- Widocznie mają słabość do pięknych biochemiczek - zażartował Pitt z ciepłym uśmiechem. Był w duchu wdzięczny za ochronę Lisy. Potwierdzało to, że Martin traktuje sprawę poważnie.

Lisa się zarumieniła.

- Loren dzwoniła niedawno, ale nie wspomniała, że wpadniesz.

- Trochę się zaniepokoiłem, kiedy usłyszałem, że FBI prowadzi śledztwo.

Zauważył, że dziewczyna wygląda dużo lepiej niż podczas jego ostatniej wizyty. Miała jasne spojrzenie i mocny głos, jej cera odzyskała normalny kolor. Ale noga w gipsie i ręka na temblaku wskazywały, że nieprędko zagra w twistera.

- Co się dzieje? - Spojrzała błagalnie na Pitta. - Nic mi nie mówią.

- Podejrzewają że ktoś podłożył bombę w twoim laboratorium.

- Tak przypuszczałam - szepnęła. - Ale nie mogę w to uwierzyć.

- Znaleźli ślady materiału wybuchowego. Wiem, trudno to sobie wyobrazić. Masz jakichś wrogów?

Pokręciła głową.

- Przerabiałam to z agentami FBI dziś rano. Nie znam nikogo, kto mógłby zrobić coś takiego. I wiem, że Bob też nie.

- Możliwe, że ładunek wybuchowy podłożył jakiś szaleniec, który ma o coś pretensje do twojego uniwersytetu.

- Tylko to przychodzi mi na myśl. Choć Bob i ja zawsze zamykamy laboratorium, kiedy nikogo tam nie ma.

- Jest jeszcze jedna ewentualność - powiedział Pitt. - Wyniki twoich badań mogły zagrażać konkurencji.

Lisa zastanawiała się przez chwilę.

- To możliwe. Opublikowałam artykuł na temat moich badań. Ale tylko ty, Loren i Bob wiedzieliście, że wynalazłam katalizator. Nikt więcej. Trudno uwierzyć, że ktoś mógł zareagować tak szybko, jeśli istotnie dowiedział się o moim odkryciu.

Pitt milczał, gdy Lisa przez chwilę wpatrywała się w okno.

- Wydaje mi się, że sztuczna fotosynteza przyniosłaby same korzyści. Komu mogłoby zaszkodzić zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych?

- Kiedy znajdziemy na to odpowiedź, będziemy mieli podejrzanego - odrzekł Pitt i spojrzał na wózek inwalidzki po drugiej stronie łóżka. - Kiedy cię stąd wypuszczą?

- Lekarz powiedział, że najprawdopodobniej jutro po południu. Nareszcie. Chciałabym już wrócić do pracy i opisać moje odkrycie.

- Potrafisz powtórzyć test? - zapytał Pitt. Poklepała się po głowie.

- Mam go tutaj. Choć musiałabym pożyczyć trochę sprzętu laboratoryjnego, żeby wszystko przeprowadzić. To znaczy, gdyby Spółdzielnia Górnicza Ontario dostarczyła mi jeszcze jedną próbkę

rutenu.

- Twoje źródło minerału?

- Tak. Jest niezwykle cenny. Jego brak oznaczałby mój koniec.

- Powinno ci się teraz udać dostać większą subwencję.

- Nie chodzi tylko o koszt rutenu, ale i o jego dostępność. Bob mówi, że znalezienie go jest prawie niemożliwe.

Pitt zastanowił się i uśmiechnął do Lisy.

- Nie martw się, załatwimy to. Lepiej zrobię, jeśli nie będę ci dłużej przeszkadzał w rekonwalescencji. Jak będziesz potrzebowała kogoś do pchania wózka inwalidzkiego, dzwoń śmiało.

- Dzięki, Dirk. Ty i Loren jesteście wspaniali. Gdy tylko będę na chodzie, zaproszę was na kolację.

- Nie mogę się doczekać.

Wrócił do samochodu i stwierdził, że jest prawie pięta trzydzieści. Kierując się przeczuciem, zadzwonił do Loren, uprzedził ją, że w domu będzie późno, i udał się z powrotem do biurowca NUMA. Wjechał windą na dziesiąte piętro i wszedł do centrum komputerowego agencji, imponującego ośrodka przetwarzania i archiwizowania danych o oceanach świata, z którym żaden nie mógł się równać. W każdej sekundzie z boi na morzach docierały tu przekazy satelitarne z informacjami o prądach, pływach i warunkach pogodowych, dające natychmiastowy obraz sytuacji na wszystkich głównych akwenach kuli ziemskiej. W pamięci komputerów był też przechowywany i stale aktualizowany ogromny zbiór materiałów naukowych z dziedziny oceanologii.

Pitt zastał mężczyznę z kucykiem usadowionego przy dużej konsoli i spierającego się z atrakcyjną kobietą. Hiram Yaeger był twórcą centrum komputerowego NUMA i ekspertem w zakresie zarządzania bazami danych. Choć nosił nierównomiernie farbowany T-shirt i kowbojskie buty, był przykładnym mężem i ojcem i uwielbiał swoje dwie nastoletnie córki. Pitt wiedział, że Yaeger zawsze robi śniadanie żonie oraz dziewczynkom i często wymyka się popołudniami na mecze piłkarskie i recitale, a wieczorami nadrabia stracony czas.

Kiedy Pitt podszedł bliżej, jak zwykle nie mógł się nadziwić, że kobieta sprzecząca się z Yaegerem nie jest żywą istotą, lecz trójwymiarowym hologramem. Informatyk stworzył ją sam na podobieństwo swojej żony jako interfejs z rozległą siecią komputerową i nadał jej imię Max.

- Panie dyrektorze, czy mógłby pan wpłynąć na Hirama? - zwróciła się do Pitta holograficzna kobieta. - Nie zgadza się, kiedy mu mówię, że damska torebka powinna pasować do pantofli.

Pitt skinął głową.

- Ja zawsze z tobą się zgadzam.

- Dziękuję. No widzisz - powiedziała pouczającym tonem do Yaegera.

Yaeger wyrzucił ręce do góry.

- Już dobrze, dobrze, trochę mi pomogłaś w wyborze prezentu urodzinowego dla mojej żony. - Odwrócił się do Pitta i pokręcił głową. - Głupio ją zaprogramowałem, że kłóci się ze mną jak moja żona.

Pitt się roześmiał i usiadł obok niego.

- Chciałeś, żeby była jak żywa.

- Tylko mi nie mów, że przyszedłeś porozmawiać o kobieciej modzie - zadrwił Yaeger.

- Mam do Max parę pytań z dziedziny mineralogii.

- Pożądana zmiana tematu - odrzekła Max, patrząc z góry na Yaegera. - Z przyjemnością panu

pomogę, panie dyrektorze. Co chciałby pan wiedzieć?

- Na początek, co możesz mi powiedzieć o rutenie?

Max zamknęła na moment oczy, potem wyrecytowała szybko:

- Ten pierwiastek to metal z grupy platynowców, znany z twardości. Ma srebrzystobiały kolor, liczbę atomową czterdzieści cztery i symbol Ru. Jego nazwa pochodzi od łacińskiego słowa rus, od którego wywodzi się nazwa Rosji. Odkrył go rosyjski geolog Karl Klaus w 1844 roku.

- Ma jakieś specjalne zastosowanie, używany jest do czegoś szczególnego? - spytał Pitt.

- Odznacza się wysoko cenionymi w przemyśle własnościami utwardzającymi, zwłaszcza w połączeniu z takimi pierwiastkami jak tytan. Ale nieregularność dostaw spowodowała ostatnio gwałtowny wzrost jego ceny, co zmusiło wytwórców różnych produktów do stosowania innych związków chemicznych.

- Ile może kosztować? - zainteresował się Yaeger.

- To jeden z najrzadszych minerałów na świecie. Jego obecna cena na rynku transakcji natychmiastowych przekracza dwanaście tysięcy dolarów za uncję.

- O rety - powiedział Yaeger. - Jest dziesięć razy droższy od złota. Chciałbym mieć kopalnię rutenu.

- Hiram poruszył ciekawy temat - zauważył Pitt. - Gdzie się wydobywa ten minerał?

Max na moment zmarszczyła brwi, gdy jej procesory przeszukiwały bazy danych.

- W tej chwili nie ma stałych źródeł. W ubiegłym wieku były nimi RPA i góry Ural w Rosji. W jedynej południowoafrykańskiej kopalni w Bushveld roczne wydobycie rutenu sięgało dziesięciu ton metrycznych, ale po szczytowym okresie w latach siedemdziesiątych spadło niemal do zera w 2000 roku. Mimo wzrostu cen nie wznowili eksploatacji.

- Innymi słowy, ich zasoby się wyczerpały - podsumował Pitt.

- Zgadza się. Od ponad czterdziestu lat nie odkryto w tamtym regionie znaczących złóż.

- Pozostaje jeszcze Rosja - przypomniał Yaeger. Max pokręciła głową.

- Rosyjski ruten pochodził tylko z dwóch małych kopalń położonych blisko siebie w dolinie rzeki Wisim. Najwięcej wydobywano tam w latach pięćdziesiątych. Rozległe osuwisko zniszczyło obie kopalnie kilka lat temu. Rosjanie je opuścili, twierdząc, że ich odbudowa i ponowne uruchomienie zajęłyby wiele lat.

- Nic dziwnego, że cena jest taka wysoka - stwierdził Yaeger. - Dlaczego interesuje cię ten minerał, Dirk?

Pitt opisał odkrycie metody sztucznej fotosyntezy przez Lisę Lane, rolę rutenu jako katalizatora w tym procesie i eksplozję w laboratorium. Yaeger gwizdnął cicho, gdy rozważył implikacje.

- Jakiś właściciel kopalni nawet nie podejrzewa, że stanie się bogatym człowiekiem - zauważył.

- Pod warunkiem że znajdzie ruten - odparł Pitt. - Co podsuwa mi pytanie, Max, gdzie mógłbym kupić większą ilość tego minerału?

Max wpatrzyła się w sufit.

- Niech pomyślę... Jeden czy dwóch maklerów na Wall Street byłoby w stanie sprzedać panu coś na cele inwestycyjne, ale dostępne ilości są niewielkie. Widzę tylko jedną małą kopalnię platyny w Ameryce Południowej, która ma na zbyciu śladowe ilości produktu ubocznego do dalszego przerobu. Obecnie zapasy tego minerału są raczej skąpe. Jedyne innym znanym źródłem jest Spółdzielnia Górnicza Ontario, gdzie można kupować ograniczone ilości wysokoprocentowego rutenu na uncje troy.

- Stamtąd Lisa dostała swoją próbkę - odrzekł Pitt. - Co jeszcze wiesz o tej firmie?

- Reprezentuje interesy niezależnych kopalń w Kanadzie i sprzedaje hurtowo wydobywaną przez nie rudę. Ma siedzibę w mieście Blind River w Ontario.

- Dzięki, Max. Bardzo mi pomogłaś, jak zawsze - powiedział Pitt. Dawno pozbył się niepewności podczas rozmów z hologramem i tak jak Yaeger czuł się przy Max niemal jak w towarzystwie żywej istoty.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Zawsze do usług. - Odwróciła się do Yaegera i upomniała go: - Nie zapomnij o mojej radzie w związku z twoją żoną.

- Żegnaj, Max - odparł Yaeger i wpisał polecenie do komputera. Max natychmiast zniknęła. Yaeger odwrócił się do Pitta.

- Szkoda by było, gdyby odkrycie twojej przyjaciółki poszło na marne z powodu braku rutenu.

- Jest tak ważne, że znajdzie się źródło - zapewnił z przekonaniem Pitt.

- Jeśli twoje podejrzenia co do eksplozji w laboratorium są słuszne, to ktoś już wie o deficycie minerału.

- Też się tego obawiam - przytaknął Pitt. - Jeśli są gotowi zabić, by przerwać badania, to zapewne chcą zdobyć pozostałe zapasy.

- I co zamierzasz?

- Odwiedzić Spółdzielnię Górniczą Ontario, żeby się przekonać, ile rutenu jest jeszcze naprawdę na świecie.

CZEŚĆ II
CZARNA KOBLUNA

Summer czekała na nabrzeżu, gdy zauważyła łódź motorową Trevora płynącą przez port. Miała na sobie obcisły szafranowy sweter, który podkreślał kolor jej rudych włosów opadających poniżej ramion. Wyraz jej szarych oczu złagodniał, kiedy motorówka zbliżyła się do brzegu; Trevor wychylił się ze sterówki i pomachał.

- Po drodze ci ze mną, marynarzu? - zapytała z szerokim uśmiechem.

- Nawet jeśli nie było, to teraz jest - odrzekł z zadowoloną miną, wyciągnął rękę i pomógł jej wejść na pokład. - A gdzie Dirk? - spytał.

- Rano jeszcze łupało go w głowie, więc wziął aspirynę i wrócił do łóżka.

Trevor odepchnął łódź od nabrzeża, minął przystań miejską i skierował się na wody zatoki. Gdyby zerknął na mały ziemny parking portowy, mógłby zobaczyć elegancko ubranego mężczyznę, który siedział w brązowej terenówce marki Jeep i obserwował, jak odpływają.

- Skończyłeś swoją poranną inspekcję? - zapytała Summer, gdy mijali załadowany do pełna drewnowiec.

- Tak. Huta aluminium chce po prostu trochę powiększyć swój plac wyładowniczy. Miałem obowiązek sprawdzić, jaki to miałyby wpływ na środowisko. - Spojrzał na Summer z krzywym uśmiechem. - Rano odetchnąłem z ulgą, kiedy nie zastałem przy łodzi czekającej na mnie policji.

- Wątpię, żeby ktoś cię widział na terenie Terra Green. Prędzej Dirk i ja zobaczymy nasze podobizny na listach gończych w tutejszym urzędzie pocztowym - odparła z nerwowym śmiechem.

- Założę się, że ochrona zakładu nie zawiadomiła policji. Na pewno są przekonani, że zabili Dirka.

- Chyba że kamera nadzoru uchwyciła, jak wyławiasz go żywego.

- W takim wypadku wszyscy jesteśmy w tarapatach. - Odwrócił się do Summer z zaniepokojoną miną. - Może byłoby dobrze, gdybyście oboje nie pokazywali się w mieście. Piękna, wysoka rudowłosa kobieta rzuca się w oczy w Kitimat.

Zamiast się zarumienić, Summer przysunęła się do Trevora i spojrzała mu głęboko w oczy. Puścił koło sterowe, objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Popatrzył na nią i pocałował ją długo i namiętnie.

- Nie chcę, żeby coś ci się stało - szepnął.

Sternik małego frachtowca, który zdążył w przeciwnym kierunku, zobaczył tę scenę i włączył syrenę okrętową. Trevor pomachał do niego ręką i ujął z powrotem ster. Płynąc szybko w dół Zatoki Douglasa, wciąż otaczał szczupłą talię dziewczyny.

Turkusowa łódź NUMA stała przycumowana tam, gdzie ją zostawili, i Summer szybko ruszyła nią w drogę. Dwie motorówki ściagały się ze sobą do Kitimat i minęły zakład Terra Green bez żadnych przygód. Ledwo przybili do brzegu, na pomoście zjawił się Dirk. Szedł wolnym krokiem i był w czapce bejsbolowej, żeby zasłonić bandaż na głowie.

- Jak twoja czaszka? - zapytał Trevor.

- Lepiej - odrzekł Dirk. - Wybuchy dynamitu przeszły w uderzenia młotem kowalskim. Choć dzwony kościoła Świętej Marii nadal biją głośno.

Summer skończyła przywiązywać łódź NUMA do pomostu i podeszła do obu mężczyzn z opasłą walizką w ręku.

- Gotowi do pracy? - spytała.

- Próbkę wody - powiedział Trevor.

- Zgadza się - odparła i uniosła analizator wypożyczony z pływalni miejskiej w Kitimat.

Weszła do motorówki Trevora i pomogła zebrać buteleczki napełnione poprzedniej nocy. Dirk i Trevor usiedli na krawędzi burty, Summer otworzyła analizator i zaczęła sprawdzać kwasowość próbek.

- Mam pH osiem i jedna dziesiąta - oznajmiła po pierwszym teście. - Kwasowość jest powyżej poziomu w okolicznych wodach, ale nieznacznie.

Zbadała wszystkie swoje próbki, a potem wodę w buteleczkach napełnionych przez Trevora. Wyniki testów prawie się nie różniły. Kiedy sprawdziła ostatnią próbkę, mina jej zrzędła.

- Znowu pH osiem i jedna dziesiąta. Woda wokół zakładu Terra Green ma normalny wskaźnik.

- To obala naszą teorię, że firma pozbywa się dwutlenku węgla - stwierdził Trevor.

- Mitchellowi Goyette'owi należy się medal - zauważył sarkastycznie Dirk.

- Nie daje mi spokoju tamten zbiornikowiec - powiedziała Summer. Trevor spojrzał na nią zaintrygowany.

- Przeszkadzili nam, więc nie możemy tego udowodnić, ale Dirk i ja podejrzewamy, że na statek tłoczono dwutlenek węgla, zamiast go wyładowywać.

- To nie miałoby sensu, chyba że transportują go do innego zakładu sekwestracji. Albo wypuszczają do morza.

- Zanim zaczniemy tropić zbiornikowiec przez pół świata, proponuję przyjrzeć się jeszcze raz miejscu, gdzie zmierzaliśmy ekstremalną kwasowość wody, to znaczy cieśninie Hecate - odrzekła Summer. - Mamy odpowiedni sprzęt - dodała i wskazała łódź NUMA.

- Właśnie - zgodził się Dirk. - Trzeba zbadać dno morskie przy wyspie Gil. Tam musi być odpowiedź.

- Możecie zostać, żeby to zrobić? - zapytał Trevor z nadzieją w głosie.

Dirk spojrzał na Summer.

- Dostałem telefon z biura w Seattle. Chcą mieć z powrotem łódź do końca tygodnia, żeby skierować ją do zatoki Puget. Możemy zostać jeszcze dwa dni, potem będziemy musieli się zwinąć.

- Zdamy sprawdzić całkiem duży rejon - odrzekła Summer. - Zaczniemy jutro z samego rana. Będiesz mógł przyłączyć się do nas, Trevor? - Teraz w jej głosie zabrzmiała nadzieja.

- Za nic bym tego nie przepuścił - odparł uszczęśliwiony.

Kiedy wychodzili razem z portu, brązowy dżip z nalepką wypożyczalni samochodów na zderzaku jechał wolno pobliską drogą. Kierowca zatrzymał się krótko na otwartej przestrzeni, skąd miał dobry widok na przystań miejską i zatokę. Clay Zak przyjrzał się przez przednią szybę dwóm łodziom przycumowanym jedna za drugą na końcu nabrzeża. Skinął głową i wolno ruszył dalej.

Kiedy Trevor przyszedł na nabrzeże następnego dnia około siódmej rano, Dirk i Summer już rozkładali swój sprzęt sonarowy na pokładzie rufowym. Cmoknął szybko Summer, gdy Dirk był zajęty zwijaniem liny holowniczej, potem wciągnął na łódź małą chłodziarkę.

- Mam nadzieję, że chętnie zjecie na lunch świeżo uwędzonego łososia - powiedział.

- To duża odmiana po maśle orzechowym i ogórkach konserwowych Dirka - odparła Summer.

- Nigdy na to nie narzekasz - odciął się Dirk, wszedł do sterówki, uruchomił silnik i wrócił na pokład rufowy. - Muszę wziąć paliwo - oznajmił.

- Możesz zatankować za zakretem - odrzekł Trevor. - Tam jest trochę taniej niż na przystani miejskiej. - Zastanowił się. - Ja też to zrobię. Popłyn za mną, potem zostawimy moją łódź przy wyjściu z portu.

Dirk skinął głową, Trevor przeskoczył na nabrzeże i poszedł do swojej motorówki zacumowanej tuż za łodzią NUMA. Otworzył drzwi sterówki, uruchomił diesla i posłuchał basowego warkotu. Spojrzał na wskaźnik paliwa i zauważył na desce rozdzielczej okulary przeciwsłoneczne, które musiała zostawić Summer. Podniósł wzrok i zobaczył, że łódź NUMA odcumowuje. Chwycił okulary, wyskoczył z motorówki i pobiegł nabrzeżem.

- Potrzebujesz ochrony dla pięknych szarych oczu? - zapytał. Popatrzyła na grubą warstwę deszczowych chmur, potem przeniosła spojrzenie na Trevora.

- Dzisiaj nie, ale dzięki za dowód, że nie jesteś złodziejem. Wyciągnęła rękę, by odebrać okulary, gdy nagle za nimi rozległ się huk. Potężny podmuch rzucił ich na nabrzeże, drzazgi posypały się im na głowy. Trevor zasłonił Summer własnym ciałem, kilka małych kawałków drewna i fibreglasu uderzyło go w plecy.

Prosty zapalnik czasowy ustawiony na pięć minut był przymocowany do czterech lasek dynamitu nitroglicerynowego i połączony z włącznikiem zapłonu na łodzi Trevora. Wybuch niemal oderwał całą część rufową kanadyjskiej łodzi i zmiotł większość sterówki. Rufa szybko zatonąła, zniszczony dziób utrzymywał się uparcie na powierzchni, wisząc pod groteskowym kątem na cumie.

W momencie eksplozji Dirk stał w kabinie własnej motorówki i nie dosięgły go fruwające szczątki. Natychmiast przeskoczył na nabrzeże i ujrzał Summer, której Trevor właśnie pomagał wstać. Nic jej się nie stało. Trevor miał mniej szczęścia. Krwawił z rany w ramieniu, gdzie utkwiał duży odłamek, i kulał, ugodzony kawałkiem drewna w nogę. Zignorował obrażenia i dokuśtykał do pływających szczątków swojej łodzi. Summer i Dirk obejrzel się wzajemnie, żeby się upewnić, że nie ucierpieli, potem Dirk wskoczył z powrotem na pokład, chwycił gaśnicę i stłumił ogień, by nie dopuścić do większego pożaru.

Summer znalazła ręcznik i podbiegła do Trevora, który ścisnął rozcięte ramię i patrzył w osłupieniu na wrak motorówki. Kiedy usłyszeli syrenę policyjną, Trevor odwrócił się do Summer z wyrazem bólu i gniewu na twarzy.

- To musiała być robota Terra Green - mruknął. - Ciekaw jestem, czy zabili też mojego brata?

W barze kawowym trzy kilometry od portu Clay Zak wyglądał przez okno, podziwiając kłęby dymu i płomienie nad wodą w oddali. Dokończył espresso i ciastko, zostawił na stoliku duży napiwek i poszedł do wypożyczonego brązowego dzipa zaparkowanego na ulicy.

- Dym na wodzie - mruknął głośno i zanucił utwór Deep Purple pod tym tytułem.

Wsiadł do samochodu i pojechał spokojnie na lotnisko za miastem, gdzie czekał na niego prywatny odrzutowiec Mitchella Goyette'a.

Firmowy odrzutowiec zatoczył krąg nad lotniskiem, czekając, aż mały samolot oderwie się od ziemi i zwolni pas startowy, potem dostał z wieży kontrolnej pozwolenie na lądowanie. Pomalowany na ten sam turkusowy kolor, co statki NUMA, hawker 750 należący do agencji, usiadł miękko na płycie lotniska. Niewielki odrzutowiec dokołował do czerwonego ceglanego budynku i zatrzymał się obok dużo większego gulfstreama G650. Drzwi w kadłubie otworzyły się, Pitt szybko wyszedł z samolotu i włożył kurtkę dla ochrony przed rześkim chłodnym powietrzem. Wszedł do budynku terminalu, gdzie powitał go pulchny mężczyzna stojący za ladą.

- Witam w Elliot Lake - powiedział przyjaźnie z wiejskim akcentem. - Nieczęsto gościmy tu dwa odrzutowce jednego dnia.

- Trochę za krótki pas startowy dla przewoźników? - zapytał Pitt.

- Ma tylko niecałe tysiąc czterysta metrów długości, ale chcemy wydłużyć go w przyszłym roku. Załatwić panu samochód z wypożyczalni?

Pitt potwierdził i po pewnym czasie opuścił terminal z kluczykami do niebieskiego suwa marki Ford. Rozłożył mapę na masce samochodu i zorientował się w terenie.

Elliot Lake to małe miasto blisko północno - wschodniego brzegu jeziora Huron. Leży jakieś czterysta czterdzieści kilometrów na północ od Detroit wśród kanadyjskiej głuszy w okręgu Algoma w prowincji Ontario. Otaczają je poszarpane góry, kręte rzeki i głębokie jeziora. Pitt znalazł na mapie lotnisko usytuowane w gęstym lesie kilka kilometrów na południe od miasta i jedyną drogę biegnącą przez góry na południe do autostrady Trans - Canada i jeziora Huron. Około dwudziestu pięciu kilometrów na zachód zlokalizował cel swojej podróży, stare tartaczne i górnicze miasto o nazwie Blind River.

Podczas jazdy malowniczą trasą minął kilka górskich jezior i wodospad na rwącej rzece. Dotarł do płaskiego terenu nad jeziorem Huron i wjechał bez pośpiechu do miasta Blind River. Podziwiał po drodze urokliwe drewniane domy zbudowane w większości w latach trzydziestych XX wieku. Za miastem zobaczył duży blaszany magazyn przy placu z wysokimi stertami odłamków skalnych i rudy. Wielka kanadyjska flaga powiewała nad wyblakłym szyldem „Spółdzielnia Górnicza Ontario. Skład surowca”. Pitt skręcił i zaparkował blisko wejścia. Barczysty mężczyzna w brązowym garniturze zszedł po schodach do nowego białego sedana. Kiedy Pitt wysiadł ze swojego wypożyczonego samochodu i wchodził do budynku, zauważył, że obcy przygląda mu się przez ciemne okulary przeciwsłoneczne.

Zakurzone wewnątrz przypominało muzeum górnictwa. Kąty zagracały zardzewiałe wózki do transportu rudy i kilofy, wysokie półki ugięły się pod ciężarem periodyków branżowych i starych fotografii. Za długą drewnianą ladą stał masywny staromodny sejf bankowy, gdzie zapewne trzymano próbki cenniejszych minerałów, jak przypuszczał Pitt. Za kontuarem siedział starszy mężczyzna, który wydawał się niemal tak samo zakurzony jak całe pomieszczenie. Miał głowę w kształcie cebuli, szare oczy oraz siwe włosy i wąsy pasowały kolorem do spłowiałej flanelowej koszuli pod

pasiastymi szelkami. Patrzył na Pitta przez zatknięte na czubku nosa okulary w stylu Bena Franklina.

- Dzień dobry - powiedział Pitt i się przedstawił. Zerknął w górę na lśniący blaszany pojemnik podobny do wielkiej piersiówki i dodał: - Ma pan tu piękny stary kanister do nafty.

Staremu człowiekowi zabłyśły oczy, kiedy się zorientował, że Pitt nie jest zabłąkanym turystą szukającym drogi.

- Tak, kiedyś uzupełniano z niego naftę w lampach górniczych. Pochodzi z pobliskiej kopalni Bruce Mines. Mój dziadek wydobywał tam miedź, dopóki nie zwinęli interesu w 1921 roku - odrzekł chrapliwym głosem.

- Dużo jest miedzi w tych górach? - zapytał Pitt.

- Nie tyle, żeby wystarczyło na długo. Większość kopalń miedzi i złota zamknięto kilkadziesiąt lat temu. Swego czasu przyciągały mnóstwo górników, ale niezbyt wielu ludzi się wzbogaciło - odparł, kręcąc głową. Spojrzał Pittowi w oczy i spytał: - Czym mogę panu służyć?

- Chciałbym się dowiedzieć, czy macie na składzie ruten.

- Ruten? - Popatrzył dziwnie na Pitta. - Jest pan z tamtym wielkim facetem, który przed chwilą wyszedł?

- Nie - zaprzeczył Pitt i przypomniał sobie intrygujące zachowanie mężczyzny w brązowym garniturze. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że skądś go zna.

- To ciekawe. - Stary człowiek przyglądał się Pittowi podejrzliwie. - Tamten gość był z Ministerstwa Zasobów Naturalnych w Ottawie. Sprawdzał tu nasze zapasy i źródła rutenu. Dziwne, że interesował go tylko ten jeden minerał. A teraz pan pyta o to samo.

- Podał panu swoje nazwisko?

- Chyba John Booth. Pomyślałem, że jest trochę dziwny. Co pana interesuje, panie Pitt?

Pitt wytłumaczył z grubsza, czym się zajmuje Lisa Lane, i wyjaśnił rolę rutenu w jej pracy naukowej. Pominął jej niedawne odkrycie i eksplozję w laboratorium na Uniwersytecie imienia Jerzego Waszyngtona.

- A tak, przypominam sobie, że wysłaliśmy tam próbkę przed tygodniem czy dwoma. Nie mamy zbyt wielu zamówień na ruten, dostajemy je tylko z kilku państwowych placówek naukowych i czasami z jakiejś firmy stosującej najnowocześniejsze technologie. Mało kto może sobie pozwolić na zakup po obecnej cenie. Dla nas jest ona oczywiście korzystna, bo jak dostajemy zamówienie, dobrze na tym zarabiamy. - Mrugnął z uśmiechem. - Szkoda tylko, że nie możemy w żaden sposób uzupełniać naszych zapasów.

- Nie macie żadnego dostawcy?

- Nie, już od lat. Niedługo zostaniemy bez rutenu. Dostawaliśmy trochę z kopalni platyny na wschodzie Ontario, ale w rudzie, którą teraz wydobywają, są tylko śladowe ilości. Jak mówiłem panu Boothowi, większość rutenu wzięliśmy od Inuitów.

- Wydobyli go na północy? - zapytał Pitt.

- Najwyraźniej. Pokazywałem panu Boothowi rejestr transakcji. - Wskazał starą, oprawioną w skórę księgę na drugim końcu lady. - Dostawa była ponad sto lat temu. W rejestrze są szczegóły. Inuici nazywali go „czarną kobłą”, czy jakoś tak. My zawsze mówiliśmy o nim „adelajda”, od obozu Inuitów na półwyspie Adelaide w Arktyce.

- I to jest cały kanadyjski ruten?

- O ile się orientuję. Ale nie wiadomo, czy coś zostało w źródle Inuitów. Słyszałem, że bali się wrócić na wyspę, gdzie go wydobyli, bo podobno wisiała nad nią jakaś klątwa. Złe duchy

sprowadziły tam na nich śmierć i szaleństwo, czy coś takiego. Kolejna niewiarygodna opowieść z północy.

- Przekonałem się, że lokalne legendy często oparte są na faktach - odrzekł Pitt. - Mogę spojrzeć na ten rejestr?

- Proszę bardzo. - Stary geolog podszedł do końca kontuaru, wziął księgę i wrócił, przerzucając po drodze kartki. Nagle zmarszczył groźnie brwi i poczerwieniał. - Matko Boska! - jęknął. - Wyrwał część stron z mapką. Przy mnie. Był tu odręczny rysunek lokalizacji kopalni, a teraz zniknął.

Stary człowiek rzucił księgę na ladę i zwrócił gniewny wzrok ku drzwiom. Pitt zobaczył, że brakuje dwóch kartek. Zostały starannie wydarte z rejestru.

- Zaryzykowałbym twierdzenie, że pan Booth nie jest tym, za kogo się podawał - powiedział.
- Powinienem nabrać jakichś podejrzeń, kiedy się okazało, że nie wie, co to jest płuczka - burknął mężczyzna. - Nie mam pojęcia, dlaczego ukradł mapkę. Mógł po prostu poprosić o kopię.

Pitt znał powód. Pan Booth nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, gdzie Inuici wydobyli ruten. Obrócił księgę i przeczytał część wpisu przed brakującymi kartkami.

„22 października 1917.

Horace Tucker z Kompanii Handlowej Churchill dokonał konsygnacji następujących ilości nieoczyszczonej rudy:

5 ton miedzi

12 ton ołowiu

2 tony cynku

1/4 tony rutenu (adelajdy, czarnej kobluny)

Źródło i adnotacje probiercy poniżej”.

- To była jedyna dostawa od Inuitów? - spytał Pitt. Stary człowiek przytaknął.

- Treść brakujących kartek wskazywała, że minerał dostarczono w rzeczywistości kilkadziesiąt lat wcześniej. Faktoria w Churchill nie mogła znaleźć nabywcy, dopóki Tucker nie przywiózł próbki z kopalni w Manitobie.

- Jest jakaś szansa, że rejestry Kompanii Handlowej Churchill jeszcze istnieją?

- Bardzo wątpię. Wypadli z branży około 1960 roku. Spotkałem Tuckera kilka lat później w Winnipeg, krótko przed jego śmiercią. Powiedział mi wtedy, że stara faktoria w Churchill doszczętnie spłonęła. Przypuszczam, że ich dokumenty zniszczył pożar.

- W takim razie trop się urywa. Przykro mi z powodu kradzieży tych kartek z pańskiego rejestru, ale dziękuję, że podzielił się pan ze mną tym, co pan wie.

- Proszę zaczekać - rzekł mężczyzna. Podszedł do sejfu i otworzył ciężkie drzwi. Pogrzebał w drewnianej skrzynce w środku i rzucił coś Pittowi.

- Czarna kobluna? - zapytał Pitt, oglądając mały gładki kamień o srebrzystobiałej barwie.

- Próbką, żeby pan wiedział, o czym rozmawialiśmy.

Pitt wyciągnął rękę przez ladę, uściśnął dłoń geologowi i podziękował za poświęcony mu czas.

- Jeszcze jedno - powiedział stary człowiek, gdy Pitt ruszył do drzwi. - Jak pan się natknie na tego Booth'a, niech mu pan przekaże, że oberwie ode mnie kilofem, jeśli jeszcze raz pokaże mi się na oczy.

Popołudnie zrobiło się zimniejsze, bo nadciągał front atmosferyczny, i Pitt, wyjeżdżając z

parkingu spółdzielni górniczej, czekał niecierpliwie, aż z nagrzewnicy samochodu zacznie płynąć ciepłe powietrze. Zjadł szybki lunch w taniej restauracji w Blind River i pojechał z powrotem krętą górską drogą w kierunku lotniska, rozmyślając o tym, co usłyszał o rutenie. Ruda musiała pochodzić z Arktyki, przypuszczalnie z okolic obozu Inuitów na półwyspie Adelaide. Jak wydobyli minerał prymitywną techniką? Czy pozostały tam jeszcze znaczące złoża? I kim jest John Booth? Dlaczego interesuje się rutenem?

Pitt nie znalazł odpowiedzi na te pytania, gdy posuwał się malowniczą trasą wśród wzgórz. Dogonił jadący wolniej wóz kempingowy i musiał przyhamować. Kierowca pojazdu usunął się na bok i dał mu ręką znak, żeby go wyprzedził. Pitt nacisnął gaz i przemknął obok domu na kołach z rejestracją Kolorado.

Droga przed nim wiała się jak wąż, dwa pasy ruchu biegły skalistym zboczem góry opadającym do rzeki poniżej. Pokonał ciasny łuk i zobaczył w dole półtorakilometrowy odcinek serpentyn. Na poboczu stał biały sedan, ten sam, do którego John Booth wsiadł po wyjściu ze spółdzielni górniczej. Pitt stracił auto z oczu, gdy znalazł się za następnym zakrętem.

Przejechał dwa ostre łuki w kształcie litery S i wypadł na krótką prostą. Na lewo od niego otwierała się głęboka przepaść. Kiedy nabrał szybkości, usłyszał cichy trzask podobny do odległego wybuchu fajerwerku. Rozejrzał się, ale nic nie zauważył. Nagle rozległo się donośne dudnienie. Pitt dostrzegł jakiś ruch i spojrzał w górę. Pięćdziesiąt metrów przed nim ze zbocza powyżej zsuwał się głaz wielkości domu. Ogromna skała toczyła się wprost na jego samochód.

Pitt natychmiast wcisnął do oporu pedały hamulca. Opony zaczęły tracić przyczepność i popiskiwać w proteście, ale układ ABS nie dopuścił do niekontrolowanego poślizgu. Gdy czekał przez kilka sekund, aż samochód się zatrzyma, zauważył, że osuwa się całe zbocze. W ślad za głazem spadała lawina odłamków skalnych i żwiru. Pitt zorientował się, że zaraz runie na niego pół góry. Wiedział, że ma tylko jedną szansę ucieczki.

Szybkie hamowanie uchroniło go przed zmiżdżeniem przez pierwszą bryłę. Wielka skała uderzyła w asfalt zaledwie pięć metrów przed samochodem i rozpadła się na kilka części. Większość kamieni nadal turlała się w dół zbocza, pokonywała barierę ochronną i koziołkowała po stromym urwisku ku rzece. Parę większych kawałków pozostało na drodze i zniknęło pod osuwiskiem, które je przysypało.

Auto Pitta wpadło na granitową płytę i momentalnie wytraciło prędkość. Choć uderzenie wgniotło zderzak i osłonę chłodnicy, mechanizmy pojazdu nie ucierpiały. Pitt poczuł tylko silny wstrząs, ale taka kolizja wystarczyła, by zadziałała poduszka powietrzna, która wyrosła przed nim jak balon, gdy samochód odbił się od przeszkody i cofnął. Dirk był jednak szybszy od poduszki. W chwili zderzenia miał już wrzucony wsteczny bieg w automatycznej skrzyni przekładniowej i wciśnięty pedał gazu.

Tylne opony zadymiły, zanim wirujące koła złapały przyczepność i samochód wystartował do tyłu. Pitt ścisnął kierownicę i trzymał ją prosto, żeby odwrócony nagle moment obrotowy nie spowodował wężykowania auta. Układ przeniesienia napędu wył pod jego stopami, gdy niskie przełożenie do jazdy wstecz zmagало się z wysokimi obrotami silnika. Mężczyzna zerknął w górę zbocza i zobaczył, że lawina kamieni i żwiru pędzi prosto na niego. Osuwisko rozrosło się i sięgało daleko poza tył samochodu. Pitt szybko zdał sobie sprawę, że nie ucieknie.

Jak szara fala przyływu, sunąca ściana odłamków skalnych zwała się na szosę i zasypała najpierw kilka metrów jezdni przed autem. Przez moment wydawało się, że samochód zdąży umknąć

przed lawiną, ale skupisko głazów, które od niej się oddzieliło, wylądowało za nim. Pitt nie mógł nic zrobić i kiedy auto uderzyło w ruchomą warstwę skał z przeraźliwym zgrzytem gnieczonego metalu, pozostało mu tylko mocno się trzymać.

Samochód zawadził podwoziem o duży głaz, tylna oś się urwała i jedno z kół stoczyło się ze zbocza. Pitt został odrzucony do tyłu na siedzeniu, gdy druga fala spadających kamieni trafiła w bok auta od strony pasażera i przewróciła je na dach. Poleciał w lewo i uderzył głową w boczną poduszkę powietrzną, która akurat się otworzyła. Parę sekund później znów został szarpnięty w bok i walnął głową w szybę w drzwiach kierowcy przez opróżnioną już poduszkę powietrzną. Uszy wypełnił mu głośny hałas, gdy samochód sunął w poprzek drogi, zanim zatrzymał się gwałtownie. Pitt, już na granicy przytomności, usłyszał szum osuwającego się żwiru. Stracił ostrość widzenia, runął na fotel i poczuł niewyraźnie ciepłą wilgoć na twarzy. Potem przestało do niego cokolwiek docierać, otoczyły go ciemność i cisza.

Pitt po łupaniu pod czaszką, które rozsadzało mu głowę, zorientował się, że żyje. Chwilę później odzyskał słuch i z pobliza dotarł do niego rytmiczny odgłos skrobania. Zacisnął palce, poczuł opór i uświadomił sobie, że wciąż trzyma kierownicę samochodu. Choć mógł swobodnie poruszać nogami, to głowę, klatkę piersiową i ramiona miał całkowicie unieruchomione. Jego przytępiony umysł zasygnalizował nagle kłopoty z oddychaniem, więc Dirk zaczął się miotać, żeby odzyskać swobodę, ale czuł się jak mumia. Uniósł wolno powieki, które sprawiały wrażenie sklejonnych, ale zobaczył tylko ciemność.

Napór na klatkę piersiową wzmógł się, więc szarpnął mocniej i w końcu zdołał uwolnić rękę z tajemniczego uścisku. Usłyszał czyjś głos i energiczne szuranie, potem coś otarło mu się o twarz i oślepiło go światło. Wciągnął do płuc zapyłone powietrze i spróbował przebić się wzrokiem przez otaczającą go mgiełkę. Zobaczył brązowe ślepka czarno - brunatnego jamnika. Ku jego zdumieniu, piesek wydawał się stać do góry nogami. Jamnik zbliżył się, obwąchał mu twarz i polizał go po nosie.

- Z drogi, Mauser, on żyje - odezwał się w poblizu męski głos. Pojawiły się dwie grube ręce i odkopały z ziemi i żwiru głowę oraz tors Pitta. Mógł wreszcie uwolnić ramiona i strząsnąć warstwę ziemi z ciała. Wytarł rękawem zakrzepłą krew i kurz z oczu, rozejrzał się dookoła siebie. Pas bezpieczeństwa utrzymywał go w niewygodnej pozycji i Dirk zdał sobie sprawę, że to on wisi do góry nogami, nie pies. Para pomocnych dłoni wsunęła się do samochodu, odnalazła przycisk odpinania pasa bezpieczeństwa i Pitt opadł na sufit auta. Przesunął się w kierunku bocznego okna kierowcy, ale ręce szarpnęły go w stronę otwartych drzwi pasażera.

- Tutaj, panie kolego. Tamtędy nie radzę wysiadać.

Pitt usłuchał i podpełzł do prawych drzwi, gdzie mężczyzna pomógł mu wydostać się z samochodu i wstać. Łupanie w głowie ustało, kiedy Dirk przyjął pozycję pionową ale strużka krwi nadal spływała mu po policzku. Spojrzał na zdemolowane auto i pokręcił głową, nie dowierzając, że ocalał.

Osuwająca się masa kamieni i żwiru nie tylko przewróciła samochód na dach, lecz również zepchnęła go z jezdni na samą krawędź przepaści opadającej do rzeki w dole. Ford runąłby w dół i Pitt niechybnie by zginął, gdyby nie solidnie zabetonowany słupek kilometrowy. Cienka metalowa rura zablokowała samochód tuż za przednim błotnikiem, gdy tony odłamków skalnych i żwiru przelatowały obok przewróconego pojazdu. Szosa była przysypana ziemią i kamieniami na odcinku pięćdziesięciu metrów.

- Chyba przyzwoity i zdrowy tryb życia uchronił pana przed runięciem w przepaść - powiedział wybawca Pitta.

Dirk odwrócił się do starszego, siwego brodatego mężczyzny w dobrej kondycji fizycznej, który patrzył na niego szarymi wesołymi oczami.

- To nie przyzwoity i zdrowy tryb życia mnie uratował, zapewniam pana - odparł Pitt. - Dzięki, że

mnie pan wyciągnął. Na pewno bym się tam udusił.

- Nie ma o czym mówić - odrzekł mężczyzna. - Chodźmy do mojego samochodu, opatrę pana. - Wskazał pojazd kempingowy zaparkowany na pustym asfalcie kilka metrów dalej. Pitt rozpoznał dom na kołach, który wyprzedził przed zdarzeniem.

Skinął głową i ruszył za mężczyzną i jamnikiem. Kiedy weszli przez otwarte boczne drzwi, zobaczył z zaskoczeniem, że wewnątrz pojazdu jest wykończony drewnem tekowym i lśniącem mosiądzem jak luksusowa kabina żaglowca. Na jednej ścianie zauważył biblioteczkę pełną książek o górnictwie i geologii.

- Proszę się umyć, poszukam apteczki - powiedział mężczyzna. Pitt mył ręce i twarz w porcelanowej umywalce, gdy z włączonym kogutem przyjechał radiowóz Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej. Stary człowiek wyszedł porozmawiać z policjantami, wrócił po kilku minutach i pomógł Dirkowi założyć opatrunek na wąskie skaleczenie, które biegło zygzakiem z lewej strony jego głowy.

- Konni powiedzieli, że kilka kilometrów stąd są prowadzone roboty drogowe. Ekipa przyjedzie dość szybko ze spycharko-ładowarką i oczyści szosę w godzinę lub dwie. Będą chcieli od pana zgłoszenie wypadku, jak poczuje się pan na siłach.

- Dzięki, że pan ich na razie odprawił. Dopiero zaczynam dochodzić do siebie.

- Przepraszam, że wcześniej nie zapytałem. Na pewno dobrze by panu zrobiło coś mocniejszego. Czego się pan napije?

- Oddałbym wszystko za tequilę, jeśli pan ma - odrzekł Pitt i opadł na mały skórzany fotel. Jamnik natychmiast wskoczył mu na kolana i zaczął się łąsić, podsuwając łeb, by podrapać go za uszami.

- Szczęście panu sprzyja - oznajmił mężczyzna, wyjął z szafki niską butelkę tequili Don Julio i zakręcił nią w powietrzu. - Zostało jeszcze parę kieliszków.

- Szczęście sprzyja mi dziś po raz drugi. To doskonała tequila - zauważył Pitt, gdy rozpoznał po etykietce drogi gatunek trunku z agawy.

- Mauser i ja lubimy dobre rzeczy w podróży - rzekł mężczyzna z szerokim uśmiechem i nalał solidną porcję Pittowi i sobie.

Pitt pozwolił, by ciepły alkohol spłynął mu cienką strużką do gardła, i rozkoszował się jego smakiem. Niemal natychmiast rozjaśniło mu się w głowie.

- To było potężne osuwisko - stwierdził gospodarz. - Dobrze, że nie był pan kilka metrów dalej na drodze.

- Zobaczyłem, co się święci, i próbowałem uciec na wstecznym biegu, ale nie zdążyłem.

- Nie wiem, co za dureń mógł wysadzić w powietrze skały nad szosą, ale mam nadzieję, że złapią drania.

- Wysadzić w powietrze? - zapytał Pitt i nagle przypomniał sobie białego sedana zaparkowanego przy drodze.

- Usłyszałem wybuch ładunku i zobaczyłem biały dym na szczycie góry, zanim głązy zaczęły spadać. Powiedziałem o tym konnym, ale odpowiedzieli, że nikt nie prowadzi robót w tej okolicy.

- Nie myśli pan, że po prostu obsunął się jakiś wielki głaz i wywołał lawinę?

Mężczyzna przyklęknął i otworzył szeroką szufladę pod biblioteczką. Pogrzebał pod grubym kocem i wyjął małą drewnianą skrzynkę z napisem „Dyno Nobel”. Pitt wiedział, że to nazwa producenta dynamitu. Mężczyzna uniósł wieko i wyjął kilka żółtych dwudziestocentymetrowych ładunków materiału wybuchowego.

- Sam od czasu do czasu wywołuję niewielkie wybuchy, kiedy szukam złóż minerałów.

Dirk wskazał ruchem głowy biblioteczkę z książkami o geologii.

- Jest pan poszukiwaczem bogactw naturalnych?

- To bardziej moje hobby niż zawód - odrzekł mężczyzna. - Po prostu lubię szukać czegoś wartościowego. Nigdy nie zdetonowałbym ładunku wybuchowego w miejscu, gdzie eksplozja mogłaby komuś zagrozić, a tutaj właśnie tak się stało. Jakiś dureń znalazł coś błyszczącego na szczycie góry i postanowił przyjrzeć się temu bliżej. Nie chciałbym płacić jego rachunku za sprzątanie drogi, jak go złapią.

Pitt w milczeniu skinął głową. Podejrzewał, że ładunku wybuchowego nie użył niewinny górnik.

- Co pana sprowadziło w te strony? - zapytał.

- Srebro - odparł poszukiwacz, uniósł butelkę tequili i nalał Pittowi drugą kolejkę. - Niedaleko Zakładów Przemysłowych Algoma była kiedyś czynna kopalnia, zanim wszyscy tutaj nie oszaleli na punkcie uranu. Pomyślałem, że skoro odkryli dużą żyłę w okolicy, to powinny zostać jakieś śladowe ilości dla takiego drobnego poszukiwacza jak ja. - Pokręcił głową i uśmiechnął się szeroko. - Ale jak dotąd moja teoria się nie sprawdziła.

Pitt się uśmiechnął i wypił tequilę.

- Co pan wie o rutenie? Mężczyzna potarł podbródek.

- Jest spokrewniony z platyną, choć nie ma go w tutejszych złożach. Wiem, że cena bardzo podskoczyła, więc pewnie szuka go dużo więcej ludzi, ale ja nigdy się na niego nie natknąłem. I nie znam nikogo, komu się poszczęściło. O ile pamiętam, jest tylko kilka miejsc na świecie, gdzie go wydobywają. Przypominam sobie jeszcze, że ruten miał podobno coś wspólnego z tak zwaną tkalnią szaleńców w Pretorii.

- Nie znam tej historii - przyznał Pitt.

- To stara opowieść górników z Afryki Południowej. Czytałem o niej, kiedy interesowałem się trochę diamentami. Na przełomie wieków pod Pretorią zbudowano małą tkalnię. Działała przez jakiś rok, potem robotnicy zaczęli wariować. Doszło do tego, że musiano zamknąć zakład. Obłąd prawdopodobnie powodowały chemikalia, których tam używano, ale nigdy tego nie ustalono. Później ktoś zdał sobie sprawę, że tkalnię postawiono w sąsiedztwie kopalni platyny bogatej w ruten, a rudę rutenu, która wtedy miała małą wartość, gromadzono w wielkich stertach obok tkalni. Co najmniej jeden historyk uważał, że ten niezwykły minerał wpłynął na zaburzenia w zachowaniach ludzi.

- Ciekawa sprawa - odrzekł Pitt i przypomniał sobie rozmowę w spółdzielni górniczej. - Nie słyszał pan przypadkiem, czy dawno temu Inuici zajmowali się górnictwem na północy?

- Nie. Rzecz jasna teraz Arktyka jest uważana za górniczą ziemię obiecaną. Diamenty na Terytoriach Północno-Zachodnich, węgiel na Wyspie Ellesmere'a i oczywiście ropa i gaz ziemny w całym regionie.

Przerwał im policjant z kamienną twarzą, który zajrzał przez drzwi i poprosił Pitta, żeby wypełnił druk wypadkowy samochodu. Krótco potem przyjechała ekipa prowadząca roboty drogowe i zabrała się do uprzątnięcia osuwiska z szosy. Szybko zepchnęła na bok kamienie oraz żwir i wkrótce jeden pas ruchu był przejezdny.

- Mógłby mnie pan podrzucić na lotnisko w Elliot Lake? - zapytał Pitt starego poszukiwacza.

- Jadę w okolice Sudbury, więc to prawie po drodze. Niech pan usiądzie z przodu - odparł i zajął miejsce za kierownicą.

Duży samochód kempingowy ledwo przejechał między kamieniami, zanim zostawił za sobą

osuwisko. Dwaj mężczyźni gawędzili o historii i górnictwie, dopóki pojazd nie zatrzymał się przed małym terminalem lotniczym.

- Jesteśmy na miejscu, panie...

- Pitt. Dirk Pitt.

- Ja nazywam się Clive Cussler. Szczęśliwej podróży, panie Pitt. Pitt uściśnął dłoń staremu człowiekowi, poklepał jamnika po łebku i wysiadł.

- Dzięki za pomoc - powiedział, wyczuwając w obcym mężczyźnie pokrewną duszę. - Powodzenia w poszukiwaniach żyły srebra.

Wszedł do budynku i skierował się do kierownika terminalu. Mężczyzna rozdziawił usta, gdy odwrócił się w jego stronę. Pitt wyglądał tak, jakby wpadł pod autobus dalekobieżny linii Greyhound. Miał kurz na włosach i ubraniu, na głowie zakrwawiony bandaż. Kiedy opowiedział, co się stało z samochodem, kierownika o mało nie trafiła apopleksja.

Wypełniając stos formularzy ubezpieczeniowych, Dirk zerknął przez okno i zobaczył, że gulfstreama już nie ma na płycie lotniska.

- Kiedy odleciał ten duży odrzutowiec? - zapytał kierownika.

- Jakąś godzinę temu, może dwie. Ten gość był tu niewiele dłużej niż pan.

- Chyba widziałem go w mieście. Wielki facet w brązowym garniturze?

- Zgadza się.

- Mógłbym wiedzieć, dokąd poleciał?

- Obaj panowie są równie ciekawscy. Tamten pytał, kim pan jest - odrzekł kierownik, wziął clipboard i powiódł palcem po krótkim wykazie przylotów i odlotów. Pitt zajrzał mu przez ramię, dostrzegł oznaczenie pochodzące z ogona odrzutowca, C-FTGI, i je zapamiętał.

- Nie wolno mi panu ujawnić, kto jest na pokładzie, ale mogę powiedzieć, że samolot leci do Vancouver z międzylądowaniem na tankowanie w Reginie w Saskatchewan.

- Często bywa w Elliot Lake?

- Nie, dziś widziałem go pierwszy raz. - Kierownik wskazał ruchem głowy małe pomieszczenie w rogu terminalu. - Niech pan się napije kawy w poczekalni, zawiadomię pilotów, że już pan jest.

Pitt podziękował, poszedł do poczekalni i nalał sobie kawy ze szklanego dzbanka. Telewizor w rogu pokazywał rodeo w Calgary, ale Dirk patrzył na jeźdźców niewidzącym wzrokiem i analizował wydarzenia ostatnich dni. Podróż do spółdzielni górniczej odbył dla przyjemności, jednak instynkt go nie zawiódł. Znalezienie źródła rutenu miało znaczenie globalne i ktoś inny też szukał tego minerału. Pomyślał o dobrze ubranym mężczyźnie w białym sedanie. John Booth wydawał mu się znajomy, ale Pitt nie znał w Vancouver nikogo, kto latał firmowym odrzutowcem.

Kierownik terminalu wszedł do poczekalni i nalał sobie dużą kawę, mówiąc do Pitta:

- Pańscy piloci idą już do samolotu. Powiedziałem im, że pan zaraz się zjawi.

Spróbował otworzyć torebkę cukru, żeby osłodzić kawę. Saszetka rozerwała się na pół i białe kryształki wysypały się na dywan.

- O rety - jęknął kierownik i odłożył na bok pustą torebkę. - Nocna sprzątaczką będzie miała zajęcie - mruknął, patrząc na bałagan.

Pitt też patrzył na rozsypyany cukier, ale myślał o czymś innym. Nagle oczy mu zabłyśły i uśmiechnął się chytrze.

- Ta katastrofa to szczęśliwy zbieg okoliczności - zwrócił się do kierownika, który spojrzał na niego tępo. - Dzięki za pomoc. Muszę wykonać kilka telefonów przed odlotem.

Kiedy kilka minut później szedł przez płytę lotniska, stawiał sprężyste kroki mimo bólu w kościach i zapomniał o ranie na głowie. Na twarzy wciąż miał chytry uśmiech.

Siwowłosa sekretarka zajrzała do gabinetu Jamesona.

- Panie ministrze, dzwoni pan Goyette - oznajmiła. - Jest na pierwszej linii.

Jameson skinął głową zza biurka, zaczekał, aż kobieta zamknie drzwi, i podniósł z wahaniem słuchawkę telefonu.

- Witaj, Arthurze. Co słyhać w naszej pięknej stolicy? - zapytał Goyette z udawaną serdecznością.

- W Ottawie jest ciepła wiosna, a w parlamencie gorąca atmosfera szowinizmu.

- Najwyższy czas, żebyśmy utrzymali bogactwa naturalne Kanady dla Kanadyjczyków - parsknął Goyette.

- Owszem, żebyśmy mogli je sprzedawać Chińczykom - odparł oschle minister.

Goyette spoważniał.

- W Arktyce są dwa skupiska skał na południowy wschód od Wyspy Wiktorii, nazywane Wyspami Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Będą mi potrzebne prawa górnicze do tego terenu - oświadczył, jakby prosił o filiżankę kawy.

- Niech na to spojrzę - odrzekł Jameson i wyjął plik map z szuflady biurka. Znalazł mapę oznaczoną jako Cieśnina Wiktorii, na której widniała nałożona siatka ponumerowanych linii, i przesunął się do komputera. Wprowadził do niego liczby z mapy i uzyskał dostęp do ministerialnych rejestrów licencji poszukiwawczych i wydobywczych wydanych przez rząd. Po kilku minutach miał odpowiedź dla Goyette'a. - Niestety, wydaliśmy już licencję eksploatacyjną na użytkowanie około trzydziestu procent powierzchni wysp, głównie południowej części Wyspy Zachodniej. Zezwolenie jest na dziesięć lat, ale zaczynają dopiero drugi rok działalności. Licencję dostała firma Kingfisher, zależna od Środkowoamerykańskiej Spółki Górniczej z Butte w Montanie. Zbudowali małą kopalnię i wydobywają niewielkie ilości cynku, najwyraźniej tylko w miesiącach letnich.

- Licencję dostała firma amerykańska?

- Tak, ale przez podstawioną kanadyjską spółkę. Prawo tego nie zabrania. Muszą tylko spełniać wymogi bezpieczeństwa i inne warunki zawarte w umowie licencyjnej.

- Chcę, żeby odebrano im licencję i przyznano ją jednej z moich firm - odparł rzeczowo Goyette.

Jameson pokręcił głową.

- Musiałoby dojść do naruszenia warunków umowy, na przykład do skażenia środowiska albo wstrzymania opłat za prawo eksploatacji górniczej. Nie można tego zrobić nielegalnie, Mitchell, bo pozwą nasz rząd do sądu.

- Więc jak zdobędę licencję? - zapytał opryskliwie Goyette.

- Według raportu z ostatniej inspekcji spółce nie można nic zarzucić, więc jedyna możliwość jest taka, że spróbujesz odkupić prawa bezpośrednio od nich. Choć na pewno zechcą zedrzyć z ciebie skórę. - Minister się zastanowił. - Ale jest jeszcze jedna ewentualność.

- Mów - niecierpliwie rzucił Goyette.

- W umowie licencyjnej jest klauzula dotycząca obronności państwa. Gdyby nastąpiła eskalacja wrogości wobec Stanów Zjednoczonych, byłaby podstawa do cofnięcia licencji. Klauzula zezwala na wypowiedzenie umowy w wypadku wojny, konfliktu lub zerwania stosunków między zainteresowanymi krajami. To oczywiście loteria, ale nigdy nic nie wiadomo. Właściwie dlaczego interesują cię te wyspy?

- Bo są jak żyła złota - odrzekł spokojnie Goyette. Po chwili odzyskał tupet i warknął: - Przygotuj mi szczegóły potrzebne do otrzymania licencji. Wymyślę jakiś sposób na wyeliminowanie tej spółki. Jameson zgrzytnął zębami.

- W porządku. Będę czekał na rezultaty.

- To nie wszystko. Jak wiesz, w Cieśninie Melville'a są wyjątkowo bogate złoża gazu ziemnego, a tymczasem ja mam prawa do eksploatacji tylko niewielkiej ich części. Będę potrzebował licencji wydobywczej na całość.

Na linii przez kilka sekund panowała cisza, w końcu Jameson mruknął:

- Nie wiem, czy uda się to załatwić. Goyette się roześmiał.

- Wszystko można załatwić, to tylko kwestia ceny. Większość tego obszaru była wcześniej skuta lodem i nikt się nim nie interesował. Do teraz.

- W tym problem. Podobno idą już stamtąd duże dostawy. Mamy mnóstwo zapytań o możliwość eksploracji tego rejonu.

- Nie zwracaj sobie głowy udzielaniem odpowiedzi. Tamtejsze złoża gazu będą warte miliardy i nie zamierzam pozwolić, żeby wymknęły mi się z rąk - warknął Goyette. - Niedługo przyślę ci kilka map. Pokazują interesujące mnie strefy eksploracyjne, które obejmują duże części Cieśniny Melville'a i kilka innych rejonów Arktyki. Planuję dynamiczną ekspansję w tamtym regionie i chcę mieć licencje wydobywcze na wszystko. Można tam zarobić nieprawdopodobne pieniądze i tobie też coś skapnie, więc przyłóż się do sprawy. Na razie, Arthur.

Połączenie zostało przerwane. Minister zasobów naturalnych siedział przez chwilę bez ruchu i kipiał z gniewu, potem z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Ponad trzy tysiące kilometrów na zachód Goyette wyłączył telefon głošnomówiący i wyciągnął się w fotelu. Spojrzał przez biurko na Claya Zaka i utkwiał wzrok w jego zimnych oczach.

- Nic nie przychodzi łatwo - poskarżył się. - Wytlumacz mi jeszcze raz, dlaczego ten ruten jest tak cholernie ważny.

- To całkiem proste - odparł Zak. - Gdybyś stał się jedynym właścicielem zasobów, do ciebie należałaby decyzja, czy zająć się rozwiązaniem problemu globalnego ocieplenia. O zastosowaniu minerału decydowałyby kwestia pieniędzy i... ego, jak przypuszczam.

- Mów - burknął Goyette.

- Gdybyś miał zapas rutenu, musiałbyś dokonać wyboru. Mitchell Goyette, ekolog, mógłby ocalić naszą planetę i przy okazji zarobić parę dolców, budując sieć zakładów sztucznej fotosyntezy na całym świecie.

- Istniałoby pewne ryzyko. Wysokość popytu - zauważył Goyette. - Nie wiadomo, ile rutenu byłoby potrzeba, więc zyski mogłyby być ogromne albo znikome. Większość moich środków zaangażowałem w zdobycie kontroli nad Przejściem Północno-Zachodnim. Zainwestowałem dużo w infrastrukturę wokół złóż ropy i gazu ziemnego, żeby móc transportować surowce przez przejście statkami mojej floty arktycznej. Mam długoterminową umowę eksportową z Chińczykami i niedługo Amerykanie przyjdą do mnie na kolanach. I zakładam, że będę robił bardzo dobry interes na

sekwestracji dwutlenku węgla. Gdyby proces globalnego ocieplenia został odwrócony lub choćby zahamowany, mogłoby przybyć lodu i cała moja strategia biznesowa ległaby w gruzach.

- W takim razie możemy chyba przejść do innego Mitchella Goyette'a, zatwardziałego kapitalisty, który potrafi z zawiązanymi oczami trafić tam, gdzie jest zysk, i nie cofnie się przed niczym, żeby rozbudować swoje finansowe imperium.

- Pochlebiasz mi - odparł sarkastycznie Goyette. - Ale łatwo podjąłeś decyzję. Nie mogę dopuścić do tego, żeby Przejście Północno-Zachodnie zamarzło. Obecne topnienie lodów pozwoliło mi przejąć kontrolę nad złożami gazu w Cieśninie Melville'a i zmonopolizować transport w regionie. Może za dziesięć czy piętnaście lat, kiedy tamtejsze złoża ropy i gazu będą na wyczerpaniu, postanowię uratować naszą planetę. Do tego czasu ruten może stać się o wiele cenniejszy.

- Słowa prawdziwego kapitalisty.

Goyette wyciągnął rękę, wziął z blatu biurka dwie kartki cienkiego papieru, które Zak wyrwał z rejestru Spółdzielni Górniczej Ontario, i rzucił na nie okiem.

- Ta cała sprawa rutenu wydaje się dość niepewna. Handlowiec kupił rudę w 1917 roku od Inuita, którego dziadek zdobył ją jakieś siedemdziesiąt lat wcześniej. Dziadek był z Adelaide, ale twierdził, że minerał pochodzi z Wysp Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. W dodatku nazywał go czarną kobluną i mówił, że źródło jest nawiedzone przez złe duchy. Na tej podstawie raczej trudno prowadzić poszukiwania geologiczne. - Spojrzał na Zaka, zastanawiając się, czy to wszystko nie jest jakimś podstępem ze strony płatnego zabójcy.

Zak wytrzymał jego spojrzenie bez mrugnięcia.

- Owszem, to może być strzał w ciemno. Ale ruten Inuitów musiał się skądś wziąć. I mówimy o tym, co było sto sześćdziesiąt lat temu w sercu Arktyki. Mamy mapkę wyspy, która dokładnie wskazuje lokalizację kopalni. Inuici nie mieli wtedy spycharko-ładowarek i wywrotek, więc minerał musiał leżeć na ziemi. Na pewno coś tam zostało. Ta amerykańska spółka górnicza zjawiła się tam w poszukiwaniu cynku po drugiej stronie wyspy. Tak, Mitchell, to strzał w ciemno. Ale może się bardzo opłacić, jeśli ruten tam jest. I możesz bardzo dużo stracić, jeśli ktoś inny dotrze do niego pierwszy.

- Tylko my wiemy o złożach Inuitów? Zak zmrużył oczy i zacisnął wargi.

- Możliwe, że Dirk Pitt też idzie tym tropem.

- Pitt? - zdziwił się Goyette i pokręcił głową. Nazwisko nic mu nie mówiło.

- Dyrektor Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych z siedzibą w Stanach Zjednoczonych. Natknąłem się na niego w laboratorium w Waszyngtonie i widziałem, jak po eksplozji pomagał tej biochemiczkce. Potem zjawił się w Ontario, w spółdzielni górniczej, zaraz po tym, jak gwizdnąłem te kartki. Próbowałem upozorować wypadek na drodze za miastem, ale jakiś starszy facet pomógł mu wyjść z tego cało. Pitt najwyraźniej zdaje sobie sprawę z roli rutenu w uruchamianiu procesu sztucznej fotosyntezy.

Goyette zmarszczył czoło z zaniepokojeniem.

- On może być na twoim tropie.

- Mogę się go łatwo pozbyć - odparł Zak.

- To nie jest dobry pomysł. Chodzi o szefa agencji rządowej. Nic nie zdołała ze Stanów. Każę go śledzić, żeby mieć pewność, że tam jest. Poza tym zamierzam cię wysłać do Arktyki, żebyś zbadał Wyspy Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Dostaniesz ochronę i kilku moich najlepszych geologów. Potem wymyślisz sposób na wyeliminowanie z gry amerykańskiej spółki górniczej. Chcę, żebyś znalazł ruten. Zdobądź go za wszelką cenę. Cały.

- To jest Mitchell Goyette, jakiego znamy i kochamy - powiedział Zak z krzywym uśmiechem. - Tylko jeszcze nie mówiliśmy o mojej działce.
- W tej chwili to dzielenie skóry na niedźwiedziu. Ale będę wspaniałomyślny. Dziesięć procent od opłat za prawo eksploatacji górniczej.
- Myślałem o pięćdziesięciu.
- Oszalałeś? To ja będę ponosił wszystkie koszty przedsięwzięcia. Piętnaście procent.
- Zadowolę się dwudziestoma. Goyette zacisnął zęby.
- Wynocha z mojego jachtu. I baw się dobrze na zimnie.

Mimo próśb Loren, żeby został w łóżku i odpoczął, Pitt wstał wcześniej następnego ranka i ubrał się do pracy. Ciało bolało go bardziej niż poprzedniego dnia i poruszał się z trudem, dopóki stopniowo nie rozgrzał stawów.

Zastanawiał się, czy nie wypić tequili z sokiem pomarańczowym na uśmierzenie bólu, ale w końcu zrezygnował. Pomyślał, że ból będzie ustępował dłużej, i przeklinał swój wiek i wpływ przeżytych lat na organizm.

Loren zawołała go do łazienki, gdzie oczyściła mu skaleczenie na głowie i założyła świeży opatrunek.

- Tę szramę przynajmniej zasłonią ci włosy - powiedziała, wodząc palcem po kilku bliznach na jego piersi i plecach. Sporo bliskich spotkań ze śmiercią w przeszłości pozostawiło liczne ślady na ciele Pitta i parę na jego psychice.

- Szczęśliwe trafienie w głowę - zażartował.

- Może nauczy cię rozumu - odrzekła i objęła go w pasie. Pitt opowiedział jej wcześniej o zdarzeniach w Ontario, ale przemilczał to, że osuwisko nie było przypadkiem.

Wyciągnęła szyję, cmoknęła go w głowę i przypomniała mu, że ma ją zabrać na lunch.

- Przyjadę po ciebie w południe - obiecał.

Dotarł do biura o ósmej, przesiedział dwa briefingi i zadzwonił do Dana Martina. Dyrektor FBI był podekscytowany, że Pitt się odezwał.

- Podsunąłeś mi wczoraj dobry trop, Dirk. Miałeś rację, firma sprzątająca laboratorium na Uniwersytecie Waszyngtona pracuje wieczorami. Obejrzelismy nagranie z kamery nadzoru i znaleźliśmy wyraźne ujęcie zabłąkanego porannego sprzątacza. Pasuje do twojego opisu jak ulał.

Kiedy Pitt siedział w poczekalni na lotnisku w Elliot Lake, skojarzył wreszcie mężczyznę w spółdzielni górniczej ze sprzątaczem, na którego wpadł w laboratorium tuż przed eksplozją.

- Udało wam się go zidentyfikować? - zapytał.

- Po ustaleniu, że nie jest członkiem personelu zatrudnionego w budynku, porównaliśmy jego zdjęcie z podobiznami w bazie danych Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Nie trafiliśmy na stuprocentowego pewniaka, ale mamy listę potencjalnych sprawców i jednego najbardziej prawdopodobnego. Po tej stronie granicy figuruje jako Robert Ford z Buffalo w stanie Nowy Jork. Już sprawdziliśmy, że nazwisko i adres w rejestrze są fałszywe.

Pitt powtórzył nazwisko, potem pomyślał o innym, John Booth, którego mężczyzna używał w Blind River. Uznał, że to nie przypadek. John Wilkes Booth zastrzelił Lincolna, a z ręki Roberta Forda zginął Jesse James.

- Podziwia sławnych zabójców - zauważył Pitt.

- Może być z tej branży. Porozumieliśmy się z władzami kanadyjskimi. Ich zdaniem ten facet to niejaki Clay Zak.

- Zamierzają go zgarnąć?

- Zrobiliby to, gdyby wiedzieli, gdzie go szukać. Jest podejrzany o zabójstwo sprzed dwudziestu lat w pewnej kanadyjskiej kopalni niklu. Od tamtej pory miejsce jego pobytu jest nieznane.

- W kopalni niklu? Mógł się tam nauczyć używać dynamitu.

- Zajmujemy się tym. Kanadyjczycy mogą go nie znaleźć, ale jeśli znów zjawi się w Stanach, będziemy mieli dobrą okazję do zwinienia faceta.

- Doskonała robota, Dan. Mnóstwo działałeś w krótkim czasie.

- Szczęśliwie się złożyło, że przypomniałeś sobie tamto spotkanie. Może zainteresuje cię jeszcze jedna rzecz. Chodzi o asystenta Lisy Lane, Boba Hamiltona. Udało nam się uzyskać wgląd w finanse faceta. Na jego konto bankowe właśnie wpłynęło zza granicy pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Czuję, że coś jest z nim nie tak.

- Pogrzebiemy jeszcze trochę, a potem wezwiemy go na przesłuchanie pod koniec tygodnia. Zobaczymy, czy jest jakiś związek, ale muszę powiedzieć, że w tej chwili sprawa wygląda obiecująco.

- Cieszę się, że śledztwo się posuwa. Dzięki za starania.

- To ja ci dziękuję, Dirk. Ty nas naprowadziłeś.

Pitt był ciekaw, jak idą jego własne poszukiwania, i szedł po schodach na dziesiąte piętro do centrum komputerowego. Yaeger siedział przy swojej konsoli i znów rozmawiał z Max, która stała przed dużym ekranem projekcyjnym. Wyświetlał spłaszczoną mapę świata z tuzinami pulsujących punktów świetlnych na oceanach. Każdy punkt oznaczał boję przekazującą informacje o stanie morza i pogodzie przez satelitę do głównej siedziby NUMA.

- Problem z systemem boi? - zapytał Pitt i usiadł obok Yaegera.

- Straciliśmy połączenie z kilkoma sektorami - odparł Yaeger. - Kazałem Max zrobić test oprogramowania i spróbować znaleźć przyczynę.

- Gdyby ostatnia wersja oprogramowania została właściwie sprawdzona przed wprowadzeniem do użytku, nie mielibyśmy teraz problemu - zrzędziła Max. Odwróciła się do Pitta, przywitała z nim i spojrzała na jego opatrunek. - Co się panu stało w głowę?

- Miałem małe dachowanie na górskiej drodze - odrzekł.

- Wytropiliśmy ten samolot, którego oznaczenie podałeś nam przez telefon - powiedział Yaeger.

- To może zaczekać. Przywrócenie połączenia z bojami jest ważniejsze.

- Poradzę sobie i z jednym, i z drugim - oświadczyła Max z urazą w głosie.

- Test oprogramowania potrwa dwadzieścia minut - wyjaśnił Yaeger. - Możemy jej posłuchać, zanim będą wyniki. - Odwrócił się do holograficznego obrazu. - Max, podaj dane tego kanadyjskiego odrzutowca.

- To fabrycznie nowy osiemnastomiejscowy Gulfstream G650 wyprodukowany w roku 2009. Według kanadyjskich rejestrów lotniczych należy do firmy Terra Green Industries z Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej. Terra Green jest prywatnym przedsiębiorstwem zarządzanym przez niejakiego Mitchella Goyette'a.

- Stąd oznaczenie TGI - wyjaśnił Yaeger. - Facet przynajmniej nie użył swoich inicjałów, jak większość nieprzyzwoicie bogatych właścicieli samolotów.

- Goyette... - zastanowił się głośno Pitt. - To ten od czystej energii?

- Ma elektrownie wiatrowe, geotermiczne, wodne i słoneczne - wyrecytowała Max.

- Prywatne firmy na ogół ukrywają różne rzeczy - powiedział Yaeger - więc trochę powęszyliśmy. Znaleźliśmy ponad dwa tuziny przedsiębiorstw należących do Terra Green. Okazuje

się, że wiele z nich zajmuje się wydobywaniem ropy i gazu oraz poszukiwaniami górniczymi, zwłaszcza w rejonie zagłębia Athabaska w Albercie.

- A więc Terra Green nie jest wcale taka zielona - zażartował Pitt.

- Gorzej. Inna firma zależna od Terra Green najwyraźniej kontroluje odkryte niedawno złoża gazu ziemnego w Cieśninie Melville'a. Ich wartość może być większa od całej reszty majątku Goyette'a. Natrafiliśmy też na ciekawy wątek morski związany z NUMA. Wygląda na to, że w ciągu ostatnich paru lat Terra Green zamówiła w pewnej stoczni w delcie Missisipi kilka dużych lodołamaczy i całą flotę wielkich barek - masowców i barek - zbiornikowców do transportu ciekłego gazu ziemnego. Ta sama stocznia zbudowała nasz ostatni statek badawczy, którego wodowanie było opóźnione częściowo z powodu realizacji zamówień Terra Green.

- Pamiętam - przytaknął Dirk. - Stocznia Lowden w Nowym Orleanie. Widziałem jedną z tamtych barek w suchym doku. Była ogromna. Ciekawe, co one przewożą?

- Nie starałam się ich zlokalizować, ale mogę spróbować, jeśli pan chce - odezwała się Max.

- To pewnie nieważne. Mogłabyś ustalić, czy Terra Green pracuje nad sztuczną fotosyntezą lub innymi środkami zaradczymi przeciwko emisji gazów cieplarnianych?

Max stała nieruchomo, gdy przeszukiwała bazy danych.

- Nie znalazłam nic o Terra Green i sztucznej fotosyntezie. Mają mały ośrodek badawczy zajmujący się energią słoneczną i opublikowali pracę naukową na temat sekwestracji dwutlenku węgla. Właśnie utworzyli zakład sekwestracji dwutlenku węgla w Kitimat w Kolumbii Brytyjskiej. Prowadzą rozmowy z rządem kanadyjskim na temat budowy takich obiektów w całym kraju.

- W Kitimat? Właśnie dostałem stamtąd mejla od Summer - powiedział Yaeger.

- Dzieci najwyraźniej zatrzymały się tam na kilka dni w drodze wzdłuż Inside Passage, gdzie sprawdzają alkaliczność lokalnych wód - odrzekł Pitt.

- Myślisz, że tamci przeszkadzili Lisie Lane w badaniach z powodu budowy zakładów sekwestracji dwutlenku węgla? - zapytał Yaeger.

- Nie wiem, ale to możliwe. Goyette szuka rutenu. - Pitt opowiedział o swojej wizycie w spółdzielni górniczej i przypadkowym spotkaniu z mężczyzną, którego widział w laboratorium Uniwersytetu imienia Jerzego Waszyngtona. Powtórzył to, co przeczytał w rejestrze handlowym, i wyjął swoje notatki. - Max, kiedy rozmawialiśmy poprzednim razem, mówiłaś, że wydobywanie rutenu jest znikome albo wręcz zerowe - przypomniał.

- Zgadza się, wydobywane są tylko niewielkie ilości niskoprocentowej rudy w pewnej kopalni w Boliwii.

- Spółdzielni Górniczej Ontario kończą się zapasy. Masz informacje o jakichkolwiek złożach w Arktyce?

Max stała przez chwilę bez ruchu, potem pokręciła głową.

- Nie, panie dyrektorze. Nie znalazłam żadnej wzmianki w dostępnych dla mnie danych o poszukiwaniach górniczych, które w większości pochodzą z lat sześćdziesiątych XX wieku.

Pitt popatrzył na swoje notatki.

- Mam zapis z 1917 roku, że pewna ilość rutenu nazywanego czarną kobluną została pozyskana sześćdziesiąt osiem lat wcześniej przez Inuitów z półwyspu Adelaide. Mówi ci to coś, Max?

- Przykro mi, panie dyrektorze, ale nadal nie znajduję żadnych odpowiednich adnotacji - odrzekła z wyrazem smutku w przezroczyście oczach.

- Do mnie nigdy nie zwraca się z takim szacunkiem - mruknął Yaeger pod jej adresem.

Max zignorowała jego uwagę, gdy próbowała wygenerować dodatkową odpowiedź dla Pitta.

- Półwysep Adelaide leży na północnym wybrzeżu Nunavut na południe od Wyspy Króla Williama. Jest uważany za rejon w zasadzie niezamieszany, gdzie w przeszłości w pewnych porach roku obozowały małe koczownicze grupy Inuitów.

- Max, co oznacza określenie „czarna kobluna”? - spytał Yaeger. Weszła z wahaniem do lingwistycznej bazy danych Uniwersytetu Stanforda. Potem przechyliła głowę i spojrzała na Yaegera i Pitta z wyrazem dezorientacji na twarzy.

- Te słowa są sprzeczne.

- Wyjaśnij nam to - poprosił Yaeger.

- „Kobluna” oznacza w języku Inuitów białego człowieka. Zatem „czarna kobluna” to „czarny biały człowiek”.

- To rzeczywiście sprzeczność - zgodził się Yaeger. - Być może chodzi o białego człowieka ubranego na czarno albo odwrotnie.

- Możliwe - przyznał Pitt. - Ale to była odludna część Arktyki. Nie wiem, czy w tamtym czasie jakikolwiek biały lub czarny człowiek postawił tam stopę. Dobrze myślę, Max?

- Jest pan bliski prawdy. Badania i sporządzanie map Arktyki Kanadyjskiej zapoczątkowali Brytyjczycy, którzy poszukiwali północno-zachodniego przejścia do Pacyfiku. Dobre mapy dużych części zachodnich i wschodnich rejonów tamtego obszaru powstały do połowy XIX wieku. Środkowe rejony i szlaki wodne wokół półwyspu Adelaide naniesiono na mapy w ostatniej kolejności.

Pitt zerknął na swoje notatki ze spółdzielni górniczej.

- Zapis wskazuje, że Inuici wydobyli ruten w 1849 roku.

- Źródła historyczne mówią, że ekspedycja zorganizowana przez Kompanię Hudsonską spenetrowała pobliski rejon wybrzeża północnoamerykańskiego w latach 1837 - 1839.

- To trochę za wcześnie - zauważył Yaeger.

- Następnego wypadu dokonał John Rae w roku 1851, kiedy próbował odnaleźć członków wyprawy Franklina. Podróżował wzdłuż południowo - wschodniego wybrzeża Wyspy Wiktorii, oddalonej mniej więcej o sto mil morskich od półwyspu Adelaide. Dopiero w 1859 roku dotarł tam ponownie Francis McClintock, który zapuścił się na pobliską Wyspę Króla Williama na północ od Adelaide, również w poszukiwaniu Franklina.

- To z kolei trochę za późno - wtrącił znów Yaeger.

- Ale był jeszcze Franklin - rzekł Pitt. - Kiedy wpłynął na tamte wody i gdzie zaginął?

- Jego ekspedycja wyruszyła z Anglii w 1845 roku. Pierwszą zimę spędzili na wyspie Beechey i pożeglowali dalej. Kierowali się na południe, dopóki nie utknęli w lodzie u wybrzeży Wyspy Króla Williama. Opuścili statki wiosną 1848 roku i wszyscy zginęli później na brzegu.

Pitt się zamyślił, potem podziękował Max za informacje. Holograficzna kobieta skinęła głową, stanęła bokiem i wróciła do testu oprogramowania.

- Jeśli ludzie Franklina opuścili swoje statki w 1848 roku daleko na północ od półwyspu, to nie miałyby sensu, żeby taszczyli ze sobą jakieś minerały - odezwał się Yaeger.

- Możliwe, że Inuit pomylił datę - odrzekł Pitt. - Trzeba też rozważyć wzmiankę Max o tym, że Inuici obozowali na półwyspie Adelaide. To, że się tam zatrzymywali podczas wędrówek, nie oznacza, że stamtąd wzięli ruten.

- Słusznie. Myślisz, że jest jakiś związek z wyprawą Franklina?

Pitt skinął głową.

- To może być nasz jedyny mocny punkt zaczepienia.

- Ale słyszałeś, co mówiła Max. Cała załoga zginęła. To rozwiewa wszelką nadzieję, że uda się znaleźć wyjaśnienie, idąc w tym kierunku.

- Zawsze jest nadzieja, Hiram - odparł Pitt z błyskiem w oku. Spojrzał na zegarek i wstał. - Spodziewam się znaleźć na właściwym tropie jeszcze dziś po południu.

Pitt pożyczył dzipa agencji, zabrał Loren sprzed gmachu Kongresu i pojechał przez śródmieście Waszyngtonu.

- Masz czas na długi lunch? - zapytał, kiedy zatrzymał się na czerwonym świetle.
- Szczęściarz z ciebie, nie mam dziś posiedzenia komisji. Przeglądam tylko projekt pewnej ustawy. Co zaplanowałeś?
- Przejazdkę do Georgetown.
- Do mojego mieszkania na trochę popołudniowej przyjemności? - zapytała z fałszywą skromnością.
- Kusząca propozycja - odrzekł Pitt i ścisnął jej dłoń - ale niestety mamy rezerwację na lunch, której nie możemy odwołać.

Było południe i korki uliczne utrudniały ruch, dopóki Pitt nie wydostał się na M Street prowadzącą do serca Georgetown.

- Co u Lisy? - spytał.
- Dziś wychodzi ze szpitala i nie może się doczekać powrotu do pracy. Zorganizuję spotkanie w Prezydenckim Biurze do spraw Nauki i Techniki, jak tylko uda jej się potwierdzić i podsumować swoje odkrycie. Choć to może zająć kilka tygodni. Dzwoniła do mnie rano trochę zdenerwowana, bo jej asystent znalazł nową pracę poza stanem i odszedł bez uprzedzenia.
- Bob Hamilton?
- Tak. Ten, któremu nie ufasz.
- FBI ma go wezwać na przesłuchanie pod koniec tygodnia. Coś mi mówi, że facet nigdzie nie wyjedzie w najbliższym czasie.

- Zaczęło się od obiecującego przełomu, a potem skomplikowało. Widziałam poufny raport Departamentu Energetyki. Przewidują dużo bardziej negatywny wpływ globalnego ocieplenia na środowisko i gospodarkę, niż się podaje do publicznej wiadomości. Ostatnie badania wskazują, że emisja gazów cieplarnianych do atmosfery rośnie w alarmującym tempie. Myślisz, że uda się znaleźć ruten na tyle szybko, żeby w porę uruchomić proces sztucznej fotosyntezy?

- Mamy tylko nieprecyzyjną informację z przeszłości o dawno zapomnianym źródle. Może się okazać wyczerpane, ale musimy go poszukać.

Pitt skręcił w urokliwą ulicę z zabytkowymi rezydencjami z lat czterdziestych XIX wieku. Znalazł miejsce do zaparkowania pod wysokim dębem i poszli do domu mieszkalnego, który kiedyś był wozownią sąsiedniego dworku. Pitt zastukał ciężką mosiężną kołatką, drzwi frontowe otworzyły się raptownie chwilę później i ukazał się ogromny mężczyzna w czerwonej atlasowej bonzurce.

- Dirk! Loren! Jesteście - zagrzmał wesoło St. Julien Perlmutter. Brodaty olbrzym o wadze stu osiemdziesięciu kilogramów zgniótł przybyłych w miażdżącym uścisku i zaprosił ich do środka.
- Dobrze wyglądasz, Julien. Odchudzasz się? - zapytała Loren i poklepała go po wielkim brzuchu.

- Ależ skąd! - ryknął Perlmutter. - Dzień, w którym przestanę jeść, będzie dniem mojej śmierci. Ale ty jesteś coraz bardziej zachwycająca.

- Lepiej ogranicz swój apetyt tylko do jedzenia - doradził Pitt z szerokim uśmiechem.

Perlmutter nachylił się do ucha Loren.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz miała dosyć życia z tym starym ryzykantem, daj mi znać - powiedział tak głośno, żeby Pitt go usłyszał. Potem wyprostował się jak niedźwiedź i ruszył w głąb mieszkania. - Chodźcie do jadalni! - zawołał.

Loren i Pitt poszli za nim przez przedpokój, salon i korytarz, wypełnione po sufit książkami na półkach. Cały dom był nimi zapchany i bardziej przypominał okazałą bibliotekę niż mieszkanie. W jego ścianach mieścił się największy na świecie prywatny zbiór starych książek i periodyków o tematyce morskiej. Perlmutter, nienasycony kolekcjoner archiwalnych materiałów z tej dziedziny, miał opinię wybitnego znawcy historii morskiej.

Wprowadził gości do małej, ale bogato ozdobionej jadalni, gdzie tylko kilka stosów książek stało dyskretnie pod jedną ścianą. Usiedli przy masywnym mahoniowym stole z nogami w kształcie lwich łap. Mebel pochodził z kajuty kapitańskiej starego żaglowca i był jednym z wielu antyków morskich pośród tysięcy książek.

Perlmutter otworzył białe wytrawne wino Pouilly-Fume i nalał do kieliszków.

- Niestety skończyłem już tamtą butelkę airagu, którą przysłałeś mi z Mongolii - zwrócił się do Pitta. - Coś wspaniałego.

- Wypiłem tam tego całe morze. Miejscowi piją to jak wodę - odrzekł Pitt, przypominając sobie gorzkawy smak napoju alkoholowego z kobyłego mleka.

Perlmutter spróbował wina, postawił kieliszek i klasnął w dłonie.

- Marie! - krzyknął. - Możesz podać zupę.

Kobieta w fartuszkach wniosła na tacy głębokie talerze. W przeciwieństwie do Perlmuttera była drobna i gibka, miała krótkie ciemne włosy i oczy koloru kawy. Z uśmiechem postawiła przed każdym talerz i wróciła do kuchni. Pitt skosztował zupy i skinął głową.

- Z porów. Bardzo smaczna. Perlmutter pochylił się i wyjaśnił szeptem:

- Marie jest zastępczynią szefa kuchni w Citronelle, tutaj w Georgetown. Skończyła jedną z najlepszych szkół gastronomicznych w Paryżu. Co więcej, jej ojciec był szefem kuchni w Maximie - dodał i cmoknął z zachwytem koniuszki palców. - Zgodziła się gotować mi trzy razy w tygodniu. To jest życie. - Zarechotał, aż zafalowały fałdy tłuszczu na jego szyi.

Zjedli nerkówkę cielecą saute z risottem i porami, potem mus czekoladowy. Pitt odsunął pustą miseczkę po deserze i westchnął z zadowoleniem. Loren się poddała, zanim skończyła swoją porcję.

- Wszystko było pyszne, Julien - powiedziała. - Gdybyś kiedykolwiek miał dosyć historii morskiej, na pewno zrobiłbyś wspaniałą karierę jako restaurator.

- Być może, ale to byłoby chyba zbyt pracochłonne - odrzekł ze śmiechem. - Poza tym, jak z pewnością wiesz od swojego męża, miłość do morza nigdy nie przemija.

- To prawda. Nie wiem, co byście ze sobą poczęli, gdyby człowiek nigdy nie wypłynął na morze.

- Błuzniercza myśl - odparł Perlmutter tubalnym głosem. - Co mi przypomniało, Dirk, że nie przyszedłeś tu tylko po to, żeby zjeść lunch ze starym przyjacielem.

- Zgadza się, Julien. Szukam rzadkiego minerału, który pojawił się w Arktyce około 1849 roku.

- Brzmi intrygująco. Co cię interesuje?

Pitt wyjaśnił, dlaczego ruten jest taki ważny i powtórzył to, czego dowiedział się w Spółdzielni

Górnicej Ontario. Perlmutter pogładził gęstą siwą brodę.

- Półwysep Adelaide, mówisz? Jeśli mnie pamięć nie myli, to niedaleko Wyspy Króla Williama, sam środek Przejścia Północno-Zachodniego. A w 1849 roku jedynymi badaczami w tamtym rejonie mogli być członkowie wyprawy Franklina.

- Kto to był? - zapytała Loren.

- Sir John Franklin? Oficer brytyjskiej marynarki wojennej i sławny badacz Arktyki. Jako młody człowiek walczył pod Trafalgarem na okręcie „Bellerophon”, o ile sobie przypominam. Trochę późno, bo w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat wyruszył z załogami dwóch mocnych statków na poszukiwania legendarnego Przejścia Północno-Zachodniego. Prawie je znalazł, ale utknął w lodzie. Członkowie jego ekspedycji opuścili statki i próbowali dojść do obozu handlarzy skórą, oddalonego o setki kilometrów na południe. W końcu Franklin i wszyscy z jego stu trzydziestu czterech towarzyszy zginęli, co było zdecydowanie największą tragedią w historii badań Arktyki.

Perlmutter przeprosił, poszedł do jednego z licznych pokojów i wrócił z kilkoma starymi książkami oraz prymitywnie oprawionym rękopisem. Przewrócił kartki jednej z książek, znalazł szukany fragment i oznajmił:

- Jest. Franklin pożegłował do ujścia Tamizy w maju 1845 roku z załogami dwóch statków, „Erebusa” i „Terrora”. Ostatni raz widziano je latem tego roku, kiedy wpływały na Morze Baffina u wybrzeży Grenlandii. Załogi miały zaopatrzenie na trzy lata, zamierzały spędzić co najmniej jedną zimę na lodzie, a potem spróbować dotrzeć do Pacyfiku lub wrócić do Anglii z dowodem na to, że przejście nie istnieje. Tymczasem Franklin i jego ludzie zginęli w Arktyce, a statków nikt więcej nie widział.

- Ktoś ich potem szukał, kiedy nie zjawili się po trzech latach? - zapytała Loren.

- Jeszcze jak, moja droga! Pod koniec 1847 roku zaniepokojono się brakiem wiadomości i w następnym zaczęto poszukiwania. Zorganizowano dosłownie tuziny wypraw ratunkowych, statki patrolowały oba krańce przejścia. Żona Franklina, lady Jane Franklin, sama sfinansowała serię tych ekspedycji w nadziei, że odnajdą męża. Dopiero w 1854 roku, dziewięć lat po ich wypłynięciu z Anglii, na Wyspie Króla Williama znaleziono ciała niektórych marynarzy, co potwierdziło najgorsze przypuszczenia.

- Zostały po nich jakieś dzienniki okrętowe lub inne zapisy? - chciał wiedzieć Pitt.

- Tylko jeden. Przygnębiająca notatka umieszczona w kamiennym kopcu na wyspie, odkryta w 1859 roku.

Perlmutter odszukał fotokopię w jednej z książek i podsunął Loren i Pittowi do przeczytania.

- Tu jest informacja, że Franklin zmarł w 1847 roku, ale nie jest napisane, z jakiej przyczyny - powiedziała Loren.

- Ta notatka nasuwa wiele wątpliwości. Byli o krok od przebycia najgorszego odcinka przejścia, ale mogło się tak zdarzyć, że lato trwało wyjątkowo krótko i statki utknęły w lodzie.

Pitt znalazł w książce mapę rejonu, w którym Franklin zakończył życie. Zobaczył, że miejsce, gdzie prawdopodobnie opuszczono statki, leży niecałe sto mil morskich od półwyspu Adelaide.

- Pochodzący stamtąd ruten nazywano czarną kobluną - podsunął, szukając na mapie ewentualnych wskazówek.

- Kobluna to słowo z języka Inuitów - odrzekł Perlmutter i otworzył prymitywnie oprawiony rękopis.

- Zgadza się - przytaknął Pitt. - Oznacza białego człowieka. Gospodarz postukał palcami w stary

dokument.

- W 1860 roku nowojorski dziennikarz Stuart Leuthner próbował odtworzyć losy ekspedycji Franklina. Odbił podróż do Arktyki i spędził siedem lat w osadzie Inuitów, gdzie nauczył się ich języka i zwyczajów. Przemierzył rejon Wyspy Króla Williama i rozmawiał z każdym napotkanym mieszkańcem tamtej okolicy, który mógł mieć kontakt z Franklinem lub jego ludźmi. Ale niewiele się dowiedział i wrócił do Nowego Jorku, rozczarowany, że nie znalazł jednoznacznych odpowiedzi na dręczące go pytania. Z jakiegoś powodu nie zdecydował się opublikować swoich wniosków, zostawił tylko notatki i znów wyruszył do Arktyki. Pojął za żonę młodą Inuitkę, odważył się oddalić od cywilizacji, by żywić się tym, co wyda ziemia, i słuch o nim zaginął.

- To jego dziennik z okresu, kiedy żył wśród Inuitów? - zapytał Pitt. Perlmutter przytaknął.

- Udało mi się go kupić na aukcji kilka lat temu za rozsądną cenę.

- Jestem zdumiona, że nigdy tego nie opublikowano - powiedziała Loren.

- Nie byłabyś, gdybyś знаła treść. Dziewięćdziesiąt procent tekstu to opisy krwawych polowań na foki, budowy domków igloo i nudnej egzystencji podczas mrocznych zimowych miesięcy.

- A pozostałe dziesięć procent? - spytał Pitt. Perlmutter się uśmiechnął.

- Zobaczmy.

Przez następną godzinę przeglądał dziennik i cytował sporadyczne relacje Inuitów, którzy widzieli ludzi z saniami na odległych brzegach Wyspy Króla Williama lub zauważyli dwa duże statki uwięzione w lodzie. Prawie na samym końcu dziennika Leuthner zamieścił opowieść młodego człowieka, która zelektryzowała Loren i Pitta.

Rozmówca Leuthnera o imieniu Koonik miał trzynaście lat, gdy w 1849 roku poszedł ze swoim wujem zapolować na foki na zachód od Wyspy Króla Williama. Wspięli się na wysokie wzniesienie i zobaczyli duży statek zaklinowany w wielkiej krze.

- Kobluna - powiedział wuj, kiedy szli do żaglowca.

Gdy się zbliżyli, usłyszeli krzyki i wrzaski dochodzące z wnętrza statku. Mężczyzna z długimi włosami i obłędem w oczach przywoływał ich gestami. Mieli świeżo upolowaną fokę na wymianę, więc szybko zaprosił ich na pokład. Pojawiło się jeszcze kilku mężczyzn, brudnych i wychudzonych, z zakrzepłą krwią na ubraniach. Jeden popatrzył na Koonika i wybełkotał coś niezrozumiale, dwaj inni zaczęli tańczyć na pokładzie. Marynarze śpiewali dziwną pieśń i nazywali siebie „ludźmi ciemności”. Koonik pomyślał, że wszyscy są opętani przez złe duchy. Przestraszony, trzymał się kurczowo wuja, gdy ten wymieniał focze mięso na dwa noże i jakieś lśniące srebrzyste kamienie, które według koblunów miały niezwykłą rozgrzewającą moc. Kobluni obiecali więcej noży i srebrzystych kamieni, jeśli Inuici przyniosą więcej foczego mięsa. Koonik odszedł ze swoim wujem i już nigdy nie zobaczył statku. Ale wspominał, że jego krewny i inni mężczyźni zanieśli dużo fok załodze kilka tygodni później i wrócili z wieloma nożami oraz czółnem pełnym czarnej kobluny.

- To musiał być ruten! - wykrzyknęła z podnieceniem Loren.

- Tak, czarna kobluna - zgodził się Pitt. - Ale skąd ludzie Franklina go wzięli?

- Mogli go odkryć na którejś z pobliskich wysp podczas wycieczki saniami - podsunął Perlmutter.

- Oczywiście mogli natrafić na kopalnię dużo wcześniej, gdziekolwiek między Grenlandią a Wyspą Wiktorii, pokonując odległość tysięcy mil morskich. Obawiam się, że za mało wiemy, żeby ruszyć z miejsca.

- Intryguje mnie dziwne zachowanie marynarzy - powiedziała Loren.

- Słyszałem podobną historię - odrzekł Pitt. - Robotnicy w pewnej południowoafrykańskiej tkalni

popadali w obłąd, co przypisywano temu, że byli wystawieni na działanie rutenu. Ale w obu wypadkach musiała być inna przyczyna, bo ten minerał nie ma niebezpiecznych właściwości.

- Może do obłądu doprowadziły ich straszne warunki, w jakich żyli - dociekała Loren. - Głodowali i marzli kolejną zimą, uwięzieni w ciemnym, ciasnym wnętrzu statku. Wystarczy, żeby zwariować.

Perlmutter skinął głową.

- Jeśli dodasz do tego skorbut, odmrożenia i zatrucia jadem kiełbasianym, bo jedli kiepskie konserwy uszczelniane ołowiem, to będziesz miała mnóstwo ewentualnych przyczyn szaleństwa.

- Kolejne pytanie bez odpowiedzi dotyczące tej ekspedycji - zmartwił się Pitt.

- Ta relacja wydaje się potwierdzać to, czego się dowiedziałeś w spółdzielni górniczej - zauważył Perlmutter.

- Może na statku jest jakaś wskazówka, skąd pochodził ruten - zasugerowała Loren.

Pitt już o tym pomyślał. Wiedział, że lodowate wody Arktyki to doskonały środek konserwujący. „Breadalbane”, drewniany statek z 1843 roku, który utknął w lodzie niedaleko wyspy Beechey podczas poszukiwań Franklina, odnaleziono niedawno zupełnie nietknięty z masztami w całości. Loren mogła mieć rację, ale którego statku należało szukać i gdzie?

- Nie ma wzmianki o drugim statku? - zapytał Pitt. Perlmutter zaprzeczył.

- A przybliżona pozycja, którą podali, jest dość daleko na południe od miejsca, gdzie podobno statki Franklina zostały opuszczone.

- Może dryfujący lód je rozdzielił - podsunęła Loren.

- Całkiem możliwe - zgodził się Julien. - Dalej w dzienniku Leuthnera jest pewna ciekawostka. - Przerzucił kilka kartek. - Inny Inuit twierdzi, że widział, jak jeden statek zatonął, a drugi zniknął. Leuthner nigdy nie zdołał z niego wyciągnąć, na czym polegała różnica.

- Zakładając, że to jeden ze statków Franklina, należałoby go zidentyfikować na wypadek, gdyby miało się okazać, że minerał nie trafił ani na pokład „Erebusa”, ani na „Terrora” - zauważył Pitt.

- Niestety Koonik nie podał jego nazwy. A oba statki wyglądały prawie identycznie - odrzekł Perlmutter.

- Ale powiedział, że marynarze jakoś siebie nazywali - przypomniała Loren. - Jak to brzmiało, „czarni ludzie”?

- „Ludzie ciemności”. Trochę dziwnie. Może mówili tak o sobie dlatego, że przeżyli tyle ciemnych zim.

Pitt uśmiechnął się szeroko.

- Albo z innego powodu. Nazwy statku, na którym służyli. Loren spojrzała na niego pytająco, ale Perlmuttera olśniło.

- No jasne! - ryknął. - To musi być „Erebus”. Brawo, chłopcze. Loren popatrzyła na męża.

- Czegoś nie dostrzegam?

- Erebus to greckie słowo oznaczające „mrok” - wyjaśnił Pitt. - Erebus jest w mitologii greckiej najciemniejszą głębią podziemnego świata cieni, Hadesu, krainy zmarłych.

- Gdzie skończyła tamta załoga - dodał Perlmutter i przyjrzał się uważnie Pittowi. - Myślisz, że uda ci się znaleźć ten statek?

- Trzeba będzie przeszukać spory obszar, ale warto spróbować. Może nam przeszkodzić tylko jedno, to samo, czego obawiał się Franklin: lód.

- Zbliża się lato, pora roku, kiedy topnienie lodu umożliwia żeglugę w tamtym regionie. Zdażysz

dopłynąć tam w takim terminie, żeby wystarczyło ci czasu na poszukiwania?

- Nie zapominaj o Kanadyjczykach - dorzuciła Loren. - Mogą cię nie wpuścić.

W oczach Pitta zabłysła nadzieja. Uśmiechnął się.

- Tak się składa, że mam w tamtej okolicy statek i człowieka, który znajdzie rozwiązanie - odrzekł z przekonaniem.

Perlmutter wygrzebał zakurzoną butelkę starego portu, napełnił małe kieliszki i uniósł swój.

- Z Bogiem, mój chłopcze. Obyś rzucił trochę światła na zaciemnionego „Erebusa”.

Loren i Pitt podziękowali Perlmutterowi za lunch i po otrzymaniu od niego obietnicy, że dostarczy im kopie wszystkich posiadanych materiałów na temat prawdopodobnej pozycji statku, wyszli z domu historyka i wrócili do samochodu. Loren była dziwnie milcząca, kiedy wsiadała do auta. Szósty zmysł ostrzegał ją przed czającym się niebezpieczeństwem. Wiedziała, że nie może się sprzeciwić decyzji Pitta, ale zawsze ciężko przeżywała jego wyprawy.

- Arktyka to niebezpieczne miejsce - powiedziała w końcu cicho. - Będę się o ciebie martwiła.

- Zabiorę ciepłą bieliznę i będę się trzymał z daleka od gór lodowych - przyrzekł żartem, żeby ją pocieszyć.

- Wiem, że to ważne, ale wolałabym, żebyś tam nie jechał. Uśmiechnął się uspokajająco, ale w oczach pojawiły się zaduma i zdecydowanie. Loren wystarczyło jedno spojrzenie na męża, by wiedzieć, że Pitt już tam jest.

Mitchell Goyette siedział na rufie swojego jachtu i przeglądał raporty o dochodach, gdy zjawiała się czarująca brunetka, jego osobista sekretarka, z przenośnym bezpiecznym telefonem.

- Dzwoni minister zasobów naturalnych - oznajmiła i wręczyła mu aparat.

Goyette spojrział na nią pożądlawie i podniósł słuchawkę.

- Cześć, Arthur, dobrze, że się odezwałeś. Co z moimi licencjami na eksploracje w Arktyce?

- Dzwonię właśnie w tej sprawie. Dostałem twoje mapy z zaznaczonymi strefami, które cię interesują, i jestem zaszokowany. W grę wchodzi obszar o powierzchni ponad czterech milionów ośmiuset tysięcy hektarów. To rzecz bez precedensu.

- Można na tym zbić fortunę. Ale po kolei. Najpierw Wyspy Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Jak wygląda sytuacja?

- Jak wiesz, prawo eksploatacji części tamtego terenu ma Środkowoamerykańska Spółka Górnicza. Moje biuro przygotowało projekt wypowiedzenia im umowy ze stosownym uzasadnieniem. Jeśli ich produkcja nie osiągnie ustalonego poziomu w ciągu trzech najbliższych miesięcy, będziemy mogli cofnąć im licencję. A jeśli kryzys w naszych stosunkach z USA pogłębi się, zadziałamy wcześniej.

- Chyba możemy być pewni, że nie wypracują letniej normy - odrzekł chytrze Goyette.

- Unieważnienie można by przyspieszyć, gdyby podpisał je premier. Chcesz pójść w tym kierunku?

Goyette się roześmiał.

- Premier Barrett nie będzie miał nic przeciwko temu. Jest kimś w rodzaju cichego współnika w tym przedsięwzięciu.

- Publicznie jest orędownikiem ochrony środowiska naturalnego Arktyki - przypomniał mu Jameson.

- Podpisze wszystko, co zechcę. A co z moimi pozostałymi licencjami?

- Mój sztab ustalił, że dotąd udzielono licencji na eksplorację tylko niewielkiego skrawka Cieśniny Melville'a. Najwyraźniej ubiegłeś prawie wszystkich.

- Tak, bo duża część tamtego obszaru była dotąd niedostępna - odparł Goyette. - Teraz, dzięki temu, że się ociepla i mam flotę lodołamaczy i barek, będę mógł zacząć eksploatację tamtych rejonów, zanim zjawi się ktokolwiek inny. Z twoją pomocą, oczywiście - dodał kwaśno.

- Mogę ci pomóc w uzyskaniu licencji na eksplorację morza w Arktyce, ale do prowadzenia poszukiwań na lądzie będzie potrzebna zgoda Urzędu do spraw Indian i Autochtonów.

- Czy szefa tego urzędu mianuje premier?

- Tak.

Goyette znów się roześmiał.

- Więc nie ma problemu. Kiedy będę mógł zamknąć strefy na morzu?

- Przed zatwierdzeniem konieczna jest inspekcja, a to duży obszar - odrzekł Jameson z wahaniem.

- Bez obaw, ministrze. Niedługo dostaniesz przelew na okrągłą sumkę, a następny po załatwieniu licencji. Nigdy nie zapominam o wypłatach dla tych, którzy ułatwiają mi prowadzenie interesów.

- W porządku. Postaram się, żeby dokumenty były gotowe za kilka tygodni.

- To rozumiem. Wiesz, gdzie mnie znaleźć - powiedział Goyette i się rozłączył.

W gabinecie w Ottawie Jameson odłożył słuchawkę telefonu i spojrzął przez biurko na komendanta Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, który wyłączył podsłuchowe urządzenie nagrywające.

- Mój Boże, on dał wyraźnie do zrozumienia, że premier też - mruknął komendant i pokręcił głową.

- Korupcja sięga samej góry - odrzekł Jameson. - Będzie pan miał do jutra gwarancję mojej nietykalności?

Wstrząśnięty komendant przytaknął.

- Jeśli zgodzi się pan złożyć zeznania i przedstawić dowody, nie zostanie pan postawiony w stan oskarżenia. Oczywiście będzie pan musiał natychmiast ustąpić ze stanowiska. Obawiam się, że to koniec pańskiej kariery w służbie publicznej.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Jameson z ponurą miną. - Wolę to niż dalsze wysługiwanie się temu chciwemu łajdakowi.

- Jest pan zdecydowany pogrążyć premiera?

- Jeśli Barrett siedzi w kieszeni Goyette'a, to nie zasługuje na nic lepszego.

Komendant wstał z krzesła i schował urządzenie podsłuchowe i notes do nesesera.

- Głowa do góry, komendancie - powiedział Jameson, patrząc na jego przygnębioną minę. - Kiedy prawda o Goyette'cie wyjdzie na jaw i wsadzi go pan za kratki, stanie się pan bohaterem narodowym. Byłby pan nawet dobrym kandydatem na następcę premiera.

- Nie mam tak dużych aspiracji. Boję się szkód, jakie Goyette może wyrządzić wymiarowi sprawiedliwości..

Kiedy komendant ruszył do drzwi, Jameson za nim zawołał:

- Prawo w końcu zwycięży!

Komendant szedł dalej, wiedząc, że nie zawsze tak jest.

Utrzymująca się na powierzchni część łodzi Trevora jeszcze się tliła, gdy barka z dźwigiem, wypożyczona z huty aluminium, zacumowała obok i wciągnęła ociekający wodą wrak na pokład. Przetransportowała go do pobliskiej stoczni i opuściła na betonową platformę, gdzie miał oczekiwać na zbadanie przez policję i rzeczoznawcę ubezpieczeniowego. Trevor został opatrzony i przesłuchany przez funkcjonariuszy, obejrzał zwęglony kadłub motorówki i poszedł z powrotem do łodzi badawczej NUMA. Dirk przywołał go gestem na pokład i zapytał o reakcję policji.

- Inspektor nie chce się wypowiadać, czy to była eksplozja ładunku wybuchowego, czy nie, dopóki nie stwierdzi tego ekspert - odrzekł Trevor.

- Łodzie nie wylatują w powietrze ni stąd, ni zowąd, w każdym razie nie w ten sposób - zauważył Dirk.

- Pytał mnie, czy mam jakieś podejrzenia, ale odpowiedziałem, że nie.

- Uważasz, że nic nie działo? - spytała Summer.

- Na razie nie ma po prostu wystarczających dowodów, żeby wskazać winnego.

- Wszyscy wiemy, że to była robota kogoś z zakładu sekwestracji.

- Koniecznie musimy się dowiedzieć, o co tu chodzi - odparł Trevor i popatrzył stanowczo na Dirka i Summer. - Wiem, że macie mało czasu, ale może zdążymy przeszukać okolice wyspy Gil przed waszym wyjazdem?

- Jesteśmy gotowi - odrzekł Dirk. - Odcumujemy łódź i ruszamy. Płynęli wzdłuż Zatoki Douglasa w milczeniu, każde z nich zastanawiało się, z czym jeszcze przyjdzie im się zmierzyć. Kiedy mijali zakład sekwestracji, Dirk zauważył, że zbiornikowiec do transportu ciekłego gazu ziemnego zniknął z krytego basenu portowego. Pchnął przepustnicę do oporu, żeby jak najszybciej dotrzeć na miejsce i zobaczyć, co się kryje pod wodą u wybrzeży wyspy Gil.

Dopływali do cieśniny, gdy Summer wstała i wskazała na przednią szybę. Zza następnego zakrętu wyłonił się czarny zbiornikowiec płynący wolno przed nimi.

- Zobaczcie, jest mocno obciążony - powiedział Dirk. Statek był zanurzony niemal do linii wodnej.

- Miałaś rację, Summer - przyznał Trevor. - On zabierał dwutlenek węgla z zakładu. To bez sensu.

Łódź NUMA wyprzedziła zbiornikowiec i wpłynęła w cieśninę. Dirk wziął kurs na południe i zatrzymał motorówkę, gdy zrównał się z krańcem wyspy Gil. Przeszedł na rufę i opuścił sonar za burtę, Summer wprowadziła siatkę poszukiwawczą do systemu nawigacyjnego. Po kilku minutach znów ruszyli i zaczęli przeczesywać przesmyk w poprzek tam i z powrotem z sonarem na holu.

Obrazy sonarowe pokazywały strome skaliste dno, które opadało z głębokości piętnastu metrów blisko brzegu do ponad sześćdziesięciu na środku cieśniny. Dirk musiał poruszać kablem sonaru tak, jakby grał w jo-jo, żeby dostosować zanurzenie urządzenia do zmieniającej się głębokości.

W ciągu pierwszej godziny poszukiwań nie znaleźli nic interesującego, widzieli tylko dno usłane

kamieniami i czasem zatopioną kłodę. Trevora szybko znudziło obserwowanie monotonnych widoków i skupił uwagę na zbiornikowcu. Duży statek zjawił się wreszcie w cieśninie i skierował w ślimaczym tempie na północ. W końcu okrążył północny kraniec wyspy Gil i zniknął z pola widzenia.

- Ciekawe, dokąd płynie - odezwał się Trevor.

- Po powrocie do Seattle poproszę naszą agencję, żeby spróbowała go wytropić - odrzekła Summer.

- Wolę nie myśleć, że wypuszcza dwutlenek węgla do morza.

- Mało prawdopodobne - oceniła. - To byłoby zbyt niebezpieczne dla załogi, gdyby wiatr się zmienił.

- Pewnie masz rację, ale coś tu nie gra.

- Coś mam - rozległ się głos Dirka z kabiny.

Summer i Trevor zajrzeli do środka i popatrzyli na monitor sonaru. Ekran pokazywał cienką linię, która biegła po dnie morza.

- To może być rura - powiedział Dirk. - Wygląda na dzieło człowieka. Powinniśmy zobaczyć więcej po następnym nawrocie.

Musieli poczekać dziesięć minut, żeby dopłynąć do wyspy, zawrócić i skierować się z powrotem w poprzek przesmyku. Cienka linia na monitorze biegła na północny zachód.

Summer przyjrzała się jej uważnie.

- Wydaje się za gruba na kabel telekomunikacyjny.

- Trudno zgadnąć, co to może być - stwierdził Trevor. - Na wyspie Gil jest tylko kilka prymitywnych domków myśliwsko-wędkarskich. Poza tym nikt tam nie mieszka.

- Ta linia musi dokądś prowadzić - zauważył Dirk. - Dopóki jest widoczna, możemy płynąć wzdłuż niej.

Nadal przeczesywali cieśninę, ale zamiast wyjaśnić podwodną tajemnicę, natrafili na następną. Wkrótce pojawiła się druga linia, a potem trzecia. Wszystkie biegły do jednego punktu na północy. Po sprawdzeniu kilku kolejnych odcinków dotarli do miejsca, gdzie linie się łączyły. Przybyły jeszcze cztery, wszystkie wyglądały jak ogromna siedmiopalczysta ręka leżąca na dnie. Gdy zestawili razem obrazy sonarowe, zobaczyli, że wszystkie linie rozchodzą się i urywają po około pięćdziesięciu metrach. Od miejsca ich połączenia biegła wzdłuż brzegu na północ pojedyncza grubsza linia. Monitor pokazywał ją do punktu, gdzie ginęła w osadach na dnie morza blisko lądu. Kiedy sprawdzili cały obszar siatki poszukiwawczej, Dirk wyłączył silnik i razem z Trevorem wyciągnęli sonar.

- Dochodzi siódma - oznajmiła Summer. - Została nam godzina, jeśli mamy wrócić przed zmrokiem.

- Mnóstwo czasu na szybkie zanurkowanie - odparł Dirk. - To może być nasza jedyna szansa.

Pozostała dwójka nie wyraziła sprzeciwu. Dirk włożył skafander neoprenowy, Summer ustawiła łódź nad miejscem, gdzie zbiegało się siedem linii.

- Głębokość dwadzieścia dziewięć metrów - poinformowała. - Radar pokazuje, że z północy zbliża się do nas duży statek. Jest w odległości około piętnastu mil morskich. - Odwróciła się do Trevora. - Chyba mówiłeś, że w środku tygodnia nie ma tu żadnych rejsów wycieczkowych?

Trevor spojrział na nią niepewnie.

- Tak wynikało z moich obserwacji. Linie żeglugowe dość ściśle trzymają się rozkładu. To musi być jakiś zabłąkany frachtowiec.

Dirk wsunął głowę do kabiny i popatrzył na ekran radaru.

- Zdamę dokładnie się rozejrzeć, zanim się tu pojawi.

Summer obróciła łódź pod prąd i Trevor rzucił kotwicę z dziobu. Dirk poprawił akwalung oraz pas balastowy i wyskoczył za burtę.

Kiedy znalazł się w wodzie, stwierdził z ulgą, że prąd jest bardzo słaby. Dopłynął do dziobu łodzi, chwycił się liny kotwicznej i zanurkował.

Światło z powierzchni stopniowo przestało docierać w głąb zimnej zielonej toni i musiał włączyć małą lampę na czole. Z mroku wyłoniło się brązowe skaliste dno usłane jeżowcami i rozgwiazdami. Na głębokości dwudziestu ośmiu metrów wyregulował swoją pływalność, puścił się liny kotwicznej, zatoczył szeroki krąg i znalazł obiekt wykryty przez sonar.

Ciemna metalowa rura na dnie morza ciągnęła się poza jego pole widzenia. Miała około piętnastu centymetrów średnicy i musiała być ułożona niedawno, bo jej gładka powierzchnia nie była pokryta glonami ani skorupiakami. Dirk wrócił do kotwicy, przyciągnął ją do rury i umocował między pobliskimi skałami. Potem popłynął wzdłuż rury, która schodziła coraz niżej, i po dwudziestu metrach natrafił na jej wylot. Wokół otworu widniało małe wgłębienie w dnie morskim. Dirk zauważył zupełny brak flory i fauny morskiej w tym miejscu.

Popłynął wzdłuż rury w przeciwnym kierunku, wrócił na płytszą wodę i dotarł do rozgałęzienia. Od trzech par złączy odchodziło w obie strony sześć rur, na końcu była jeszcze jedna. Grubsza, dwudziesto - pięciocentymetrowa, prowadziła od rozgałęzienia ku wyspie Gil. Dirk przepłynął wzdłuż głównej rury kilkadziesiąt metrów i zobaczył, że skręca pod kątem prostym na północ na głębokości dziesięciu metrów.

Kawałek dalej zniknęła pod mułem, dlatego była niewidoczna na ekranie sonaru. Posuwał się wzdłuż niej jeszcze przez kilka minut, wreszcie musiał zawrócić, gdyż wyczerpywał mu się zapas powietrza. Właśnie zmienił kurs, gdy nagle usłyszał dudnienie pod powierzchnią, ale w wodzie nie mógł się zorientować, skąd dochodzi. Wracając wzdłuż rury, zauważył, że piasek zaczął się z niej osypywać. Przyłożył na niej dłoń w rękawicy i poczuł silne wibracje. Z nagłą obawą popłynął szybko w kierunku rozgałęzienia.

Na pokładzie łodzi Summer spojrzała na zegarek i obliczyła, że Dirk jest pod wodą prawie pół godziny. Odwróciła się do Trevora, który siedział na relingu i wpatrywał się w nią z zachwytem.

- Żałuję, że nie możemy zostać dłużej - powiedziała, odgadując jego myśli.

- Ja też - odrzekł. - Będę musiał wybrać się do Vancouver, żeby zgłosić zniszczenie łodzi i postarać się o nową. To może mi zająć kilka dni, nawet więcej, jeśli się postaram - dodał z szerokim uśmiechem. - Mogę cię odwiedzić w Seattle?

- Będę wściekła, jeśli tego nie zrobisz - oświadczyła z uśmiechem. - To tylko trzy godziny jazdy pociągiem.

Trevor chciał coś powiedzieć, gdy ponad ramieniem Summer zauważył coś w wodzie. Jakieś dwadzieścia metrów od łodzi spod powierzchni gwałtownie wydobywały się pęcherze powietrza. Wstał, żeby się temu lepiej przyjrzeć, kiedy dziewczyna wskazała drugie takie miejsce przy dziobie. Oboje rozejrzeli się wokół i zobaczyli mnóstwo wyskakujących bąbli.

Powstała rozległa kipiela, z której zaczęły się unosić białe opary. Przybywało ich szybko i rozprzestrzeniały się na wodzie. W ciągu kilku sekund otoczyły łódź i uwięziły Summer i Trevora w środku kręgu. Kiedy się zbliżyły, Trevor powiedział z przestraszeniem:

- To oddech diabła.

Dirk gwałtownie poruszał nogami i płynął prędko wzdłuż głównej rury. Choć nie widział jej z powodu słabej widoczności, czuł turbulencje w wodzie i wiedział, że dzieje się coś niedobrego. Zobaczył w wyobraźni „Venturę” i jej martwą załogę, potem pomyślał o Summer i Trevorze na powierzchni i przyspieszył mimo protestu płuc.

Kiedy dotarł do rozgałęzienia rur, natychmiast skręcił w lewo i skierował się wzdłuż cieńszej rury do miejsca, gdzie się zanurzył. Słyszał teraz szum pęcherzy powietrza wypuszczanych do wody pod wysokim ciśnieniem. Trzymając się rury, dostrzegł w końcu przed sobą linę kotwiczną. Momentalnie wystrzelił ku powierzchni pod takim kątem, by dotrzeć do liny, i znalazł się przy niej tuż pod dziobem łodzi.

Wynurzył głowę i poczuł się jak w londyńskiej mgłę. Nisko nad wodą kłębiły się gęste białe opary. Dopłynął przy kadłubie do rufy i wspinał się po drabince, którą Summer opuściła wcześniej za reling. Stojąc na dolnym szczeblu, zajrzał ponad krawędzią burty do łodzi. Pokład spowijała biała mgła i niemal przesłaniała sterówkę oddaloną zaledwie o parę metrów.

Dirk wyjął z ust regulator i zawołał Summer. Natychmiast poczuł ostry smak, więc wetknął regulator z powrotem między zęby i zaczerpnął powietrza z butli akwalungu. Nasłuchiwał przez kilka sekund, potem zszedł z drabinki i pogрузił się w wodzie z walącym sercem.

Zdał sobie sprawę, że nikt nie odpowiedział, bo łódź była pusta.

Dwieście metrów na zachód i trzy metry pod powierzchnią Trevor myślał, że umrze. Nie mógł uwierzyć, że lodowata woda tak szybko pozbawiła go sił, energii i niemal całej woli walki o życie. Gdyby nie mobilizowało go błagalne spojrzenie błyszczących oczu Summer, pewnie by się poddał.

Kiedy wsuwała mu regulator do ust, żeby zaczerpnął powietrza, zachwycał się jej pięknymi oczami. Promieniowało z nich niezwykle ciepło. Zrobił głęboki wdech, oddał jej regulator i uświadomił sobie, że traci nad sobą kontrolę. Spróbował znów się skoncentrować na nogach i mimo zmęczenia poruszać nimi szybciej, wiedząc, że musi dotrzeć do brzegu.

Podjęli błyskawiczną decyzję, jedyną, która mogła ich uratować. Kiedy otoczyła ich chmura dwutlenku węgla, skoczyli do wody. Summer rozważała odcięcie liny kotwicznej i szybkie przebicie się przez opary, ale gdyby silnik nie zaskoczył od razu i ucieczka trwałaby zbyt długo, zginęliby. Poza tym musieli pamiętać o Dirku. Gdyby wynurzył się pod rufą odpływającej łodzi, śruba mogłaby go posiekać na kawałki. Być może miał teraz mniejsze szanse na przeżycie, ale zawsze była nadzieja, że wystarczy mu powietrza na wydostanie się z niebezpiecznej strefy.

- Musimy zanurkować! - zawołała Summer wkrótce po erupcji gazu. Trevor zobaczył, jak podnosi akwalung leżący przy relingu.

- Wkładaj skafander - polecił. - Ja wezmę to.

Niecałą minutę przed tym, jak opary spowiły łódź, Summer była ubrana i chwyciła maskę, podczas gdy Trevor pospiesznie przymocował butlę. Dziewczyna w ostatniej chwili włożyła kamizelkę ratunkową, kiedy dwutlenek węgla nadciągnął nad motorówkę. Raczej spadli, niż skoczyli

za burtę z głośnym pluskiem lodowatej wody i znaleźli się pod zabójczą chmurą.

Na niezabezpieczonego przed zimnem Trevora zanurzenie podziało jak porażenie prądem. Ale wysoki poziom adrenaliny uchronił go przed zamrożeniem. Twarz przy twarzy płynęli niezgrabnie naprzód, przekazywali sobie regulator i dzielili się powietrzem. W końcu znaleźli dogodny rytm i zbliżali się do wyspy dość szybko. Jednak zimno zaczęło pokonywać Trevora. Skutki wychłodzenia były początkowo niedostrzegalne, ale wkrótce Summer zauważyła jego spowolnione ruchy. Zsiniwały mu wargi i uszy - wiedziała, że grozi mu hipotermia. Przyspieszyła, żeby utrzymali tempo. Pokonała z trudem jeszcze trzydzieści metrów i uświadomiła sobie, że Trevor powoli staje się dla niej ciężarem ponad siły. Spojrzała w dół z nadzieją, że dno morskie zacznie się wznosić, ale przesłaniała je mętna woda. Nie orientowała się, jak daleko są od wyspy, i podejrzewała, że mogą się kręcić w kółko. Nadszedł czas, by zaryzykować wynurzenie.

Nabrała dużo powietrza, wcisnęła regulator do ust Trevora i odepchnęła się w górę, ciągnąc mężczyznę za sobą. Wypłynęła na spokojną powierzchnię i rozejrzała się szybko dookoła, żeby zorientować, gdzie są. Jej najgorsze obawy na szczęście się nie potwierdziły. Udało im się uciec, przynajmniej na razie, przed gęstą chmurą dwutlenku węgla, która wciąż kłębiła się niedaleko. Z drugiej strony widniały zielone wzgórza wyspy Gil, oddalonej o niecałe ćwierć mili morskiej. Choć nie płynęli w linii prostej, utrzymywali właściwy kurs.

Summer zaryzykowała kilka wdechów, a gdy nie wydarzyło się nic złego, sięgnęła Trevorowi pod pachę i wcisnęła przycisk pompowania jego kamizelki ratunkowej. Kamizelka szybko się napełniła i tors Trevora wyłonił się z wody. Summer spojrzała na niego. Mrugnął do niej, ale miał mętny wzrok i apatyczny wyraz twarzy. Chwyciła za tył jego kamizelki i holowała go do brzegu, męcząc się okropnie, gdyż nie miał siły jej pomóc i ledwo poruszał nogami.

Odległość do wyspy wydawała się nie zmniejszać. Summer ogarnęło znużenie, lecz desperacko ciągnęła Trevora w stronę lądu. Starła się nie patrzeć na brzeg i koncentrować na płynięciu, ale czuła, że nogi ma jak z ołowiu. Próbowwała utrzymać tempo, gdy nagle kamizelka ratunkowa Trevora gwałtownie wysunęła jej się z rąk, a on od niej odpłynął. Przestraszona i zaskoczona zobaczyła, że jego ramiona i nogi wciąż pozostają bez ruchu. Potem obok Trevora wyłoniła się z wody czyjaś głowa.

Dirk odwrócił się, spojrzał na Summer i wypluł regulator.

- On zeszywniał. Nawdychał się gazu? - zapytał.

- Nie, to tylko wychłodzenie. Trzeba go doholować do brzegu. Jak nas znalazłeś?

- Zauważyłem, że na łodzi brakuje akwalungu i domyśliłem się, że plyniecie do wyspy.

Wynurzyłem się kawałek na południe stąd i wtedy was zobaczyłem.

Przestali rozmawiać i ruszyli dalej najszybciej jak mogli. Pojawienie się Dirka podniosło Summer na duchu i dodało jej sił. Oboje płynęli energicznie i wkrótce dotarli do brzegu, gdzie wciągnęli Trevora na wąską skalistą plażę. Trevor zdołał usiąść, ale nie mógł zapanować nad dygotem i patrzył w przestrzeń.

- Musimy zdjąć z niego to mokre ubranie. Dam mu skafander - powiedział Dirk.

Summer skinęła głową i wskazała wzdłuż plaży. Sto metrów od nich stał nad wodą mały drewniany budynek.

- Wygląda na domek wędkarski. Sprawdź, co tam jest, a ja rozbioreę Trevora.

- Okej - odrzekł Dirk i zdjął akwalung oraz pas balastowy. - Tylko staraj się nad sobą panować - dodał żartem i pobiegł plażą.

Nie tracił czasu, zdając sobie sprawę, że Trevor jest w kiepskim stanie. Mimo że był w skafandrze, szybko pokonał sto metrów. Summer miała rację, domek służył za miejsce noclegowe członkom lokalnego klubu wędkarskiego. Prosta chatka z bali była mniejsza od garażu na jeden samochód. Dirk zauważył blaszaną dwustulitrową beczkę i stertę porąbanego drewna pod ścianą. Podszedł do drzwi, otworzył je i zobaczył łóżko polowe, piec opalany drewnem i wędzarnię ryb. Dostrzegł pudełko zapalek i mały stos suchego drewna, rozpałił ogień w piecu i pobiegł z powrotem.

Trevor siedział bez koszuli na kłodzie, Summer ściągała mu mokre spodnie. Dirk pomógł mu wstać i razem z Summer powlekli go do chatki. Po drodze oboje spojrzeli na cieśninę. Białe obłoki dwutlenku węgla wciąż unosiły się nad wodą, wyglądało to jak erupcja wulkanu. Opary zasnuwały całą szerokość przesmyku i tworzyły ścianę gęstej mgły wysokości ponad piętnastu metrów. Zauważyli czerwony odcień wody i zobaczyli tuziny martwych ryb na powierzchni.

- To musi być robota załogi tamtego zbiornikowca - powiedział Dirk. - Pewnie pompują gaz z terminalu po drugiej stronie wyspy.

- Ale dlaczego robią to w biały dzień?

- Bo wiedzą, że tu jesteśmy - odrzekł cicho gniewnym tonem. Dotarli do domku i położyli Trevora na łóżku. Summer przykryła go starym wełnianym kocem, a Dirk przyniósł z dworu naręcze szczap drewna. Piec już trochę ogrzał chatkę i Dirk dokładał drewna, dopóki ogień nie zaczął buzować. Wyprostował się, żeby pójść po nowe szczapy, gdy w oddali rozległ się ryk syreny i odbił głośnym echem od zboczy wzgórz na wyspie.

Dirk i Summer wypadli z domku i popatrzyli ze zgrozą na cieśninę. Dwie mile morskie na północ od nich płynął przesmykiem wielki statek wycieczkowy i kierował się prosto na zabójczą chmurę dwutlenku węgla.

Francuski statek wycieczkowy „Dauphine” miał odbyć tygodniowy rejs w górę wybrzeża Alaski, a potem wrócić do macierzystego portu w Vancouver. Ale zatrucie pokarmowe prawie trzystu pasażerów zmusiło kapitana do skrócenia podróży, gdyż zbyt duża liczba osób wymagała hospitalizacji.

„Dauphine” miała dwieście dziewięćdziesiąt metrów długości i należała do największych i najnowszych statków wycieczkowych, które kursowały drogą wodną Inside Passage. Na jego pokładzie były trzy pływalnie z podgrzewaną wodą, osiem restauracji, ogromna oszklona sala widokowa nad sterownią i luksusowe kabiny dla dwóch tysięcy stu pasażerów.

Ale kiedy Dirk i Summer stali na brzegu wyspy Gil i patrzyli na płynącego białego lśniącego kolosa, widzieli w nim tylko statek śmierci. Toksyczny dwutlenek węgla wciąż wydobywał się z wylotów siedmiu rur i opary rozprzestrzeniały się w promieniu ponad pół mili morskiej. Lekka zachodnia bryza utrzymywała chmurę gazu z dala od wyspy, ale zwiewała ją dalej w poprzek cieśniny. „Dauphine” przedzierałaby się przez zabójczą mgłę prawie pięć minut, a tyle czasu starczyłoby, żeby ciężki dwutlenek węgla dostał się do przewodów klimatyzacyjnych. Gaz wyparłby tlen z powietrza i spowodował szybką śmierć wszystkich osób w każdej części statku.

- Na pokładzie na pewno są tysiące ludzi - zauważyła ponuro Summer. - Trzeba ich ostrzec.

- Może w domku jest radio - odrzekł Dirk.

Wpadli do środka, zignorowali mamrotanie Trevora i przewrócili wnętrze chatki do góry nogami. Ale nie znaleźli nadajnika. Dirk wyszedł na dwór i wpatrzył się w białe opary, szukając wzrokiem łodzi badawczej NUMA. Była zupełnie niewidoczna w chmurze gazu.

- Ile powietrza zostało ci w butli? - zapytał szybko siostrę. - Mogę spróbować wrócić do łodzi i wywołać ich przez radio morskie, ale mój akwalung jest pusty.

Summer pokręciła głową.

- Nic z tego. Mój też jest prawie pusty, bo musiałam dzielić się powietrzem z Trevorem. Nie dotarłbyś do łodzi żywy. Nie pozwolę ci popłynąć.

Dirk musiał zrezygnować, gdyż próba prawdopodobnie skończyłaby się fatalnie. Rozejrzał się gorączkowo dookoła w poszukiwaniu jakiegoś sposobu na zaalarmowanie załogi statku. Zauważył dużą blaszaną beczkę obok domku. Podbiegł do niej, przyłożył ręce do brudnej górnej powierzchni i pchnął. Beczka najpierw ani drgnęła, ale potem przechyliła się z cichym chlupotem, co wskazywało, że jest prawie pełna. Odkręcił korek, zanurzył palec w cieczy i powąchał.

- Benzyna - powiedział, kiedy Summer dołączyła do niego. - Zapas do tankowania łodzi wędkarzy.

- Możemy rozpaść ognisko - podsunęła z podnieceniem.

- Albo zrobić coś bardziej widowiskowego.

Kapitan „Dauphine” sprawdzał na mostku prognozę pogody, gdy pierwszy oficer zawołał:

- Panie kapitanie, przeszkoda przed nami!

Kapitan skończył czytać komunikat i podszedł niedbałym krokiem do swojego zastępcy, który patrzył na farwator przez silną lornetkę. Na tym szlaku wodnym stale zdarzały się pływające przeszkody - wieloryby, delfiny i kłody gubione przez drewnowce. Ale nie zagrażały one dużemu statkowi.

- Pół mili morskiej przed nami - zameldował pierwszy oficer i wręczył lornetkę kapitanowi.

Ten przyłożył ją do oczu i zobaczył białą mgłę na ich kursie. Tuż przed nią unosił się na wodzie niewielki obiekt, z którego wyrastał czarny garb, a obok mniejszy niebieski. Kapitan przyglądał się obiektowi prawie minutę, regulując ostrość.

- W wodzie jest człowiek! - krzyknął nagle. - Wygląda na nurka. Sternik, zredukować prędkość do pięciu węzłów i przygotować się do zmiany kursu.

Oddał lornetkę pierwszemu oficerowi i podszedł do kolorowego monitora, który pokazywał ich pozycję na tle mapy nawigacyjnej szlaku wodnego. Przystudiował głębokości w cieśninie i stwierdził z zadowoleniem, że mogą spokojnie przepłynąć wschodnią stroną przesmyku. Już miał nakazać sternikowi zmianę kursu, żeby mogli ominąć nurka, gdy pierwszy oficer znów go zawołał.

- Panie kapitanie, lepiej niech pan spojrzy jeszcze raz. Ktoś na brzegu chyba coś nam sygnalizuje.

Kapitan znów chwycił lornetkę i popatrzył przed siebie. Statek podpłynął na tyle blisko, że można było zobaczyć Dirka w niebieskim skafandrze neoprenowym, płynącego obok kłody w kształcie litery Y. W jej rozwidleniu tkwiła dwustulitrowa beczka. Dirk machał w kierunku brzegu, potem odepchnął się od kłody i zniknął pod wodą. Kapitan przeniósł wzrok na plażę i zauważył Summer, która brnęła w wodzie do piersi. Trzymała nad głową płonący kawałek drewna. Patrzył z niedowierzaniem, jak ciska pochodnię na środek farwatoru w kierunku dryfującej kłody. Gdy drewno dotknęło powierzchni wody, natychmiast stanęła w płomieniach. Wąski pas ognia sunął wolno ku dryfującej kłodzie, aż wreszcie do niej dotarł. Wystarczyło kilka sekund, by opary benzyny w beczce zapaliły się i nastąpił niewielki wybuch, który ją przewrócił i odrzucił po wodzie. Kapitan patrzył na pożar wyraźnie oszołomiony, w końcu się otrząsnął.

- Cała wstecz! Cała wstecz! - wrzasnął, wymachując rękami. - I niech ktoś mnie połączy ze Strażą Przybrzeżną.

Dirk wynurzył się dwadzieścia metrów od płonącej benzyny i popłynął spokojnie w stronę statku wycieczkowego. Co jakiś czas podnosił rękę i uderzał nią w powierzchnię wody tak, jak nurkowie sygnalizują niebezpieczeństwo. Obserwował też uważnie chmurę dwutlenku węgla, która wciąż wisiała w powietrzu kilkadziesiąt metrów za płonącą kłodą. Usłyszał krzyki na brzegu, zerknął w tamtą stronę i zobaczył, jak Summer woła i macha do statku, żeby się zatrzymał.

Spojrzał na północ. Wielki statek nadal pruł prosto na niego. Zaczął się zastanawiać, czy na mostku ktokolwiek czuwa i widział jego pokaz pirotechniczny. Ponieważ groziło mu niebezpieczeństwo, skręcił i przepłynął kawałek ku brzegowi. Wtedy usłyszał odległe wycie syreny alarmowej. Zauważył, że za rufą statku powstała kipiela. Domyślił się, że ktoś jednak zobaczył jego sygnał ostrzegawczy i kapitan dał całą wstecz. Ale miał wątpliwości, czy wyhamuje w porę.

„Dauphine” nadal sunęła ku toksycznej chmurze i nie zmniejszyła prędkości. Dirk zaczął płynąć energiczniej, by uciec sprzed dziobu zbliżającego się statku. Wielki kadłub wyrastał nad nim jak wieża, dziób ciął wodę zaledwie metry od niego. Dirk stracił nadzieję, że statek się zatrzyma, gdy nagle wyczuł, że liniowiec drży i zwalnia. Przód dotarł do linii gasnących płomieni, „Dauphine” wreszcie stanęła i potwornie wolno zaczęła się cofać. Przebyła tyłem sto metrów na północ i znieruchomiała.

Za burtę opuszczono małą pomarańczową szalupę, która wystartowała ostro w kierunku Dirka. Gdy znalazła się przy nim, dwaj marynarze sięgnęli do wody i wciągnęli go brutalnie na pokład. Groźnie wyglądający mężczyzna, który siedział na rufie, spiorunował go wzrokiem.

- Co z pana za dureń? Greenpeace? - warknął z francuskim akcentem.

Dirk wskazał kłębiące się białe opary na południe od nich.

- Gdybyście w to wpłynęli, byłoby po was. To wy jesteście durnie, że zignorowaliście moje ostrzeżenie - urwał i popatrzył marynarzowi w oczy. Wytracony z równowagi Francuz stracił nagle pewność siebie i milczał. Dirk wskazał domek wędkarski. - Mam tam człowieka, który natychmiast potrzebuje pomocy lekarskiej.

Bez dalszej dyskusji pomknęli szalupą do brzegu. Dirk wyskoczył z łodzi i pobiegł do chatki, gdzie już zrobiło się gorąco od ognia w piecu. Summer siedziała na łóżku przy Trevorze, obejmowała go ramieniem i mówiła do niego. Miał przytomniejszy wzrok, ale wciąż mamrotał bez składu. Załoga szalupy pomogła przenieść go do łodzi i wszyscy dotarli na statek.

Kiedy Trevera wciągnięto w szalupie na pokład „Dauphine”, Summer poszła z nim do ambulatorium okrętowego, a Dirka zaprowadzono na mostek. Kapitan statku, niski mężczyzna z przerzedzonymi włosami, zmierzył przybysza wzrokiem od góry do dołu z wyrazem niechęci na twarzy.

- Kim pan jest i dlaczego rozpałił pan ogień na naszej drodze? - zażądał wyjaśnień.

- Nazywam się Pitt, jestem z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Jeśli popłynie pan dalej cieśniną, uśmierci pan wszystkich na pokładzie. Tamta biała mgła na wprost to zabójcza

chmura dwutlenku węgla wypuszczanego z pewnego zbiornikowca. Musieliśmy zostawić naszą łódź i dopłynąć wpław do brzegu. Moja siostra i nasz przyjaciel ledwo uniknęli śmierci.

Pierwszy oficer stał obok i słuchał. Pokręcił głową i parsknął.

- Co to za bzdury - powiedział do innego członka załogi tak głośno, żeby Dirk go usłyszał.

Zignorował jednak jego komentarz.

- Mówię prawdę. Jeśli chcecie ryzykować życie tysięcy pasażerów, płyncie dalej. Tylko przedtem wysadźcie nas na brzeg.

Kapitan przyjrzał się twarzy Dirka w poszukiwaniu oznak szaleństwa, ale zobaczył tylko zimną powściągliwość. Operator radaru rozładował napięcie.

- Panie kapitanie, mam w tamtej mgłę nieruchomą jednostkę płynącą jakieś pół mili morskiej na prawo od naszego dziobu.

Kapitan przetrwał informację w milczeniu, potem znów spojrzał na Dirka.

- W porządku, zmienimy kurs i nie popłyniemy dalej cieśniną. Straż Przybrzeżna jest w drodze. Jeśli wprowadził nas pan w błąd, panie Pitt, poniesie pan konsekwencje.

Chwilę później rozległ się narastający warkot i pomarańczowo-biały helikopter z bazy Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych w Prince Rupert pojawił się na lewo od statku.

- Kapitanie, proszę przekazać pilotowi, żeby nie przelatował przez te białe opary i nad nimi. I byłoby dobrze, gdyby okrążył wyspę Gil od północnego zachodu i sprawdził, co się dzieje po tamtej stronie - powiedział Dirk.

Kapitan zawiadomił pilota Straży Przybrzeżnej, jaka jest sytuacja. Helikopter zniknął na dwadzieścia minut, potem wrócił, zawisł nad statkiem i wywołał go przez radio.

- „Dauphine”, potwierdzamy obecność zbiornikowca przy płynącym terminalu na północnym wybrzeżu wyspy Gil. Możecie mieć rację co do nielegalnego wypuszczania gazu. Wysyłamy ostrzeżenia o zagrożeniu na morzu do Kanadyjskiej Straży Przybrzeżnej i Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej. Radzimy wam zmienić kurs i popłynąć farwaterem na zachód od wyspy Gil.

Kapitan podziękował pilotowi Straży Przybrzeżnej i wyznaczył trasę wokół wyspy. Po kilku minutach podszedł do Dirka.

- Wygląda na to, że zapobiegł pan straszliwej tragedii na moim statku, panie Pitt. Przepraszam za nasz brak zaufania i dziękuję za ostrzeżenie. Jeśli mogę się jakoś odwdziaczyć, proszę powiedzieć.

Dirk się zastanowił, po czym odpowiedział:

- No cóż, kapitanie, chciałbym odzyskać moją łódź.

Dirk i Summer nie mieli wielkiego wyboru, więc zostali na pokładzie „Dauphine”, dopóki nie zawinęli do Vancouver następnego dnia późnym wieczorem. Trevor doszedł do siebie, zanim dotarli do portu, ale zabrano go na noc do szpitala na obserwację. Dirk i Summer odwiedzili go przed wyjazdem pociągiem do Seattle.

- Odtajaleś wreszcie? - zapytała Summer, kiedy zastali Trevora w sali szpitalnej pod grubą warstwą koców.

- Tak, a teraz chcą mnie upiec żywcem - odrzekł szczęśliwy, że widzi ją tak prędko. - Następnym razem wezmę ze sobą skafander neoprenowy.

Roześmiała się.

- Umowa stoi. Trevor spoważniał.

- Zatrzymali tamten zbiornikowiec?

- Załoga „Dauphine” widziała, jak wychodził w morze, kiedy okrążyliśmy wyspę Gil, więc najwyraźniej uciekł na widok helikoptera. Na szczęście piloci Straży Przybrzeżnej mieli włączoną kamerę wideo i sfilmowali go przy pływającym terminalu.

- Trop bez wątpienia doprowadzi władze do jednej z firm Goyette’a - uznał Dirk. - Choć facet na pewno zdoła odeprzeć zarzut.

- Są winni śmierci mojego brata - odparł ponuro Trevor. - My też o mało przez nich nie zginęliśmy.

- Czy Summer mówiła ci, że rozszyfrowała wiadomość, którą twój brat zostawił na „Venturze”? - zagadnął Dirk.

- Nie. - Trevor usiadł gwałtownie w łóżku i spojrzał na Summer.

- Myślałam o tym, odkąd znaleźliśmy jego kuter - powiedziała. - Przyszło mi to do głowy w nocy na statku. Chodziło mu o tak zwaną duszącą wilgoć.

- Nie znam tego określenia - odrzekł Trevor.

- Pochodzi z dawnych czasów, kiedy górnicy zabierali ze sobą pod ziemię kanarki, żeby ostrzegały ich przed groźbą uduszenia. Natknęłam się na ten termin, gdy badałam historię starej zalanej kopalni w Ohio, gdzie podobno miały być prekolumbijskie artefakty. Twój brat był lekarzem, więc na pewno znał to określenie. Uważam, że próbował zostawić ostrzeżenie dla innych.

- Mówiłaś o tym komuś? - zapytał Trevor. Pokręciła głową.

- Pomyślałam, że będziesz chciał pogawędzić sobie jeszcze raz z szefem policji w Kitimat, kiedy tam wrócisz.

Trevor przytaknął, ale odwrócił się od Summer z wyrazem zamyślenia w oczach.

Dirk zerknął na zegar ścienny.

- Musimy zdążyć na pociąg. Umówimy się niedługo na wspólne nurkowanie w ciepłej wodzie - zwrócił się do Trevora i uścisnął mu dłoń.

Summer pocałowała go namiętnie.

- Pamiętaj, że Seattle jest tylko sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Trevor się uśmiechnął.

- Wiem. I trudno przewidzieć, jak długo będę musiał zostać w Vancouver, żeby załatwić nową łódź.

- Pewnie usiądzie za kołem sterowym prędzej, niż my odzyskamy naszą - zaczął biadolić Dirk, kiedy wyszli.

Ale mylił się. Dwa dni po ich powrocie do terenowego biura NUMA w Seattle ciężarówka z platformą przywiozła ich łódź badawczą, którą pozostawili przy wyspie Gil. Zbiornik paliwa motorówki był pełny, a na siedzeniu sternika leżała butelka drogiego francuskiego burgunda.

Zgodnie z dyrektywą prezydenta kuter Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych „Polar Dawn” przekroczył ostentacyjnie granicę morską z Kanadą na północ od Yukonu. Kiedy płynął na wschód przez rozfalowane szare wody Morza Beauforta, kapitan Edwin Murdock wyglądał przez okno sterówki z uczuciem ulgi. Nie zatrzymała go żadna uzbrojona kanadyjska flotylla, jak obawiali się niektórzy członkowie załogi.

Rejs zaczął się zupełnie niewinnie kilka miesięcy temu. Mieli sporządzić mapę skraju pokrywy lodowej wzdłuż Przejścia Północno-Zachodniego. Ale to było na długo przed zniszczeniem Stacji Arktycznej Numer 7 przez „Atlantę”. Nie chcąc bardziej drażnić oburzonych Kanadyjczyków, prezydent początkowo odwołał zadanie, jednak sekretarz obrony przekonał go w końcu, że należy je kontynuować, gdyż Kanadyjczycy wcześniej wyrazili zgodę na rejs kutra. Argumentował, że mogą minąć lata, zanim Amerykanie będą mogli wpłynąć na kanadyjskie wody wewnętrzne bez oskarżenia ich o prowokację.

- Niebo pogodne, ekran radaru pusty, stan morza trzy do czterech - zameldował oficer wykonawczy „Polar Dawn”, chudy jak szczapa Afroamerykanin Wilkes. - Doskonałe warunki do żeglugi tym szlakiem wodnym.

- Miejmy nadzieję, że utrzymają się przez sześć najbliższych dni - odrzekł Murdock. Dostrzegł przez prawe okno sterowni błysk na niebie. - Eskorta powietrzna nadal nam towarzyszy?

- Zdaje się, że pozostaną nad nami jeszcze przez pięćdziesiąt mil morskich po kanadyjskiej stronie - odparł Wilkes. Mówił o samolocie zwiadowczym P-3 Orion Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, który krążył dostojnie w górze. - Potem będziemy zdani tylko na siebie.

Nikt właściwie się nie obawiał, że Kanadyjczycy ich zatrzymają, choć oficerowie i marynarze na kutrze od dwóch tygodni słuchali agresywnej retoryki z Ottawy. Jednak większość uważała, że to tylko gierki niektórych polityków, próbujących zdobyć głosy wyborców. Taką mieli nadzieję.

„Polar Dawn” płynął przez Morze Beauforta na wschód wzdłuż poszarpanej krawędzi pokrywy lodowej, pokruszonej gdzieś na wiele kawałków o nieregularnych kształtach. Kuter Straży Przybrzeżnej holował za rufą podobny do sanek sensor rejestrujący grubość i gęstość lodu.

Na wodzie panował spokój, sporadycznie pojawiała się jakaś łódź rybacka lub statek wiertniczy. Kiedy pierwsza krótka noc arktyczna minęła bez przygód, Murdock nieco się odprężył. Załoga przystąpiła do rutynowych zajęć, które miała wykonywać jeszcze prawie trzy tygodnie w drodze powrotnej do nowojorskiego portu.

Na wschodzie lód podchodził bliżej do stałego lądu i stopniowo ograniczył szerokość drogi wodnej do niecałych trzydziestu mil morskich, gdy dotarli do Zatoki Amundsena na południe od Wyspy Banksa. Kiedy mijali znak wskazujący, że są pięćset mil morskich od Alaski, Murdock zdziwił się, że nie napotkali dotąd żadnych kanadyjskich okrętów. Poinformowano go na odprawie, że dwie jednostki pływające Kanadyjskiej Straży Przybrzeżnej regularnie patrolują Zatokę Amundsena i zatrzymują podążające na wschód frachtowce, które nie zapłaciły za tranzyt.

- Wyspa Wiktorii w polu widzenia - oznajmił Wilkes.

Wszyscy na mostku wyteżyli wzrok, żeby przez lekką mgłę dojrzeć porośniętą tundrą ląd. Większa od stanu Kansas, wielka wyspa o wybrzeżu długości sześciuset czterdziestu kilometrów leży na wprost kontynentu północnoamerykańskiego. Droga wodna znów się zwężyła, kiedy „Polar Dawn” wszedł do cieśniny Dolphin and Union, ochrzczonej tak od nazw dwóch małych statków, które brały udział w jednej z wcześniejszych wypraw Franklina do Arktyki. Łód wzdłuż obu brzegów ograniczał szerokość szlaku wodnego przez cieśninę do niecałych dziesięciu mil morskich. Kuter mógłby w razie konieczności łatwo przebić się przez pobliski lód o grubości metra, ale trzymał się wolnego od lodu farwateru, który rozmarzł dzięki ciepłej wiośnie.

Przebyli jeszcze sto mil morskich zwięzając się cieśniną, zanim nadeszła druga arktyczna noc na kanadyjskich wodach. Murdock wrócił właśnie na mostek po późnej kolacji, kiedy operator radaru zameldował o dwóch jednostkach na wodzie.

- Obie są w tej chwili nieruchome - powiedział. - Jedna na północy, druga na południu w linii prostej. Przy naszym obecnym kursie znajdziemy się dokładnie między nimi.

- To na pewno patrole - odrzekł spokojnie Murdock.

Kiedy zbliżyli się do dwóch statków, trzeci, większy, ukazał się na ekranie radaru jakieś dziesięć mil morskich przed nimi. Żaden nie zareagował, gdy „Polar Dawn” mijał je środkiem. Gdy kuter Straży Przybrzeżnej płynął bez przeszkód swoim kursem, Murdock podszedł do stanowiska operatora radaru i zajrzał mu przez ramię. Śledził z niepokojem, jak dwie jednostki opuszczają swoje pozycje i ustawiają się za jego rufą.

- Wygląda na to, że możemy mieć problem z uzyskaniem zgody na kontynuowanie rejsu i odebraniem naszych dwustu dolarów - zwrócił się do Wilkesa.

- Radio wciąż milczy - zauważył oficer wykonawczy. - Może po prostu się nudzą.

Nad cieśniną zapadł mglisty zmierzch i zabarwił na purpurowo odległe wybrzeże Wyspy Wiktorii. Murdock usiłował obserwować patrolowiec z przodu przez lornetkę, ale widział tylko ciemnoszarą masę. Zmienił lekko kurs, żeby w większej odległości ominąć jednostkę z lewej burty, ale plan się nie powiódł.

W zapadającym zmroku zbliżyli się na odległość dwóch mil morskich do większego patrolowca, gdy nagle z jego szarego cienia wystrzelił pomarańczowy błysk. Mężczyźni na mostku „Polar Dawna” usłyszeli cichy gwizd, potem zobaczyli gejzer wody o ćwierć mili na prawo od ich dziobu. Patrzyli zaskoczeni, jak fontanna wzbija się na wysokość ponad dziesięciu metrów.

- Otworzyli do nas ogień! - wyrzucił z siebie zaszokowany Wilkes. Chwilę później długa cisza w eterze została przerwana.

- „Polar Dawn”, „Polar Dawn” - odezwało się radio - tu kanadyjski okręt wojenny „Manitoba”. Jesteście na kanadyjskich wodach terytorialnych. Proszę się zatrzymać i przygotować do inspekcji.

Murdock sięgnął po mikrofon.

- „Manitoba”, tu kapitan „Polar Dawna”. Nasz tranzyt był uzgodniony z Ministerstwem Spraw Zagranicznych w Ottawie. Proszę nas przepuścić.

Zgrzytał zębami, gdy czekał na odpowiedź. Dostał wyraźny rozkaz, żeby za wszelką cenę unikać konfrontacji. Ale zapewniono go również, że odbędzie cały rejs bez przeszkód. A tymczasem został ostrzelany przez „Manitobę”, zupełnie nowy kanadyjski krążownik zbudowany specjalnie do służby w Arktyce. Choć „Polar Dawn” był praktycznie wojskową jednostką pływającą, nie miał żadnego uzbrojenia do prowadzenia walki. Nie rozwijał też zbyt dużej prędkości i z pewnością nie uciekłyby

nowoczesnemu krążownikowi. Poza tym z tyłu drogę blokowały mu dwa mniejsze kanadyjskie patrolowce.

Odpowiedź na słowa Murdocka nie nadeszła natychmiast, cisza w radiu przedłużała się, w końcu na pokładzie „Manitoby” znów rozbłysnął pomarańczowy blask. Tym razem pocisk wystrzelony ze studwudziestosiedmiomilimetrowego działa okrętu wojennego wylądował zaledwie pięćdziesiąt metrów od kutra Straży Przybrzeżnej i cała załoga poczuła wstrząs podwodnej eksplozji. Radio na mostku znów się odezwało.

- „Polar Dawn”, tu „Manitoba” - powiedział ktoś uprzejmym tonem, który nie pasował do sytuacji. - Muszę nalegać, żebyście się zatrzymali do kontroli. Mam, niestety, rozkaz zatopienia was, jeśli nie posłuchacie. Odbiór.

Murdock nie czekał na następny pomarańczowy błysk.

- Cała stop - polecił sternikowi.

Z ciężkim sercem zawiadomił „Manitobę”, że stają. Potem kazał radiooperatorowi wysłać do bazy Straży Przybrzeżnej w Juneau zaszyfrowany meldunek o tym, co się dzieje. Czekał na Kanadyjczyków, zastanawiał się, czy to koniec jego kariery.

Uzbrojony po zęby zespół Kanadyjskich Sił Specjalnych podpłynął do „Polar Dawna” w ciągu kilku minut i wszedł błyskawicznie na pokład. Oficer wykonawczy Wilkes zaprowadził komandosów na mostek. Dowódca Kanadyjczyków, niski mężczyzna o pociągłej twarzy, zasalutował Murdockowi.

- Porucznik Carpenter, Jednostka Specjalna JTF2 - przedstawił się. - Mam rozkaz przejąć dowodzenie pańskim okrętem i doprowadzić go do portu w Kugluktuk.

- A co będzie z załogą? - zapytał Murdock.

- O tym zdecydują moi przełożeni.

Murdock podszedł bliżej i spojrzał z góry na niskiego porucznika.

- Żołnierz wojsk lądowych, który wie, jak prowadzić dziewięć- dziesięciometrowy kuter patrolowy? - zapytał sceptycznie.

Carpenter się uśmiechnął.

- Były marynarz. Pomagałem ojcu na holowniku, którym pchał barki z węglem w górę Rzeki Świętego Wawrzyńca, odkąd skończyłem dwanaście lat.

Murdock nie mógł nic zrobić. Skrzywił się.

- Ster jest pański - powiedział i stanął z boku.

Carpenter się nie przechwalał. Z wprawą przeprowadził „Polar Dawna” przez cieśninę i zachodnią część zatoki Coronation i zawinął do małego portu w Kugluktuk po ośmiu godzinach. Niewielki oddział Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej czekał wzdłuż kei, kiedy okręt cumowano przy dużym nabrzeżu przeładunkowym. „Manitoba”, która płynęła za kutrem jak cień przez całą drogę do Kugluktuk, zawyła syreną okrętową i zawróciła na wody zatoki.

Załoga „Polar Dawna” została otoczona i przeprowadzona z kutra do zaniedbanego białego budynku portowego, dawnej przetwórnicy ryb. W środku ustawiono kilka rzędów łóżek dla internowanych marynarzy. Ale zakwaterowano ich stosunkowo wygodnie, dano im ciepły posiłek, zimne piwo, książki i kasety wideo. Murdock podszedł do dowódcy oddziału policji, wielkiego mężczyzny o niebieskich oczach.

- Jak długo będziemy tu przetrzymywani? - zapytał.

- Nie mam pojęcia. Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że nasz rząd domaga się przeprosin i rekompensaty za zniszczenie stacji arktycznej na Morzu Beauforta i uznania Przejścia Północno-

Zachodniego za część kanadyjskich wód terytorialnych. Wasi przywódcy muszą na to zareagować. Pańscy ludzie będą dobrze traktowani, ale przestrzegam przed próbą ucieczki. Jesteśmy upoważnieni do użycia siły, jeśli to będzie konieczne.

Murdock skinął głową i stłumił uśmiech. Wiedział, że te żądania nie spotkają się z dobrym przyjęciem w Waszyngtonie.

Pitt wysiadł właśnie z samolotu rejsowego do Calgary, gdy media podały wiadomość o zajęciu „Polar Dawna”. Tłumy pasażerów zgromadziły się przy telewizorach w porcie lotniczym i próbowały ocenić wagę zdarzenia. Pitt przystanął i patrzył przez chwilę, jak kanadyjski komentator polityczny nawołuje do całkowitego wstrzymania eksportu ropy, gazu i energii elektrycznej do Stanów Zjednoczonych, dopóki nie zostaną uznane roszczenia Kanady do Przejścia Północno-Zachodniego. Pitt przeszedł do cichego kąta przy pustej bramce i wybrał bezpośredni numer do biura wiceprezydenta. Sekretarka natychmiast go połączyła i w słuchawce zabrzmiał poirytowany głos Jamesa Sandeckera.

- Streszczaj się, Dirk. Mam pełne ręce roboty przez ten incydent w Kanadzie - warknął bez wstępów.

- Właśnie o nim usłyszałem, jestem w Calgary - odrzekł Pitt.

- W Calgary? To dość daleko od Waszyngtonu. Co tam robisz?

- Czekam na samolot do Yellowknife, skąd polecę następnym do Tuktoyaktuk. „Narwhal” stoi tam w porcie od czasu, gdy wyłowili rozbitków z kanadyjskiej stacji arktycznej.

- Od tego zaczęła się cała afera. Chciałbym dopaść tego, kto rozwalił ten obóz na lodzie. Lepiej zabieraj swój statek z kanadyjskich wód i wracaj do domu.

- Rudi jest w drodze do Waszyngtonu z dyrektywą, żeby przerwać wszystkie projekty badawcze NUMA wokół Kanady i natychmiast wycofać nasze statki na wody międzynarodowe. Ja muszę zamknąć tu pewną sprawę osobiście.

- To ma coś wspólnego z tym projektem naukowym, o którym bez przerwy słyszę od twojej pięknej żony?

Boże, błogosław Loren, pomyślał Pitt. Już wzięła starego w obroty.

- Tak, musimy znaleźć źródło tej rudy, admirale.

Na linii zapadło milczenie, ale Pitt słyszał szelest przekładanych papierów.

- Loren pisze doskonale opracowania polityczne - mruknął w końcu Sandecker. - Chciałbym ją mieć w sztabie, gdyby kiedyś zmęczyła ją służba w Kongresie.

- Obawiam się, że wyborcy nie pozwolą jej odejść.

- Ten ruten naprawdę jest taki ważny?

- Tak, to zostało dowiedzione. I ktoś inny też go szuka, co potwierdza jego wartość.

- Gdyby rzeczywiście umożliwił dokonywanie sztucznej fotosyntezy, byłby bezcenny. Nie muszę ci mówić, jaki wpływ na gospodarkę ma obecny kryzys energetyczny. Zarządzenie prezydenta, by ograniczyć emisję dwutlenku węgla, jeszcze pogorszyło sytuację. Jeśli nie znajdziemy wyjścia, czeka nas kompletny krach ekonomiczny.

- Znalezienie tego minerału może być naszą jedyną szansą - odrzekł Pitt.

- W liście Loren jest mowa o tym, że punktem zaczepienia może być ostatnia ekspedycja Franklina.

- Kilka rzeczy na to wskazuje. Wydaje się, że to właściwy trop.

- I chcesz to sprawdzić?

- Tak.

- Wybrałeś zły moment, Dirk.

- Nic na to nie poradzę. To zbyt ważne, żeby zrezygnować. I nie można pozwolić, by ktoś nas ubiegł. Chciałbym tylko wiedzieć, w jakim kierunku idzie sprawa „Polar Dawna”.

- Dzwonisz z bezpiecznego telefonu?

- Nie.

Sandecker się zawahał.

- Kury chcą znieść jajka, ale kogut ciągle spaceruje po kurniku.

- Jak długo przed śniadaniem?

- Niedługo. Bardzo niedługo.

Pitt wiedział, że Sandecker często nazywa generałów w Pentagonie kurami z powodu orłów na czapkach. Wiadomość była jasna. Sekretarz obrony naciska na reakcję militarną, ale prezydent jeszcze nie podjął decyzji, ale robi to wkrótce.

- Żądania Kanadyjczyków są traktowane poważnie - ciągnął Sandecker. - Musisz zabrać swój statek i popłynąć na Alaskę, jeśli Kanadyjczycy pozwolą ci wyjść z portu. Nie ociągaj się, Dirk. Nie będę mógł ci pomóc na kanadyjskich wodach. Ta sprawa pewnie przyschnie za kilka tygodni i wtedy będziesz mógł kontynuować poszukiwania.

Kilka tygodni mogło zamienić się w miesiące i lato w Arktyce byłoby stracone. Gdyby w dodatku wcześniej zrobiło się zimno, poszukiwania wokół Wyspy Króla Williama trzeba by odłożyć do odwilży następnej wiosny.

- Ma pan rację, admirale. Wezmę „Narwhala” i wyniosę się na spokojniejsze wody.

- Zrób tak, Dirk. I pospiesz się.

Pitt się rozłączył. Nie miał najmniejszego zamiaru płynąć „Narwhalem” na Alaskę, ale wolał tego nie zdradzać, bo jego rozmowa mogła być kontrolowana. I nie okłamał Sandeckera. Żegluga „Narwhalem” w głąb przejścia byłaby istotnie rejssem na dużo spokojniejsze wody niż Morze Beauforta.

Na drugim końcu linii Sandecker odłożył słuchawkę i pokręcił głową. Znał Pitta niemal jak syna. I dobrze wiedział, że Dirk nie popłynie „Narwhalem” na Alaskę.

Białe punkty kołysały się pod ciemnym niebem i rosły w oczach, kiedy zbliżały się do ziemi. Dopiero gdy znalazły się w odległości około trzydziestu metrów od powierzchni, było wyraźnie widać, jak szybko opadają. Kilka sekund później uderzyły z łomotem i trzaskiem w pokryty lodem grunt. Pierwsze wylądowały trzy wielkie drewniane skrzynie, pomalowane na biało, by złąły się z otoczeniem. Potem pojawili się ludzie, w sumie dziesięciu mężczyzn, i gdy tylko dotknęli stopami ziemi, natychmiast zrzucili spadochrony, zrolowali je i szybko ukryli pod trzy - dziesięciocentymetrową warstwą lodu.

Umiarkowany wiatr rozrzucił skoczków na odcinku prawie kilometra, ale w ciągu kilku minut zebrali się wszyscy przy jednej ze skrzyń. Mimo że nie było księżycy, widoczność przekraczała sto metrów, bo jasno świeciły gwiazdy. Mężczyźni szybko ustawili się w szeregu przed dowódcą, wysokim i mocno opalonym kapitanem Armii Stanów Zjednoczonych, Rickiem Romanem. Tak jak podwładni, oficer był w białym zimowym kombinezonie maskującym, hełmie w tym samym kolorze i goglach noktowizyjnych. W kaburze na biodrze miał pistolet samopowtarzalny Colt kaliber 11,43 milimetra.

- Udany zrzut, panowie. Do świtu została tylko godzina, więc do roboty. Zieloni robią pas startowy, niebiescy przygotowują pontony i obóz. Ruszać się.

Członkowie Delta Force, elitarnej jednostki wojsk lądowych, szybko otworzyli skrzynie. Z dwóch wyjęli łodzie pneumatyczne Zodiac i zimowy sprzęt biwakowy. W trzeciej były dwa małe spychacze gaśnicowe Bobcat przerobione na napęd akumulatorowy. Mniejszy pojemnik w środku mieścił dodatkową broń, amunicję, żywność i apteczki.

- Sierżancie Bojorquez, chodźcie ze mną! - zawołał Roman.

Potęźnie zbudowany mężczyzna z czarnymi oczami i przedwcześnie posiwiałymi włosami rzucił bok skrzyni i dołączył do kapitana. Roman ruszył w kierunku grzbietu, który biegł wzdłuż jednej krawędzi strefy lądowania.

- Ładna, pogodna noc, panie kapitanie - zauważył Bojorquez.

- I zimna jak dupa pingwina - odparł dowódca, krzywiąc się na dwunastostopniowym mrozie. Młodość spędził na Hawajach i wciąż nie mógł się przyzwyczaić do zimy mimo lat ćwiczeń w Arktyce.

Bojorquez wyszczerzył białe zęby.

- Mogło być gorzej. Przynajmniej śnieg nie pada.

Wspięli się na wzniesienie po nierównym lodzie, który skrzypiał pod butami. Ze szczytu zobaczyli łagodne zbocze po drugiej stronie. W odległości półtora kilometra falowały atramentowo-czarne wody zatoki Coronation, a trzy kilometry dalej błyszczały światła Kugluktuk. Roman i jego ludzie zostali zrzuceni z nisko lecącego C-130, który wystartował z Bazy Sił Powietrznych Eielson w Fairbanks, żeby odbić załogę „Polar Dawna”, na co zgodę wydał prezydent.

- Jak to widzicie? - zapytał kapitan, patrząc na światła małego miasta.

Sierżant był w wojsku od dwudziestu lat i służył w Somalii i Iraku, zanim zwerbowano go do elitarniej Delta Force. Jak większość żołnierzy jednostki arktycznej miał za sobą kilka akcji w górach Afganistanu.

- Przeprowadzono dość dokładne rozpoznanie satelitarne. Płaskowyż nie jest zbyt trudnym terenem - odrzekł, wskazując strefę zrzutu za nimi. - Bez problemu przygotujemy porządną pas startowy. - Spojrzał ku zatoce i uniósł ramię. - Choć odległość do wody jest trochę większa, niżbym chciał.

Roman skinął głową.

- Mnie też to martwi. Tak krótko jest ciemno, że wolę nie myśleć, ile czasu stracimy w nocy na samo przetransportowanie pontonów na brzeg zatoki.

- Możemy zacząć dzisiaj, panie kapitanie. Dowódca spojrzał na zegarek.

- Dobra, przetransportujecie je tak daleko, jak się da przed świtem, i zamaskujecie. Możemy dziś zużyć trochę energii, bo jutro mamy cały dzień na odpoczynek.

Pod osłoną nocy grupka komandosów pobiegła przez lód jak stado królików na adrenalinie. Zieloni przystąpili do przygotowywania lodowego lądowiska dla dwóch samolotów CV-22 Osprey, które miały ich zabrać. Płaskowyż wybrano na strefę zrzutu dlatego, że był niewidoczny z Kugluktuk, ale położony blisko niego. Choć ospreye mogły lądować i startować pionowo, względy bezpieczeństwa nakazywały, by z powodu kapryśnej pogody w Arktyce wykonały te manewry konwencjonalnie. Żołnierze wymierzili i oznaczyli wąski, stu pięćdziesięciometrowy pas na lodzie, po czym zaprzęgli do pracy minibuldożery. Napędzane cichymi silnikami elektrycznymi małe maszyny energicznie skrobały i usuwały lód, dopóki prowizoryczne lądowisko nie zaczęło wyłaniać się spod lodu.

Na skraju pasa startowego niebiescy wyrąbali w lodzie niewielkie zagłębienie, gdzie zmieściło się pół tuzina przysłoniętych białych namiotów. Po rozbiciu obozu komandosi przystąpili do pompowania dwudziestoosobowych pontonów, potem położyli je na aluminiowych saniach, by przetransportować po lodzie.

Roman i Bojorquez pomagali czterem członkom niebieskich pchać dwie łodzie. Niebo na południu już zaczynało jaśnieć, gdy dotarli na szczyt grzbietu. Kapitan przystanął, żeby chwilę odpocząć, i popatrzył na światła statku w oddali, który płynął przez zatokę w kierunku Kugluktuk. Przynaglił podwładnych do dalszego marszu i ruszyli w dół zbocza. Mimo pochyłości posuwali się naprzód z trudem, bo nierówny lód stawiał opór. Przednie płozy sań często wpadały w małe szczeliny i wyciągnięcie ich wymagało dodatkowego wysiłku.

Przebyli z pontonami prawie kilometr, kiedy zza horyzontu na południowym wschodzie wyłonił się złocisty blask słońca. Komandosi starali się pchać łodzie szybciej, bo wiedzieli, że przedwczesne wykrycie to największe ryzyko operacji. Roman zrezygnował z planu pozostawienia pontonów o świcie i popędzał podwładnych.

Minęła godzina, zanim wykończeni mężczyźni dotarli wreszcie do brzegu zatoki Coronation. Roman kazał odwrócić łodzie do góry dnem i przykryć warstwą śniegu i lodu. Wrócili pospiesznie do obozu i zobaczyli, że koledzy już przygotowali pas startowy. Dowódca dokonał szybkiej inspekcji i zadowolony wycofał się do swojego namiotu. Wszystko poszło dobrze. Kiedy minie długi arktyczny dzień, rozpoczną operację.

De Havilland Otter wylądował twardo na lodowym pasie startowym i podkołował do małego budynku z wyblakłym napisem „Tuktoyaktuk” na frontowej ścianie. Kiedy dwa śmigła samolotu przestały się obracać, pracownik lotniska w grubym pomarańczowym kombinezonie podbiegł do maszyny i otworzył boczne drzwi, wpuszczając do środka podmuch mroźnego powietrza. Pitt czekał z tyłu kabiny, aż inni pasażerowie, głównie nafcjarze, włożą ciepłe kurtki i zejną po schodkach. Gdy w końcu wysiadł, owiał go zimny wiatr, który obniżał minusową temperaturę o kilka stopni.

Kiedy maszerował szybko do małego terminalu, omal nie potrącił go zardzewiały pikap. Zdezelowany samochód przeciął płytę lotniska i zatrzymał się przed drzwiami. Zza kierownicy wysiadł krępy mężczyzna opatulony od góry do dołu kilkoma warstwami ciepłego ubrania. Pękaty kształt jego postaci upodabniał go do ogromnej poduszki do szpilek.

- Czy to chodząca mumia Tutenchamona, czy mój dyrektor do spraw techniki podwodnej? - zadrwił Pitt, gdy mężczyzna zastąpił mu drogę.

Mężczyzna zerwał szalik z dolnej połowy jego twarzy i odsłonił znajome oblicze Ala Giordina.

- To ja, twój uwielbiający tropiki dyrektor techniczny - odparł. - Wskakuj do mojego ciepłego rydwanu, zanim obaj zamienimy się w lody na patyku.

Pitt chwycił swój bagaż jadący na wózku w kierunku terminalu i wrzucił go do odkrytej skrzyni pikapa. W budynku pospolicie wyglądająca kobieta z krótkimi włosami stała przy oknie i patrzyła na dwóch mężczyzn. Kiedy wsiedli do samochodu, podeszła do automatu telefonicznego i zgodnie z poleceniem zadzwoniła na koszt rozmówcy do Vancouver.

Giordino wrzucił bieg, potem przysunął dłonie w rękawicach do wylotów ciepłego powietrza i nacisnął gaz.

- Załoga statku urządziła głosowanie - powiedział. - Jesteś nam winien premię za pracę w zimowych warunkach i tygodniowy urlop na Bora-Bora po zakończeniu roboty.

Pitt się uśmiechnął.

- Nie rozumiem. Arktyka słynie przecież z pięknej pogody w długie letnie dni.

- Jeszcze nie ma lata. Wczoraj było jedenaście stopni mrozu i zbliża się kolejny zimny front. Co mi przypomniało, że miałem cię zapytać, czy Rudiemu udało się wrócić szczęśliwie z naszego zimowego rajku?

- Tak. Rozminęliśmy się, ale zadzwonił do mnie i powiedział, że rozlokował się z powrotem w cieple centrali NUMA.

- Pewnie sączy w tej chwili mai tai na brzegu Potomacu, żeby mnie wkurzyć.

Giordino musiał przejechać tylko kilka przecznic, by dotrzeć z sąsiadującego z małym miastem lotniska do portu. Położone na jałowym wybrzeżu Terytoriów Północno-Zachodnich Tuktoyaktuk przeistoczyło się z niewielkiej osady Inuvialuitów w regionalny ośrodek eksploracji ropy i gazu.

Ukazał się turkusowy kadłub „Narwhala”, Giordino minął statek i zaparkował przy budynku kapitanatu portu. Wszedł do środka, oddał kluczyki od pożyczonego pikapa i pomógł Pittowi nieść

bagaż. Na pokładzie statku NUMA powitali Pitta kapitan Stenseth i Jack Dahlgren.

- Loren przyłożyła ci w końcu w banię wałkiem do ciasta? - zapytał Dahlgren, kiedy zauważył opatrunek na głowie Pitta.

- Jeszcze nie. Po prostu nie popisałem się jako kierowca - skwitował jego troskę Pitt.

Usiedli w małej mesie przy kambuzie i dostali kubki gorącej kawy. Dahlgren zrelacjonował Pittowi w skrócie odkrycie otworu termalnego, a Stenseth opowiedział mu o uratowaniu rozbitków z kanadyjskiej stacji arktycznej.

- Macie jakieś podejrzenia, kto może być odpowiedzialny za zniszczenie obozu? - zapytał Pitt.

- Ponieważ opis świadka pasuje jak ulał do fregaty „Ford”, wszyscy uważają, że nasza marynarka wojenna - odrzekł Giordino. - Nam oczywiście powiedziano, że okręt był wtedy trzysta mil morskich od miejsca zdarzenia.

- Nikt chyba nie bierze pod uwagę tego, że tutaj pełni służbę bardzo mało lodołamaczy - powiedział Stenseth. - Jeśli to nie był frachtowiec dowodzony przez łobuza, który ryzykował rozbicie własnego statku albo głupio zszedł z kursu, to krąg potencjalnych sprawców jest stosunkowo niewielki.

- Jedyne znane amerykańskie lodołamacze na tych wodach to „Polar Dawn” - zauważył Giordino.

Dahlgren pokręcił głową.

- Teraz już kanadyjski.

- Tak czy owak, nie odpowiada opisowi - odparł Stenseth. - Pozostają kanadyjskie okręty wojenne, jednostki eskortowe Athabaski albo jakiś zagraniczny lodołamacz, być może duński lub nawet rosyjski.

- Myślisz, że jakiś kanadyjski okręt wojenny zniszczył stację polarną przez przypadek i próbują to ukryć? - spytał Pitt.

- Jeden z uratowanych naukowców, niejaki Bue, przysięga, że widział amerykańską banderę i taki numer na kadłubie, jaki ma „Ford” - dorzucił Dahlgren.

- To bez sensu - oświadczył Giordino. - Kanadyjscy wojskowi nie próbowaliby wywołać konfliktu, podstawiając własny okręt jako amerykański.

- A co z tymi jednostkami eskortowymi Athabaski? - zapytał Pitt.

- Kanadyjczycy wprowadzili przepis, że cały ruch na zablokowanych lodem odcinkach Przejścia Północno - Zachodniego musi się odbywać z eskortą lodołamaczy - wyjaśnił Stenseth. - Zajmuje się tym prywatna firma o nazwie Towarzystwo Żeglugowe Athabaska. Mają duże lodołamacze, które służą również do holowania ich pełnomorskich barek. Kilka tygodni temu widzieliśmy w Cieśninie Beringa, jak jeden ciągnął rząd ogromnych barek do transportu ciekłego gazu ziemnego.

Pittowi zabłyśły oczy. Otworzył neseser i wyjął zdjęcie wielkiej barki budowanej w nowoorleańskiej stoczni. Wręczył je Stensethowi.

- Były podobne do tej? - zapytał. Stenseth spojrzał na fotografię i przytaknął.

- Takie same. Nieczęsto widuje się barki tej wielkości. To ma jakieś znaczenie?

Pitt opowiedział o swoich poszukiwaniach rutenu, tropie prowadzącym do Arktyki i prawdopodobnym zainteresowaniu Mitchella Goyette'a minerałem. Sprawdził w dodatkowych dokumentach, które dostał od Yaegera, że Towarzystwo Żeglugowe Athabaska należy do jednego z holdingów Goyette'a.

- Jeśli Goyette wywozi z Arktyki ropę i gaz, to jego proekologiczne działania są zwykłym oszustwem - zauważył Giordino.

- Usłyszałem w barze od jednego robotnika portowego, że ktoś wysyła Chińczykom duże ilości bituminu z Kugluktuk - powiedział Dahlgren. - W ten sposób radzą sobie z tym, że rząd zamknął rafinerie w Albercie, bo emitowały gazy cieplarniane.

- Założę się, że transportują go barki Goyette'a - odezwał się Pitt. - Może to nawet jego bitumin.

- Wychodzi na to, że ten Goyette może mieć silną motywację do szukania źródła rutenu - zwrócił się Stenseth do Pitta. - Jak chcesz go ubiec?

- Muszę odnaleźć pewien stuosiemdziesięciopięcioletni statek - odparł Pitt. Podzielił się tym, co wiedział od Perlmuttera, i wskazówkami, że trop minerału prowadzi do „Erebusa”, który brał udział w ekspedycji Franklina. - Wiem, że statki zostały opuszczone na północny zachód od Wyspy Króla Williama. Pewien Inuit podobno widział „Erebusa” dalej na południe, więc możliwe, że ruchoma tafla lodu przesunęła je w tamtym kierunku, zanim zatonęły.

Stenseth przeprosił i pobiegł na mostek. Dahlgren zapytał Pitta, czego się spodziewa.

- Jeśli lód nie zmiażdżył statków, to jest duża szansa, że pozostały nietknięte, bo powinny się doskonale przechować w zimnej wodzie.

Stenseth wrócił z mapami i zdjęciami. Rozłożył mapę morską okolic Wyspy Króla Williama i pokazał zdjęcie tego rejonu zrobione z dużej wysokości.

- To zdjęcie satelitarne Cieśniny Wiktorii. Mamy aktualne informacje o warunkach żeglugi w całym przejściu. W niektórych miejscach na północ stąd jest jeszcze lód, ale wokół Wyspy Króla Williama już stopniał dzięki wczesnej odwilży w tym roku. - Położył zdjęcie na stole, żeby wszyscy mogli je obejrzeć. - Morze jest właściwie czyste w rejonie, gdzie Franklin utknął w lodzie sto sześćdziesiąt pięć lat temu. Pozostało trochę dryfującej kry, ale to nie powinno przeszkadzać w poszukiwaniach.

Zadowolony Pitt przytaknął, ale Dahlgren pokręcił głową.

- Chyba zapominamy o jednej bardzo ważnej rzeczy. Kanadyjczycy wyrzucają nas z tych wód. Jesteśmy jeszcze w Tuktoyaktuk, bo udajemy, że mamy problemy ze sterem.

Stenseth uśmiechnął się chytrze do Pitta.

- Dzięki tobie zaraz go naprawimy. Pitt odwrócił się do Giordina.

- Al, chciałbym uspokoić Jacka. Zdaje się, że miałeś zaproponować jakąś strategię.

- No cóż, Jack może potwierdzić, że skorzystaliśmy z okazji, żeby zaprzyjaźnić się z małym oddziałem Kanadyjskiej Straży Przybrzeżnej, który stacjonuje tutaj w Tuk - odrzekł Giordino, używając lokalnego skrótu eskimoskiej nazwy miasta. - I choć sporo mnie to kosztowało, bo musiałem zapłacić kilka wysokich rachunków w barze, a Jack raz czy dwa miał kaca, to uważam, że było warto.

Rozłożył jedną z map kapitana, która pokazywała zachodnią część przejścia, i powiódł palcem wzdłuż wybrzeża.

- Tu jest przylądek Bathurst. Leży jakieś dwieście mil morskich na wschód od nas. Jest tam stacja radarowa wykorzystywana przez Kanadyjczyków do wyłapywania wszystkich statków kierujących się przejściem na wschód. Mogą zawiadomić przez radio Kugluktuk, gdzie stacjonują dwa patrolowce, albo dać znać załodze małego kutra Straży Przybrzeżnej, który cumuje tutaj w Tuk. Na nasze szczęście Kanadyjczycy rozmieścili większość swoich jednostek przechwytyjących na drugim końcu przejścia i kontrolują głównie ruch od strony Morza Baffina.

- O ile się orientuję - odparł Pitt - nasze statki badawcze nie są jeszcze niewidzialne dla radaru.

- Damy sobie radę bez tego - ciągnął Giordino. - Tak się szczęśliwie składa, że w tutejszym

porcie stoi koreański frachtowiec, który miał awarię silnika. Wiem od kapitana portu, że już skończyli naprawę i wychodzą dziś w morze. Płyną tylko do Kugluktuk z ładunkiem części zamiennych do urządzeń wiertniczych, więc nie będzie ich eskortował lodołamacz.

- Proponujesz, żebyśmy się za nimi schowali? - zapytał Pitt.

- Dokładnie tak. Jeśli uda nam się trzymać blisko ich lewej burty, kiedy będziemy mijali Bathurst, Kanadyjczycy mogą nas nie wykryć.

- A co z patrolowcami? - rzucił Dahlgren.

- Tutejszy kuter dopiero co zawinął do portu dziś rano, więc prawdopodobnie nie wypłynie od razu w morze - odpowiedział Giordino. - Pozostają tamte dwie jednostki w Kugluktuk. Założę się, że jedna z nich pilnuje „Polar Dawna”, którego tam zabrano, więc przypuszczalnie musielibyśmy się przemknąć tylko obok tej drugiej.

- Moim zdaniem warto zaryzykować - oświadczył Pitt.

- A co z Kanadyjskimi Siłami Powietrznymi? Nie dokonują od czasu do czasu rutynowych przelotów? - zapytał Dahlgren.

Stenseth wyciągnął kolejny arkusz papieru ze stosu.

- Natura nam sprzyja. Prognoza pogody na najbliższy tydzień jest dość kiepska. Jeśli ruszymy w drogę dzisiaj, pewnie będzie nam towarzyszył przesuwający się wolno front niskiego ciśnienia, który ma przejść nad archipelagiem.

- Sztormowa pogoda - stwierdził Giordino. - Będziemy wiedzieli, dlaczego na niebie nie ma samolotów.

Pitt popatrzył na mężczyzn przy stole. Miał do nich pełne zaufanie, mógł na nich polegać w trudnych sytuacjach.

- A więc załatwione - oznajmił. - Poczekamy parę godzin po wypłynięciu Koreańczyka i odbijemy od brzegu. Stworzymy pozory, że wracamy na Alaskę. Kiedy oddalimy się na bezpieczną odległość od lądu, zmienimy kurs i dogonimy frachtowiec daleko przed Bathurst. Stenseth skinął głową.

- Bez problemu. Jesteśmy od niego szybsi co najmniej o osiem lub dziesięć węzłów.

- Jeszcze jedno - powiedział Pitt. - Dopóki politycy nie załatwią sprawy „Polar Dawna”, jesteśmy zdani na siebie. Możemy skończyć tak jak on. Chcę, by popłynęli tylko ochotnicy z załogi. Wszyscy naukowcy i pozostali marynarze muszą po kryjomu opuścić statek. Zarezerwujcie im pokoje hotelowe i bilety na lot powrotny. Jeśli ktoś ich zapyta, niech mówią, że są pracownikami koncernu naftowego, którzy dostali przeniesienie.

- Zaraz się tym zajmiemy - rzekł Stenseth.

Pitt odstawił kubek po kawie i spojrzał przez stół z nagłym niepokojem. Obraz wiszący na przeciwległej przegrodzie przedstawiał dziewiętnastowieczny żaglowiec podczas silnego sztormu. Żagle statku były w strzępach, maszty się waliły. Na jego drodze wyrastały poszarpane skały, o które mógł się łatwo roztrzaskać na kawałki.

Sztormowa pogoda, pomyślał Pitt.

Gęste kłęby czarnego dymu buchnęły z komina frachtowca, gdy odrzucono cumy i statek z niebieskim kadłubem odbił wolno od nabrzeża. Bill Stenseth stał na mostku „Narwhala” i obserwował, jak Koreańczyk wychodzi z małego portu w Tuktoyaktuk i wypływa na Morze Beauforta. Stenseth podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego i wybrał numer kabiny pod pokładem.

- Tak? - zgłosił się Pitt po pierwszym dzwonku.

- Koreański frachtowiec ruszył w drogę.

- Co z naszą załogą?

- Wszyscy poza ochotnikami zeszli już ze statku. Chyba zapełniliśmy wszystkie hotele w mieście, zwłaszcza że są tylko dwa. Załatwiliśmy przelot do Whitehorse. Stamtąd łatwo dostaną się na Alaskę czy nawet do Vancouver. Zostało nam w sumie czternastu ludzi.

- Mało. Kiedy wypływamy?

- Zaplanowałem to za dwie godziny, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

- W takim razie chyba już czas zawiadomić naszych gospodarzy, że wybieramy się do domu - stwierdził Pitt.

- Zaraz to zrobię - odrzekł kapitan.

Rozłączył się, zawołał Giordina i razem poszli do placówki Kanadyjskiej Straży Przybrzeżnej. Jej dowódca nie wydawał się zmartwiony rychłym rozstaniem ze Stensethem, ale ubolewał nad wyjazdem hojnego fundatora drinków w lokalnym barze dla marynarzy w osobie Giordina. Nie widząc zagrożenia ze strony statku badawczego, pożegnał się z Amerykanami i darował sobie przydzielenie im eskorty do granicy kanadyjskich wód terytorialnych.

- Z taką umiejętnością nawiązywania międzynarodowej przyjaźni byłbyś dobrym dyplomatą - powiedział Stenseth żartem do Giordina.

- Moja wątroba by tego nie wytrzymała - odparł Al.

Wstąpili do kapitanatu portu, gdzie Stenseth zapłacił za dokowanie. Kiedy wyszli z budynku, wpadli na Pitta, który wracał z małego sklepu żelaznego z trójkątnym pakunkiem pod pachą.

- Czegoś brakuje na pokładzie? - zapytał Stenseth. Pitt uśmiechnął się lekko.

- Nie, to tylko dodatkowa polisa ubezpieczeniowa na czas rejsu. Niebo pociemniało groźnie, gdy dwie godziny później „Narwhal” został odcumowany i wypłynął wolno z portu. Po drodze minął się z małym kutrem rybackim, który zdążył do Tuk, by się schronić przed sztormem. Pitt pomachał z mostka, pełen podziwu dla odważnej załogi czarnej łodzi zarabiającej na życie na Morzu Beauforta.

Fale zaczęły osiągać wysokość dwóch metrów, wybrzeże Terytoriów Północno-Zachodnich przestało być widoczne. Lekka zadymka śnieżna ograniczała pole widzenia do niecałej mili morskiej. Zła pogoda sprzyjała „Narwhalowi” i statek szybko skierował się na wschód. Koreański frachtowiec zyskał przewagę dwudziestu pięciu mil morskich, ale szybszy statek badawczy prędko zmniejszył dystans. Po kilku godzinach podłużny kształt frachtowca pojawił się przy krawędzi wyświetlacza

radaru „Narwhala”. Kapitan Stenseth podprowadził statek NUMA na odległość trzech mil morskich od Koreańczyka i dostosował się do jego tempa. Niczym węglarka połączona z parowozem, „Narwhal” podążał za frachtowcem wzdłuż nierównej linii brzegowej.

Sześćdziesiąt pięć mil przed nimi przylądek Bathurst wrzynał się w Morze Beauforta jak zgięty kciuk. Był idealnym miejscem do monitorowania żeglugi z zachodu do Zatoki Amundsena. Choć najbliższa masa lądu na północy, Wyspa Banksa, leżała w odległości stu mil morskich, lód zalegał trzydzieści mil od przylądka. Przy zasięgu radaru powyżej pięćdziesięciu mil mała stacja Straży Przybrzeżnej mogła łatwo śledzić wszystkie przepływające statki.

Kiedy Pitt i Stenseth studiowali mapę przylądka, do którego się zbliżali, Dahlgren wszedł na mostek z laptopem i kablami. Potknął się o brezentową torbę pod przegrodą i upuścił przewody, ale utrzymał komputer.

Zaklął i zapytał:

- Kto tu zostawił pranie?

Zobaczył, że w torbie są próbki skał, i podniósł mały kamień, który wypadł na zewnątrz.

- Tak się składa, że to twoje „pranie” - odparł Stenseth. - Te próbki skał pobrałeś z Alem przy otworze termalnym. Rudi miał je zabrać do Waszyngtonu do analizy, ale zostawił je tutaj.

- Poczciwy stary Rudi - rzekł Dahlgren. - Potrafiłby zrobić bombę atomową z puszki żarcia dla psów, ale nie pamięta rano, że ma zawiązać sznurowadła.

Włożył kamień do kieszeni, podniósł kable i podszedł do steru. Bez dalszych komentarzy otworzył panel pod konsolą statku i zaczął podłączać przewody.

- To niezbyt odpowiedni moment na modernizację naszego systemu nawigacyjnego, Jack - skarcił go Stenseth.

- Chcę tylko ściągnąć trochę danych do gry komputerowej - odrzekł Dahlgren, wyprostował się i włączył laptop.

- Nie sądzę, byśmy mieli się teraz zajmować jakimiś grami - powiedział Stenseth z rosnącą irytacją.

- O, ta ci się spodoba - zapewnił Dahlgren i wpisał szybko kilka poleceń do komputera. - Nazywam ją Kierowca Cień.

Na ekranie laptopa pojawiły się nagle dwie łodzie płynące równolegle z dołu do góry. Szary promień padający z górnego rogu monitora oświetlał większość obrazu z wyjątkiem ruchomego cienia za pierwszą łodzią.

- Właśnie to stworzyłem z pewną pomocą naszego GPS-u i radaru. Snop szarego światła odtwarza zasięg radaru na Bathurst.

- Co pozwoli nam uniknąć wykrycia? - zapytał Pitt.

- Dokładnie tak. Z powodu zmieniającego się położenia naszego statku w stosunku do stacji radarowej, będziemy musieli stale korygować naszą pozycję za frachtowcem, żeby zasłaniał nas przed sygnałem. Nie możemy po prostu płynąć obok niego, bo znajdziemy się pod takim kątem do radaru, że nas namierzy. Jeśli uda nam się pozostać w cieniu frachtowca, będziemy mieli dużą szansę minąć Bathurst jak Niewidzialny Człowiek.

Stenseth popatrzył uważnie na ekran laptopa, potem odwrócił się do sternika.

- Wypróbujmy to, zanim wejdziemy w zasięg radaru. Jedna trzecia naprzód. Podejdz na pięćset metrów do lewej burty Koreańczyka i płyn w jego tempie.

- Kierowca Cień? - zapytał sternik z szerokim uśmiechem.

- Jeśli to się sprawdzi, masz u mnie sześciopak piwa, Jack - obiecał kapitan.

- Szóstka Lone Star i załatwione - odparł Dahlgren i mrugnął.

„Narwhal” przyspieszył i wkrótce przed dziobem ukazały się światła nawigacyjne frachtowca. Sternik skierował statek NUMA w lewo i zmniejszył dystans.

- Jedno mnie martwi - odezwał się Stenseth, obserwując rdzewiejący frachtowiec. - Jeśli będziemy się go trzymać przez dłuższy czas, kapitan w końcu zapyta nas przez radio, co się dzieje. A nasi kanadyjscy przyjaciele na Bathurst na pewno mają nie tylko oczy, ale i uszy.

- Moja polisa ubezpieczeniowa - mruknął Pitt. - Byłbym zapomniał. - Zszedł do swojej kabiny i wrócił po paru minutach z trójkątnym pakunkiem ze sklepu w Tuktoyaktuk. Wręczył go Stensethowi. - Może powiesz to.

Kapitan rozerwał papier i wyjął złożoną flagę kanadyjską. Rozwinął ją niepewnie.

- Prosisz się o kłopoty.

- To tylko dla uspokojenia załogi frachtowca. Niech myślą, że jesteśmy kanadyjskim patrolom lodowym. Nie będą pytali, dlaczego tkwimy przy ich burcie przez kilka godzin.

Stenseth przeniósł wzrok z Pitta na Dahlgrena i pokręcił głową.

- Lepiej nie być waszym przeciwnikiem. Potem kazał wciągnąć flagę na maszt.

Z łopoczącym w górze na silnym zachodnim wietrze liściem klonu „Narwhal” zrównał się z koreańskim frachtowcem. Statki płynęły obok siebie po wzburzonym morzu przez krótką noc, po której nastał ponury szary świt. Pitt i Stenseth czuwali na mostku, podając zmiany kursu sternikowi, Giordino zjawiał się co godzinę z kubkami mocnej kawy.

Utrzymanie „Narwhala” w cieniu frachtowca okazało się trudnym zadaniem przy wysokich falach. Choć koreański statek był o trzydzieści metrów dłuższy od amerykańskiego, odległość między nimi zawężała pole cienia. Program komputerowy Dahlgrena okazał się darem niebios i Stenseth chętnie dopisywał kolejne butelki piwa do swojego długu po każdej spokojnej godzinie.

Dwa statki były na północ od Bathurst, gdy nagle mężczyźni na mostku usłyszeli wezwanie radiowe:

- Tu placówka Straży Przybrzeżnej Bathurst. Jednostka pływająca na pozycji 70 85 90 północ, 128 40 82 zachód, proszę podać nazwę i punkt docelowy.

Zamarli. Nie odważyli się odetchnąć, dopóki koreański frachtowiec nie nadał odpowiedzi, a Straż Przybrzeżna nie potwierdziła jej przyjęcia. Modlili się w duchu, żeby nie nadeszło następne wezwanie. Minęło pięć minut, potem dziesięć, a radio milczało. Po dwudziestu minutach ciszy zaczęli się uspokajać. Płynęli jeszcze trzy godziny przy burcie frachtowca, potem oddalili się na bezpieczną odległość od stacji radarowej. Kiedy „Narwhal” minął zakręt w Zatoce Amundsena i Bathurst zniknął z widoku, Stenseth zwiększył prędkość do dwudziestu węzłów i wyprzedził powolny frachtowiec.

Koreański kapitan przyglądał się turkusowemu statkowi pod kanadyjską banderą, który przepływał obok. Kiedy skierował lornetkę na mostek „Narwhala”, zobaczył z zaskoczeniem, że załoga śmieje się i macha do niego. Wzruszył tylko ramionami.

- Za długo w Arktyce - mruknął pod nosem i wrócił do wyznaczania kursu do Kugluktuk.

- Dobra robota, kapitanie - pochwalił Pitt.

- Teraz już chyba nie ma odwrotu - odrzekł Stenseth.

- Kiedy dopłyniemy do Wyspy Króla Williama? - zapytał Giordino.

- Mamy do przebycia nieco ponad czterysta mil morskich, co powinno nam zająć jakieś dwadzieścia dwie godziny, jeśli pogoda się nie zmieni. I nie napotkamy patroli.

- To teraz twój najmniejszy problem, kapitanie - stwierdził Pitt. Stenseth spojrzał na niego pytająco.

- Dlaczego?

Pitt uśmiechnął się szeroko.

- Bo jestem ciekaw, skąd weźmiesz w Arktyce dwie skrzynki piwa Lone Star.

Kugluktuk, dawniej Coppermine od nazwy pobliskiej rzeki, to małe miasto handlowe nad zatoką Coronation. Leży na północnym wybrzeżu kanadyjskiego terytorium Nunavut i jest jednym z bardzo niewielu skupisk ludzkich na północ od koła podbiegunowego.

Do Kugluktuk Mitchella Goyette'a sprowadziła możliwość wykorzystania głębokowodnego portu położonego najbliżej zagłębia naftowego Athabaska w Albercie. Goyette zainwestował dużo w budowę terminalu do spedycji nieprzetworzonego bituminu, kupił tanio mało wykorzystywaną linię kolejową z Athabaski do Yellowknife i sfinansował jej przedłużenie na północ do Kugluktuk. Lokomotywy z pługami śnieżnymi ciągnęły długie rzędy cystern kolejowych; każdy pociąg transportował jednorazowo dwadzieścia pięć tysięcy baryłek bituminu. Cenny surowiec przeładowywano na ogromne barki Goyette'a i wysyłano przez Pacyfik do Chin.

Parę dni przed kolejną dostawą bituminu w terminalu kolejowym Towarzystwa Żeglugowego Athabaska panowały cisza i spokój. Lodołamacz „Otok” stał w basenie portowym z pustą barką na holu. Dwie inne, zanurzone dużo poniżej linii wodnej, były przycumowane w zatoce. Tylko rytmiczny odgłos pompy tłoczącej olej napędowy do zbiorników paliwa lodołamacza zdradzał, że port i statek nie są całkowicie opuszczone.

Inna atmosfera panowała na „Otku”, gdzie załoga gorączkowo przygotowywała się do wyjścia w morze. W mesie Clay Zak mieszał w szklance bourbona z lodem i wpatrywał się w dużą mapę Wysp Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Naprzeciwko niego siedział kapitan lodołamacza, siwy, krótko ostrzyżony mężczyzna z obrzmiałą twarzą.

- Niedługo zakończą tankowanie - powiedział grubym głosem.

- Nie zamierzam tkwić tu w nieskończoność - odparł Zak. - Wyruszamy o świcie. Wygląda na to, że do Wysp Królewskiego Towarzystwa Geograficznego jest około trzystu dwudziestu mil morskich - dodał i podniósł wzrok znad mapy.

- Raporty mówią, że szlak jest żeglowny na całej długości do Wyspy Króla Williama i dalej, a to jest szybki statek. Dopłyniemy tam bez problemu w jeden dzień.

Zak pociągnął mały łyk bourbona. Jego podróż do Arktyki została zorganizowana w pośpiechu bez szczegółowego planu i czuł się nieswojo. Ale nie przewidywał, by coś mogło pójść źle. Wysadzi zespół geologów Goyette'a na północnym brzegu głównej wyspy, żeby poszukali kopalni rutenu, a sam zrobi rozpoznanie na południu, gdzie działa Środkowoamerykańska Spółka Górnicza. W razie konieczności usunie ją z drogi, korzystając z oddziału uzbrojonych specjalistów do spraw bezpieczeństwa, których zabrał na pokład, i materiałów wybuchowych w ilości wystarczającej do zniszczenia połowy wyspy.

Drzwi mesy otworzyły się gwałtownie i mężczyzna w czarnym mundurze polowym i parce podszedł szybko do Zaka. Na ramieniu miał zawieszony karabin szturmowy, w ręku trzymał pękatą lornetkę noktowizyjną.

- Szefie, z zatoki przyplłynęły dwa pontony i przycumowały tuż za rufą barki. Naliczyłem siedmiu

ludzi - zameldował lekko zdyszany.

Zak spojrział na zegar na przegrodzie, który wskazywał, że jest pół godziny po północy.

- Są uzbrojeni? - zapytał.

- Tak, szefie. Minęli urządzenia przeładunkowe i weszli na sąsiednie nabrzeże, gdzie straciłem ich z oczu.

- Przyłynęli po „Polar Dawna” - powiedział podekscytowany kapitan. - To muszą być Amerykanie.

„Polar Dawn” stał zaledwie kilkadziesiąt metrów od nich. Kiedy Zak przyjechał do Kugluktuk, od razu zauważył tłum miejscowych wokół amerykańskiego kutra. Podeszedł i też obejrzał zatrzymany okręt. Roilo się na nim od policjantów i wartowników marynarki wojennej. Nie było mowy, żeby siedmiu ludzi zdołało opanować kuter.

- Nie - nie zgodził się Zak. - Przyłynęli po załogę. - Nie wiedział, że amerykańscy marynarze są uwięzieni w pobliskiej przetwórni ryb. Na jego twarz wypłynął chytry uśmiech. - Bardzo uprzejmie z ich strony, że wpadli. Liczę, że pomogą nam pozbyć się Środkowoamerykańskiej Spółki Górniczej.

- Nie rozumiem - odrzekł kapitan. Zak wstał.

- Nie szkodzi. Zmiana planów. Wyruszamy za godzinę. Z pośpiechem wymaszerował z mesy.

Rick Roman skoczył za dwie puste beczki po paliwie i spojrzął na zegarek. Podświetlona tarcza ukazywała za piętnaście pierwszą. Mieli dwadzieścia minut rezerwy. Pomyślał, że opłacało się przetransportować zodiaki nad wodę poprzedniej nocy. Ewakuują się bez obawy, że rozproszą się ciemności nocy.

Jak dotąd operacja przebiegała bez zakłóceń. On i jego sześciu ludzi wyruszyli dwoma pontonami tuż przed północą, kiedy tylko słońce schowało się za horyzontem. Napędzane silnikami elektrycznymi łodzie pneumatyczne przecięły cicho zatokę do ujścia rzeki Coppermine i zacumowały w porcie Towarzystwa Żeglugowego Athabaska. Zdjęcia satelitarne, z które Roman się nie rozstawał, pokazywały, że port opustoszał trzy doby wcześniej. Wprawdzie stał tu teraz wielki holownik z jeszcze większą barką, ale oba statki i nabrzeże wyglądały na opustoszałe. Dalej przy kei kapitan widział „Polar Dawna”, jasno oświetlonego przez latarnie na nabrzeżu. Mimo późnej pory po pokładzie kręcili się wartownicy, poruszali się z werwą, żeby nie zmarznąć.

Roman skupił uwagę na zaniedbanym białym budynku odległym od niego o zaledwie trzydzieści metrów. Raporty wywiadowcze donosiły, że właśnie tam jest przytrzymywana załoga amerykańskiego kutra. Drzwi pilnował tylko jeden konny, co nastrojało optymistycznie. Kapitan zakładał, że marynarze nie będą zbyt starannie pilnowani, i się nie mylił. Nieprzyjazne środowisko naturalne nie zachęcało do ucieczki, zwłaszcza że do granicy Alaski było ponad tysiąc kilometrów.

W jego słuchawce nagle rozległ się szept:

- Gupiki są w stawie. Powtarzam, gupiki są w stawie.

To Bojorquez potwierdzał, że widział więźniów przez małe boczne okno zniszczonego budynku.

- Drużyny na stanowiskach? - szepnął Roman do mikrofonu.

- Mutt na stanowisku - potwierdził Bojorquez.

- Jeff na stanowisku - odezwał się inny komandos.

Roman znów zerknął na zegarek. Samoloty ratownicze powinny wylądować na lodowym pasie startowym za półtorej godziny. Mieli dużo czasu na przerzucenie załogi „Polar Dawna” przez zatokę na lądowisko. Może nawet za dużo.

Rozejrzał się we wszystkie strony po raz ostatni. Wzdłuż nabrzeża nie było żywej duszy. Wziął głęboki oddech i wydał przez radio rozkaz:

- Przygotować się do wejścia za półtorej minuty.

Usiadł wygodnie i pomodlił się, żeby szczęście nadal im dopisywało.

Kapitan Murdock siedział na betonowym bloku i palił papierosa, gdy usłyszał głośnie uderzenie z tyłu budynku. Większość załogi spała na swoich posłaniach, korzystając z niewielu godzin ciemności. Grupa mężczyzn, którzy tak jak on nie mogli zasnąć, oglądała film na ekranie małego telewizora. Samotny kanadyjski policjant pilnujący marynarzy w budynku, i wyposażony tylko w radio, wstał i podszedł do kapitana.

- Słyszał pan hałas? - zapytał.

- Brzmiał tak, jakby kawał lodu spadł z dachu.

Policjant odwrócił się, żeby pójść na tyły budynku, gdy z mroku wyłonili się cicho dwaj ludzie. Komandosi Delta Force zamienili wcześniej białe kombinezony na czarne kurtki, mundury polowe i kamizelki kuloodporne. Na głowach mieli kevlarowe hełmy z opuszczanymi wyświetlaczami nad jednym okiem, słuchawkami i mikrofonami na ruchomych wysięgnikach. Jeden żołnierz celował w Murdocka i wartownika z karabinu M4, drugi trzymał pistolet o pudełkowatym kształcie.

Konny natychmiast sięgnął po radio, ale zanim zdążył unieść je do ust, komandos nacisnął spust pistoletu. Murdock zauważył, że broń nie wypaliła z hukiem, lecz z cichym trzaskiem. Elektryczny pistolet obezwładniający wystrzelił zamiast pocisku dwa małe bolce z cienkimi przewodami. Kiedy policjant został trafiony, poraził go prąd o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów i natychmiast sparaliżował.

Mężczyzna zeszywniał, upuścił radio i upadł na podłogę. Żołnierz z pistoletem momentalnie do niego doskoczył, skrępował mu nadgarstki oraz kostki plastikowymi kajdankami i zakleił usta kawałkiem taśmy samoprzylepnej.

- Ładny strzał, Mike - pochwalił drugi komandos i ruszył naprzód, przeszukując wzrokiem halę. Po chwili odwrócił się z powrotem do Murdocka. - Kapitan Murdock?

- Tak - wyjąkał kapitan, wciąż zaszokowany tym, co się dzieje.

- Sierżant Bojorquez - przedstawił się żołnierz. - Zamierzamy zabrać pana i pańską załogę na małą przejażdżkę łodziami. Proszę obudzić swoich ludzi i kazać im się ubrać szybko i bez hałasu.

- Oczywiście. Dziękuję, sierżancie.

Murdock poszukał swojego oficera wykonawczego i razem prędko obudzili śpiących marynarzy. Nagle drzwi frontowe budynku otworzyły się gwałtownie i do środka wpadli dwaj następni komandosi Delta Force, wlokąc bezwładne ciało innego policjanta. Bolce wystrzelone z paralizatora wystawały z jego nóg, bo żołnierze musieli celować poniżej grubej parki, którą miał na sobie. Tak jak jego kolega, był skrępowany i zakneblowany.

Murdock obudził i zebrał zaskoczoną załogę w niecałe pięć minut. Niektórzy marynarze żartowali, że wreszcie zamienią piwo Moosehead na budweisera, a program telewizyjny Red Green Show na American Idol, ale większość milczała, przeczuwając, że czekają ich niebezpieczne chwile.

Na zewnątrz Roman trwał na stanowisku obserwacyjnym i sprawdzał reakcje Kanadyjczyków. Wydawało się, że atak nie wywołał alarmu i wartownicy na pokładzie „Polar Dawna” nie mieli pojęcia, co się wydarzyło.

Kiedy kapitan dostał od Bojorqueza sygnał, że są gotowi, natychmiast zarządził odwrót. Kryjąc się w ciemności, żołnierze przeprowadzali po trzech, czterech marynarzy z budynku na nabrzeże i do przycumowanych zodiaków. Dwa pontony szybko się zapełniły, ale Roman wciąż był spięty, gdy Bojorquez zawiadomił go przez radio, że eskortuje ostatnią grupę. Wreszcie zobaczył Bojorqueza przemykającego przez teren Towarzystwa Żeglugowego Athabaska, potem ostatni raz zlustrował port. Wokół nadal nie było nikogo, ciszę zimowej nocy mącił jedynie odgłos pomp i generatorów w oddali. Podniósł się i ruszył do pontonów z przeświadczeniem, że operacja się powiedzie. Najtrudniejszą część, uwolnienie załogi „Polar Dawna” bez zaalarmowania Kanadyjczyków, mieli już za sobą. Pozostały im tylko powrót na lądowisko i oczekiwanie na przyłot samolotów ratowniczych.

Minął ciemną barękę i zobaczył, że Bojorquez wsiada do jednego z pontonów z ostatnimi marynarzami Straży Przybrzeżnej. Na „Polar Dawnie” służyło trzydziestu sześciu ludzi i nikogo nie

brakowało. Kiedy odcumowano łodzie, Roman szybko podbiegł i wskoczył do jednej z nich.

- Znikamy stąd - szepnął do żołnierza, który obsługiwał silnik elektryczny.

- Radziłbym pozostać na miejscu - zagrział z góry donośny głos.

Kiedy słowa niosły się po wodzie, nagle rozbłysła bateria reflektorów halogenowych i jasne światło oślepiło na chwilę Romana. Zorientował się, że lampy zapalono na rufie barki. Uniósł odruchowo broń, by otworzyć ogień, ale powstrzymało go warknięcie Bojorqueza, żeby nie strzelać.

Gdy jego oczy przyzwyczały się do blasku, naliczył sześciu ludzi przechylonych przez reling barki z automatami wycelowanymi w pontony. Opuścił niechętnie karabin, inni komandosi zrobili to samo. Spojrzał na wielkiego mężczyznę, który uśmiechał się do niego z barki.

- Mądra decyzja - pochwalił Clay Zak. - A teraz może wróćcie na nabrzeże, żebyśmy się poznali?

Roman przeniósł wzrok z Zaka na automaty wycelowane w jego ludzi i skinął głową. Był wściekły, że tuż przed ucieczką wpadli niespodziewanie w zasadzkę. Wstał, żeby wyjść z łodzi, popatrzył gniewnie na przeciwników i splunął z rezygnacją pod wiatr.

Sierżant artylerii Mike Tipton badał uważnie przez lornetkę noktowizyjną zbocze poszarpanego lodowego grzbietu, które opadało ku zatoce Coronation. Choć zimny okular mroził mu czoło, nie przerywał obserwacji w nadziei, że zobaczy jakiś ruch. Gdy doczołgał się do niego na szczyt drugi podoficer, opuścił lornetkę.

- Ani śladu kapitana? - zapytał młody kapral z twarzą osłoniętą kominiarką.

Tipton pokręcił głową i spojrział na zegarek.

- Spóźniają się, a nasze ospreye przylecą za dwadzieścia minut.

- Mam przerwać ciszę radiową i ich wywołać?

- Tak. Zapytaj, co się dzieje i kiedy tu będą. Nie możemy trzymać samolotów na ziemi. - Wstał i odwrócił się w stronę prowizorycznego lądowiska. - Zapalę światła.

Tipton odszedł cicho. Nie chciał być świadkiem wywoływania przez radio. Przeczucie mu mówiło, że coś poszło źle. Roman wyruszył przed czasem. Powinien wrócić z załogą „Polar Dawna” prawie godzinę temu, a przynajmniej pojawić się już w polu widzenia. Był świetnym dowódcą i miał ze sobą doskonale wyszkolonych ludzi. Musiało się stać coś nieprzewidywalnego.

Tipton doszedł do końca lądowiska i włączył dwie niebieskie lampy akumulatorowe. Potem zrobił to samo z drugiej strony prymitywnego pasa startowego. Kiedy wrócił do obozu, zastał kaprala przy przenośnej radiostacji. Młody podoficer bezskutecznie wywoływał oddział szturmowy, w pobliżu żołnierz pełnił wartę.

- Nie zgłaszają się - zameldował kapral.

- Próbnij, dopóki nie wylądują samoloty. - Tipton odwrócił się przodem do obu mężczyzn. - Mamy wyraźne rozkazy. Ewakuujemy się bez względu na to, ilu nas będzie. - Podeszedł do wartownika, który w grubej białej parce wyglądał jak kapral. - Johnson, powieście pilotom, żeby poczekali pięć minut. Idę na wzniesienie zobaczyć, czy kapitan nie wraca. Tylko nie zostawcie mnie tutaj.

- Tak jest, panie sierżancie.

Chwilę później w nocnej ciszy rozległo się słabe buczenie. Odgłos narastał, aż przerodził się w wyraźny warkot samolotu, potem dwóch. Ospreye leciały bez świateł nawigacyjnych i były niewidoczne na tle czarnego nieba. Przystosowano je do pokonywania dużych odległości i przeleciały ponad tysiąc sto kilometrów z lotniska w Eagle na Alasce, tuż za granicą Jukonu. Szybowały nisko nad tundrą i nie zostały wykryte podczas lotu nad jednym z najbardziej wyludnionych regionów Kanady.

Tipton wspiał się na szczyt grzbietu i spojrział na pas startowy za sobą. Pierwsza maszyna podchodziła do lądowania. Pilot włączył światła lądownicze dopiero piętnaście metrów nad ziemią i szybko wyhamował na nierównej powierzchni daleko od niebieskich lamp na krańcu pasa. Natychmiast zwiększył obroty silników, dokołował do końca prowizorycznego lądowiska i zawrócił ciasnym łukiem. Chwilę później usiadł drugi osprey, podskakując na lodowych wybojach, i zajął

miejsce do startu za pierwszym samolotem.

Tipton odwrócił się ku zatoce i znów zaczął badać jej brzeg przez lornetkę.

- Roman, gdzie jesteś? - zawołał głośno, wściekły, że ciągle nie widać oddziału.

W zasięgu wzroku nie było ani pontonów, ani ludzi, którzy nimi odpłynęli. W oddali rozciągały się tylko puste morze i lód. Tipton czekał cierpliwie pięć minut, potem jeszcze pięć, ale na próżno. Oddział szturmowy się nie pojawił.

Usłyszał, jak jeden z samolotów zwiększa obroty silników, i opuścił punkt obserwacyjny. Pobiegł niezgrabnie w grubym zimowym ubraniu do otwartych bocznych drzwi pierwszej maszyny. Wskoczył do środka i poczuł na sobie gniewne spojrzenie pilota, który natychmiast pchnął przepustnicę. Tipton dotarł chwiejnie do wolnego siedzenia obok kaprała, gdy osprey toczył się po wyboistym pasie startowym, i chwilę później wzbili się w powietrze.

- Nic?! - krzyknął młody podoficer przez ryk silników.

Tipton pokręcił głową recytując ponuro w myślach magiczną formułę „nikogo nie zostawiamy”. Odwrócił się od kaprała i próbował skupić uwagę na widoku za małym bocznym oknem.

Dwa ospreye nadleciały jeden za drugim nad zatokę Coronation, nabrały wysokości i skrzyły wolno na zachód w kierunku Alaski. Tipton patrzył w zamyśleniu na światła statku pod nimi, który płynął na wschód. W pierwszym blasku świtu rozpoznał lodołamacz z wielką barką na holu.

- Gdzie oni są? - mruknął pod nosem, potem zamknął oczy i próbował usnąć.

Tipton nigdy się nie dowiedział, że przelatywał nad swoimi towarzyszami z Delta Force. Nie miał też pojęcia, że miejsce ich pobytu przypominało średniowieczny loch.

Ochroniarze Zaka zabrali komandosom broń i radia, po czym zaprowadzili ich wraz z załogą „Polar Dawna” na pokład barki. Amerykanie pod lufami pistoletów zostali bezceremonialnie wepchnięci do małej ładowni na dziobie. Kiedy na stalowe stopnie wszedł ostatni więzień, Roman się obejrzał i zobaczył, jak dwaj ludzie wciągają na barkę pontony i przywiązują je do relingu rufowego.

W jedynym odruchu litości porywacze wrzucili do ładowni dwie skrzynki butelkowanej wody, która zamarzała na mrozie, i zatrzasnęli ciężki stalowy właz. Rozległ się grzechot łańcucha i dźwignia ryglująca została zablokowana. Mężczyźni stojący w milczeniu w ciemnej lodowatej komorze poczuli gorycz nadciągającej klęski.

Nagle rozbłysła mała latarka, potem druga. Roman znalazł swoją w kieszeni na piersi i też ją zapalił, wdzięczny, że ma coś użytecznego, czego mu nie skonfiskowano.

Snopy światła omiotły ładownię i padły na wystraszone twarze czterdziestu pięciu mężczyzn. W niedużym pomieszczeniu oprócz zaryglowanego włazu, którym weszli, był jeszcze jeden w tylnej grodzi, otwarty. W rogu piętrzyły się dwa zwoje grubej liny cumowniczej, pod przegrodą leżał mały stos brudnych łysych opon. Służyły za odbojniki zabezpieczające burty barki w porcie. Kiedy Roman się rozglądał, usłyszał odgłos uruchamiania dieslowskich silników lodołamacza w sąsiedztwie, a potem ich basowe dudnienie na jałowym biegu. Skierował latarkę na załogę „Polar Dawna”.

- Jest wśród was kapitan? - zapytał.

Dystygowany mężczyzna z siwą kozią bródką wystąpił naprzód.

- To ja. Nazywam się Murdock.

Roman się przedstawił i powtórzył rozkazy.

- Próba przyjscia nam z pomocą była godna podziwu - przerwał Murdock. - Ale proszę wybaczyć, że nie podziękuję panu za odbicie z rąk kanadyjskiej policji - powiedział oschle i wskazał szerokim gestem zimne i wilgotne pomieszczenie.

- Nie spodziewaliśmy się udziału osób trzecich - odparł Roman. - Orientuje się pan, kim są ci ludzie?

- Mógłbym pana zapytać o to samo - odrzekł Murdock. - Wiem, że jakaś prywatna firma używa lodołamaczy do eskortowania statków, na co dostała pozwolenie od rządu kanadyjskiego. Najwyraźniej mają też barki. Ale po co im uzbrojona ochrona i dlaczego wzięli nas jako zakładników, tego nie wiem.

Roman też nie potrafił tego wyjaśnić. W przedoperacyjnym raporcie wywiadowczym nie było informacji o innych zagrożeniach niż kanadyjska marynarka wojenna i policja. To po prostu nie miało sensu.

Usłyszeli, jak silniki lodołamacza zwiększają obroty, potem poczuli lekkie szarpnięcie, gdy statek

odbił od brzegu i pociągnął za sobą barkę. Po chwili obroty diesli znów wzrosły i uwięzieni mężczyźni zaczęli czuć kołysanie i przechyły barki na wzburzonych wodach zatoki Coronation.

- Jak pan myśli, dokąd nas zabierają? - zapytał Roman. Murdock wzruszył ramionami.

- Jesteśmy dość daleko od ośrodków cywilizacji. Nie przypuszczam, żeby opuścili kanadyjskie wody, ale może nas czekać długi rejs w zimnie.

Roman usłyszał jakieś stęknienia i kopnięcia i oświetlił schody wejściowe. Sierżant Bojorquez zmagął się na podeście z zamkniętym włazem. Walił z całej siły ciałem w dźwignię ryglującą i kłął. Gdy zauważył na sobie snop światła, wyprostował się i odwrócił twarzą do Romana.

- Nie da rady, panie kapitanie. Na zewnętrznej dźwigni jest łańcuch. Musielibyśmy mieć palnik, żeby to otworzyć.

- Dzięki, sierżancie. - Roman odwrócił się do Murdocka. - Jest stąd inne wyjście?

Murdock wskazał otwarty właz prowadzący ku rufie.

- Tam na pewno jest zejście do pierwszej ładowni towarowej. Na łajbie są takie cztery. W każdej zmieściłby się wieżowiec. Powinny być połączone. Jeśli tak, to w przejściach są drabinki. Po jednej stronie wchodzi się na górę, a po drugiej schodzi na dół.

- A co z pokrywami luków? Jest jakaś szansa, żeby którąś podważyć?

- Bez żurawia nie ma mowy - odparł Murdock. - Każda waży pewnie ze trzy tony. Moim zdaniem zostaje tylko rufa. Jest tam prawdopodobnie taka sama ładownia albo oddzielne wyjście na pokład. - Popatrzył na Romana z determinacją. - Poszukiwania przy latarce potrważą jakiś czas.

- Bojorquez! - zawołał Roman. - Pójdziecie z kapitanem na rufę - rozkazał sierżantowi, który przybiegł natychmiast. - Macie znaleźć wyjście z tej szcurzej nory.

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedział sierżant, po czym mrugnął do przełożonego. - Dostanę awans?

- Co najmniej o jeden stopień - obiecał z uśmiechem Roman. - Do roboty.

We wszystkich wstąpiła nadzieja. Ale kapitan przypomniał sobie słowa Murdocka o długim rejsie, co mu uświadomiło, że rozpoczynają walkę o przetrwanie w Arktyce. Zaczął chodzić po ładowni i zastanawiać się, jak uchronić ludzi przed zamrożeniem.

W ciepłej sterówce „Otoka” Clay Zak siedział wygodnie w fotelu z wysokim oparciem i patrzył na mijaną krę. Zdawał sobie sprawę, że porwanie Amerykanów pod wpływem impulsu było ryzykownym posunięciem, tak jak uwięzienie ich w holowanej barce. Nie miał jeszcze pomysłu, co z nimi zrobić, ale cieszył się z prezentu, który dostał od losu. Kiedy załoga „Polar Dawna” wpadła mu w ręce, wywęszył okazję, żeby doprowadzić do konfliktu między Kanadą i USA. Rząd w Ottawie będzie kipiał z gniewu, przekonany, że amerykańskich marynarzy uwolnił jakiś oddział Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, który bezprawnie przekroczył granicę Kanady. Zak się roześmiał, wiedząc, że zapalczywy kanadyjski premier długo nie pozwoli Amerykanom postawić stopy w Arktyce Kanadyjskiej.

To znacznie więcej, niż mógł się spodziewać Goyette. Przemysłowiec opowiadał Zakowi o bogactwach w Arktyce, do których będzie można dotrzeć, gdy globalne ocieplenie spowoduje stopnienie lodu na biegunie. Goyette odkrył już żyłę złota w postaci złóż gazu ziemnego w Cieśninie Melville’a, ale była jeszcze ropa. Według niektórych szacunków dwadzieścia pięć procent światowych zasobów tego surowca występowało w Arktyce. Szybkie topnienie lodu w tym regionie otwierało teraz przedsiębiorczym ludziom drogę do tych złóż.

Goyette mówił, że ten, kto je zdobędzie, stanie się potentatem. Wielkie amerykańskie koncerny naftowe i konglomeraty górnicze rozszerzały już swoje wpływy w Arktyce. Goyette nie mógł nawet marzyć o podjęciu z nimi walki. Ale gdyby udało się wyłączyć je z gry, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Goyette mógłby zmonopolizować eksploatację arktycznych złóż i osiągać miliardowe zyski.

Większe niż z rutenu, pomyślał Zak. Ale nie wyklucza to sukcesu na obu frontach. Znalezienie minerału wydawało się pewne. Wyeliminowanie amerykańskiej konkurencji stało się niemal faktem. Goyette będzie mu dużo winien.

Zadowolony, wrócił do obserwacji lodu na morzu i czekał spokojnie, aż zbliżą się do Wysp Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

Przez kilka krótkich tygodni późnym latem archipelag Arktyki Kanadyjskiej przypomina malowniczą pustynię. Topniejący śnieg i lód odsłaniają ukryte surowe piękno krajobrazu, skalisty bezdrzewny teren nabiera w wielu miejscach olśniewających barw złota, czerwieni i purpury. Porosty, paprocie i zdumiewająca różnorodność kwiatów chłoną światło słoneczne i rozkwitają paletą barw; liczne zające, woły piżmowe i ptaki ożywiają pustkowie. Życie tętni w letnich miesiącach tylko po to, by zamierać podczas długich, ciemnych zimowych dni.

Przez resztę roku wyspy o kamienistych brzegach są niedostępnym skupiskiem pokrytych lodem wzgórz - pustym, jałowym obszarem, który od wieków przyciąga ludzi jak magnes, jednych w poszukiwaniu przeznaczenia, innych swego jestestwa. Kiedy Pitt patrzył z mostka na wstęgę lodu wzdłuż nierównej linii brzegowej Wyspy Wiktorii, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to jedno z najbardziej odludnych miejsc, jakie dotąd widział.

Podszedł do stołu nawigacyjnego, gdzie Giordino studiował wielką mapę Cieśniny Wiktorii. Krępy Włoch wskazał pustą przestrzeń wodną na wschód od Wyspy Wiktorii.

- Jesteśmy niecałe pięćdziesiąt mil morskich od Wyspy Króla Williama - powiedział. - Na jakim obszarze chcesz prowadzić poszukiwania?

Pitt przysunął sobie stołek, usiadł i przyjrzał się mapie. Masa lądu przypominająca kształtem gruszkę, Wyspa Króla Williama, leżała na wschód od nich. Wziął ołówek i narysował znak X piętnaście mil morskich na północny zachód od górnego krańca wyspy.

- Tu podobno „Erebus” i „Terror” zostały opuszczone - oznajmił. Giordino nie wyczuł ekscytacji w jego głosie.

- Ale uważasz, że zatoneły gdzie indziej? - zapytał.

- Relacja Inuita, aczkolwiek mętna, sugeruje, że „Erebus” był dalej na południe. Przed wyjazdem z Waszyngtonu poprosiłem ludzi z działu klimatów, żeby zrobili mi małą symulację, spróbowali odtworzyć warunki pogodowe i zachowanie lodu w kwietniu 1848 roku, kiedy opuszczali statki.

- Więc lód nie roztopił się i statki nie poszły na dno w punkcie X?

- To jest możliwe, ale mało prawdopodobne. - Pitt wskazał duży obszar wodny na północ od Wyspy Króla Williama, nazywany Cieśnina Larssena. - Zimowe zamarzanie powoduje ruch paku z północnego wschodu przez Cieśninę Larssena. Jeśli lód u wybrzeży Wyspy Króla Williama nie roztopił się latem 1848 roku, co sugerują klimatolodzy, to statki były pchane na południe podczas zimowego zamarzania w roku 1848 grupa ocalałych członków wyprawy mogła wrócić na statki o czym nie wiemy. Ale to by się zgadzało z relacją Inuita.

- Ruchomy cel - stwierdził Giordino. - Strefa poszukiwań będzie dość rozległa.

Pitt powiódł palcem w dół wzdłuż zachodniego brzegu Wyspy Króla Williama do skupiska wysp dwadzieścia mil morskich od jej południowo - zachodniego wybrzeża.

- Mam podejrzenia, że ten archipelag tutaj, Wyspy Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, odegrał rolę zapory na trasie posuwającego się na południe Paku. Po dotarciu do skał część kry

zapewne zmieniła kierunek a reszta pokruszyła się i spiętrzyła na północnym brzegu.

- To dość prosta droga od twojego znaku X - zauważył Giordino.

- Tylko snuję domysły. Nie wiadomo, jak daleko w rzeczywistości mieściły się statki, zanim poszły pod lód. Ale na początek chciałbym odszukać dziesięciomilową strefę tuż powyżej tych wysp, a potem dostać się na północ, jeśli nic nie znajdziemy.

- Dobry pomysł - zgodził się Giordino. - Miejmy nadzieję, że wraki leżą prawie w jednym kawałku i będą tworzyły jasny i wyraźny obraz sonarowy. - Spojrzał na zegarek. - Lepiej obudzę Jacka i przygotujemy AUV-y zanim dopłyniemy na miejsce. Mamy dwa na pokładzie, więc możemy wyznaczyć oddzielne sektory poszukiwawcze i działać jednocześnie.

Kiedy Pitt wytyczał współrzędne dla dwóch sąsiadujących ze sobą sektorów poszukiwań Giordino i Dahlgren przygotowywali do wodowania AUV-y, samodzielne pojazdy podwodne. Miały kształt torpedy, własny napęd, sonar i inne czujniki do elektronicznego badania dna morza. Zaprogramowane na systematyczne przeszukiwanie wyznaczonego sektora, pływały kilka metrów nad dnem z szybkością prawie dziesięciu węzłów i dostosowywały się do zmiennej rzeźby terenu pod wodą.

Kapitan Stenseth, mijając od północy Wyspy Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, zmniejszył prędkość „Narwhala”, gdy dotarł do pierwszego sektora poszukiwawczego Pitta. Za burtę opuszczono pływający transponder, potem statek pomknął do przeciwległego rogu sektora, gdzie pozostawił w wodzie drugą boję. Transpondery odbierające sygnały z orbitujących satelitów GPS stanowiły podwodne nawigacyjne punkty odniesienia dla AUV-ów, pozwalające im utrzymać się na kursie.

Na rufie statku Pitt pomógł Giordinowi i Dahlgrenowi wprowadzić plan poszukiwań do komputera pierwszego AUV-a, potem przyjrzał się, jak żuraw przenosi dużą żółtą torpedę ponad burtą. Pojazd z wirującą małą śrubą został uwolniony ze swojej kołyski, wystrzelił naprzód i szybko zniknął pod ciemnymi falami. Prowadzony przez unoszące się w wodzie transpondery trafił do swojego punktu startu i zaczął pływać tam i z powrotem, obserwując dno elektronicznymi oczami.

Po bezpiecznym zwodowaniu pierwszego AUV-a Stenseth skierował statek na północ do drugiego sektora poszukiwań, gdzie powtórzono czynność. Przenikliwy wiatr wychłostał mężczyzn na pokładzie podczas opuszczenia drugiego pojazdu, więc szybko schronili się w ciepłym centrum operacyjnym. Siedzący tu technik miał już obie siatki poszukiwawcze na monitorze nad sobą, na ich tle widniały symbole AUV-ów i transponderów. Pitt zdjął parkę i popatrzył na kilka kolumn cyfr, które zmieniały się szybko z boku ekranu.

- Oba pojazdy są zanurzone i w ruchu - powiedział. - Dobra robota, panowie.

- Teraz znajdują się poza naszym zasięgiem - dorzucił Giordino. - Wygląda na to, że nie wrócą na powierzchnię wcześniej niż za jakieś dwanaście godzin.

- Jak je wyłowimy, wprowadzenie danych i wymiana akumulatorów nie potrwa długo - zauważył Dahlgren - więc będziemy mogli je zaraz wypuścić do dwóch następnych sektorów.

Giordino uniósł brwi, Pitt posłał mu miazdzące spojrzenie.

- Powiedziałem coś nie tak? - zapytał zdziwionym tonem.

- Na tym statku - odparł Pitt z szerokim uśmiechem - tylko pierwszy raz ma urok.

Sześćdziesiąt mil morskich na zachód „Otok” pruł smagane wiatrem fale w drodze na Wyspy Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. W sterówce Zak studiował zdjęcie satelitarne wysp przez szkło powiększające. W archipelagu dominowały dwie duże masy lądu, Wyspa Zachodnia i oddzielona od niej wąskim przesmykiem mniejsza Wyspa Wschodnia. Kopalnia Środkowoamerykańskiej Spółki Górniczej była zlokalizowana na południowym wybrzeżu Wyspy Zachodniej nad Zatoką Królowej Maud. Zak wypatrzył na fotografii dwa budynki, długie nabrzeże i odkrywkę w pobliżu.

- Wiadomość dla pana.

Nieogolony kapitan „Otoka” wręczył mu kartkę. Zak ją rozłożył i przeczytał treść:

„Pitt przyleciał do Tuktoyaktuk z Waszyngtonu wcześniej w sobotę. Wszedł na pokład statku badawczego NUMA „Narwhal”. Odpłynęli o 16.00, przypuszczalnie na Alaskę. M.G.”

- Na Alaskę - powiedział głośno. - Teraz raczej nie mogli popłynąć nigdzie indziej, nie tak? - dodał z uśmiechem.

- Wszystko w porządku?

- Tak, po prostu konkurencja nie nadaża. Kapitan zajrzał Zakowi przez ramię.

- Z której strony podchodzimy do wysp? - zapytał.

- Od południa do Wyspy Zachodniej. Najpierw przyjrzymy się kopalni. Podpłyniemy prosto do nabrzeża i zobaczymy, czy ktoś jest w domu. O tak wczesnej porze roku mogli jeszcze nie zacząć letniego wydobycia.

- To może być dobre miejsce na zostawienie naszych więźniów. Zak popatrzył przez tylne okno na holowaną barkę, która przechylała się na wzburzonym morzu.

- Nie - odparł po namyśle. - Powinno im być całkiem wygodnie tam, gdzie są.

Myśl, że jest im wygodnie, nie przyszłaby Rickowi Romanowi do głowy, ale musiał przyznać, że zrobili najlepszą rzecz, jaka była możliwa w zaistniałych okolicznościach.

Zimna stalowa podłoga i ściany pływającego więzienia szybko ochładzały ich ciała, ale wyjściem z sytuacji okazało się wykorzystanie pozostawionych w ładowni rupieci. Roman zwołał ludzi w świetle latarki i kazał im przenieść stertę starych opon. Najpierw ułożono z nich warstwę na pokładzie, potem zbudowano ściany i powstało wydzielone pomieszczenie dla wszystkich. Liny cumownicze rozwinięto, opasano nimi gumowe ściany i pokryto podłogę, tworząc dodatkową warstwę izolacyjną i jednocześnie wyściółkę do leżenia. Ciepło ciał stłoczonych w ciasnej przestrzeni stopniowo podniosło temperaturę. Po kilku godzinach Roman oświetlił latarką butelkę wody u swoich stóp i zobaczył, że zaczęła od góry rozmarzać. Z satysfakcją stwierdził, że izolowane pomieszczenie ogrzało się na tyle, że nie jest już lodowato.

Ale to był jedyny powód do zadowolenia. Kiedy Murdock i Bojorquez wrócili po dwóch godzinach oględzin barki, przynieśli złą wiadomość. Murdock nie znalazł żadnej ewentualnej drogi

ucieczki w ładowniach ciągnących się do rufy. Ciężkie pokrywy luków mogłyby równie dobrze być przyspawane, bo nie mieli szansy ich unieść.

- Znalazłem to - powiedział Bojorquez i pokazał mały młotek z pazurem do wyciągania gwoździ oraz drewnianym trzonkiem. - Ktoś musiał go zgubić w ładowni i nie zawracał sobie głowy szukaniem.

- Nawet kowalskim młotem nie otworzylibyśmy tego włazu - odparł Roman.

Niezrażony Bojorquez zaatakował małym narzędziem zablokowaną dźwignię ryglującą. Wkrótce uderzenia młotkiem stale towarzyszyły skrzypnięciom płynącej barki. Mężczyźni ustawili się w kolejce do drzwi, głównie z nudów lub po to, żeby się trochę poruszać dla rozgrzewki. Przez nieustanny odgłos stukania dobiegł nagle głos Murdocka:

- Holownik zwalnia.

- Przerwijcie walenie - rozkazał Roman.

Usłyszeli, jak basowy warkot silników lodołamacza przycicha. Kilka minut później diesle zaczęły pracować na jałowym biegu, potem barka uderzyła w coś nieruchomego. Mężczyźni czekali w nadziei, że wreszcie wyjdą z lodowatego więzienia.

Wyspy Królewskiego Towarzystwa Geograficznego ukazały się jako skupisko płowóżółtych wzgórz wznoszących się nad wzburzonymi ciemnoszarymi wodami. Nazwę nadał im odkrywca Roald Amundsen w 1905 roku, kiedy podczas trudnej podróży statkiem „Gjóa” zdołał pierwszy przebyć całe Przejście Północno-Zachodnie. Odległe i zapomniane wyspy pozostawały jedynie punktami na mapie, dopóki niezależna firma eksploracyjna nie znalazła odsłoniętego złoża cynku i nie sprzedała praw do niego Środkowoamerykańskiej Spółce Górniczej.

Kompleks wydobywczy spółki zbudowano nad szeroką zatoką na poszarpanym, biegnącym zygzakiem południowym brzegu wyspy z licznymi zatoczkami i lagunami. Naturalny głęboki farwater umożliwiał dużym statkom wpływanie do zatoki, jeśli drogi nie blokował lód. Spółka zbudowała w zatoce stumetrowy półpływający pomost, który stał pusty wśród brył lodu unoszących się na wodach wokół niego.

Zak kazał kapitanowi przybić do pomostu i obserwował linię brzegową przez lornetkę. Przyglądał się dwóm budynkom z prefabrykatów u stóp niskiego urwiska wzdłuż krótkiej żwirowej drogi, która prowadziła w głąb lądu. W oknach było ciemno, przy drzwiach piętrzyły się śnieżne zaspasy. Zadowolony, że obiektu jeszcze nie otwarto po zimie, kazał przycumować do pomostu.

- Niech pan zbierze geologów i wysadzi ich na brzeg - polecił kapitanowi. - Chcę znać skład rudy, którą tu wydobywają i budowę geologiczną terenu.

- Chyba nie mogą się doczekać zejścia na ląd - zażartował kapitan, bo widział wcześniej, jak niektórzy z geologów cierpią na chorobę morską w kambuzie.

- Kapitanie, przed przyjazdem kazałem wysłać na statek dużą paczkę. Dostał pan przesyłkę w Tuktoyaktuk?

- Tak, skrzynia jest na pokładzie, w ładowni dziobowej.

- Proszę kazać ją przynieść do mojej kabiny - zakomenderował Zak. - Są w niej pewne materiały, które będą mi potrzebne na lądzie.

- Zaraz ktoś się tym zajmie. A co z naszymi więźniami na barce? Są pewnie bliscy śmierci - powiedział kapitan, patrząc na termometr cyfrowy na konsoli, który wskazywał, że na dworze jest piętnaście stopni mrozu.

- A tak, nasi zamarznięci Amerykanie. Wątpię, żeby ktoś się przejął ich zniknięciem - odparł aroganckim tonem Zak. - Trzeba im chyba rzucić trochę żarcia i koców. Mogą nam się jeszcze przydać.

Kiedy geolodzy schodzili na brzeg w asyście uzbrojonej ochrony, Zak poszedł na dół do swojej kabiny. Jego przesyłka, metalowy kufer zamknięty na ciężką kłódkę, czekała na niego na podłodze wyłożonej dywanem. W środku były starannie ułożone zapalniki, detonatory i ilość dynamitu wystarczająca do zrównania z ziemią kwartału domów w mieście. Zak wybrał kilka rzeczy, włożył je do małej torby na ramię i zamknął kufer na kłódkę. Wciągnął grubą parkę i wrócił na pokład. Już miał zejść ze statku, gdy zatrzymał go jeden z marynarzy.

- Telefon do pana na mostku. Kapitan prosi, żeby pan szybko przyszedł.

Zak wspiął się do sterówki, gdzie kapitan rozmawiał z kimś przez telefon satelitarny.

- Tak, już jest - potwierdził kapitan, odwrócił się i przekazał telefon Zakowi.

W słuchawce rozległ się zniecierpliwiony głos Mitchella Goyette'a.

- Zak, kapitan mówi, że cumujecie w kompleksie spółki górniczej.

- Zgadza się. Nikogo tu nie ma, jeszcze nie zaczęli sezonu letniego. Właśnie szedłem wyłączyć ich z akcji..

- Doskonale. Atmosfera w Ottawie jest coraz gorętsza, więc wątpię, żeby jakikolwiek Amerykanin w ogóle zdołał postawić tam stopę. - Goyette nie potrafił zapanować nad chciwością. - Postaraj się nie zniszczyć infrastruktury, która może mi się przydać, kiedy kupię obiekt na wyprzedzący po pożarze - parsknął.

- Będę miał to na uwadze - obiecał Zak.

- Dowiedziałeś się czegoś o rutenie?

- Geolodzy właśnie badają teren wokół kopalni. Ale jesteśmy teraz na południowym wybrzeżu wyspy, a z mapki kupca wynika, że źródło Inuitów było po północnej stronie. Przeniesiemy się tam za parę godzin.

- Dobrze. Informuj mnie na bieżąco.

- Powinieneś o czymś wiedzieć - zaczął Zak i zdetonował bombę. - Mamy w niewoli amerykańską załogę „Polar Dawna”.

- Co?! - ryknął Goyette, zmuszając Zaka do odsunięcia słuchawki od ucha. Przemysłowiec wściekł się, kiedy Zak opisał mu okoliczności porwania. - Nic dziwnego, że politycy dostają białej gorączki - wycedził. - Niewiele brakuje, żeby się rozpętała III wojna światowa.

- Wtedy Amerykanie na pewno długo nie będą mieli dostępu do tego regionu - odparł Zak.

- Być może, ale korzyści płynące z ich nieobecności nie będą mnie cieszyły, jeśli znajdę się w więziennej celi - warknął Goyette. - Załatw tę sprawę bez rozgłosu. I cokolwiek zrobisz, lepiej żeby żaden trop nie prowadził do mnie.

Zak odłożył słuchawkę, kiedy Goyette się rozłączył. Jeszcze jeden ciemny typ bez wyobraźni, który terrorem dorobił się miliardów, pomyślał Zak. Potem włożył parkę i zszedł na ląd.

Zatokę otaczał brunatny krąg skał i żwiru, wtapiający się dalej w głębi lądu w białą lodową pokrywę. Wyjątkiem była wielka prostokątna koleina o długości kilkudziesięciu metrów, która wrzynała się w zbocze wzgórza i kończyła przy równej pionowej ścianie najwyraźniej nie powstałej naturalnie. Łatwo dostępną wysokoprocentową rudę cynku wydobywano metodą odkrywkową. Zak zauważył w oddali, że kilku geologów ogląda kopalnię.

Choć zatoka była osłonięta od najsilniejszych podmuchów zachodnich wiatrów, szedł prędko po pomoście, żeby jak najkrócej przebywać na zimnie. Rzucił przelotne spojrzenie na tradycyjnie eksploatowaną odkrywkę przed nim. W większym z dwóch budynków mieścił się magazyn sprzętu górniczego - buldożery, koparki i wywrotki - którym wydobywano rudę i transportowano na mały taśmociąg do załadunku na statki. W mniejszym budynku musiały być kwatery załogi i biura.

Zak ruszył najpierw do mniejszego budynku i zdziwił się, że drzwi są zaryglowane. Wyciągnął z kieszeni glocka, przestrzelił dwukrotnie zamek i otworzył drzwi kopniakiem. Wnętrze wyglądało jak przestronny dom. Dwie duże sypialnie wypełniały piętrowe łóżka, mieszkańcy mieli do dyspozycji wielką kuchnię, jadalnię i salon. Poszedł prosto do kuchni i spojrzął na kuchenkę gazową. Była połączona przewodem ze schowaną w szafce dużą butlą propanu. Zak wyjął z torby na ramię ładunek

dynamitu, umieścił go pod butlą i przymocował zapalnik czasowy. Zerknął na zegarek, ustawił zapalnik na półtorej godziny i wyszedł z budynku.

Zbliżył się do magazynu sprzętu, obejrzał go dokładnie z zewnątrz i obszedł dookoła. Z tyłu nad budynkiem górowało niewielkie urwisko pokryte oblodzonymi kamieniami i głazami. Zak wspiął się po stromym zboczu na wąską skalną półkę blisko szczytu wzgórza. Wykopał butem zagłębienie w zmarzniętej ziemi pod głazem wielkości samochodu osobowego, zdjął rękawice i podłożył pod skałę następny ładunek dynamitu. Sztywniejącymi z zimna palcami szybko umocował zapalnik. Oddalił się o kilka metrów i umieścił drugi ładunek pod skupiskiem dużych odłamków.

Zszedł ze zbocza, wrócił przed magazyn i umocował jeszcze jeden ładunek obok zawiasu wielkich drzwi garażowych. Po uruchomieniu zapalnika wycofał się pospiesznie na pomost i skierował do lodołamacza. Gdy dochodził do statku, zauważył, że kapitan patrzy na niego z mostka. Zak pokazał mu gestem, żeby włączył syrenę okrętową. Sekundę później dwa ogłuszające sygnały odbiły się echem od wzgórz, wzywając geologów do powrotu.

Zak odwrócił się i zobaczył, że nadchodzą, więc poszedł do barki na końcu pomostu, który ledwo sięgał do jej dziobu. Zaczekał, aż prąd przysunie ją bliżej, przeskoczył na stalową drabinkę wpuszczoną w burtę i wspiął się na pokład. Ruszył w kierunku rufy, minął czwartą ładownię i dotarł do zejściówki. Przyklęknął na dole przy przegrodzie zewnętrznej i zostawił tam resztę dynamitu, tym razem z zapalnikiem radiowym. Ładunek nie znalazł się poniżej linii wodnej, tak jak planował, ale wiedział, że na wzburzonym morzu i tak spełni swoje zadanie. Lekceważąc życie ludzi stłoczonych kilka kroków od niego, opuścił barkę z uczuciem satysfakcji. Wiedział, że Goyette nie będzie zachwycony stratą nowo zbudowanej barki, ale co mu zrobi? Zak dostał polecenie, żeby nie zostawiać śladów, a pozbycie się barki tam, gdzie nikt jej nie znajdzie, było doskonałym rozwiązaniem.

Ostatni geolodzy i ochroniarze wchodzili na pokład, kiedy zjawił się przy trapie. Wspiął się prosto na mostek, zadowolony, że wreszcie przestanie marznąć.

- Nikogo nie brakuje - zameldował kapitan. - Odpływamy czy życzy pan sobie najpierw porozmawiać z geologami?

- Mogą mi złożyć sprawozdanie w drodze. Chcę jak najszybciej zbadać północny brzeg. - Spojrzał na zegarek. - Choć może warto obejrzeć pokaz fajerwerków, zanim wyruszymy.

Dwie minuty później kuchnia w kwaterze mieszkalnej wyleciała w powietrze i wszystkie ściany budynku runęły. Prawie pełny zbiornik butanu eksplodował w wielkiej kuli ognia, pomarańczowe płomienie uniosły się pod niebo, szyby na statku zdrząły od wstrząsu. Kilka sekund później nastąpił wybuch w magazynie, który zniszczył drzwi frontowe i dach. Potem eksplodowały ładunki na zboczu wzgórza i lawina kamieni i głazów zwała się na uszkodzony budynek. Kiedy gęsty kurz w końcu opadł, Zak zobaczył, że cały magazyn zniknął pod osuwiskiem.

- Bardzo skuteczne - mruknął kapitan. - Chyba już nie musimy się przejmować obecnością Amerykanów w tej okolicy.

- Zupełnie - odparł Zak tonem pełnym aroganckiej pewności siebie.

Zachodni wiatr smagał Cieśninę Wiktorii i podrywał wysoko grzywy fal, które omywały pojedyncze bryły dryfującego lodu. Płynący przez ciemne wody turkusowy statek NUMA wyglądał jak jasne światło przewodnie w bezbarwnym świetle. Mając przed dziobem Wyspy Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, posuwał się wolno na południe przez pierwszy z sektorów poszukiwań, które wyznaczył Pitt.

- Jakiś statek okrąży północno-zachodnie wybrzeże - zameldował sternik, patrząc na ekran radaru. Kapitan Stenseth sięgnął po lornetkę i przyjrzał się dwóm punktom na horyzoncie.

- Pewnie jakiś azjatycki frachtowiec próbuje pokonać w eskorcie przejście - odrzekł i odwrócił się do Pitta, który siedział przy stole nawigacyjnym i studiował plany statków Franklina. - Niedługo dotrzemy do linii końcowej. Kiedy ma się wynurzyć twoja torpeda?

Pitt zerknął na zegarek do nurkowania marki Doxa z pomarańczową tarczą.

- Powinna się pojawić na powierzchni w ciągu pół godziny. Dwadzieścia minut później jeden z członków załogi zauważył w wodzie żółtego AUV-a. Stenseth podpłynął statkiem do pojazdu, który szybko wciągnięto na pokład. Giordino wyjął z niego terabajtowy twardy dysk i zaniósł natychmiast do małej sali konferencyjnej z komputerem i systemem projekcyjnym.

- Idziesz na film? - zapytał Stenseth, kiedy Pitt wstał i się przeciągnął.

- Tak, na pierwszą połowę raczej długiego seansu. Masz zamiar na transpondery?

Stenseth przytaknął.

- Wyłowimy je jako następne. Silny południowy prąd zniósł je dość daleko. Będziemy musieli się pospieszyć, bo inaczej wpadną na skalisty brzeg wyspy.

- Powiem Dahlgrenowi, żeby był w pogotowiu - odrzekł Pitt. - Potem wyciągniemy rybkę numer dwa.

Poszedł do zaciemnionej sali, gdzie Giordino wyświetlał już to, co zarejestrował sonar. Na ekranie przesuwiał się złocisty obraz płaskiego, ale skalistego dna morskiego.

- Dobra ostrość - zauważył Pitt i usiadł obok Giordina.

- Zwiększyliśmy częstotliwość, żeby podwyższyć rozdzielczość - wyjaśnił Giordino i wręczył Pittowi miskę prażonej kukurydzy z mikrofalówki. - Ale niestety nie jest to jeszcze Casablanca.

- Nie szkodzi. Byle tylko znalazło się coś wartego powtórki. Rozsiedli się wygodnie i wpatrzyli w bezkresne dno morskie przesuwające się na ekranie.

Zodiac przeskakiwał wysokie fale i roztrącał małe kawałki lodu, wzbijając w powietrze zimną wodną mgiełkę. Sternik trzymał otwartą przepustnicę, dopóki nie zbliżył się do szerokiej lodowej tafli przy brzegu. Znalazł miejsce z pochyłą krawędzią czołową i skierował ponton na lód. Utwardzony kadłub przebył poślizgiem kilkadziesiąt centymetrów i zatrzymał się u stóp niskiego wypiętrzenia. Usadowiony na rufie Zak poczekał, aż zespół geologów wyjdzie z łodzi pneumatycznej, potem wysiadł razem z ochroniarzem uzbrojonym w karabin myśliwski do odstraszenia wścibskich niedźwiedzi.

- Zabierzesz nas dokładnie za dwie godziny półtora kilometra dalej - poinstruował sternika, wskazując na zachód. Pomógł zepchnąć ponton z powrotem na wodę i patrzył, jak zodiac wraca do „Otoka” czekającego z włączonymi silnikami pół mili morskiej od brzegu.

Zak mógł zostać w ciepłej kabinie i czytać biografię Dzikiego Billa Hickoka, którą wziął ze sobą, ale obawiał się, że geolodzy będą marudzili na zimnie. W rzeczywistości, do czego nie chciał się przyznać, przypłynął z nimi dlatego, że rozczarowała go ich ocena budowy geologicznej terenu eksploatowanego przez Środkowoamerykańską Spółkę Górniczą.

Nie był zaskoczony, kiedy potwierdzili obfitość cynku i żelaza na południu wyspy, ale miał nadzieję, że znajdą choćby śladowe ilości rutenu. Niestety. Geolodzy nie uzyskali żadnego dowodu na to, że skała zawiera jakikolwiek metal z grupy platynowców.

Uspokajał się, że to nie ma znaczenia, bo wie dokładnie, gdzie natrafiają na ruten. Wyjął z kieszeni kartki z rejestru transakcji, które ukradł w Spółdzielni Górniczej Ontario. Odręczny szkic wykonany przez kogoś węglem wyraźnie przypominał Wyspę Zachodnią. Na jej północnym brzegu widniał mały znak X. Na górze kartki ktoś inny napisał gęsim piórem „Wyspy Królewskiego Towarzystwa Geograficznego”. Kształt liter był charakterystyczny dla epoki wiktoriańskiej. Z treści poprzedniej strony w rejestrze wynikało, że rysunek jest kopią mapki Inuitów, pokazującej, gdzie łowcy fok z półwyspu Adelaide zdobyli ruten, któremu nadali dziwną nazwę „czarna kobluna”.

Zak przyłożył stary szkic do współczesnej mapy wysp i zlokalizował punkt docelowy kawałek na zachód od miejsca ich lądowania.

- Kopalnia powinna być na wybrzeżu kilometr stąd - oznajmił, kiedy grupa doszła po lodzie do kamienistej plaży. - Mieście oczy otwarte.

Pomaszerował wzdłuż brzegu przed geologami, pragnąc samemu dokonać odkrycia. Zrobiło mu się ciepłej na myśl o czekającym na niego w pobliżu potencjalnym źródle bogactwa. Goyette już miał wobec niego dług za usunięcie amerykańskich inwestorów z Arktyki Kanadyjskiej. Znalezienie rutenu będzie lukrem na torcie.

Wzdłuż nierównej linii brzegowej ciągnęły się pofałdowane i poprzecinane żlebami urwiska, teren wznosił się w głąb lądu. Wąwozy wypełniał lód, nagie szczyty wzgórz tworzyły szare plamy na białym tle, co przypominało tarantowatą maść konia. Geolodzy zostawali daleko w tyle za Zakim, poruszali się niepewnie po oblodzonej powierzchni, często przystawali, żeby obejrzeć odsłonięte

miejsca na zboczach wzgórz i pobierali próbki skał. Zak dotarł do wyznaczonego punktu docelowego, nie zauważywszy po drodze ani śladu kopalni, i zaczął kręcić się niecierpliwie tam i z powrotem w oczekiwaniu na geologów.

- Kopalnia powinna być gdzieś tutaj! - krzyknął. - Przeszukajcie dokładnie okolice.

Kiedy geolodzy się rozproszyli, ochroniarz przywołał Zaka gestem na skraj pokrywy lodowej. U stóp mężczyzny leżała zmasakrowana foka. Od skóry zwierzęcia zostały oderwane duże kawały mięsa. Ochroniarz wskazał głowę ze śladami pazurów.

- Tylko niedźwiedź mógł to zrobić - powiedział.

- Padlina nie wygląda na starą, musiał więc uctować całkiem niedawno - odrzekł Zak. - Bądź czujny, ale nie wspominaj o tym naszym przyjacielom naukowcom. Już i tak mają dosyć wszystkiego z powodu zimna.

Niedźwiedź polarny nie pojawił się, ale ku rozczarowaniu Zaka ruten też nie. Po godzinie dokładnych poszukiwań zmarznięci geolodzy wrócili do Zaka z niepewnymi minami.

- Tutaj jest to samo, co na południu wyspy - odezwał się brodaty naukowiec o zapadłych piwnych oczach. - Są ślady żelaza, cynku i niewielkich ilości ołowiu w skałach. Nie ma żadnego widocznego dowodu na to, że są tu rudy jakichkolwiek platynowców. Będziemy jednak musieli zbadać nasze próbki na statku, żeby definitywnie wykluczyć obecność rutenu.

- Widzieliście jakieś pozostałości kopalni? - zapytał Zak. Geolodzy popatrzyli na siebie i pokręcili głowami.

- Sto sześćdziesiąt lat temu Inuici prowadziliby wszelkie roboty górnicze bardzo prymitywnymi metodami - odparł kierownik zespołu. - Zauważylibyśmy ślady wydobywania minerałów. Nie ma tu takich deformacji powierzchni gruntu, chyba że gdzieś pod pokrywą lodową.

- Rozumiem - powiedział Zak bezbarwnym głosem. - W porządku, w takim razie wracamy na statek. Chcę jak najszybciej zobaczyć wyniki waszych badań.

Kiedy maszerowali po lodzie do punktu spotkania ze sternikiem pontonu, Zak nie mógł ochłonąć ze zdumienia. To nie miało sensu. Z rejestru transakcji wyraźnie wynikało, że ruten pochodził z tej wyspy. Czy to możliwe, żeby rudy było tak mało, że wydobyto całe złożę? Czy w rejestrze mogła pojawić się błędna informacja? A może to wszystko jest jakimś podstępem? Gdy Zak czekał na przybycie zodiaca, popatrzył na morze i nagle dostrzegł turkusowy statek badawczy płynący w kierunku wyspy.

Jego zdumienie zamieniło się we wściekłość.

Pitt i Giordino trzecią godzinę oglądali to, co zarejestrował sonar, gdy pojawił się wrak. Giordino odtwarzał nagranie na szybkim podglądzie, więc prawie skończyli pierwszy sektor. Od patrzenia na przesuwane się prędko obrazy dna morskiego bolały ich oczy, ale obaj aż podskoczyli na widok wraka. Giordino natychmiast włączył stop-klatkę.

Wyraźnie widoczny duży wrak spoczywał na dnie niemal pionowo, przechylony tylko pod lekkim kątem. Wyglądał na nietknięty, jedynie przez dziób bieгло poziome pęknięcie.

- To drewniany statek - zauważył Pitt i wskazał trzy wysokie, zwężające się ku górze maszty, które leżały w poprzek pokładu i sięgały dna morskiego obok wraka. - Ma tępy dziób, charakterystyczny dla moździerzowców, którymi początkowo miały być „Erebus” i „Terror”.

Giordino zmierzył kursorem długość wraka.

- Pasują ci trzydzieści dwa metry? - zapytał.

- Jak rękawiczka - odparł Pitt z uśmiechem znużenia. - To musi być jeden ze statków Franklina.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wkroczył Dahlgren z twardym dyskiem pod pachą.

- Drugi AUV jest już z powrotem na pokładzie, a tu macie, co zapisał - oznajmił i wręczył Giordinowi urządzenie. Zerknął na ekran i wybałuszył oczy. - O rany, już go znaleźliście. Fajnie wygląda - dodał, wskazując głową ostry obraz.

- Połowa pary - odrzekł Pitt.

- Zaczę przygotowywać łódź podwodną. Zanosi się na nurkowanie do dna.

Pitt i Giordino skończyli oglądać nagranie z pierwszego AUV-a i przejrzeni materiał z drugiego. Nie dostrzegli nic ciekawego. Drugi wrak musiał spoczywać poza dwoma pierwszymi, zbadanymi już sektorami. Pitt postanowił nie rozszerzać strefy poszukiwań, dopóki nie zidentyfikują zatopionego statku.

Określił współrzędne pozycji wraka i poszedł do sterowni. Zastał Stensetha na prawym skrzydle mostka. Kapitan przyglądał się czemuś z uwagą. Niecałe dwie mile morskie od nich lodołamacz „Otok” podążał na północ z barką na holu.

- Wypisz wymaluj, jedna z barek twojego przyjaciela Goyette'a - zauważył Stenseth.

- Przypadek? - zapytał Pitt.

- Możliwe - odrzekł kapitan. - Ma małe zanurzenie, więc jest pusta. Prawdopodobnie płynie na Wyspę Ellesmere'a po ładunek węgla, a potem skieruje się z powrotem przejściem do Chin.

Pitt obserwował przez chwilę zbliżający się konwój i podziwiał ogrom barki. Podeszedł do stołu nawigacyjnego i wziął zdjęcie jednostki Goyette'a budowanej w nowoorleańskiej stoczni, które dostał od Yaegera. Spojrzał na fotografię i stwierdził, że barka, która mija ich z prawej burty, jest niemal identyczna.

- Pasuje - powiedział.

- Myślisz, że zamelduj kanadyjskim władzom o naszej obecności?

- Wątpię. Możliwe, że są tutaj z tego samego powodu, co my.

Pitt nie spuszczał z oka lodołamacza, który przepływał obok nich w odległości ćwierć mili morskiej. Nie było przyjaznej pogawędki przez radio, tylko milczące kołysanie się w kilwaterze barki, gdy konwój mijał statek NUMA. Pitt przyglądał się lodołamaczowi, który trzymał kurs na północ.

Pomyślał, że Stenseth ma rację. Pusta barka w tych stronach musi płynąć po ładunek, a Wyspa Ellesmere'a leży na północ od nich. Ale w konwoju było coś niepokojącego. Pitt czuł, że spotkanie nie jest zwykłym zbiegiem okoliczności.

- Nazywa się „Narwhal”. Jest kanadyjski.

Zak wyrwał kapitanowi lornetkę. Przyglądając się statkowi badawczemu, odczytał jego nazwę namalowaną białymi literami na pawęży. Na pokładzie rufowym zobaczył żółtą łódź podwodną z napisem „NUMA” na kadłubie. Ku swemu rozczarowaniu zauważył flagę z liściem klonu powiewającą nad mostkiem.

- Śmiało posunięcie, panie Pitt - mruknął. - To nie jest kanadyjski statek, kapitanie, tylko amerykański. Należy do NUMA.

- Jak on się tu dostał?

- Najwyraźniej podstępem - odparł Zak. - Nie mam żadnych wątpliwości, że szukają rutenu. Durnie pewnie myślą, że jest pod wodą.

Patrzył, jak statek NUMA znika z pola widzenia.

- Niech pan trzyma kurs na północ, dopóki nie będziemy poza zasięgiem ich radaru. Zostaniemy w bezpiecznej odległości przez godzinę lub dwie, potem zawrócimy i podejmiemy do punktu, w którym zdołamy ich wykryć. Jeśli się ruszą, popłyniemy za nimi. - Zerknął na zegar w sterówce. - Wróć przed północą i powiem panu, co robimy dalej.

Zszedł do kajuty, żeby się zdrzemnąć. Ale nie mógł pogodzić się z porażką. Badania próbek skał pobranych na północnym brzegu wyspy wykazały brak rutenu, a teraz pojawił się w dodatku statek NUMA. Zak sięgnął po butelkę bourbona i napełnił szklankę, ale rozlał trochę, kiedy lodołamacz nagle się przechylił. Kilka kropli spadło na mapkę Inuitów, którą położył na nocnym stoliku. Chwytał ją i unosił, gdy alkohol spływał po kartce. Bourbon przedzielił wyspę jak brązowa rzeka i nadał jej wygląd dwóch oddzielnych wysp. Zak patrzył na mapkę przez dłuższą chwilę, potem wyjął szybko zdjęcie satelitarne archipelagu. Porównał oba kształty Wyspy Zachodniej i dopasował do siebie południowe i zachodnie wybrzeża, ale nie wschodnie, więc nałożył mapkę Inuitów na Wyspę Wschodnią na zdjęciu satelitarnym. Wschodnie wybrzeża pasowały idealnie, ale na tym podobieństwo się kończyło.

- Ty idioto - mruknął pod nosem. - Szukałeś w złym miejscu.

Wyjaśnienie miał jak na dłoni. Wąska droga wodna między wyspami Zachodnią a Wschodnią była najwyraźniej zamrznięta sto pięćdziesiąt lat temu. Mapka Inuitów w rzeczywistości przedstawiała obie wyspy, które zostały narysowane jako jedna masa lądu. To przekłamywało położenie źródła rutenu, przesuwało je o trzy kilometry dalej na wschód, niż ocenił.

Zak usiadł na koi, wypił szklankę bourbona i się położył. Wstąpiła w niego nadzieja. Nie wszystko stracone, kopalnia musi tam być. Jest na pewno. Zadowolony, skupił się na pilniejszej sprawie. Uznał, że najpierw trzeba się zastanowić, co zrobić z Pittem i statkiem NUMA.

Silny zachodni wiatr w końcu osłabł i fale zmalowały. Pojawiła się mgła, częsta w tym regionie wiosną i latem. Termometr pokazywał wreszcie jednocyfrową temperaturę poniżej zera i załoga statku żartowała, że jest prawie upał.

Pitt cieszył się, że pogoda pozwala na zwodowanie „Bloodhonda” bez ryzyka. Wszedł przez właz do łodzi podwodnej, usadowił się na siedzeniu pilota i zaczął sprawdzać wskaźniki zasilania. Na sąsiednim fotelu Giordino robił według instrukcji kontrolę przedzanurzeniową. Obaj byli tylko w cienkich swetrach i trzęśli się z zimna, ale wiedzieli, że niedługo będzie im za gorąco, bo kabina nagrzeje się od ciepła wydzielanego przez urządzenia elektryczne.

Pitt spojrzał w górę, kiedy do środka zajrzał Jack Dahlgren z miną pokerzysty.

- Pamiętajcie, chłopaki, że akumulatory szybciej wysiadają w lodowatej wodzie. Przywieźcie mi dzwon okrętowy, to może zostawię dla was zapalone światła.

- Lepiej tak zrób, to może nie wywalę cię z roboty - odciął się Giordino. Dahlgren się uśmiechnął i zaczął nucić standard Merle’a Haggarda Okiefrom Muskogee, potem zamknął i uszczelnił właz. Kilka minut później, manipulując sterownikami małego żurawia, uniósł łódź podwodną z pokładu i opuścił ją na środek jasno oświetlonego basenu zanurzeniowego statku. Pitt dał sygnał i żółty „Bloodhound” w kształcie cygara zaczął opadać wolno na dno.

Trzystumetrowa podróż w dół trwała prawie piętnaście minut. Szarozielona woda za dużym bulajem łodzi szybko stała się czarna, ale Pitt włączył baterię mocnych reflektorów dopiero na głębokości dwustu czterdziestu metrów.

Giordino zatarł ręce w wolno nagzewającej się kabinie i spojrzał na Pitta z udawanym cierpieniem na twarzy.

- Mówiłem ci, że mam alergię na zimno? - zapytał.

- Co najmniej tysiąc razy.

- Gęsta włoska krew mojej mamy po prostu źle krąży w tym otoczeniu przypominającym wnętrze zamrażarki.

- Powiedziałbym, że twoje złe krążenie ma więcej wspólnego z twoim upodobaniem do cygar i pizzy pepperoni niż z twoją matką.

Giordino spojrzał na niego z wdzięcznością, wyjął z kieszeni niedopałek grubego krótkiego cygara i wetknął między zęby. Potem wziął wydruk sonarowego obrazu wraka i rozpostarł na kolanach.

- Jaki jest plan ataku po dotarciu na miejsce?

- Chodzi nam o trzy rzeczy - odrzekł Pitt, który już wcześniej wszystko zaplanował. - Po pierwsze, co jest najbardziej oczywiste, musimy spróbować zidentyfikować statek. Wiemy, że „Erebus” odegrał jakąś rolę przy rutenie zdobytym przez Inuitów. Nie wiemy, czy „Terror” również. Jeśli ten wrak to „Terror”, to na jego pokładzie może nie być żadnych wskazówek. Po drugie, trzeba

sprawdzić w ładowni, czy pozostały tam jakieś znaczące ilości minerału. Po trzecie, musimy poszukać w kajucie kapitańskiej i mesie dziennika okrętowego, który może już nie istnieć.

- Słusznie - zgodził się Giordino. - Dziennik okrętowy „Erebusa” byłby świętym Graalem. Na pewno dowiedzielibyśmy się z niego, gdzie znaleziono ruten. Choć jest nikła nadzieja, że przetrwał nienaruszony.

- Fakt, ale nie jest to niemożliwe. Był prawdopodobnie oprawiony w grubą skórę i trzymany w kufrze lub schowku. Istnieje szansa, że w zimnych wodach zachował się w jednym kawałku. Wtedy konserwatorzy mogliby określić, czy uda się uratować i odczytać treść.

Giordino spojrział na głębokościomierz.

- Zbliżamy się do dwustu dziewięćdziesięciu metrów.

- Ustawiam neutralną pływalność - odrzekł Pitt i wyregulował napełnienie zbiornika balastowego. Prędkość opadania zmalała do tempa pełzania, gdy przekroczyli trzysta metrów, i kilka minut później ukazało się pod nimi płaskie, skaliste dno morskie. Pitt włączył napęd i poprowadził łódź naprzód kilkadziesiąt centymetrów nad dnem.

Na pobrużdżonej brunatnej powierzchni właściwie nie istniało życie, zimny i pusty podwodny świat nie różnił się zbyt wiele od pobliskich zamrożonych łądów wyłaniających się z morza. Pitt płynął szerokimi zakosami pod prąd. Choć „Narwhal” zajmował pozycję dokładnie nad wrakiem, Pitt wiedział, że podczas opadania dryfowali i oddalili się znacznie na południe.

Giordino pierwszy zauważył wrak i wskazał ciemny kształt na prawo od nich. Pitt skręcił ostro w tamtą stronę i w blasku reflektorów ukazał się zatopiony statek.

Dziewiętnastowieczny drewniany żaglowiec przed nimi był jednym z najbardziej niezwykłych wraków, jakie Pitt kiedykolwiek widział. W lodowatych wodach Arktyki statek zachował się niemal w idealnym stanie. Pokryty cienką warstwą mułu wydawał się nietknięty, od bukszprytu do płetwy sterowej. Tylko maszty, które zsunęły się z pokładu w czasie długiej drogi na dno, leżały nie na miejscu i wystawały za reling burtowy.

Uwięziony w odludnym punkcie wiecznego zakotwiczenia stary żaglowiec otaczała atmosfera osamotnienia. Pittowi kojarzył się z grobem na pustym cmentarzu. Poczł dziwny chłód na myśl o ludziach, którzy żeglowali tym statkiem, a potem zostali zmuszeni do opuszczenia swojego pływającego domu, gdzie spędzili trzy lata.

Okrążył wolno wrak ciasnym łukiem, Giordino włączył kamerę wideo w dziobie łodzi podwodnej. Kadłub żaglowca wyglądał na zdrowy, przez cienką warstwę mułu prześwitywała czarna farba pokrywająca drewno. Kiedy płynęli wokół rufy, Giordino zdziwił się na widok łopat śruby wystających z piasku.

- Mieli napęd parowy? - zapytał.

- Jako uzupełnienie żagli - przytaknął Pitt. - Używali go, kiedy docierali do paku. Oba statki były wyposażone w silniki parowozowe na węgiel, żeby mogły się przebić przez cieńszy lód. Kotły parowe ogrzewały też wnętrze statku.

- Nic dziwnego, że Franklin był pewien, iż pokona Cieśninę Wiktorii późnym latem.

- Mogli mieć za mało węgla. Niektórzy uważają, że im go zabrakło i dlatego statki utknęły w lodzie.

Pitt poprowadził łódź podwodną wzdłuż lewej burty żaglowca w nadziei, że znajdzie na dziobie jego nazwę. Ale ku swemu rozczarowaniu zobaczył tylko jedyne uszkodzenie statku. Kadłub pod dziobem został zgnieciony przez napierający lód i zniszczenia sięgnęły górnego pokładu. Gdy

osłabiona część uderzyła w dno morza, tępy dziób złożył się jak akordeon. Pitt czekał cierpliwie w zawisie po obu stronach dziobu, aż Giordino usunie muł przegubowym ramieniem manipulatora, ale nie ukazał się żaden napis identyfikujący statek.

- Nie zamierza nam ulec - mruknął Pitt.

- Jak wiele kobiet, z którymi się umawiam. - Giordino się skrzywił. - Chyba jednak będziemy musieli poszukać tego dzwonu dla Dahlgrena.

Pitt wznosił łódź podwodną nad pokład i skręcił ku rufie. Na pokładzie nic się nie poniewierało, statek był najwyraźniej przygotowany do zimowego postoju, kiedy go opuszczono. Jediną niezwykłą rzeczą było duże brezentowe zadaszanie w śródokręciu. Pitt wiedział ze źródeł historycznych, że takie niby - namioty na statkach służyły zimą załogom do ćwiczeń fizycznych na powietrzu.

Dotarł do rufy, gdzie zobaczył stanowisko sternika z dużym drewnianym kołem sterowym, wciąż stojącym pionowo i połączonym ze sterem. Obok wisiał mały dzwon, ale po dokładnych oględzinach okazało się, że nie ma na nim żadnych oznaczeń.

- Wiem, gdzie jest dzwon okrętowy - powiedział i popłynął z powrotem w stronę zmiażdżonego dziobu. Zawisnął łodzią podwodną nad roztrzaskaną częścią kadłuba i wskazał w dół. - W tym śmietniku.

Giordino skinął głową.

- Na pewno. To nie nasz dzień. Albo noc. - Spojrzał na tablicę przyrządów przed sobą. - Akumulatory wystarczą nam na niecałe cztery godziny. Wolisz tu pogrzebać i poszukać dzwonu, czy zajrzeć do środka?

- Weźmy rovera na spacer. To pobojuwisko ma jedną zaletę. Ułatwia nam dostęp do wraka.

Pitt ustawił się nad pustym kawałkiem pokładu i ostrożnie posadził łódź. Drewno wytrzymało jej ciężar, więc wyłączył napęd.

Na fotelu drugiego pilota Giordino przygotowywał ROV-a. Zdalnie sterowany przewodowo pojazd podwodny wielkości małej walizki tkwił między płozami „Bloodhonda”. Wyposażony w mikrokamerę wideo i małe reflektory, mieścił się w najciaśniej szych zakamarkach wraków.

Manipulując dżojstikiem, Giordino wyprowadził rovera z kołyski w kierunku odkrytej części pokładu. Pitt opuścił monitor pod sufitem, który pokazywał obraz z kamery małego pojazdu podwodnego. Giordino omijał ROV-em przeszkody i znalazł w końcu duży otwór w pokładzie, przez który skierował urządzenie do środka statku.

Pitt rozwinął rysunek przedstawiający przekrój „Erebusa” w rzucie aksonometrycznym i próbował śledzić trasę ROV-a pod głównym pokładem. Wnętrze żaglowca miało dwa poziomy i ładownię poniżej linii wodnej, gdzie mieściły się silnik, kocioł i zapas węgla. Kwatery i mesy oficerów oraz załogi były ulokowane na pierwszym poziomie pod głównym pokładem, drugi poziom służył wyłącznie za magazyn prowiantu, narzędzi i części zamiennych.

- Powinieneś zanurkować przy kambuzie - zauważył Pitt. - Sąsiaduje z kwaterami załogi, które zajmują duży przedział.

Giordino sprowadził rovera w dół. Kiedy ukazał się pokład, skręcił i zrobił panoramiczne ujęcie pomieszczenia. Stojąca woda wewnątrz statku była przezroczysta i zapewniała doskonałą widoczność. Pitt i Giordino zobaczyli niespełna półtora metra od ROV-a wielki piec kuchenny w kambuzie, ustawiony na warstwie cegieł. Masywna żeliwna kuchnia miała sześć dużych palników, na płycie do gotowania stało kilka czarnych żelaznych garnków różnej wielkości.

- Raz kambuz, zgodnie z zamówieniem - powiedział Giordino.

Skierował ROV-a ku rufie, skręcając wolno wlewo i w prawo. Cienkie przegrody otaczające kiedyś kambuz leżały na pokładzie i odsłaniały otwarte kwatery załogi. Pokład w niemal pustej przestrzeni pokrywały równo ułożone drewniane płyty.

- Stoły do jedzenia - wyjaśnił Pitt, kiedy kamera rovera zrobiła zbliżenie jednego z blatów. - Wisiały w górze, żeby było miejsce na hamaki, ale opuszczano je w porze posiłków. Spadły na pokład, kiedy liny sparciwały.

ROV płynął ku rufie przez zwężający się przedział z szeroką przegrodą na końcu.

- Tam będzie główny właz - tłumaczył Pitt. - Trzymaj kurs. Powinniśmy dotrzeć do drabiny prowadzącej na niższy poziom. Zasłaniali zejście, żeby nie wiało z dołu, ale miejmy nadzieję, że ochrona się urwała, kiedy statek zatonął.

Giordino ominął roverem luk i nagle zatrzymał pojazd. Pochylił go i kamera pokazała duży okrągły otwór w pokładzie.

- Nie ma włazu - powiedział.

- Możemy opaść niżej przez ten przelot - zaproponował Pitt. Przez otwór przechodził kiedyś jeden z trzech masztów, który sięgał aż do ładowni. Kiedy żaglowiec poszedł na dno i maszty się oderwały, otworzyły drogę w głąb statku.

ROV precyzyjnie przeszedł przez przelot i oświetlił dolny pokład. Przez następny kwadrans Giordino metodycznie sprawdzał roverem wszystkie zakamarki w poszukiwaniu śladów rudy. Ale znaleźli tylko dużo narzędzi, broni i żagli, których już nigdy nie miał wydać wiatr. Wrócili do otworu po maszcie i zapuścili się do ładowni niżej, gdzie zobaczyli jedynie resztkę węgla obok masywnego kotła parowego. Giordino zaczął wyprowadzać ROV-a z powrotem do góry, gdy odezwało się radio łodzi podwodnej.

- „Narwhal” do „Bloodhonda”, słyszycie mnie? - rozległ się głos Jacka Dahlgrena.

- Tu „Bloodhound”. Mów, Jack - odpowiedział Pitt.

- Kapitan chciał, żebym was zawiadomił, że nasz przyjaciel z barką na holu znów się pojawił na ekranie radaru. Wygląda na to, że tkwi nieruchomo jakieś dziesięć mil morskich na północ od nas.

- Przyjąłem. Informuj nas na bieżąco.

- Macie to załatwione. Jak tam na dole, chłopaki? Szczęście wam dopisuje?

- Jasna sprawa, ale wszystko jest nie tak. Wypuściliśmy rovera na smyczy i wybieramy się właśnie do kajuty kapitańskiej.

- Co z akumulatorami?

Pitt spojrzał na wskaźniki w górze.

- Wystarczą jeszcze na półtorej godziny zanurzenia i pewnie tyle tu zostaniemy.

- Dobra. Będziemy was wypatrywali na powierzchni za niecałe dwie. „Narwhal”, bez odbioru.

Pitt wpatrzył się w ciemną pustkę przed łodzią podwodną i pomyślał o lodołamaczu w okolicy. Obserwują „Narwhala”? Przeczucie mówiło mu, że tak. Nie byłoby to jego pierwsze spotkanie z ludźmi Mitchella Goyette’a. A co z Clayem Zakiem? Czy to możliwe, żeby cyngiel Goyette’a był na pokładzie lodołamacza?

- Gotowy do wycieczki na rufę? - Giordino przerwał jego rozmyślenia.

- Zegar tyka - odrzekł cicho Pitt. - Do roboty.

Gęsta, lodowata mgła spowiła „Otoka”, gdy nad Cieśniną Wiktorii zapadł zmierzch. „Narwhal” dawno zniknął z pola widzenia. Zak poszukał statku badawczego na wyświetlaczu radaru i odnalazł go jako wąską smugę u góry ekranu. Na mostku lodołamacza jego kapitan spacerował tam i z powrotem, coraz bardziej znudzony kilkugodzinnym postojem. Ale nie widział ani śladu znudzenia na twarzy Zaka. Wręcz przeciwnie, dostrzegał na niej dziwne skupienie. Podobnie jak tuż przed dokonaniem zabójstwa, Zak był w pełni skoncentrowany, maksymalnie czujny. Uśmiercił już wielu ludzi, ale jeszcze nigdy nie zrobił tego na dużą skalę. Uważał to za sprawdzian przebiegłości, czuł niezwykle podekscytowanie. Dawało mu świadomość niezwykłości, tym bardziej że dotąd zawsze był górą.

- Niech pan podejdzie do „Narwhala” na odległość czterech mil morskich - polecił kapitanowi. - Tylko wolno i ostrożnie.

Kapitan stanął za sterem i skierował lodołamacz z barką na holu na południe. Płynąc z szybkim prądem, utrzymywał obroty silników tuż powyżej biegu jałowego i pokonał dystans w niecałą godzinę. Po dotarciu na wyznaczone miejsce obrócił statek dziobem pod prąd, by utrzymać go w jednej pozycji.

- Cztery mile morskie, stoimy w miejscu - zameldował Zakowi. Zak z zadowoloną miną wpatrzył się w ponurą ciemność za oknem sterówki.

- Niech się pan przygotuje do odczepienia barki na mój rozkaz - polecił.

Kapitan spojrzał na niego jak na wariata.

- Co pan powiedział?

- Słyszał pan. Odczepiamy barcę.

- Kosztowała dziesięć milionów dolarów. W tej mgłę i przy takim prądzie nie ma mowy, żeby ponownie udało się nam umocować ją na holu. Rozpruje sobie kadłub o lód albo wpadnie na brzeg którejś z wysp. Tak czy owak, pan Goyette urwie mi głowę.

- Nie odpłynie daleko - stwierdził Zak z lekkim uśmiechem. - A co do Goyette'a, to niech pan sobie przypomni list z jego podpisem, który dałem panu w Kugluktuk. Jest tam napisane, że ja rządę na tym statku. Może mi pan wierzyć, że Goyette uzna stratę barki za niską cenę za zlikwidowanie problemu, który mógłby go kosztować setki milionów dolarów. Poza tym - dodał z chytrą miną - barka jest ubezpieczona, prawda?

Kapitan niechętnie kazał swojej załodze zająć stanowiska na rufie przy linach holowniczych. Marynarze czekali na zimnie, gdy Zak zbiegł do swojej kabiny i wrócił na mostek ze skórzaną torbą na ramię. Na jego polecenie kapitan cofnął „Otoka” ku barce i grube liny holownicze opadły luźno do wody. Marynarze zwolnili blokadę, dźwignęli pętle na końcach lin i zdjęli je z pachołków na rufie. Patrzyli ponuro, jak liny zsuwają się z pokładu przez kluzę holowniczą i znikają w czarnej wodzie.

Kiedy na mostek dotarł meldunek o zakończeniu operacji, kapitan przesunął lodołamacz nieco do przodu, potem na rozkaz Zaka zawrócił i podpłynął do sterburty barki. Jej ciemny kształt był ledwo

widoczny w gęstniejącej mgle. Zak sięgnął do torby, wyjął nadajnik radiowy wysokiej częstotliwości i wyszedł na skrzydło mostka. Wysunął małą antenę, włączył zasilanie urządzenia i natychmiast wcisnął czerwony przycisk.

Sygnal radiowy miał do przebycia niewielką odległość, by uruchomić zapalnik na rufie barki. Niecałą sekundę później ładunek dynamitu eksplodował.

Wybuch nie był głośny ani widowiskowy. Rozległ się odgłos podobny do wystrzału, który wypełnił echem wnętrze barki, i z jej pokładu rufowego uniosło się trochę dymu. Zak przyglądał się temu przez krótką chwilę, potem wrócił do ciepłej sterówki i schował nadajnik do torby.

- Nie podoba mi się, że będę miał na rękach krew tamtych ludzi - burknął kapitan.

- Ależ przecież to nieprawda. Zatoniecie barki to zwykły wypadek. Kapitan popatrzył na Zaka z przerażeniem.

- To bardzo proste - wyjaśnił Zak. - Napisze pan w dzienniku okrętowym i zgłosi władzom w porcie, że amerykański statek badawczy zderzył się we mgle z naszą barką i obie jednostki poszły na dno. My oczywiście mieliśmy wielkie szczęście, bo udało nam się błyskawicznie odczepić hol i nie ucierpieliśmy. Niestety, nie znaleźliśmy w wodzie żadnych rozbitków ze statku NUMA.

- Ale on nie zatonął - zaprotestował kapitan.

- To się niedługo zmieni - warknął Zak.

W tym samym czasie trzysta metrów pod powierzchnią morza Pitt i Giordino przeżywali godzinę ogromnego stresu. ROV prowadzony przez Giordina wzdłuż dolnego pokładu ku rufie nagle się zatrzymał i nie chciał ruszyć dalej. Kiedy Giordino wycofał go śladem przewodu zasilającego, okazało się, że kabel zahaczył o jakąś przeszkodę w kambuzie. Sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdy pędniki rovera wzbiły wielką chmurę mułu wokół miejsca, gdzie ugrzązł przewód. Giordino musiał odczekać dziesięć minut, żeby widoczność powróciła i mógł uwolnić kabel.

W kabinie łodzi podwodnej zrobiło się gorąco i pot spływał Giordinowi po twarzy, kiedy w napięciu prowadził ROV-a z powrotem przez kwatery załogi i główny korytarz w kierunku rufy żaglowca.

- Gdzie jest bar na tej łajbie? - mruknął. - Rover i ja chętnie napilibyśmy się zimnego piwa.

- Musiałbyś się włamać do magazynu rumu pod pokładem. Ale jeśli to jest „Erebus”, mógłbyś mieć pecha, bo Franklin był abstynentem.

- To przesądza sprawę - odrzekł Giordino. - Nie potrzebuję więcej dowodów. Mój dotychczasowy pech potwierdza, że to musi być „Erebus”.

Choć czasu do wynurzenia pozostawało coraz mniej, żaden z nich nie chciał się poddać. Parli roverem naprzód, przebyli pojedynczy korytarz w części rufowej, minęli ciasne kwatery oficerskie i w końcu dotarli do dużego przedziału na rufie statku. Przestrzeń nazywana „wielką kabiną” ciągnęła się od burty do burty i była jedynym naprawdę wygodnym pomieszczeniem dla marynarzy, przynajmniej dla oficerów. Mieli tutaj bibliotekę, szachy, karty do gry i inne rozrywki. Tu mógł być także przechowywany dziennik okrętowy. Ale podobnie jak reszta statku, wielka kabina nie zdradzała jego nazwy.

Stos książek do wysokości kolan leżał rozrzucony po pokładzie i dookoła przewróconego stołu. Tomy ustawione na szerokich półkach roztrzaskały szyby szafek, gdy statek szedł na dno i rozsypały się po całym pomieszczeniu. Giordino pływał wolno ROV-em tam i z powrotem i oglądał bałagan w salonie.

- Przypomina bibliotekę w San Francisco po silnym trzęsieniu ziemi - zauważył.

- W tej czytelni było tysiąc dwieście książek - odrzekł Pitt, patrząc z niesmakiem na pobojuwisko. - Jeśli dziennik okrętowy jest tutaj, to trzeba będzie poświęcić kilka tygodni i mieć dużo szczęścia, żeby go odnaleźć.

Ich biadolenia przerwał następny meldunek radiowy Dahlgrena.

- Przepraszam, że przeszkadzam wam w zabawie, ale duża wskazówka na zegarze pokazuje, że już czas, żebyście zaczęli wynurzenie.

- Niedługo ruszymy w drogę - odparł Pitt.

- W porządku. Kapitan prosił, żebyśmy wam przekazał, że cień zbliżył się do nas na odległość czterech mil morskich i znów znieruchomiał. Myślę, chłopaki, że kapitan poczułby się dużo lepiej, gdybyście wrócili na pokład.

- Zrozumiałem. „Bloodhound”, bez odbioru.

Giordino spojrział na Pitta i dostrzegł wyraz niepokoju w jego zielonych oczach.

- Myślisz, że twój kumpel ze spółdzielni górniczej jest na pokładzie lodołamacza?

- Zaczynam się nad tym zastanawiać.

- Zajrzyjmy do kajuty kapitańskiej i wynośmy się stąd.

Kajuta mieściła się za mesą oficerską i nic nie wskazywało na to, by mógł się tu znajdować dziennik okrętowy. Ale małe przesuwne drzwi do niej były zamknięte i uderzenia ROV-em nie zdołały ich otworzyć. Energii elektrycznej w akumulatorach pozostało na niecałą godzinę, a na wynurzenie potrzebowali dwudziestu minut, więc Pitt zarządził odwrót i polecił Giordinowi ściągnąć rovera z powrotem.

Giordino poprowadził ROV-a do kambuza i dalej do otworu wejściowego w dziobie, kabel zasilający nawijał się na bęben. Pitt uruchomił pędniki łodzi podwodnej, wpatrzył się przez bulaj w głowicę elektroniczną „Bloodhonda” i czekał na ROV-a.

- Jak się spisał detektor minerałów? - zapytał, wskazując głowicę.

- Wydaje się działać bez zarzutu - odpowiedział Giordino ze wzrokiem utkwionym w monitorze pod sufitem, który pokazywał wracającego rovera. - Nie określimy jego dokładności, dopóki nie zbadamy próbek w centrali.

Pitt włączył detektor i przyjrzał się danym na wyświetlaczu. Nie zaskoczyła go duża koncentracja żelaza, ale zastanowiła obecność śladowych ilości miedzi i cynku. Co do żelaza, wszystko się zgadzało. Na statku było go pełno, od kotwic i łańcuchów kotwicznych bezpośrednio pod nimi do silnika parowozu w ładowni. Ale uwagę Pitta zwrócił jeden z pozostałych pierwiastków. Czekaając, aż ROV wydostanie się z dolnego pokładu, uniósł łódź podwodną, ruszył wolno naprzód i przystanął nad zmiążdżonym dziobem żaglowca. Jednym okiem cały czas śledził odczyty z sensora.

- Może gdybyś znalazł złoto na tej łajbie, ta żalosna wyprawa okazałaby się warta zachodu - odezwał się Giordino.

Pitt przesunął „Bloodhonda” nad zniszczoną częścią statku i skoncentrował się na miejscu blisko osi podłużnej kadłuba. Wypróbował wytrzymałość pokładu i znów posadził łódź podwodną. Giordino wybrał luźny kabel ROV-a i przygotowywał się do opuszczenia pojazdu na kołyskę.

- Zaczekaj - powiedział Pitt. - Widzisz tę złamaną pionową belkę jakieś trzy metry przed nami?

- Widzę.

- Przy jej podstawie jest jakiś przedmiot pokryty mułem, trochę na prawo od niej. Spróbuj go oczyścić pędnikami ROV-a.

Giordino ustawił pojazd na pozycji w ciągu kilku sekund. Wyłączył zasilanie i czekał, aż rover opadnie na niewielki stos szczątków pokrytych mułem. Gdy ROV osiadł na stercie, Giordino włączył pełną moc małych pędników. Pojazd wystrzelił naprzód i wzbiał gęstą chmurę mułu. Stały prąd przydenny, który opływał wrak, szybko oczyścił mętłą wodę. Obaj mężczyźni zobaczyli leżący wśród szczątków wygięty przedmiot o złocistym połysku.

- Moje sztabki złota - zażartował Giordino.

- Chyba coś lepszego - odrzekł Pitt. Nie czekając, aż Giordino przeprowadzi ROV-a nad przedmiotem, ruszył łodzią podwodną naprzód, żeby się lepiej przyjrzeć temu, co znaleźli. Kiedy popatrzyli w dół przez bulaj, rozpoznali kształt dużego dzwonu.

- Jasny gwint, jak go wypatrzyłeś w tym bałaganie?

- „Bloodhound” go wywęszył. Zauważyłem na monitorze obecność małej ilości miedzi i cynku i

przypomniałem sobie, że to dwa składniki mosiądzu. Domyśliłem się, że to albo knaga, albo dzwon okrętowy.

Na dzwonie widniał wygrawerowany napis, którego nie mogli odczytać. W końcu Pitt cofnął łódź podwodną, żeby zrobić zbliżenie kamerą ROV-a.

Dzwon był pokryty mułem i skorupiakami, ale na powiększonym obrazie rozróżnili dwie litery: ER.

- Część słowa „Erebus” - odetchnął Giordino z ulgą.

- Oczyszczyć go jeszcze - polecił Pitt.

Kiedy Giordino manewrował roverem, Pitt sprawdził zapas energii elektrycznej w akumulatorach. Pozostało jej na pół godziny. Mieli mało czasu.

Pędniki ROV-a znów wzbily wielką brunatną chmurę cząsteczek mułu. Pittowi wydawało się, że minęły godziny, zanim woda stała się przejrzysta, choć w rzeczywistości upłynęło zaledwie kilka sekund. Giordino natychmiast skierował mały pojazd nad dzwon i czekali, aż prąd morski porwie muł. Obserwowali na monitorze, jak powoli odsłania się cały napis.

Wygrawerowane litery tworzyły słowo „Terror”.

Po trzech dniach uwięzienia w lodowatej ciemności ludzi na barce ogarnął nowy rodzaj strachu. Roman kazał oszczędnie używać wypalających się latarek, więc większość czasu mężczyźni spędzali bez światła. Początkowe gniew i determinacja, by uciec, ustąpiły miejsca desperacji. Więźniowie w ciemnej ładowni trzymali się w zbitej grupie, żeby nie dostać hipotermii. Wstąpiła w nich nadzieja, gdy barka przybiła do nabrzeża i na krótko otwarto właz. Okazało się, że to tylko inspekcja, ale uzbrojeni strażnicy dali więźniom trochę jedzenia i koce, zanim pośpiesznie się wycofali. Roman uznał to za dobry znak. Rozumował, że nie dostaliby jedzenia, gdyby mieli zginąć.

Ale teraz nie był tego taki pewien. Kiedy Bojorquez obudził go, żeby zameldować, że odgłos silników lodołamacza się zmienił, zaczął podejrzewać, że dotarli do celu. Potem jednak rytmiczne szarpnięcia lin holowniczych nagle ustały, ale kołysanie na wzburzonym morzu trwało. Roman wyczuł, że zostali odczepieni i dryfują.

Chwilę później eksplodowały ładunki wybuchowe podłożone przez Zaka. Huk zabrzmiał w pustych ładowniach barki jak grzmot w butelce. Komandosi i załoga „Polar Dawna” natychmiast zerwali się na nogi, nie wiedząc, co się stało.

- Kapitanie Murdock! - zawołał Roman i włączył latarkę. Kapitan, wymęczony brakiem snu, dowlóknął się do niego.

- Co to mogło być? - zapytał cicho Roman.

- Coś na rufie. Może pójdziemy zobaczyć.

Roman się zgodził. Potem zauważył niepokój na twarzach mężczyzn w pobliżu i krzyknął do Bojorqueza:

- Sierzancie, weźcie się znowu do tego włazu! Chciałbym wpuścić tu trochę świeżego powietrza przed śniadaniem.

Po chwili krępy podoficer zaczął walić małym młotkiem w zaryglowany właz. Dowódca miał nadzieję, że hałas zagłuszy odgłos dochodzący z rufy i odwróci uwagę mężczyzn od tego, co tam się dzieje.

Poprowadził Murdocka do otwartego przejścia w kierunku rufy i oświetlił próg. Stalowa drabinka biegła prosto w czarną otchłań poniżej.

- Pan pierwszy, kapitanie - powiedział szorstko Murdock.

Roman włożył latarkę między zęby, chwycił się górnego szczebla i zaczął ostrożnie schodzić. Choć nie miał lęku wysokości, czuł się nieswojo, gdy wsuwał się do czarnej dziury o nieznaną mu głębokości wewnątrz rozkołysanej barki.

Drabinka wydawała się nie mieć końca, ale po przebyciu dwunastu metrów w dół dotarł na dno pierwszej ładowni towarowej. Tuż za nim pojawił się Murdock z latarką skierowaną na dolny stopień. Twardy siwobrody mężczyzna nieco po sześćdziesiątce nawet się nie zasapał.

Murdock ruszył pierwszy przez ładownię i spłoszył dwa szczury, które przetrwały mimo przenikliwego zimna.

- Nie chciałem tego mówić przy ludziach, ale dla mnie to brzmiało jak eksplozja na pokładzie - przyznał.

- Dla mnie też - potwierdził Roman. - Myśli pan, że chcą nas zatopić?

- Niedługo się dowiemy.

Znaleźli następną stalową drabinę na przeciwległej grodzi i wspięli się do krótkiego przejścia prowadzącego do drugiej ładowni. Powtórzyli to jeszcze dwa razy w drodze przez dwie kolejne ładownie. Gdy wychodzili po szczeblach z trzeciej, usłyszeli daleki chłopot wody. Po dotarciu do ostatniego przejścia Roman oświetlił latarką czwartą ładownię.

W przeciwległym rogu zobaczyli strużkę wody spływającą po grodzi do rosnącej kałuży poniżej. Wybuch nie zrobił dziury w burcie, ale wygiął wiele płyt kadłuba i woda dostawała się do środka jak przez szerokie sito. Murdock obejrzał uszkodzenie i pokręcił głową.

- Nie naprawimy tego - stwierdził. - Nawet gdybyśmy mieli odpowiednie materiały, nic byśmy nie działali. Jest za dużo nieszczelności.

- Przeciek nie wygląda na groźny - odparł Roman, szukając jakiejś nadziei.

- Powiększy się. Choć znajduje się powyżej linii wodnej, to fale są wysokie. Kiedy ładownia zostanie zalana, rufa zanurzy się głębiej i barka szybko nabierze wody.

- Ale możemy zamknąć właz w grodzi i odciąć tę ładownię od reszty. To nas nie uratuje? - zapytał Roman.

Murdock wzniósł rękę ku górze. Grodz kończyła się trzy metry nad ich głowami, gdzie zaczynały się wysokie podpory pokładu nad nimi.

- Ładownie nie są wodoszczelne - wyjaśnił. - Kiedy woda wypełni czwartą ładownię, zacznie się przelewać do trzeciej i dalej aż do dziobu.

- Ile wody wytrzyma barka?

- Ponieważ jest pusta, powinna się utrzymać na powierzchni z dwiema zalanymi ładowniami. Przy małych falach może nawet z trzema. Ale kiedy woda dotrze do pierwszej ładowni, będzie po wszystkim.

Obawiając się odpowiedzi, Roman zapytał, ile czasu im zostało.

- Mogę tylko zgadywać - odrzekł cicho Murdock. - Ale myślę, że najwyżej dwie godziny.

Roman skierował słaby promień światła latarki na strużkę wody, a potem powoli w dół grodzi. Na dnie ładowni zalśniła rosnąca czarna kałuża, zwiastun nadchodzącej śmierci.

Gdy dostrzegli pierwsze oznaki przechyłu barki na rufę, Zak kazał kapitanowi „Otoka” odpłynąć. Tonący czarny kształt zniknął wkrótce we mgle, jego agonii nie towarzyszyli świadkowie. Zak szybko odwrócił się plecami do barki i jej czekających na śmierć pasażerów.

- Niech pan weźmie kurs na statek NUMA - polecił. - I zgasi światła nawigacyjne.

Kapitan skinął głową, ustawił ster w linii z namierzoną pozycją statku badawczego i stopniowo zwiększył prędkość lodołamacza do dziesięciu węzłów. Światła „Narwhala” były niewidoczne we mgle, więc pościg odbywał się na podstawie wskazań radaru. Statek badawczy wciąż tkwił nieruchomo, toteż lodołamacz szybko zmniejszał dzielący je dystans.

- Kapitanie, kiedy będziemy półtorej mili morskiej od nich, proszę dać pełną moc. Miniemy ich dziób w odległości pół mili, żeby myśleli, że kierujemy się do brzegu, potem zawrócimy i uderzymy w ich śródkręcie.

- Mam ich staranować? - zapytał kapitan z niedowierzaniem. - Wszyscy zginiemy.

- Nie sądzę - odparł Zak. - Jak pan doskonale wie, „Otok” ma stalowy dziób o grubości półtora metra i wzmocniony podwójny kadłub. Przebiłby łatwo tamę Hoovera. Jeśli uniknie pan kolizji z wytrzymałym dziobem „Narwhala”, to przejdziemy przez statek jak nóż przez masło.

Chcąc nie chcąc, kapitan spojrział na Zaka z szacunkiem.

- Dobrze pan zna mój statek - burknął. - Mam tylko nadzieję, że pan Goyette potrafi pokryć koszty jego remontu w suchym doku z pańskiej wypłaty, nie z mojej.

Zak zarechotał.

- Jak dobrze to rozegramy, kapitanie, osobiście kupię panu w prezencie flotyllę lodołamaczy.

Choć morze ginęło w ciemnej nocy i mgle, Bill Stenseth uważnie śledził każdy ruch lodołamacza. Pod nieobecność operatora radaru, którego wraz z wieloma innymi marynarzami wysadzono na ląd w Tuktoyaktuk, Stenseth został sam przy monitorze. Stał się czujny, gdy zobaczył, że kształt na wyświetlaczu podzielił się na dwie części. Domyślił się, że barkę odczepiono od holownika i zaczął z uwagą obserwować oba punkty.

Kiedy lodołamacz, który był na kursie przechwytyjącym, zmniejszył dzielący ich dystans do trzech mil, zaniepokojony Stenseth sięgnął do radia morskiego VHF.

- Niezidentyfikowana jednostka pływająca na pozycji 69 29 55 północ, 100 14 03 zachód, kierująca się na południe, tu statek badawczy „Narwhal”. Prowadzimy w tej chwili poszukiwania podwodne. Proszę zachować odległość jednej mili morskiej, odbiór.

Powtórzył wezwanie, ale nie dostał odpowiedzi.

- Kiedy ma się wynurzyć „Bloodhound”? - zapytał sternika.

- W ostatnim meldunku Dahlgren przekazał, że są jeszcze przy wraku, więc pojawią się najwcześniej za dwadzieścia minut.

Stenseth nie odrywał wzroku od ekranu radaru i zauważył, że lodołamacz, oddalony teraz o dwie mile morskie, zwiększa stopniowo prędkość. Wyglądało na to, że zmienia lekko kurs, jakby chciał

minąć dziób „Narwhala” z prawej burty. Cokolwiek zamierzali, Stenseth im nie ufał.

- Jedna trzecia naprzód - rozkazał sternikowi. - Kierunek trzysta stopni.

Dobrze wiedział, że niebezpieczeństwo kolizji w gęstej mgłę to jeden z najgorszych koszmarów marynarza. Odtwarzając w wyobraźni, jak „Stockholm” uderza w „Andreę Dorię”, skierował swój statek na północny zachód, żeby uniknąć podobnej katastrofy. Z pewną ulgą zobaczył, że lodołamacz utrzymuje kurs na południowy wschód i kąt między ich trasami wzrasta. Ale tylko przez moment wydawało się, że dwa statki miną się bezpiecznie.

Kiedy dzielił je dystans mili, lodołamacz nagle przyspieszył i prawie dwukrotnie zwiększył szybkość. Napędzany dwoma potężnymi silnikami turbogazowymi, by móc holować rząd ciężkich barek, miał ogromną moc. Bez obciążenia zmieniał się w charta i rozwijał prędkość ponad trzydziestu węzłów. Na rozkaz Zaka pruł teraz fale z maksymalnym otwarciem przepustnicy.

Stenseth szybko się zorientował, że lodołamacz płynie w szybszym tempie.

Kapitan utrzymywał kurs „Narwhala”, dopóki radar nie pokazał, że holownik skręca ostro na zachód.

- Cała naprzód! - rozkazał ze wzrokiem utkwionym w ekran radaru.

Przeraził się, gdy lodołamacz skierował się ciasnym łukiem w stronę jego statku. Nie miał już żadnych wątpliwości co do zamiarów holownika. Tamten najwyraźniej chciał staranować „Narwhala”.

Rozkaz Stensetha, żeby przyspieszyć, uniemożliwił Zakowi atak zniecacka. Ale nadal mieli przewagę prędkości, nawet jeśli nie powiodł się zamysł zaskoczenia. „Otok” znalazł się w odległości ćwierć mili morskiej, zanim statek badawczy zdołał się rozpędzić do dwudziestu węzłów. Stenseth wyjrzał przez tylne okno sterowni, ale nie mógł nic dostrzec w ciemnej mgłę.

- Szybko nas dogania - poinformował sternik, obserwując na wyświetlaczu radaru, jak punkt oznaczający lodołamacza zbliża się do środka ekranu. Stenseth usiadł i ustawił monitor na odczyty co sto metrów.

- Pozwolimy mu podejść na sto metrów. Wtedy dasz mocno w prawo na wschód. Wzdłuż wybrzeża Wyspy Króla Williama jest jeszcze mnóstwo lodu. Jeśli uda nam się dopłynąć wystarczająco blisko, to może znikniemy im z radaru na jego tle.

Spojrzał na rozłożoną mapę. Od wyspy dzieliło ich ponad piętnaście mil morskich. O wiele za dużo, pomyślał, ale miał bardzo ograniczone pole działania. Gdyby zdołali uciec jeszcze trochę dalej, może tamci zrezygnowaliby z pościgu. Wstał i wpatrzył się w ekran radaru. Kiedy lodołamacz był już blisko, dał sternikowi znak.

Ciężki statek badawczy zadrżał i zaskrzypiał, gdy ster znalazł się w skrajnym położeniu i zmienił jego kurs. Trwała zabójcza zabawa w ciuciubabkę. Na wyświetlaczu radaru lodołamacz zdawał się stapiać z „Narwhalem”, ale nadal był niewidoczny. Płynął swoim kursem na zachód prawie minutę, zanim wykrył unik statku badawczego i zrobił ostry zwrot na wschód.

Dzięki manewrowi Stenseth zyskał cenne sekundy na zwiększenie prędkości. Przez ten czas załoga została zaalarmowana i wezwana na pokład. Ale lodołamacz wkrótce znów zbliżył się do ich rufy.

- Teraz mocno w lewo - rozkazał Stenseth, kiedy „Otok” ponownie zmniejszył dystans do stu metrów.

Tym razem lodołamacz spodziewał się uniku, ale w przeciwną stronę, więc odbił na sterburtę. Jednak zaraz znów podjął pościg, gdy Stenseth próbował zbliżyć się do Wyspy Króla Williama. Szybszy statek prędko dogonił „Narwhala” i zmusił go do następnego manewru. Skręcili w lewo, ale tym razem Zak odgadł ich zamiary.

Niczym głodny rekin atakujący z głębin ciemnego morza, „Otok” wyłonił się nagle z mgły i jego zabójczy dziób wbił się w burtę „Narwhala”. Miażdżące uderzenie nastąpiło tuż za basenem zanurzeniowym, stalowy klin wszedł w kadłub na głębokość pięciu metrów. „Narwhal” przechylił się mocno na burtę i omal nie runął. Wielki rozbryzg lodowatej wody zalał pokład, kiedy statek starał się wrócić do pionu.

Kolizji towarzyszyło mnóstwo odgłosów mechanicznej agonii - stal zgrzytała o stal, pękały przewody hydrauliczne, rozrywały się płyty kadłuba, implodowały generatory. Gdy zniszczenia osiągnęły apogeum, zapadła dziwna chwila ciszy, potem hałas przemocy zastąpił bulgot śmierci.

Lodołamacz wysunął się wolno z ziejącej rany i oderwał część rufy „Narwhala”, kiedy się cofał. Jego ostry dziób spłaszczył się, ale poza tym holownik nie ucierpiał, podwójny kadłub nawet się nie wgiął. „Otok” stał przez chwilę na miejscu katastrofy, gdy Zak i jego załoga podziwiali swoje dzieło. Potem statek-zabójca zniknął w ciemności nocy jak upiorna zjawia.

„Narwhal” był bliski zatonięcia. Maszynownia została zalana niemal natychmiast i obciążona rufa momentalnie osiadła. Dwie z grodzi otaczających basen zanurzeniowy uległy zmiażdżeniu i woda wdzierała się na dolne pokłady. Choć „Narwhala” przystosowano do kruszenia lodu o grubości prawie dwóch metrów, nie zabezpieczono go przed miażdżącym uderzeniem w burtę. W ciągu kilku minut statek do połowy pogrążył się w morzu.

Na mostku Stenseth podniósł się z pokładu pograżonego w ciemności. Stracili główny system zasilania, zapasowy generator w śródkręciu też nie działał po kolizji. Cały statek był czarny jak mglista noc wokół niego.

Sternik wyprzedził Stensetha w drodze do schowka z tyłu sterowni i szybko wyjął latarkę.

- Nic się panu nie stało, panie kapitanie? - zapytał, omiatając snopem światła mostek, dopóki nie zobaczył potężnej postaci Stensetha.

- Jestem cały, w przeciwieństwie do statku - odrzekł kapitan i pomasaował bolące ramię. - Policzmy załogę. Obawiam się, że musimy się ewakuować.

Obaj włożyli parki i zeszli na główny pokład, który przechylił się mocno ku rufie. Weszli do kambuza, gdzie paliły się dwie lampy akumulatorowe. Większość marynarzy czekała już w ciepłych ubraniach, wszyscy mieli strach w oczach. Niski mężczyzna z twarzą buldoga podszedł do Stensetha i sternika.

- Panie kapitanie, maszynownia jest całkowicie zalana i oderwała się część rufy. Woda wdziera się do ładowni dziobowej i nic nie można zrobić - zameldował główny mechanik „Narwhala”.

Stenseth skinął głową.

- Są ranni?

Inżynier wskazał skrzywionego mężczyznę z lewą ręką na prowizorycznym temblaku.

- Kucharz złamał rękę, kiedy upadł w czasie kolizji. Poza nim nikt nie ucierpiał.

- Kogo nie ma? - zapytał kapitan, gdy szybko policzył obecnych i wyszło mu, że dwóch osób brakuje.

- Dahlgrena i Rogersa, naszego elektryka. Próbują zwodować tender.

Stenseth odwrócił się przodem do załogi.

- Musimy niestety opuścić statek. Wszyscy na pokład, już! Jeśli nie uda nam się wsiąść do tendera, weźmiemy jedną z tratw ratunkowych na lewej burcie. Idziemy, szybko.

Wyprowadził ludzi z kambuza i przystanął na chwilę, gdy zauważył, że woda podchodzi już do podstawy nadbudowy. Przyspieszył kroku i wy dostał się na zimny pokład dziobowy, gdzie ledwo utrzymał równowagę pochyłej powierzchni. Zobaczył przez pokład błyski światła i dwóch mężczyzn, którzy kręcili korbą ręcznej wciągarki. Nad nimi kołysał się w powietrzu czterometrowy drewniany skif, ale duży przechył statku uniemożliwiał opuszczenie rufy łodzi za reling. Jeden z mężczyzn klął szpetnie z teksańskim akcentem.

Stenseth podbiegł i z kilkoma marynarzami dźwignął skif i przeniósł nad burtą. Dahlgren przestawił dźwignię wciągarki i szybko zwodował łódź. Stenseth chwycił cumę dziobową i przeciągnął skif pięć metrów ku rufie do krawędzi wody na pokładzie. Załoga przeszła szybko przez reling statku i zajęła miejsca w łodzi.

Stenseth doliczył się ponad dwunastu ludzi, wszedł za rannym kucharzem do ciasnego tendera jako ostatni i usiadł blisko rufy. Znow zerwał się lekki wiatr i rozwiewał gdzieś mgłę, ale jednocześnie bardziej burzył rozfalowane morze. Łódź szybko oddryfowała od tonącego „Narwhala”.

Ledwo oddalili się o kilka metrów, dziób turkusowego statku uniósł się wysoko, pokonując siłę grawitacji. „Narwhal” wydał odgłos podobny do jęku, pograżył się z bulgotaniem powietrza w czarnej toni i zniknął z powierzchni.

Stensetha ogarnął gniew, ale kiedy spojrzał na załogę, poczuł ulgę. Chyba tylko cud sprawił, że nikt nie zginął w katastrofie i wszyscy opuścili bezpiecznie statek. Kapitan wzdrygnął się na myśl o tym, ile byłoby ofiar, gdyby Pitt nie wysadził większości marynarzy i naukowców na ląd w Tuktoyaktuk.

- Zapomniałem tych cholernych skał.

Stenseth odwrócił się do mężczyzny obok niego i mimo ciemności rozpoznał, że to Dahlgren siedzący przy rumplu.

- Z otworu termalnego - ciągnął Teksaniec. - Rudi zostawił je na mostku.

- Ciesz się, że wyszedłeś cało z kolizji - odparł Stenseth. - Dobra robota z tym tenderem.

- Nie uśmiechała mi się żegluga przez Arktykę w gumowym pontonie - odrzekł Dahlgren i dodał ściszym głosem: - Tamci faceci idą na całość, no nie?

- Obawiam się, że nie cofną się przed niczym, żeby zdobyć ruten - odpowiedział Stenseth i wyciągnął szyję, aby sprawdzić, czy nie widać lodolamacza. Ciche dudnienie w oddali wskazywało, że statku nie ma w pobliżu.

- Panie kapitanie, na południowo-wschodnim krańcu Wyspy Króla Williama jest mała osada o nazwie Gjóa Haven - obwieścił sternik z innego rzędu. - To trochę ponad sto mil morskich stąd. Z map wynika, że to niestety najbliższe cywilizowane miejsce.

- Powinno nam wystarczyć paliwa na dopłynięcie do wyspy. Dalej będziemy musieli iść pieszo - odparł Stenseth. Odwrócił się znow do Dahlgrena i zapytał: - Zawiadomiłeś Pitta?

- Powiedziałem im, że odpływamy znad wraka, ale padło zasilanie i nie zdążyłem ich uprzedzić, że nie wrócimy. - Dahlgren spróbował zobaczyć na zegarku, która jest godzina. - Niedługo powinni się wynurzyć.

- Możemy się tylko domyślać, gdzie. Obawiam się, że znalezienie ich w tej mgłę będzie prawie niemożliwe. Spróbujemy przepłynąć przez tamten rejon, potem będziemy musieli skierować się do

brzegu i poszukać pomocy. Nie wolno nam ryzykować pozostania daleko od lądu, bo wiatr może przybrać na sile.

Dahlgren przytaknął z ponurą miną. Pomyślał, że Pitt i Giordino nie są w gorszej sytuacji niż oni. Odpalił silnik tendera, skierował łódź na południe i zagłębił się w ciemną mgłę.

Pitt i Giordino unosili się nad dzwonem okrętowym, gdy dostali od Dahlgrena krótką wiadomość, że „Narwhal” opuszcza swoją pozycję. Zajęci odczytywaniem inskrypcji na dzwonie nie zareagowali na informację.

Odkrycie, że wrak jest „Terrorem”, przyniosło Pittowi pewną ulgę, bo mimo braku rutenu na pokładzie była jeszcze nadzieja. Ruda Inuitów musiała pochodzić z „Erebusa” i być może to tamten statek skrywał tajemnicę poszukiwanego minerału. Pozostawało pytanie, gdzie skończył „Erebus”. Wiadomo było, że oba statki opuszczono jednocześnie, więc należało przypuszczać, że zatoneły blisko siebie. Pitt był przekonany, że rozszerzenie strefy poszukiwań AUV-ami doprowadzi do odnalezienia „Erebusa”.

- „Bloodhound” do „Narwhala”, zaczynamy się wznosić - nadał Giordino przez radio. - Jaki jest wasz status?

- W tej chwili jesteśmy w ruchu. Staram się dowiedzieć szczegółów na mostku. Dam wam znać.

Dahlgren więcej się nie odezwał. Ale po dłuższym pobycie na dnie bardziej ich obchodziło to, czy wystarczy im energii elektrycznej na dotarcie na powierzchnię. Pitt wyłączył światła zewnętrzne i czujniki, żeby nie obciążać akumulatorów, Giordino zrobił to samo z niepotrzebnymi komputerami wewnątrz. Kiedy łódź podwodną spowiła ciemność i zaczęli sunąć do góry, Giordino usiadł wygodnie, skrzyżował ręce na piersi i zamknął oczy.

- Obudź mnie, gdy przyjdzie czas, żeby wpuścić tu trochę świeżego mroźnego powietrza - mruknął.

- Dopilnuję, żeby Jack przygotował ci kaptcie i gazety.

Pitt znów popatrzył uważnie na wskaźniki naładowania akumulatorów. Mieli w rezerwie mnóstwo energii elektrycznej do zasilania systemu podtrzymywania życia i pomp balastowych, ale niewiele ponadto. Wyłączył niechętnie napęd „Bloodhonda”, wiedząc, że podczas wznoszenia się napotkają silne prądy morskie. O wypłynięciu w basenie zanurzeniowym „Narwhala” mogli zapomnieć - będą prawdopodobnie milę morską lub dwie od statku, kiedy przebiją powierzchnię. I to pod warunkiem że „Narwhal” wróci na swoją pozycję.

Pitt wyłączył jeszcze kilka urządzeń elektrycznych i wpatrzył się w czarną pustkę za bulajem. Nagle z głośnika radia dobiegł krzyk:

- „Bloodhound”, zostaliśmy...

Wiadomość urwała się w pół zdania i zapadła cisza. Giordino pochylił się do przodu w swoim fotelu, żeby odpowiedzieć, zanim otworzył oczy. Ale jego próby skontaktowania się z „Narwhalem” spełzły na niczym.

- Może jest zanik sygnału w termoklinie - podsunął.

- Albo stracili łączność z transponderem, kiedy zaczęli szybko płynąć - odrzekł Pitt.

Rozważali ewentualne przyczyny, żeby uspokoić samych siebie, że „Narwhal” nie jest w tarapatach. Giordino wywoływał statek przez radio co kilka minut, ale bez skutku. Nie mogli nic

zrobić.

Pitt spojrział na głębokościomierz i zastanowił się, czy łódź podwodna nie jest przypadkiem przywiązana do dna morza. Od chwili, gdy odebrali przerwana wiadomość, szybkość ich wznoszenia się spadła do tempa pełzania, a przynajmniej tak mu się zdawało. Starał się nie patrzeć na wskaźnik, wiedząc, że im dłużej go obserwuje, tym wolniej zmieniają się odczyty. Oparł się wygodnie, zamknął oczy i spróbował odgadnąć, jakie problemy może mieć „Narwhal”. Giordino nieruchomo tkwił przy radiu.

Pitt otworzył oczy i zobaczył, że są na głębokości tuż powyżej trzydziestu metrów. Kilka minut później wystrzelili na powierzchnię wśród pęcherzy powietrza i piany. Dirk włączył reflektory, których blask odbił się od mgły wokół. Radio nadal milczało, gdy kołysali się na wysokich falach.

Samotni na zimnym i pustym morzu, Pitt i Giordino wiedzieli, że stało się najgorsze. „Narwhala” już nie ma.

- Co to znaczy, oddział ratunkowy zniknął?

Gniewny głos prezydenta odbił się echem od ścian Pokoju Sytuacyjnego na dolnym poziomie Zachodniego Skrzydła Białego Domu. Pułkownik wojsk lądowych, wybrany przez generałów z Pentagonu na kozła ofiarnego, odpowiedział spokojnym, monotonnym głosem:

- Panie prezydencie, komandosi nie pojawili się w miejscu ewakuacji o wyznaczonym czasie. Drużyna pilnująca lądowiska nie dostała od oddziału szturmowego żadnego meldunku o jakichkolwiek problemach i odleciała sama zgodnie z planem.

Prezydent zmiażdżył wzrokiem sekretarza obrony.

- Przewidywano operację o niskim ryzyku i dziewięćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwie sukcesu.

W sali zapadła cisza, nikt nie chciał się narazić prezydentowi.

Dwa miejsca od prezydenta siedział wiceprezydent Sandecker. Trochę bawiło go to dochodzenie. Kiedy na wezwanie doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego przyszedł na to nadzwyczajne posiedzenie, zaskoczyła go obecność pięciu generałów towarzyszących sekretarzowi obrony. Wiedział, że to zły znak. Nie przepadał za sekretarzem, bo uważał go za człowieka o ciasnym umyśle, który ma zbyt duże skłonności do rozwiązań siłowych. Ale z powodu kryzysu szybko odsunął na bok osobiste uprzedzenia.

- Pułkowniku, niech pan nam powie wszystko, co wie - zwrócił się do oficera, żeby złagodzić gniew prezydenta.

Pułkownik szczegółowo opisał zaplanowaną operację i przeprowadzone rozpoznanie wywiadowcze.

- Niezrozumiałe jest to, że są przesłanki mówiące o powodzeniu akcji i uwolnieniu internowanych. Z przechwyconych meldunków radiowych kanadyjskich sił w Tuktoyaktuk wynika, że nastąpił atak na kompleks, gdzie więziono załogę „Polar Dawna” i marynarze uciekli. Nie natrafiliśmy na żadne sygnały o ich ponownym zatrzymaniu.

- A jeśli oddział Sił Specjalnych po prostu się spóźnił? - zapytał Sandecker. - W Arktyce noce są teraz krótkie. Może komandosi musieli się gdzieś ukryć na jakiś czas w drodze powrotnej na lądowisko.

Pułkownik pokręcił głową.

- Zaledwie parę godzin temu pod osłoną ciemności wysłaliśmy samolot na miejsce ewakuacji. Wylądował na krótko, ale nikogo tam nie było, a wezwania radiowe pozostały bez odpowiedzi.

- Nie mogli rozpląnąć się w powietrzu - burknął prezydent.

- Przeanalizowaliśmy zdjęcia z satelitów zwiadowczych, ruch w eterze i informacje od lokalnych kontaktów na ziemi. I nic - oznajmiła Julie Moss, doradczyni prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Jedyne wnioski, jakie się nasuwają, jest taki, że zostali złapani i przeniesieni w nowe miejsce. Mogą być z powrotem na „Polar Dawnie” albo wywieziono ich samolotem z tamtego rejonu.

- Jaka była oficjalna reakcja Kanadyjczyków na nasze żądanie uwolnienia kutra i jego załogi? - spytał Sandecker.

- Nie było żadnej - odparła Moss. - Zignorowali nas. Nie raczyli odpowiedzieć kanałami dyplomatycznymi, natomiast ich premier i parlamentarzyści nadal wygłaszają niedorzeczne twierdzenia o amerykańskim imperializmie niczym przywódcy jakiejś republiki bananowej.

- Nie ograniczają się do słów - wtrącił sekretarz obrony. - Postawili swoje siły zbrojne w stan pogotowia i zamknęły porty.

- Zgadza się - przytaknęła Moss. - Kanadyjska Straż Przybrzeżna zaczęła zawracać wszystkie amerykańskie statki zbliżające się do Vancouver i Quebecu, jak również barki zdążające do Toronto. Spodziewamy się, że za dzień lub dwa zamkną czasowo przejścia graniczne.

- To się wymyka spod kontroli - stwierdził prezydent.

- Jest jeszcze gorzej. Dostaliśmy wiadomość, że na razie nie będą eksportowali do nas gazu ziemnego z Cieśniny Melville'a, na który czekamy. Mamy powód przypuszczać, że gaz będzie trafiał do Chin, choć nie wiemy, czy tak zdecydował rząd, czy eksploatator złóż.

Prezydent zapadł się w fotel z wyrazem przygnębienia na twarzy.

- To zagraża naszej przyszłości - powiedział cicho.

- Panie prezydencie - odezwał się sekretarz obrony - z całym należnym szacunkiem, kanadyjski rząd wini nas bezpodstawnie za zniszczenie stacji arktycznej i kutra patrolowego. Bezprawnie zajęli okręt Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych na wodach międzynarodowych i traktują załogę jak jeńców wojennych. To samo jest z oddziałem Delta Force, choć wygląda na to, że nasi komandosi i marynarze mogli zginąć. W dodatku grożą nam szantażem energetycznym. Dyplomacja zawiodła, panie prezydencie. Czas na inną opcję.

- Jeszcze nie stoimy u progu konfrontacji militarnej - zauważył cierpko Sandecker.

- Może masz rację, Jim, ale zagrożone jest życie ludzi - odparł prezydent. - Trzeba przedstawić premierowi Kanady formalne żądanie uwolnienia naszych marynarzy i oddziału ratunkowego w ciągu dwudziestu czterech godzin. Zróbcie to prywatnie, żeby ten wielbiciel mediów mógł zachować twarz. Zwrot okrętu możemy negocjować później, ale chcę, żeby ludzie zostali wypuszczeni natychmiast. I żeby dostarczano nam gaz.

- Jak zareagujemy, jeśli się nie zgodzą? - zapytała Moss.

- Panie prezydencie - wtrącił się znów sekretarz obrony - przygotowaliśmy kilka wariantów pierwszego uderzenia z ograniczonym zaangażowaniem.

- Co to znaczy, z ograniczonym zaangażowaniem? - rzekł prezydent. Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się, wszedł cicho pracownik Białego Domu i wręczył kartkę Sandeckerowi.

- Ograniczone zaangażowanie - wyjaśnił sekretarz obrony - polegałoby na użyciu minimum środków potrzebnych do unieszkodliwienia dużej części kanadyjskich sił morskich i powietrznych w wyniku precyzyjnych ataków.

Prezydent poczerwieniał.

- Nie chodzi mi o wywołanie wojny, tylko o załatwienie z nimi sprawy.

Sekretarz obrony szybko się wycofał.

- Mamy też plany uderzeń na pojedyncze cele - odrzekł cicho. Prezydent odwrócił się do Sandeckera.

- Co o tym myślisz, Jim?

Wiceprezydent zrobił ponurą minę, gdy skończył czytać wiadomość. Uniósł kartkę.

- Właśnie dostałem informację od Rudiego Gunna z NUMA, że ich statek badawczy „Narwhal” zaginął w Przejściu Północno - Zachodnim w rejonie Wyspy Wiktorii. Przepuszczalnie został zajęty lub zatopiony z całą załogą, łącznie z dyrektorem NUMA Dirkiem Pittem.

Na twarzy sekretarza obrony pojawił się wilczy uśmiech, gdy patrzył przez stół na Sandeckera.

- Wygląda na to - powiedział znacząco - że nagle stanęliśmy u tego twojego progu.

Stany Zjednoczone dokonały co najmniej pół tuzina zbrojnych napaści na Kanadę. Najbardziej krwawa inwazja miała miejsce w czasie rewolucji amerykańskiej, kiedy generał Richard Montgomery wymaszerował z fortu Ticonderoga na północ i zajął Montreal, a potem ruszył na Quebec. Dołączyły do niego siły pod dowództwem Benedicta Arnolda, które wkroczyły do Kanady z Maine. Po natarciu na Quebec 31 grudnia 1775 roku Amerykanie przez moment utrzymywali miasto, zanim zostali wyparci przez Brytyjczyków po zażartej bitwie. Brak zaopatrzenia i posiłków oraz śmierć Montgomery'ego w walce zmusiły Amerykanów do wycofania się z Kanady.

Kiedy podczas wojny 1812 roku znów rozgorzała wrogość, Amerykanie ponawiali ataki na Brytyjczyków w Kanadzie. Większość zakończyła się porażką. Największy sukces odnieśli w roku 1813, gdy zajęli Toronto (wówczas York) i doszczętnie spalili budynki parlamentu. Zwycięstwo odbiło się na Stanach Zjednoczonych rok później, kiedy Brytyjczycy pomaszerowali na Waszyngton. Rozwścieczeni wcześniejszym aktem wandalizmu odwzięczyli się tym samym, podkładając ogień pod gmachy użyteczności publicznej w amerykańskiej stolicy.

Po uzyskaniu niepodległości w 1783 roku Stany Zjednoczone szybko nawiązały z Kanadą przyjazne stosunki sąsiedzkie i oba kraje stały się sojusznikami. Ale nieufność nigdy całkowicie nie zniknęła. W latach dwudziestych XX wieku amerykański Departament Wojny opracował strategiczne plany inwazji na Kanadę jako części hipotetycznej wojny ze Zjednoczonym Królestwem. „Plan Wojenny Czerwony”, jak go nazwano, przewidywał ofensywę lądową w celu zajęcia Winnipeg i Quebecu oraz natarcie z morza na Halifax. Kanadyjczycy nie zostali w tyle i stworzyli „Program Obronny Numer 1”, strategię przeciwdziałania amerykańskiej agresji. Zakładano przeprowadzenie zaskakujących ataków na Albany, Minneapolis, Seattle i Great Falls w Montanie, by dać Brytyjczykom czas na przysłanie posiłków.

Od tamtej pory świat bardzo się zmienił. Wielka Brytania nie chroniła już Kanady i potęga militarna Stanów Zjednoczonych powodowała zakłócenie równowagi sił. Choć zniknięcie „Narwhala” rozgniewało prezydenta, nie usprawiedliwiało inwazji. Przynajmniej na razie. Poza tym przygotowanie ofensywy lądowej trwałoby tygodnie, gdyby sprawy zaszły tak daleko, a prezydent chciał zareagować szybko i zdecydowanie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Na wypadek odmowy zwolnienia więźniów zaplanowano proste, ale destrukcyjne działania. Amerykańskie okręty wojenne zablokują Vancouver na zachodzie i Rzekę Świętego Wawrzyńca na wschodzie, by sparaliżować kanadyjski handel zagraniczny. Najpierw uderzą niewidzialne dla radarów bombowce, które zniszczą bazy kanadyjskich myśliwców w Cold Lake w Albercie i w Bagotville w Quebecu. Oddziały Sił Specjalnych będą w pogotowiu, żeby opanować główne kanadyjskie hydroelektrownie, gdyby zaistniało niebezpieczeństwo przerwania dostaw prądu do Stanów Zjednoczonych. Później zostaną przejęte złoża gazu w Cieśninie Melville'a.

Sekretarz obrony i jego generałowie przekonywali, że Kanadyjczycy niewiele będą mogli zrobić w odpowiedzi. Pod groźbą ciągłych ataków powietrznych będą musieli wypuścić zatrzymanych i

zgodzić się na bezwarunkowe otwarcie Przejścia Północno-Zachodniego. Ale wszyscy byli zgodni, że do tego nie dojdzie. Kanadyjczycy zostaną uprzedzeni o konsekwencjach, jeśli nie dotrzymają dwudziestoczerogodzinnego terminu. Ustąpią, nie będą mieli innego wyjścia.

Tylko żadnemu z pentagońskich jastrzębi nie przyszło do głowy, że kanadyjski rząd może nie wiedzieć, co się stało z załogą „Polar Dawna”.

Uwięziona w tonącej żelaznej trumnie załoga „Polar Dawna” dałaby wiele za następne dwadzieścia cztery godziny. Ale miała w perspektywie zaledwie minuty życia.

Przewidywania Murdocka jak dotąd się sprawdzały. Czwarta ładownia barki została stopniowo zalana i woda przedostała się do trzeciego przedziału. Gdy obciążona rufa zanurzyła się głębiej, wody przybywało szybciej. W małym dziobowym przedziale magazynowym pokład pochyłał się złowieszczo pod nogami mężczyzn, szum wody narastał.

Jeden z komandosów Romana pojawił się w otwartym włazie prowadzącym ku rufie. Dyszał ciężko po wspinaczce na szczyt drabinki.

- Panie kapitanie - wysapał, omiatając światłem latarki ładownię, dopóki nie zobaczył dowódcy - woda wlewa się już do drugiej ładowni.

- Dziękuję, kapralu - odrzekł Roman. - Usiądźcie i odpocznijcie. Nie ma potrzeby robić dalszego rozpoznania.

Odszukał Murdocka i odciągnął go na bok.

- Jak barka zacznie schodzić pod powierzchnię, to pokrywy luków odskoczą? - zapytał szeptem.

Murdock pokręcił głową, potem zrobił niezdecydowaną minę.

- Na pewno zanurzy się wcześniej, niż woda zaleje pierwszą ładownię. W środku pozostanie powietrze i ciśnienie będzie rosło wraz z opadaniem. W końcu prawdopodobnie wysadzi właz, ale możemy być sto pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią, zanim to nastąpi.

- To zawsze jakaś szansa - odrzekł cicho Roman.

- A co potem? - spytał Murdock. - Nikt nie wytrzyma dziesięciu minut w tym morzu. - Pokręcił głową z irytacją i dodał: - Dobra, niech pan da ludziom nadzieję. Powiem panu, kiedy się zorientuję, że łajba zaczyna iść na dno. Wtedy zbierze pan wszystkich na drabince. Przynajmniej będą mieli się czego trzymać w drodze ku wiecznemu potępieniu.

Przy włazie wejściowym Bojorquez przysłuchiwał się rozmowie, później wrócił do walenia w zablokowaną dźwignię. Już wiedział, że to daremny trud. Małym młotkiem nie mógł nic zdziałać. Po wielu godzinach atakowania hartowanej stali powstała na niej tylko mała szczyrba. Musiałyby minąć następne godziny, jeśli nie dni, żeby mechanizm ryglujący ustąpił.

Między uderzeniami sierżant spojrzał na swoich towarzyszy. Stali w grupie, zmarznięci, głodni i przybici, wielu patrzyło na niego z desperacką nadzieją. O dziwo, nie było widać paniki. Uwięzieni mężczyźni nie odczuwali już żadnych emocji i apatycznie pogodzili się z losem.

Tender „Narwhala” był niebezpiecznie przeciążony. W dwunastoosobowej łodzi czternastu mężczyzn, którzy opuścili statek, zmieściło się bez trudu, ale dodatkowy balast zmienił jej zachowanie na wzburzonym morzu. Przy uderzających w burty dużych falach wkrótce wokół nóg pasażerów pojawiła się lodowata woda.

Stenseth przejął rumpel po długotrwałym uruchamianiu zamrożonego silnika. Mieli dwa czterdziestolitrowe kanistry benzyny, dość, by dopłynąć do Wyspy Króla Williama. Ale Stenseth i tak się niepokoił, wiedząc, że będą musieli pójść w ślady nieszczęsnej ekspedycji Franklina i maszerować, jeśli zamierzają dotrzeć do Gjóa Haven.

Z obawą, że łódź zostanie zalana, prowadził ją wolno przez grzywiaste fale. Gęsta mgła nadal wisiała nad wodą, ale dostrzegął w niej słaby blask, zwiastun, że krótka arktyczna noc dobiega końca. Dotrzymał słowa i nie wziął kursu na wschód prosto ku Wyspie Króla Williama, lecz skierował się na poszukiwania Pitta i Giordina. Zdawał sobie sprawę, że przy niemal zerowej widoczności są małe szanse na zlokalizowanie „Bloodhunda”. Co gorsza, w tenderze nie było odbiornika GPS. Polegając na kompasie, który przekłamywał z powodu bliskości północnego bieguna magnetycznego, Stenseth zawrócił na pozycję wraka żaglowca.

Sternik ocenił, że lodołamacz staranował ich jakieś sześć mil morskich na północny zachód od tamtego miejsca. Domyślając się kierunku i szybkości prądu oraz prędkości jednostki, Stenseth płynął na południowy wschód przez dwadzieścia minut, po czym wyłączył silnik. Dahlgren i inni nawoływali Pitta we mgle, ale w odpowiedzi słyszeli tylko uderzenia fal o kadłub łodzi.

Stenseth ponownie uruchomił silnik, ruszył dalej na południowy wschód i po dziesięciu minutach znów wyłączył napęd. Nawoływania pozostały bez odpowiedzi. Kapitan popłynął naprzód i jeszcze raz się zatrzymał. Kiedy poszukiwania nic nie dały, zwrócił się do załogi:

- Nie możemy ryzykować, że zabraknie nam paliwa. Najlepsze wyjście to wziąć kurs na wschód, dotrzeć do Wyspy Króla Williama i spróbować znaleźć pomoc. Kiedy pogoda się poprawi, łatwo będzie odszukać „Bloodhunda”. I powiem wam, że Pittowi i Giordinowi jest pewnie o wiele wygodniej w łodzi podwodnej niż nam tutaj.

Marynarze potakująco pokiwali głowami. Mieli wielki szacunek dla Pitta i Giordina, ale ich własna sytuacja obchodziła ich bardziej. Skierowali się na wschód i płynęli, dopóki silnik zaburtowy nie zgasł po zużyciu pierwszego kanistra benzyny. Stenseth przełożył przewody paliwowe do drugiego i już miał odpalić silnik, gdy sternik krzyknął:

- Niech pan zaczeka!

Kapitan odwrócił się do mężczyzny, który siedział obok niego.

- Chyba coś słyszałem - powiedział marynarz, tym razem szeptem.

Na łodzi zapadła śmiertelna cisza, każdy wstrzymywał oddech i wyteżał słuch. Minęło kilka sekund, zanim wszyscy usłyszeli w oddali słaby dźwięk, który przypominał bicie dzwonu.

- To Pitt i Giordino! - krzyknął Dahlgren. - Na pewno. Wystukują SOS na kadłubie

„Bloodhonda”.

Stenseth spojrział na niego sceptycznie. Uważał, że Dahlgren się myli. Odpłynęli za daleko od ostatniej znanej pozycji łodzi podwodnej. Ale kto inny mógłby wysłać sygnały w ciemności arktycznej nocy?

Kapitan uruchomił silnik i zaczął zataczać tenderem coraz szersze kręgi, zamykając co jakiś czas przepustnicę, żeby spróbować określić, skąd dochodzi odgłos. W końcu zlokalizował go na wschodzie i skręcił w tamtą stronę. Płynął wolno, ale niecierpliwie w obawie, że stukanie ucichnie, zanim zdąży ustalić pochodzenie źródła dźwięku. Mgła wciąż była gęsta, światło świtu nie mogło się przez nią przebić. Wiedzieli, że choć są blisko, mogą bardzo łatwo zgubić łódź podwodną, jeśli odgłos umilknie.

Na szczęście wciąż rozbrzmiewał. Uderzenia stały się głośniejsze, słyhać je było nawet przez warkot silnika zaburtowego. Stenseth zmienił kurs lekkim ruchem rumpla i podążył w kierunku dźwięku, dopóki hałas nie stał się wyraźny. Sunąc na ślepo przez ciemną mgłę, cofnął nagle przepustnicę, kiedy wyrósł przed nim wielki czarny kształt.

Barka wydawała się mniejsza niż wtedy, gdy Stenseth widział ją ostatni raz na holu za lodołamaczem. Po chwili zrozumiał, dlaczego. Tonęła rufą w dół, była już zanurzona prawie do połowy długości. Dziób celował w niebo i widok przypominał ostatnie chwile „Narwhala”. Będąc niedawno świadkiem zatonięcia swojego statku, Stenseth wiedział, że barka pójdzie na dno w ciągu minut, jeśli nie sekund.

Odkrycie rozczarowało kapitana i jego załogę. Mieli nadzieję, że znajdą Pitta i Giordina. Ale uczucie zawodu szybko przerodziło się w przerażenie, gdy uświadomili sobie, że barka zaraz zniknie pod powierzchnią morza.

A ze środka dochodziło stukanie.

Dahlgren oświetlił latarką odsłonięty pokład barki w poszukiwaniu wejścia, ale zobaczył tylko grodzie przed ładownią dziobową.

- Podpłyn od strony sterburty - poprosił Stensetha.

Kapitan okrążył tenderem zadarty dziób barki i zwolnił przy ładowni dziobowej. Miarowe metaliczne stuki stały się nagle wyraźnie głośniejsze.

- Tam! - wykrzyknął Dahlgren, gdy natrafił snopem światła na włącz do przedziału przy burcie. Wokół dźwigni ryglującej biegł łańcuch przymocowany do słupka relingu.

Stenseth bez słowa poprowadził tender wzdłuż barki aż do miejsca, gdzie uderzył w metalowy reling, który wystawał pod kątem z wody. Dahlgren już czekał, stojąc, przeskoczył na pokład barki i wylądował obok częściowo zatopionego luku trzeciej ładowni.

- Pospiesz się, Jack! - zawołał kapitan. - Ona nie utrzyma się już długo na powierzchni.

Natychmiast cofnął tender od barki, żeby nie zostali wessani pod wodę, gdyby nagle poszła na dno.

Dahlgren już przeciął sprintem pochyły pokład, wbiegł po krótkich schodach i dotarł do zamkniętego przedziału. Załomotał dłonią w rękawicy we włącz i krzyknął:

- Jest tam ktoś?!

Natychmiast odpowiedział mu zaskoczony głos sierżanta Bojorqueza:

- Tak. Może pan nas stąd wypuścić?

- Zrobi się - odparł Dahlgren.

Przyjrzał się szybko łańcuchowi zabezpieczającemu, który zawiązano byle jak na dźwigni włączu i słupku relingu. Łańcuch prawdopodobnie miał na początku trochę luzu, ale wygięcie kadłuba tonącej barki mocno go naprężyło. Dahlgren obejrzał oba węzły w świetle latarki i szybko się zorientował, że ten na słupku łatwiej rozerwać, więc na nim skoncentrował wysiłki.

Zdjął rękawice, chwycił zewnętrzne ogniwa węzła i pociągnął z całej siły. Zmrożona stal wbiła mu się w ciało, ale ani drgnęła. Wziął głęboki oddech, zaparł się nogami i znów szarpnął. O mało nie wyrwał sobie palców ze stawów, ale łańcuch nie ustąpił.

Pokład pod jego stopami przechylił się gwałtownie i barka obróciła się lekko z powodu nierównego obciążenia zalewanych szybko ładowni. Dahlgren puścił ogniwa, spojrzął na łańcuch i złapał go zgrabiałymi dłońmi jeszcze raz. Zmienił pozycję na podeście, żeby zaatakować węzeł pod właściwym kątem, i zaczął go kopać butami. W przedziale magazynowym usłyszał kilka spanikowanych głosów, które go przynaglały, żeby się pospieszył. Z wody paru marynarzy „Narwhala” krzyczało do niego to samo. Z głębi morza gdzieś spod kadłuba dobiegło głośne skrzypnięcie, jakby barka chciała dodać coś od siebie.

Z walącym sercem Dahlgren kopał łańcuch czubkiem buta i obcasem. Uderzał nogą coraz mocniej z rosnącą wściekłością. Robił to z taką furją, jakby od tego zależało jego życie. Nie przestawał, dopóki jedno z ogniw nie wysunęło się z ciasnego splotu.

Powstało akurat tyle luzu, że po następnym kopnięciu wysunęło się drugie, a potem trzecie ogniwo. Dahlgren opadł na kolana i wyszarpnął koniec łańcucha z poluzowanego węzła. Odwiązał go szybko od słupka i odblokował dźwignię. Podniósł się, pociągnął ją i otworzył właz.

Nie wiedział, czego się spodziewać, i manipulował przy latarce, kiedy kilka postaci ruszyło do wyjścia. Poświecił do środka i doznał szoku na widok czterdziestu sześciu wymizerowanych, przemarzniętych mężczyzn, którzy patrzyli na niego jak na wybawcę. Bojorquez stał najbliżej włazu, nadal ściskając mały młotek.

- Nie wiem, kim pan jest, ale cieszę się, że pana widzę - powiedział sierżant z szerokim uśmiechem.

- Jack Dahlgren ze statku badawczego NUMA „Narwhal”. Wychodźcie, chłopaki.

Więźniowie wydostali się szybko z ładowni i stanęli niepewnie na pochyłym pokładzie. Dahlgren zobaczył z zaskoczeniem, że kilku mężczyzn jest w wojskowych mundurach polowych z małymi amerykańskimi flagami na ramieniu. Roman i Murdock wyszli ostatni i podeszli do Dahlgrena z wyrazem ulgi na twarzach.

- Murdock, dowódca „Polar Dawna” - przedstawił się oficer Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych. - A to jest kapitan Roman, który próbował nas wydostać z Kugluktuk. Pański statek jest w pobliżu?

Zdumienie Dahlgrena na widok uwięzionych Amerykanów zeszło na drugi plan w obliczu tego, co musiał odpowiedzieć.

- Nasz statek został staranowany i zatopiony przez wasz holownik - odrzekł cicho.

- To jak się pan tu dostał? - zapytał Roman.

Dahlgren wskazał tender widoczny kilka metrów od tonącej barki.

- Sami ledwo uszliśmy z życiem. Usłyszeliśmy wasze stukanie i myśleliśmy, że to nasza łódź podwodna.

Popatrzył na wycieńczonych mężczyzn i spróbował sobie wyobrazić, co przeżyli. Ich śmierć została odroczonej tylko na chwilę i czuł się teraz jak egzekutor. Odwrócił się do Romana i Murdocka i z ponurą miną powiedział przeproszającym tonem:

- Przykro mi, ale nie mamy ani jednego wolnego miejsca.

Stenseth patrzył, jak fale zalewają drugą ładownię barki. Już tylko pierwsza ładownia i część dziobowa wystawały z wody. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego barka jeszcze nie poszła na dno, ale wiedział, że wkrótce to się stanie.

Spojrzał na zmaltretowanych mężczyzn, którzy stali wzdłuż relingu z błagalnym wyrazem w oczach i zdesperowanymi minami. Podobnie jak Dahlgren, był zaszokowany, że tylu ludzi wyszło z przedziału magazynowego. Próba dokonania masowego zabójstwa przez załogę lodołamacza wprawiała go w osłupienie. Co za potwór dowodził holownikiem?

Pomyślał z obawą o bezpieczeństwie własnych ludzi. Wiedział, że kiedy barka zniknie pod powierzchnią morza, rozbitkowie będą się starali za wszelką cenę wdrapać do tendera. Nie mógł ryzykować zatopienia przeciążonej łodzi i pozbawienia załogi ostatniej deski ratunku. Utrzymał tender w bezpiecznej odległości od barki i zastanawiał się, jak zabrać z niej Dahlgrena w taki sposób, by reszta mężczyzn nie próbowała dostać się na pokład łodzi razem z nim.

Zobaczył, że Dahlgren rozmawia z dwoma ludźmi. Jeden z nich wskazał zalaną rufę barki. Dahlgren podszedł do relingu i krzyknął do Stensetha, żeby podpłynął. Kapitan doprowadził tender do barki w pobliżu Dahlgrena, nie spuszczać z oka pozostałych mężczyzn. Ale żaden z nich nie rzucił się do łodzi, kiedy Dahlgren przeszedł na jej pokład.

- Płyn do rufy barki, kapitanie, jakieś sześćdziesiąt metrów do tyłu. Szybko - przynaglił.

Stenseth obrócił tender i skierował go obok tonącego kadłuba w stronę niewidocznej już rufy. Nie zauważył, że Dahlgren ściągnął buty i rozebrał się do bielizny, a potem znów włożył na siebie parkę.

- Mieli na rufie dwa zodiaki! - krzyknął Dahlgren tytułem wyjaśnienia.

Teraz nie będzie z nich wielkiego pożytku, pomyślał Stenseth. Albo gdzieś podryfowały, albo są przywiązane do pokładu jakieś dwanaście metrów pod wodą. Zobaczył, że Dahlgren stoi na dziobie i pokazuje latarką coś na powierzchni morza.

- Tam.

Kapitan skrzył w stronę kilku ciemnych obiektów na wodzie. Dwie pary stożkowych wypiętrzeń kołysały się na falach w małej odległości od siebie. Kiedy Stenseth się zbliżył, rozpoznał zwężone końce pływaków dwóch pontonów Zodiac. Obie łodzie pneumatyczne stały w pozycji pionowej, ich dzioby były przywiązane wspólną liną do barki poniżej.

- Ma ktoś nóż? - zapytał Dahlgren.

- Jack, nie możesz zanurkować - zaprotestował Stenseth, który dopiero teraz zauważył, że mężczyzna zdjął ubranie. - Zamarzniesz na śmierć.

Dahlgren w odpowiedzi wyszczerzył zęby.

- Nie planuję długiej kąpieli.

Główny mechanik wyjął z kieszeni scyzoryk i wręczył go Jackowi.

- Trochę bliżej, kapitanie - poprosił Dahlgren i ściągnął parkę.

Stenseth podpłynął do zodiaków na odległość kilkudziesięciu centymetrów i zamknął przepustnicę. Dahlgren stanął na dziobie, otworzył scyzoryk, zrobił głęboki wdech i bez wahania wyskoczył za burtę.

Był doświadczonym nurkiem i pływał pod powierzchnią wszystkich zimnych mórz na świecie, ale doznał szoku po zanurzeniu w wodzie o temperaturze poniżej minus dwóch stopni Celsjusza. Momentalnie poczuł bolesne drgawki we wszystkich zakończeniach nerwowych i napięcie mięśni. Zatchnął się, zeszywniałe ciało przestało reagować na polecenia mózgu, żeby się ruszał. Panika przynagliła go do natychmiastowego wynurzenia. Ale zignorował głos instynktu samozachowawczego i zmusił bezwładne kończyny do posłuszeństwa. Przewyciężył szok i zaczął płynąć.

Nie miał latarki, ale nie potrzebował jej w czarnej wodzie. Wystarczyło mu to, że przesuwając dłoń po burcie jednego z zodiaków. Wykonując nogami szybkie nożycowe ruchy, opadł nieco wzdłuż kadłuba i natrafił na krzywiznę zagiętą do wewnątrz ku dziobowi. Sięgnął dalej i odnalazł naprężoną cumę. Chwycił ją wolną ręką i zaczął się opuszczać niżej w poszukiwaniu punktu mocowania.

Lodowata woda spowalniała jego ruchy i musiał używać całej siły woli, by zanurzać się coraz głębiej. Pięć metrów pod zodiakiem dotarł do barki i wyczuł dłońmi dużą knagę, od której biegły liny do dwóch pontonów. Natychmiast zaczął gorączkowo przecinać pierwszą cumę. Ale scyzoryk nie był ostry i dopiero po kilku sekundach lina puściła i pofrunęła gwałtownie do góry. Dahlgren sięgnął do drugiej cumy. Płuca bolały go od wstrzymywania oddechu, ciało miał zdrętwiałe. Organizm sygnalizował mu, że powinien zostawić linę i wrócić na powierzchnię, ale determinacja na to nie pozwalała. Wysunął nóż przed siebie i gdy ostrze zetknęło się z cumą zaczął resztką sił poruszać scyzorykiem tam i z powrotem.

Lina pękła z brzdękiem słyszalnym pod wodą. Idąc w ślady pierwszego pontonu, drugi zodiak wystrzelił do góry jak rakietą. Przebił powierzchnię morza, oderwał się od niej i opadł z pluskiem na kadłub. Dahlgren został szarpnięty do góry, ale przebył tylko kawałek, zanim puścił cumę, rozpęd jednak przyspieszył jego wznoszenie się. Wynurzył się, łapiąc gwałtownie powietrze i młócąc zmarzniętymi rękami, by utrzymać się na powierzchni.

Tender natychmiast znalazł się przy nim, trzy pary ramion wyłowiły go z morza. Szybko wytarto go do sucha starym kocem i ubrano w kilka koszul oraz par kalesonów odstąpionych przez kolegów. Kiedy w końcu włożono mu parkę i buty, spojrzał wytrzeszczonymi oczami na Stensetha, trzęsąc się z zimna.

- Lodowate to bajoro - wymamrotał. - Nie spróbuję tego drugi raz. Stenseth nie tracił czasu. Doprowadził tender do pontonów i gdy chwycono ich cumy dziobowe, dał pełne obroty silnika. Z zodiakami na holu łódź pomknęła w kierunku szybko tonącej barki. Poziom wody przekroczył już krawędź luku pierwszej ładowni, ale wielki statek wciąż nie chciał pójść na dno.

Więźniowie stłoczyli się na dziobie, pewni, że załoga „Narwhala” zostawiła ich własnemu losowi. Kiedy warkot silnika zaburtowego nagle stał się głośniejszy, wpatrzyli się w ciemność z wyczekiwaniem i nadzieją. Chwilę później tender wyłonił się z mroku, ciągnąc za sobą dwa puste pontony. Kilku mężczyzn zaczęło wiwatować, potem przyłączyli się do nich następni i w końcu na barce wybuchła ogólna radość.

Stenseth skierował się prosto w górę pokładu nad pierwszą ładownią i zatrzymał łódź z

poślizgiem. Kiedy wyczerpani mężczyźni wsiadali szybko do zodiaców, Murdock podszedł do tendera.

- Niech Bóg was błogosławi - zwrócił się do całej załogi.

- Proszę podziękować tamtemu przemarzniętemu Teksańczykowi na dziobie, jak tylko przestanie się trząść - odrzekł Stenseth. - Na razie proponuję wynieść się z tej łajby, zanim wessie nas wszystkich pod wodę.

Murdock skinął głową i zajął miejsce w jednym z pontonów. Oba były już pełne i szybko zostały odepchnięte od barki. Z powodu zalania wodą silników i braku wiosł musiały być holowane przez tender. Członek załogi „Narwhala” rzucił linę do jednego z zodiaców, a drugi przywiązano do pierwszego.

Trzy łodzie oddryfowały od tonącej barki, zanim Stenseth wybrał luźny hol i uruchomił silnik zaburtowy. Nie było ociągania się i pożegnań z konającym statkiem, który symbolizował tylko udramę więzionych w nim ludzi. Tender i dwa pontony odpłynęły na wschód i wkrótce zostawiły barkę we mgle za sobą. Chwilę później czarny olbrzym z ładowniami wypełnionymi wodą prawie po brzegi zniknął cicho pod falami.

- Tu na górze jest tak samo ciemno, jak na dnie na głębokości trzystu metrów - stwierdził Giordino.

W jego ocenie nie było wiele przesady. Chwilę wcześniej „Bloodhound” przebił powierzchnię morza wśród piany i pęcherzy powietrza. Jego dwaj pasażerowie wciąż mieli nadzieję, że zobaczą w pobliżu światła „Narwhala”, ale zamiast tego zastali puste czarne morze spowite gęstą mgłą.

- Lepiej znów spróbuj nawiązać łączność, zanim zostaniemy bez prądu - polecił Pitt.

Akumulatory łodzi podwodnej prawie się wyczerpały i Pitt chciał wykorzystać resztkę energii elektrycznej do zasilania radia. Sięgnął w dół i pociągnął dźwignię zamykającą zawory zbiorników balastowych, potem wyłączył system filtracji powietrza w kabinie, który ledwo funkcjonował przy niskim napięciu. Pozostało im uchylenie włazu, żeby wpuścić do środka świeże, choć mroźne powietrze.

Wywoływali na powierzchni „Narwhala”, ale nadal bez skutku. Ich słabe sygnały radiowe przechwytywał tylko „Otok” i beztrąsko je ignorował na rozkaz Zaka. Byli już pewni, że statek NUMA zniknął ze sceny.

- Ciągle nic - powiedział ponuro Giordino. Zastanowił się nad ciszą w eterze i zapytał: - Jak zachowałby się twój kumpel na lodołamaczu, gdyby napotkał „Narwhala”?

- Niezbyt przyjaźnie - odparł Pitt. - Ma upodobanie do detonowania ładunków wybuchowych bez względu na konsekwencje. Za wszelką cenę chce zdobyć ruten. Jeśli jest na pokładzie lodołamacza, to nam też nie odpuści.

- Coś mi mówi, że ze Stensethem i Dahlgrenem nie pójdzie mu tak łatwo.

Dla Pitta było to niewielkie pocieszenie. To on przyprowadził tu statek i naraził załogę na niebezpieczeństwo. Nie wiedząc, co się stało z „Narwhalem”, podejrzewał najgorsze i czuł się winny. Giordino dostrzegł to w jego oczach i spróbował zainteresować go czymś innym.

- Nie mamy już napędu? - zapytał, choć znał odpowiedź.

- Nie - odrzekł Pitt. - Jesteśmy teraz na łasce wiatru i prądu morskiego.

Giordino wyrztał przez bulaj.

- Ciekawe, gdzie będzie następny postój?

- Jeżeli dopisze nam szczęście, to na jednej z Wysp Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Ale jeśli prąd nas poniesie, to możemy dryfować przez jakiś czas.

- Gdybym wiedział, że wybierzemy się w rejs, wziąłbym ze sobą dobrą książkę... i kalesony.

Obaj byli tylko w cienkich swetrach, bo nie spodziewali się, że będą im potrzebne grubsze ubrania. Po wyłączeniu pokładowych urządzeń elektronicznych w kabinie szybko się ochłodziło.

- Osobiście zadowolilibym się tequilą i kanapką z rostbefem - powiedział Pitt.

Giordino jęknął.

- Tylko nie zaczynaj o jedzeniu. - Przywarł plecami do oparcia siedzenia i skrzyżował ręce na piersi, żeby było mu ciepłej. - Wiesz co, są dni, kiedy tamten miękki skórzany fotel biurowy w

centrali nie wydaje mi się taki zły.

Pitt spojrzał na niego i uniósł brwi.

- Masz dosyć pracy w terenie? Giordino chrząknął i pokręcił głową.

- Nie. Wiem, że sekundę po wejściu do mojego gabinetu chciałbym być z powrotem na wodzie. A ty?

Pitt się zastanowił. Lata przygód dużo go kosztowały, fizycznie i psychicznie. Ale nie wybrałby innej drogi.

- Życie jest poszukiwaniem, a ja zawsze poszukiwałem czegoś w życiu. - Odwrócił się do Giordina i uśmiechnął szeroko. - Chyba będą musieli siłą odrywać nas od sterów.

- Niestety mamy to we krwi.

Pozbawiony wpływu na ich los Pitt usiadł wygodnie i zamknął oczy. Myślał o „Narwhalu” oraz jego załodze i widział w wyobraźni Loren w Waszyngtonie. Ale wciąż powracał obraz pewnego barczystego mężczyzny o groźnej minie. Postać Claya Zaka.

Łódź podwodna kołysała się i przechylała na wzburzonym morzu, gdy dryfowała na południe z prędkością prawie trzech węzłów. Stopniowo wstał arktyczny świt i rozjaśnił gęstą szarą mgłę, która wisiała nisko nad wodą. Z braku innego zajęcia niż nasłuchiwanie radia dwaj mężczyźni próbowali odpoczywać, ale spadająca temperatura w kabinie wkrótce stała się zbyt niska, by spać.

Pitt manipulował przy włączniku nad głową, gdy nagle w kokpicie zazgrzytało i „Bloodhound” zatrzymał się gwałtownie.

Giordino otworzył zaspane oczy.

- Ziemia - wymamrotał.

- Prawie - odrzekł Pitt, wyglądając przez bulaj. Lekka bryza rozwiała nieco opary przed nimi i w prześwicie pojawił się biały płaskowyż. Nienaruszona połać lodu znikła we mgłę trzydzieści metrów dalej. - Po drugiej stronie tej tafli prawdopodobnie jest ląd.

- I znajdziemy tam stoisko z gorącą kawą? - zapytał Giordino i zatarł zmarznięte dłonie.

- Tak... jakieś trzy tysiące kilometrów na południe stąd - odparł Pitt i popatrzył na Giordina. - Mamy dwie możliwości. Zostać w naszej przytulnej tytanowej wieżycy albo poszukać pomocy. Inuici nadal polują w tym rejonie, więc w pobliżu może być jakaś osada. Jeśli pogoda się poprawi, będzie szansa na zatrzymanie jakiegoś przepływającego statku. - Spojrzał na swój strój. - Tylko niestety nie jesteśmy ubrani na wycieczkę w plener.

Giordino przeciągnął się i ziewnął.

- Osobiście jestem zmęczony siedzeniem w tej blaszanej puszce. Chodź, rozprostujemy kości i rozejrzemy się po okolicy.

- Dobra - zgodził się Pitt.

Po raz ostatni spróbowali się skontaktować z „Narwhalem”, zanim wyłączyli radio. Potem wyszli przez właz na kadłub „Bloodhonda”, gdzie powitał ich trzynastostopniowy mróz. Dziób łodzi podwodnej wbił się mocno w gruby lód i bez trudu zeszli na twardą powierzchnię. Wiatr przybierał na sile i rozwiewał nisko wiszącą mgłę. Przed nimi rozciągał się tylko lód, więc ruszyli przez pak; suchy śnieg skrzypiał pod ich butami.

Tafla na ogół była płaska, tu i ówdzie wyrastały niskie wypiętrzenia. Przeszli zaledwie kawałek, gdy Giordino zauważył coś po lewej stronie.

Okazało się, że to mała śnieżna grotka wydrążona w zboczu lodowego grzbietu.

- Wygląda na dzieło człowieka - powiedział Giordino. - Może ktoś zostawił w środku nauszniaki dla nas.

Podszedł do otworu, przyklęknął i zajrzał w głąb. Pitt zbliżył się do jaskini, przystanął i popatrzył uważnie na odcisk w śniegu. Zesztywniał, kiedy rozpoznał ślad.

- Al - szepnął ostrzegawczym tonem.

Giordino już się zawahał. Zobaczył, że zaraz za mrocznym wejściem grotka rozszerza się w dużą norę. W ciemnym wnętrzu ledwo dostrzegł masę białego futra, która wznosiła się i opadała w rytm

ciężkich oddechów. Niedźwiedź polarny miał już za sobą sen zimowy, ale wrócił do kryjówki, żeby uciąć sobie wiosenną drzemkę. Znany z tego, że jest nieprzewidywalny, głodny niedźwiedź mógł łatwo zrobić z dwóch mężczyzn posiłek dla siebie.

Giordino natychmiast się zorientował, co im grozi, i wycofał się cicho z jaskini. Wymówił bezgłośnie słowo „niedźwiedź” i oddalili się szybko od groty, stąpając z uwagą po lodzie. Kiedy odeszli na bezpieczną odległość, Giordino zwolnił kroku i jego pobladła twarz odzyskała normalny kolor.

Pokręcił głową.

- Mam tylko nadzieję, że w tych stronach jest dużo fok i są powolne. Pitt stłumił śmiech.

- Tak, wolałbym cię nie oglądać w roli dywanu w norze tamtego niedźwiedzia.

Wiedzieli, że niebezpieczeństwo jest bardzo realne, i oglądali się czujnie za siebie w dalszej drodze.

Gdy niedźwiedzia gawra zniknęła we mgle za nimi, ciemny pas skalistego lądu wyłonił się z mgły na wprost. Brązowe i szare plamy górskich grzbietów i wąwozów tworzyły falisty wzór na pobliskim horyzoncie. Tak jak przewidział Pitt, dotarli od północy do Wysp Królewskiego Towarzystwa Geograficznego i wylądowali na Wyspie Zachodniej. Gruba pokrywa lodowa, która powstała z nagromadzenia zimowej kry przepływającej Cieśniną Wiktorii, zalegała wzdłuż wybrzeża i miejscami miała szerokość niemal kilometra. Jałowy krajobraz wyspy widziany od strony zamrożonego morza sprawiał przygnębiające wrażenie zimnego pustkowia.

Dwaj mężczyźni doszli już prawie do brzegu, gdy Pitt nagle przystanął. Giordino się odwrócił, zobaczył jego minę i nadstawił ucha.

W oddali rozlegał się cichy trzask, któremu towarzyszyło miarowe dudnienie. Hałas narastał w miarę, jak jego źródło się zbliżało.

- Statek - mruknął Giordino.

- Lodołamacz - uściślił Pitt.

- Ten lodołamacz?

Dostał odpowiedź kilka minut później, kiedy masywny, wysoki dziób „Otoka” wynurzył się z mgły około stu metrów od lądu. Ciął pak o grubości trzydziestu centymetrów niczym nóż pudding, kawałki lodu pryskały na wszystkie strony. Jakby wyczuwając obecność Pitta i Giordina, dudniące silniki statku powoli przycichły i „Otok” zatrzymał się na jałowym biegu przed pękającym lodem.

Pitt patrzył na statek z uczuciem mdłości. Natychmiast zauważył, że dziób lodołamacza jest zgnieciony i ma tępy kształt, co wskazywało na udział w kolizji. Uderzenie musiało nastąpić niedawno, bo kilka stalowych płyt kadłuba, z których została zdarta farba, nie zaczęło jeszcze rdzewieć. Za to widniały na nich turkusowe otarcia.

- Staranował „Narwhala” - oznajmił Pitt.

Giordino przytaknął; też doszedł do takiego wniosku. Obaj stali jak sparaliżowani, gdyż potwierdziły się ich najgorsze obawy. „Narwhal” z pewnością leżał na dnie Cieśniny Wiktorii wraz z całą załogą. Giordino dostrzegł jeszcze coś równie niepokojącego.

- On staranował nie tylko „Narwhala” - powiedział. - Spójrz na płyty kadłuba wokół kluzy kotwicznej.

Pitt przyjrzał się kadłubowi i zauważył niewielkie wyżłobienie powstałe podczas zderzenia. Tam, gdzie odprysnęła czerwona farba, widniał szary podkład. Na końcu rysy widoczny był biały prostokąt.

- Okręt wojenny w poprzednim wcieleniu? - zaryzykował Pitt.

- Mówiąc dokładnie, FFG-54. Fregata naszej marynarki znana jako „Ford”. Mijaliśmy ją na Morzu Beauforta kilka tygodni temu. Ocaleli mieszkańcy kanadyjskiej stacji arktycznej podali podobny opis. To białe zdecydowanie wygląda na cyfrę 5.

- Szybka zmiana koloru i upodobnienie do okrętu amerykańskiej marynarki wojennej i mamy incydent międzynarodowy.

- Trudno się dziwić, że kanadyjscy naukowcy dali się nabrać, kiedy z amerykańską banderą na maszcie przeorał stację arktyczną w czasie burzy śnieżnej. Pytanie, po co zadał sobie ten trud?

- Podejrzewam, że między poszukiwaniem rutenu a zajmowaniem się eksploatacją tutejszych złóż ropy i gazu Mitchell Goyette stara się zostać władcą Arktyki - odrzekł Pitt. - Poszłoby mu to o wiele łatwiej, gdyby doprowadził do usunięcia Amerykanów z tego regionu.

- Co w tym momencie zależy w dużym stopniu od ciebie i ode mnie.

Kiedy Giordino to mówił, trzech mężczyzn opatulonych w czarne parki pojawiło się na pokładzie lodołamacza i podeszło do relingu. Bez wahania unieśli erkaemy Steyr, wzięli na cel Pitta i Giordina i otworzyli ogień.

Daleko na północnym wschodzie głośnie kasznięcia i odgłosy dławienia się rozbrzmiewały nad falami. Łaknący paliwa silnik zaburtowy tendera zassał łąpczywie ostatnie krople benzyny, zarzęził i umilkł z bulgotem. Mężczyźni na pokładzie popatrzyli na siebie nerwowo. W końcu sternik „Narwhala” uniósł pusty czterdziestolitrowy kanister.

- Sucho, panie kapitanie - powiedział do Stensetha.

Kapitan „Narwhala” nie oczekiwał niczego innego. Dopłynęliby do brzegu, gdyby byli sami. Ale dwa pełne ludzi zodiaki na holu działały jak kotwica, spowalniając tempo żeglugi. Zmaganie się z dużymi falami i silnym południowym prądem nie poprawiało sytuacji. Lecz nie było mowy o zostawieniu mężczyzn w pontonach.

- Do wiosł - rozkazał Stenseth. - Spróbujmy utrzymać kurs. - Nachylił się do sternika, świetnego nawigatora, i zapytał cicho: - Jak oceniasz, daleko jeszcze do Wyspy Króla Williama?

Sternik się skrzywił.

- W tych warunkach trudno powiedzieć, ile już przepłynęliśmy - odrzekł ściszym głosem. - Wydaje mi się, że powinniśmy być jakieś pięć mil morskich od wyspy. - Wzruszył lekko ramionami na znak, że nie jest pewien.

Stenseth skinął głową.

- Też tak myślę, choć mam nadzieję, że jesteśmy dużo bliżej. Zaczynał się obawiać, że nie dotrą do lądu. Stan morza prawie się nie zmienił, ale wiatr przybrał nieco na sile. Kapitan potrafił przewidywać pogodę, dziesiątki lat na oceanach wyostrzyły jego zmysły. Czuł w kościach, że fale trochę urosną. W ich sytuacji to by prawdopodobnie wystarczyło, żeby poszli na dno.

Obejrzał się na czarne łodzie pneumatyczne sunące z tyłu we mgle. W coraz jaśniejszym blasku świtu zaczynał widzieć twarze uratowanych mężczyzn. Część z nich była w kiepskiej formie, chorowali na skutek długiego pobytu w niskiej temperaturze. Ale jako grupa mogli być wzorem cichego męstwa. Nikt nie narzekał.

Murdock napotkał wzrokiem spojrzenie Stensetha i krzyknął:

- Panie kapitanie, może nam pan powiedzieć, gdzie jesteśmy?!

- W Cieśninie Wiktorii. Kawałek na zachód od Wyspy Króla Williama. Chciałbym móc was pocieszyć, że będzie tędy przepływał statek wycieczkowy, ale niestety musimy liczyć na siebie.

- Jesteśmy wdzięczni za uratowanie nas i utrzymywanie na wodzie. Macie wolne wiosła?

- Nie, jeśli chodzi o napęd, jesteście nadal na naszej łasce. Niedługo powinniśmy dotrzeć do lądu! - zawołał Stenseth z udawanym optymizmem.

Marynarze „Narwhala” zmieniali się przy wiosłach, nawet Stenseth pracował w pocie czoła. Z trudem posuwali się naprzód, sfrustrowani, że nie są w stanie ocenić przebytego dystansu w zamglonym mroku. Stenseth co jakiś czas wyęczał słuch w nadziei, że złowi uchem odgłos fal rozbijających się o brzeg, ale słyszał tylko, jak uderzają w kadłuby trzech łodzi.

Tak jak przewidział, fale zaczęły stopniowo rosnać przy wyższej prędkości wiatru. Coraz

częściej przelewały się przez burty tendera i kilku mężczyzn musiało podjąć walkę z potopem. Stenseth zauważył, że zodiaki są w podobnej sytuacji i nabierają wody przez rufy. Robiło się dramatycznie, a wciąż nic nie wskazywało, że są blisko lądu.

W pewnym momencie, gdy zmieniali się wioślarze, marynarz usadowiony na dziobie zameldował:

- Panie kapitanie, obiekt w wodzie.

Stenseth i inni natychmiast spojrzeli na wprost i dostrzegli ciemny kształt na granicy mgły. Cokolwiek to jest, pomyślał Stenseth, z całą pewnością nie jest lądem.

- To wieloryb! - wrzasnął ktoś.

- Nie - mruknął cicho Stenseth, zauważywszy, że prawie całkowicie zanurzony obiekt jest czarny i nienaturalnie gładki. Przyglądał mu się podejrzliwie w oczekiwaniu na jakiś ruch lub dźwięk.

Nagle przez mgłę ryknął donośny, elektronicznie wzmocniony głos. Wszyscy aż podskoczyli i na moment zamarły im serca. Ale w słowach, które usłyszeli, brzmiała sympatia kontrastująca z nieprzyjaznym otoczeniem.

- Ahoj! - zawołał ktoś niewidoczny. - Tu USS „Santa Fe”. Mamy grog z whisky i ciepłą koję dla każdego z was, kto potrafi zagwizdać Dbcie.@

Clay Zak nie wierzył własnym oczom.

Po pozbyciu się statku NUMA skierował lodołamacz z powrotem ku Wyspom Królewskiego Towarzystwa Geograficznego i zszedł do swojej kabiny. Próbował zasnąć, ale zapadał tylko w niespokojną drzemkę, zbyt pochłonięty myślami o rutenie. Kiedy zaledwie po paru godzinach wrócił na mostek, kazał kapitanowi wziąć kurs na Wyspę Zachodnią. „Otok” sunął przez lód i zbliżał się do kopalni minerału, której położenie Zak skorygował na mapie.

Gdy lodołamacz powoli się zatrzymał, obudzono geologów. Chwilę później sternik zauważył jaskrawy obiekt na krawędzi paku.

- To łódź podwodna ze statku badawczego - powiedział.

Zak podskoczył do okna sterówki i wyjrzał z niedowierzaniem. Istotnie, jaskrawożółta łódź podwodna była wbita dziobem w lód z ich prawej burty, ledwo widoczna przez szarą mgłę.

Zaklął.

- Skąd wiedzą?

Nie miał pojęcia, że łódź podwodna dodryfowała do tego miejsca przez przypadek. Serce zaczęło mu walić z wściekłości. Tylko on miał mapkę ze spółdzielni górniczej, wskazującą lokalizację rutenu Inuitów. Właśnie zniszczył statek NUMA i ruszył prosto do celu. A jednak Pitt go ubiegł.

Kapitan, który spał na swojej koi, wyczuł, że lodołamacz stanął, i przywłókł się zaspany na mostek.

- Mówiłem panu, żeby trzymać się z daleka od lodu z tym uszkodzonym dziobem - burknął. Na widok zimnego spojrzenia Zaka zapytał: - Wysadzamy geologów na brzeg?

Zak go zignorował, gdy pierwszy oficer wskazał lewe okno.

- Na lodzie jest dwóch ludzi - zameldował.

Zak przyjrzał się dwóm postaciom i wyraźnie odprężył.

- Geolodzy nieważni - rzekł z szerokim uśmiechem. - Niech natychmiast stawi się tutaj moja ochrona.

Pitt i Giordino nieraz znajdowali się pod ostrzałem i zareagowali na pierwszy błysk z lufy. Rozdzielili się, gdy pociski trafiły w lód centymetry od nich, i pobiegli pędem ku wyspie. Nierówna powierzchnia utrudniała bieg, ale zmuszała do zygzakowania, dzięki czemu nie stanowili łatwego celu. Oddalali się od siebie, więc strzelcy musieli wybierać, do którego z nich strzelać.

Trzy erkaemy terkotały szybko, serie odrywały kawałki lodu od gruntu wokół stóp uciekających. Ale Pitt i Giordino mieli dobry start i byli coraz dalej od statku, toteż celność strzelców malała. Obaj mężczyźni pędzili ku lekkiej szarej mgle wiszącej nad brzegiem, która w końcu ich otoczyła i uczyniła niewidocznymi dla ludzi z erkaemami.

Dysząc ciężko, podeszli do siebie plażą pokrytą lodem.

- Kolejne ciepłe przyjęcie w tych niegościnnych stronach - wysapał Giordino, wypuszczając z ust wielkie obłoki pary. - Tylko tego nam brakowało.

- Nie narzekaj - odparł Pitt, łapiąc oddech. - Przynajmniej na chwilę mogłem zapomnieć, jak jest zimno.

Bez czapek, rękawic i ciepłych kurtek przemarzli do szpiku kości. Gwałtowny sprint poprawił im krążenie, ale policzki i uszy szczyptały ich boleśnie, a palce niemal całkowicie zdrętwiały. Wysiłek fizyczny rozgrzał ich, ale jednocześnie osłabił.

- Coś mi mówi, że nasi ciepło ubrani nowi kumple niedługo tu będą - powiedział Giordino. - Masz jakieś preferencje co do kierunku dalszej ucieczki?

Pitt popatrzył wzdłuż plaży najpierw w jedną, potem w drugą stronę, ale wolno rozwiewająca się mgła ograniczała widoczność. Przed nimi wyrastało strome zbocze górskiego grzbietu, który wznosił się coraz wyżej na lewo od nich. Na prawo opadał niżej i przechodził w łagodniejsze wzgórze.

- Musimy zejść z lodu, żeby nie zostawiać śladów. Poza tym czułbym się pewniej na wyżej położonym terenie. Wygląda na to, że najlepsza dla nas droga w głąb lądu prowadzi w prawo wzdłuż plaży.

Ruszyli truchtem, krótki podmuch wiatru sypnął im w twarz drobinami lodu. Przybierający na sile wiatr nie był teraz ich sprzymierzeńcem, bo rozwiewał mgłę, która ich zasłaniała. Trzymali się tuż przy ścianie niskiego urwiska i zbliżali do stromego, wypełnionego lodem wąwozu, który przecinał grzbiet. Uznali, że nie pokonają jaru, i pobiegli dalej w poszukiwaniu następnego przejścia w głąb lądu. Przeszli prawie kilometr wzdłuż plaży, gdy znów mocno powiało.

Wiatr chłostał ich odsłoniętą skórę, płuca z trudem przyjmowały mroźne powietrze. Oddychanie stało się bolesnym wysiłkiem, ale nie zwalniali tempa biegu. Nagle znów rozległ się metaliczny terkot erkaemu i pociski posiekały klif kilka metrów za nimi.

Pitt zerknął za siebie i zobaczył, że porywisty wicher rozwiał mgłę za ich plecami. W oddali byli widoczni dwaj ścigający ich ludzie. Zak podzielił swój oddział ochroniarzy na trzy grupy i każdą wysłał w innym kierunku. Ta szukająca na zachodzie zauważyła dwóch uciekających mężczyzn, kiedy odsłonił ich podmuch wiatru.

Pitt dostrzegł, że w ich stronę nadciągają następne kłęby mgły. Gdyby udało im się przetrwać jeszcze przez chwilę, znów staliby się niewidoczni.

- Tamci faceci zaczynają mnie wkurzać - wysapał Giordino, kiedy obaj przyspieszyli.

- Miejmy nadzieję, że niedźwiedzia polarnego też - odrzekł Pitt.

Kolejna seria podziurawiła lód tuż za nimi. Bieg utrudniał ścigającym precyzyjne prowadzenie ognia, ale niewiele im brakowało do oddania celnego strzału. Pędząc w kierunku mgły, Pitt przyglądał się zboczowi na lewo od niego. Urwisko opadało do następnego żlebu, szerszego niż poprzedni. Jar wypełniały skały i lód, ale wyglądało na to, że mogliby się tamtędy wspiać.

- Spróbujmy się wdrapać tym następnym wąwozem, kiedy mgła nas zasłoni - wydyszał.

Giordino skinął głową, starając się jak najszybciej dobiec do ściany mgły oddalonej jeszcze o pięćdziesiąt metrów. Pociski znów pokruszyły lód, tym razem tuż za ich piętami. Strzelcy się zatrzymali, żeby móc dokładniej celować.

- Chyba nam się nie uda - mruknął Giordino.

Dotarli już prawie do żlebu, ale mgła wciąż była daleko. Kilka metrów przed sobą Pitt zauważył wielką pionową, oblodzoną płytę skalną, która wystawała z jaru. Nie mógł złapać tchu, więc tylko na

nią pokazał.

Zbocze tuż nad ich głowami rozprysło się nagle, gdy strzelcy skorygowali linię ognia. Obaj mężczyźni schylili się odruchowo i dali nura za skałę, kiedy seria przeorała grunt centymetry od nich. Padli na ziemię wykończeni, wszystko ich bolało. Ostrzał ustał, gdy zniknęli prześladowcom z oczu, i w końcu ich kryjówkę spowiła mgła.

- Powinniśmy wejść tędy na górę - powiedział Pitt, gdy podniósł się z trudem. Ciemna masa oblodzonych kamieni wypełniała wąwóz powyżej nich, ale z boku biegł przesmyk do pokonania.

Giordino przytaknął, wstał i podszedł do zbocza. Zaczął się wspinać, ale zauważył, że nie ma z nim Pitta. Obejrzał się i zobaczył, że jego towarzysz wpatruje się w skalną płytę i pociera ją dłonią.

- To chyba nie jest najlepszy moment na podziwianie skał - upomniał go.

Pitt przesunął ręką po płycie w kierunku oblodzonego zbocza wzgórza i podniósł wzrok.

- To nie jest skała - odrzekł cicho. - To płetwa steru.

Giordino popatrzył na niego jak na wariata, potem też spojrział w górę wąwozu. Powyżej, pod cienką warstwą lodu leżała ciemna masa kamieni. Uważniej przyjrzał się zboczowi i nagle szczeka mu opadła. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że wcale nie ma przed sobą skalistego wzgórza.

Nad nimi tkwił w lodzie czarny drewniany kadłub dziewiętnastowiecznego żaglowca.

„Lrebus”, jak zapomniany relikwiarz minionej epoki, tkwił uwięziony w krze, która oddzieliła go od bliźniaczego uszkodzonego statku. Wepchnięty na brzeg przez pak posuwający się Cieśniną Wiktorii jakieś sto sześćdziesiąt lat wcześniej, nie zatonął, lecz utknął w wąwozie i stopniowo pokrył się lodem.

Skorupa otoczyła kadłub i zespoliła lewą burtę ze stromym zboczem wzgórza. Trzy maszty wciąż stały, przechylone i zagłębione w warstwie lodu na przyległej grani. Ale prawa burta i pokład były oblodzone, co Pitt i Giordino zobaczyli wówczas, gdy wspięli się w górę żlebu i przeszli przez reling. Rozglądali się z podziwem i nie mogli uwierzyć, że są na flagowym statku Franklina.

- Wygląda na to, że gdybyś roztopił ten cały lód, to pewnie mógłbyś pożeglować z powrotem do Anglii - zauważył Giordino.

- Jeśli jest na nim ruten, to zastanowiłbym się, czy po drodze nie wpłynąć na Potomac - odrzekł Pitt.

- Zadowolilibym się paroma kocami i łykiem rumu.

Obaj trzęśli się z zimna, ich organizmy starały się utrzymać ciepłotę ciała. Byli na pograniczu letargu i Pitt wiedział, że niedługo będą musieli się rozgrzać. Podeszedł do drabiny za głównym włazem i odciągnął kruszącą się brezentową zasłonę.

- Masz ogień? - zapytał, gdy zajrzał do ciemnego wnętrza. Giordino rzucił mu zapalniczkę Zippo.

- Będę chciał dostać ją z powrotem, jeśli znajdziemy tu kubańskie cygara.

Pitt zszedł pierwszy po stromych szczeblach i pstryknął zapalniczką, kiedy dotarł na niższy pokład. Zobaczył dwie lampy świecowe przymocowane do grodzi i zapalił ich szerniałe knoty. Stare świece wciąż płonęły jasno i rzucały chybotliwy pomarańczowy blask na wyłożony boazerią korytarz. Giordino dostrzegł wiszącą w pobliżu na gwoździu lampę tranową, która posłużyła im za latarkę.

Kiedy ruszyli korytarzem, lampa oświetliła pobojuwisko na pokładzie statku. W odróżnieniu od „Terrora” o spartańskim wyglądzie, na „Erebusie” panował nieopisany bałagan. Skrzynie, śmiecie i szczątki zagracały korytarz, cynowe kubki wały się wszędzie. Wyrażna woń rumu unosiła się w powietrzu i mieszała z kilkoma innymi zapachami. Były też ciała.

Idąc dalej, Pitt i Giordino zajrzeli do kwater załogi i zobaczyli makabryczny widok. Na pokładzie leżeli dwaj zamarznięci na kość mężczyźni bez koszul, jeden z wielkim nożem kuchennym w piersi, drugi z roztrzaskaną głową. Obok leżała zakrwawiona cegła. Zwłoki zachowały się tak dobrze, że Pitt mógł określić nawet kolor oczu zamordowanych. W kwaterach załogi zastali następne ciała w podobnym stanie. Pitt nie mógł się oprzeć wrażeniu, że martwi mężczyźni wyglądają na tak udręczonych, jakby uśmierciło ich coś straszniejszego niż żywioły.

Pitt i Giordino nie zostali długo w ponurym miejscu. Wrócili do drabiny i zeszli na dolny pokład. Przerwali poszukiwania rutenu, kiedy dotarli do magazynu wierzchniej odzieży, gdzie trzymano buty, kurtki, czapki i grube skarpety. Znaleźli dwa zimowe płaszcze oficerskie prawie w ich rozmiarach,

opatulili się nimi i włożyli wełniane czapki oraz rękawice z jednym palcem. Czując wreszcie trochę ciepła, poszli szybko dalej.

Podobnie jak wyżej, na dolnym pokładzie panował bałagan. Wielkie stopy pustych beczek i skrzynek po żywności świadczyły o ogromnej ilości prowiantu zgromadzonej kiedyś na statku. Weszli do otwartego magazynu alkoholu i broni. Stojak z muszkietami był nietknięty, ale pomieszczenie zaśmiecały roztrzaskane beczułki po rumie i brandy oraz cynowe kubki. Skierowali się ku rufie i natrafili na wielkie kosze po węglu do silnika parowego. Pitt dostrzegł na dnie jednego z pustych koszy srebrzysty pył i bryłki. Podniósł jedną i stwierdził, że jest o wiele za ciężka na węgiel. Giordino zauważył w pobliżu zrolowany worek, rozwinął go kopnięciem i odczytał nadruk: „Bushveld, Afryka Południowa”.

- Mieli go tutaj, ale najwyraźniej przehandlowali wszystko z Inuitami. - Pitt w zadumie wrzucił bryłkę z powrotem do kosza.

- Więc wystarczy znaleźć dziennik okrętowy, żeby odkryć źródło - uznał Giordino.

Cichy okrzyk rozległ się nagle na zewnątrz statku.

- Chyba nasi przyjaciele się zbliżają - powiedział Giordino. - Lepiej chodźmy. - Zrobił krok w stronę drabiny, ale zobaczył, że Pitt się nie ruszył. Niemal widział, jak obracają się tryby w jego mózgu. - Myślisz, że warto zostać na pokładzie? - zapytał.

- Jeśli zgotujemy im gorące powitanie... - odparł Pitt. Machnął lampą tranową i poprowadził Giordina z powrotem do magazynu alkoholi. Postawił lampę na długiej oszronionej skrzyni i podszedł do stojaka z muszkietami Brown Bess, które zauważył wcześniej. Wyciągnął jeden, obejrzał dokładnie i stwierdził, że broń jest w doskonałym stanie. - To nie automat, ale powinien trochę wyrównać szanse - stwierdził.

- Poprzedni właściciel pewnie nie miałby nic przeciwko temu - odrzekł Giordino.

Pitt się odwrócił, zaskoczony komentarzem przyjaciela. Giordino wskazywał skrzynię, na której stała lampa. Pitt podszedł bliżej i nagle do niego dotarło, że to drewniana trumna spoczywająca na dwóch kozłach ciesielskich. Światło lampy tranowej odbijało się od blaszanej tabliczki przybitej do szerszego końca trumny. Pitt się pochylił, starł szron i odsłonił biały napis namalowany ręcznie na blasze. Przeszedł go dreszcz, gdy przeczytał epitafium:

„Sir John Franklin

1786 - 1847

Jego dusza należy do morza”.

Zak zaczekał, aż jego ochroniarze dościgną Pitta i Giordina i dopiero wtedy wyszedł z ciepłego wnętrza lodołamacza. Nie miał pewności, czy jeden z dwóch mężczyzn to Pitt, ale tak podpowiadała mu intuicja.

- Thompson i White zorientowali się, że tamci próbują dotrzeć w głąb łądu - zameldował jeden z najemników po powrocie na pokład „Otoka”. - Na brzegu jest stary statek, na który najwyraźniej weszli.

- Statek? - zapytał Zak.

- Tak, jakiś żaglowiec. Jest zaklinowany w wąwozie i oblodzony.

Zak zerknął na ukradzioną ze spółdzielni górniczej mapkę, która leżała na stole nawigacyjnym. Znów popełnił błąd w ocenie? Ruten Inuitów nie pochodził z żadnej kopalni, tylko ze statku?

- Zaprowadź mnie do tego żaglowca - warknął. - Chcę go obejrzeć. Sporadyczne porywy wiatru mroziły mu twarz, kiedy szli po paku.

Silne podmuchy rozwiewały mgłę i Zak widział kilku swoich ludzi stojących na brzegu u podnóża wąskiego urwiska. Ale nie dostrzegał statku i zaczynał się zastanawiać, czy jego ochroniarze nie przebywają zbyt długo na mrozie. Dopiero gdy doszedł do wąwozu, zobaczył uwięziony w zboczu masywny czarny kadłub „Erebusa” i ze zdumienia wytrzeszczył oczy. Jego uwagę odwrócił White, twarzą ze szczerbatymi zębami.

- Ich ślady prowadzą w górę zlebu. Jesteśmy prawie pewni, że weszli na pokład.

- Dobierz sobie dwóch ludzi i zróbcie to samo - rozkazał Zak, kiedy wokół niego zebrało się jeszcze pięciu mężczyzn. - Reszta niech się rozproszy na plaży na wypadek, gdyby próbowali się wycofać.

White zawołał dwóch kolegów i zaczęli się wspinać, Zak podążał za nimi. Teren wznosił się prawie do górnego pokładu, więc pozostawało wdrapać się na burtę i przejść przez reling na statek. White, który szedł pierwszy z bronią na ramieniu, dostał się po kadłubie na górę i przełożył nogę przez reling. Kiedy dotknął pokładu stopą, spojrzał przed siebie i zobaczył czarnowłosego mężczyznę wchodzącego po drabinie z naręczem muszkietów.

- Stój! - wrzasnął White. Ale Pitt nie posłuchał.

Obaj momentalnie strzelili, żaden nie wahał się ani sekundy. Mniejszy od muszkietu pistolet maszynowy White'a dawał mu przewagę, ale najemnik utknął w niewygodnej pozycji z jedną nogą wciąż za relingiem. Szybko złapał automat i wysunął lufę do przodu, ale nerwowo nacisnął spust wcześniej, niż wycelował. Seria posiekła pokład i stertę lodu w pobliżu włazu, zanim huknął pojedynczy strzał.

Pitt, zimny jak lód otaczający statek, spokojnie odrzucił wszystkie sztuki broni poza jedną i przycisnął do ramienia grubą kolbę naładowanego muszkietu Brown Bess. Gdy pociski przeciwnika rykoszetowały od pokładu, Pitt szybko spojrzał wzdłuż długiej lufy i wystrzelił. Wydawało mu się, że minęły minuty, zanim zewnętrzna spłonka zapaliła ładunek prochu strzelniczego i ołowiana kula

opuściła wylot lufy.

Z bliskiej odległości brown bess był zabójczo celny, a Pitt dobrze wymierzył. White został trafiony tuż poniżej obojczyka, siła uderzenia zrzuciła go z relingu. Jego ciało spadło z burty i wylądowało na zmarzniętej ziemi u stóp Zaka. Najemnik patrzył przez chwilę w górę na swojego szefa z wyrazem dezorientacji w oczach, potem skonał.

Zak przeszedł obojętnie nad zwłokami i wyciągnął pistolet samopowtarzalny Glock.

- Załatwcie ich - syknął do pozostałych ludzi i machnął bronią w kierunku zagłowca.

Walka przypominała zabójczą zabawę w kotka i myszkę. Pitt i Giordino wyłaniali się na zmianę z włazu, oddawali strzały z dwóch lub trzech sztuk starej broni i chowali się przed nadlatującymi seriami. Pokład spowił wkrótce gęsty dym i ograniczył widoczność obu stronom.

Pitt i Giordino zorganizowali naprędce stanowisko ładowania broni u podstawy drabiny. Gdy jeden strzelał, drugi ładował puste muszkiety. Pitt znalazł w magazynie alkoholu dwukilogramową baryłkę prochu i przyniósł ją na niższy pokład. Wykorzystywali ją do napełniania małych prochownic, którymi wsypywali proch do muszkietów, strzelb i pistoletów znalezionych na dole. Przygotowanie starej broni do strzału wymagało napełnienia lufy prochem, ubicia go wyciorem, włożenia do niej ołowianej kuli i dodania przybitki, którą też trzeba było ubić. Pitt znał się na tym i pokazał Giordinowi, ile prochu należy używać i jak posługiwać się wyciorem, by przyspieszyć ładowanie. W przypadku długolufowego muszkietu początkowo zajmowało im to pół minuty, ale gdy nabrali wprawy, robili to w niecałe piętnaście sekund. Wyłaniali się potem z włazu i strzelali raz lub kilka razy, żeby przeciwnicy nigdy nie wiedzieli, czego mają się spodziewać.

Mimo przewagi w sile ognia Zakowi i jego ludziom trudno było prowadzić skuteczny ostrzał. Musieli się wspinać po burcie, chwycić relingu i ukryć za jego poszyciem, próbując jednocześnie używać broni. Pitt i Giordino łatwo dostrzegali ich ruchy i ranili im ręce, roztrzaskując kulami reling.

Zak wysunął się cicho przed swoich ludzi, łapiąc się zrećnie zewnętrznej strony relingu. Odwrócił się i szepnął między strzałami:

- Po następnym strzale podnieście się i razem otwórzcie ogień. Obaj mężczyźni skinęli głowami i pochyłili je w oczekiwaniu na huk muszkietu. Była akurat kolej Pitta na oddanie strzału. Kucnął na szczycie drabiny z pistoletem skałkowym na górnym szczeblu i dwoma muszkietami na kolanach. Przyłożył brown bessa do ramienia i popatrzył ponad krawędzią pokładu na reling przez dym, który pozostał po ostatnich strzałach Giordina. Nad relingiem mignęła czarna parka, więc szybko wycelował w tamten punkt. Czekał, aż pojawi się głowa, ale przeciwnik ani drgnął. Pitt postanowił wypróbować wytrzymałość relingu, opuścił lufę o trzydzieści centymetrów i nacisnął spust.

Kula przebiła stare poszycie i trafiła przycupniętego po drugiej stronie najemnika w łydkę. Ale mężczyzna wcześniej zareagował na huk muszkietu i uniósł się z pistoletem maszynowym, by otworzyć ogień. Trzy metry od niego jego kolega zrobił to samo.

Pitt dostrzegł przez czarną mgłę, jak obaj najemnicy wstają, i natychmiast dał nura do włazu. Ale kiedy się wycofywał, chwycił odruchowo pistolet ze szczebla drabiny. Gdy zniknął pod pokładem, wysunął rękę z bronią. Skierował lufę w stronę głowy bliższego przeciwnika i szybko nacisnął spust.

W tym samym momencie serie pocięły pokład wokół niego i zasypały go drzazgi. Usłyszał, że jeden automat umilkł, lecz drugi nadal terkotał. Pitt z lekkimi zawrotami głowy opuścił się na niższy pokład i spojrzał na Giordina, który właśnie zaczynał się wspinać na górę, uzbrojony w dwa pistolety z drewnianymi chwytami i strzelbę Purdey.

- Chyba trafiłem jednego - powiedział.

Giordino zatrzymał się w pół kroku i zauważył rosnącą kałużę krwi na pokładzie obok stóp Pitta.

- Dostałeś.

Pitt spojrział w dół, potem uniósł prawe ramię. Z rozdarcia w kształcie litery V na rękawie poniżej przedramienia kapłała krew. Ścisnął rękę, w której wciąż trzymał pistolet.

- Kość jest cała - odrzekł i zdjął wełniany płaszcz.

Giordino podszedł do Dirka i rozerwał rękaw jego swetra. Pocisk przeszedł przez przedramię, omijając jakimś cudem nerwy i kość. Giordino podarł szybko sweter Pitta na pasy, owinał je mocno wokół rany i nasunął z powrotem płaszcz.

- Naładuję broń - powiedział Pitt, jego pobladła twarz odzyskała normalny kolor. Zacisnął zęby i spojrział Giordinowi w oczy z błagalną determinacją. - Wykończ ich.

Zak pozostał ukryty za relingiem, kiedy jego ludzie wstali i nacisnęli spusty. Pod osłoną ognia podniósł się, przetoczył przez reling i przebiegł przez pokład do oblodzonego fokmasztu. Spojrzał ku rufie, ale nie było mowy, żeby mógł oddać czysty strzał do włazu, gdyż sterta lodu w śródkręciu tworzyła wysoką barierę.

Absurdalna sytuacja, pomyślał, nie móc pokonać facetów uzbrojonych w pukawki sprzed stu pięćdziesięciu lat. Podziwiał jednak ich spryt, którego brakowało ochroniarzom. Rozejrzał się za innym miejscem, skąd mógłby strzelić, ale ponieważ żadnego nie znalazł, poszukał wzrokiem wejścia pod pokład. Zauważył luk dziobowy, pokryty jednak półmetrową warstwą lodu, a na żaglowcu nie było zejściówki dziobowej. Spojrzał w górę i zobaczył, że fokmaszt jest przechylony. Jedna reja tkwiła w grani i odpychała go na sterburtę. Wokół podstawy ciężkiego masztu powstało półmetrowe pęknięcie w pokładzie, które otwierało drogę na dół.

Gdyby Zak się obejrzał, może zobaczyłby śmierć drugiego najemnika podczas wymiany ognia i ponownie rozważył swoje następne posunięcie. Ale już myślał z wyprzedzeniem. Schował glocka do kieszeni, opuścił się do dziury w pokładzie i opadł do ciemnego wnętrza poniżej.

Giordino wspiął się ostrożnie na szczyt drabiny i wyjrzał szybko zza krawędzi włazu. Na pokładzie panowała cisza, nie dostrzegł żadnego ruchu. Nagle usłyszał w pobliżu krzyk, ale nie na statku. Ze strzelbą gotową do strzału wyszedł z włazu i podkradł się do relingu.

Za burtą zobaczył dwa trupy leżące na wznak na lodzie. Najemnik nazwiskiem White, pierwsza ofiara, miał wciąż otwarte oczy i zakrwawioną pierś. W czole drugiego widniała duża dziura po ostatnim strzale Pitta. Giordino zauważył na plaży trzeciego mężczyznę, który wzywał głośno pomocy. Trzymał się za nogę i kuśtykał, zostawiając za sobą krwawy ślad.

Giordino usłyszał za sobą hałas. Odwrócił się i zobaczył, jak Pitt wyłania się niepewnie z włazu, z pistoletem w zdrowej ręce i muszkietem na ramieniu.

- Udało nam się ich pozbyć? - zapytał Dirk.

- Dzięki twojemu celnemu oku - odrzekł Giordino i wskazał dwóch martwych przeciwników za burtą. - Powiedziałbym, że wygrałeś dzisiejszy konkurs strzelecki.

Pitt popatrzył na zwłoki bez wielkich wyrzutów sumienia. Choć nie lubił zabijać, nie miał litości dla najemnych morderców, zwłaszcza współsprawców zatopienia „Narwhala”.

- Zdaje się, że na plaży są ich kolesie - powiedział. - Niedługo się tu zjawią.

Giordino skinął głową.

- Też tak myślę. - Spojrzał z niepokojem na zakrwawiony rękaw Pitta. - Bez obrazy, ale wolałbym, żeby ta stara łajba nie stała się moim osobistym Alamo.

- Uważasz, że większe szanse będziemy mieli w wąwozie?

- Myślę, że czas się stąd wynieść - zgodził się Giordino. - Mogą zaczekać do zmroku i dobrać się nam do skóry albo, co gorsza, podpalić to pudełko zapalek. Nie utrzymamy się tu długo z tymi pukawkami. Tamci na pewno będą rozważni i ostrożni, co da nam trochę czasu na wspięcie się na

wzgórzu. Możemy wziąć ze sobą broń i proch, żeby ich zniechęcić do pościgu. Miejmy nadzieję, że zrezygnują i pozwolą nam spokojnie zamarznąć na śmierć - dodał cierpko.

- Będziemy musieli zabrać coś jeszcze - zauważył Pitt. Giordino uśmiechnął się szeroko.

- Klucz do tej całej afery. Dziennik okrętowy.

Pitt tylko skinął głową w nadziei, że uda się znaleźć dziennik i że jego treść okaże się warta dotychczasowych poświęceń. Giordino ruszył do drabiny.

- Odpocznij. Poszukam go.

- Nie, ja pójdę - zaprotestował Pitt, masując ranne ramię. - Z tym okaleczonym skrzydłem nie będę mógł dobrze celować z długolufowej broni, jeśli pokażą się nasi znajomi. - Zdjął z ramienia muszkiet i przekazał go Giordinowi razem z pistoletem. - Idź i strzelaj celnie, zanim zobaczysz białka ich oczu.

Zszedł po drabinie, osłabiony z powodu upływu krwi. Przeszedł korytarzem ku rufie do kwater załogi w słabym świetle świec na grodzi, które wcześniej zapalił. W końcu zagłębił się w ciemność w niezbadanej dotąd części statku. Przeklinał siebie za to, że nie wziął lampy tranowej i już miał zawrócić, gdy dostrzegł na wprost nikły blask. Zrobił jeszcze kilka kroków naprzód i zobaczył chybottliwe światło u wylotu korytarza. Ani on, ani Giordino nie zostawili tam żadnej lampy.

Zbliżył się ostrożnie do „wielkiej kabiny”. W środku płonęła świeca, na przegrody padały długie czarne cienie. Podkrał się do wejścia i zajrzał do pomieszczenia.

Clay Zak podniósł wzrok zza dużego stołu pośrodku salonu oficerskiego i uśmiechnął się złowieszczo, jego zęby zalśniły w bursztynowym blasku.

- Zapraszam, panie Pitt - powiedział lodowato. - Czekałem na pana.

Dziesięć metrów od krawędzi pokrywy lodowej wąsata foka pluskała się w ciemnozielonej wodzie w poszukiwaniu zabłąkanego dorsza arktycznego. Szare zwierzę dostrzegło czarny obiekt wyłaniający się z morza i podpłynęło sprawdzić, co to jest. Gdy przycisnęło pysk do zimnego metalu, nie wykryło śladu pożywienia, więc odwróciło się i oddaliło.

Osiemnaście metrów pod powierzchnią komandor Barry Campbell zachichotał, kiedy zrobił zbliżenie foki. Skierował peryskop Type 18 na lodołamacz z czerwonym kadłubem ćwierć mili morskiej dalej i przyjrzał mu się uważnie. Potem odszedł od peryskopu i przywołał gestem Billa Stensetha, który stał niedaleko w ciasnej sterowni USS „Santa Fe”.

Stenseth z miejsca polubił energicznego kapitana okrętu podwodnego. Jasnowłosey, brodaty, skory do śmiechu Campbell przypominał Stensethowi Świętego Mikołaja w młodym wieku, jeszcze bez brzuszka i siwizny. Wesoły oficer z błyszczącymi oczami służył w marynarce wojennej od dwudziestu lat i działał zdecydowanie. Nie zawahał się, gdy Stenseth poprosił go, żeby przy użyciu sprzętu elektronicznego poszukał Pitta i Giordina oraz zaginionego „Bloodhonda”. Campbell natychmiast włączył sonar i poprowadził bojowy okręt podwodny na południe. Kiedy wykryli w pobliżu lodołamacz, komandor kazał zanurzyć okręt, żeby nie zdradzać jego obecności.

Stenseth podszedł do peryskopu i spojrzał przez podwójny okular. Zobaczył niezwykle wyraźne zbliżenie czerwonego statku. Gdy zbadał wzrokiem jego spłaszczony dziób, był zaskoczony, że uszkodzenie nie jest większe po uderzeniu z dużą szybkością w „Narwhala”.

- Tak, to on nas staranował - stwierdził rzeczowo. Z twarzą przyciśniętą do okularu ustawił ostrość na człowieka w czerni, który zbliżał się pieszo do statku. Kiedy prześledził jego drogę, wypatrzył kilku innych mężczyzn zgromadzonych na plaży. - Na brzegu jest paru ludzi - zwrócił się do Campbella. - Wyglądają na uzbrojonych.

- Tak, widziałem ich - odrzekł komandor. - Niech pan obróci peryskop w prawo o dziewięćdziesiąt stopni.

Kiedy Stenseth to robił, jaskrawożółty obiekt mignął mu w polu widzenia. Cofnął peryskop, wyostrzył obraz i poczuł ucisk w gardle. „Bloodhound” z otwartym włazem stał wbity dziobem w lód.

- To nasza łódź podwodna. Nasi koledzy, Pitt i Giordino, najwyraźniej zeszli na ląd - powiedział zaniepokojonym tonem. Wyprostował się i odwrócił twarzą do Campbella. - Panie komandorze, ludzie na tamtym lodołamaczu zatopili mój statek i próbowali posłać na dno załogę „Polar Dawna”. Zabiją Pitta i Giordina, jeśli jeszcze tego nie zrobili. Muszę pana poprosić o interwencję.

Campbell lekko zesztywniał.

- Panie kapitanie, wpłynęliśmy do Cieśniny Wiktorii w jasno określonym celu. Mieliśmy przeprowadzić akcję poszukiwawczo-ratowniczą. Dostałem wyraźne rozkazy. Nie wolno mi w żadnym wypadku wikłać się w walkę z kanadyjskimi siłami zbrojnymi. Podjęcie jakichkolwiek działań bojowych wymagałoby zgody naczelnego dowództwa, a decyzja przysłaby prawdopodobnie

za dwadzieścia cztery godziny. - Dowódca okrętu podwodnego westchnął ciężko, potem uśmiechnął się krzywo z błyskiem w oczach. - Ale z drugiej strony, jeśli powie mi pan, że dwóch naszych zaginęło, będę mógł zarządzić akcję poszukiwawczo-ratowniczą, bo takie mam zadanie.

Stenseth zrozumiał, w czym rzecz.

- Tak jest, uważam, że dwaj członkowie załogi „Narwhala” albo zostali uwięzieni na pokładzie lodołamacza, albo są na brzegu bez jedzenia, odpowiednich ubrań i schronienia i potrzebują naszej pomocy.

- Panie kapitanie, nie wiem, kim są ci ludzie, ale ani swoim wyglądem, ani zachowaniem nie przypominają oddziału kanadyjskich sił zbrojnych. Pójdziemy po pańskich chłopców z NUMA. I gwarantuję, że jeśli te typy się wtrąca to tego pożałują.

Nie było mowy, żeby Rick Roman pozwolił na to, by go pominięto. Choć jemu i jego komandosom dał się mocno we znaki pobyt w niewoli na barce, mieli rachunki do wyrównania. Kiedy się dowiedzieli, że drużyna SEAL wyrusza na poszukiwania Pitta i Giordina, Roman poprosił kapitana „Santa Fe” o włączenie ich do akcji. Campbell wiedział, że w drużynie SEAL brakuje ludzi, więc się zgodził. Ponadto pozwolił im wejść na pokład lodołamacza i przeszukać statek.

Po gorącym prysznicu, włożeniu suchego ubrania i dwóch posiłkach w mesie oficerskiej Roman niemal w pełni odzyskał formę. Stał w białym zimowym kombinezonie ze swoją drużyną i komandosami SEAL w mesie załogi.

- Myśleliście kiedykolwiek, że przeprowadzicie atak z atomowego okrętu podwodnego, sierżancie? - zapytał Bojorqueza.

- Nie, panie kapitanie. Jestem i zawsze będę szczurem lądowym. Choć po spróbowaniu żarcia, jakim karmią podwodniaków, zaczynam się zastanawiać, czy dobrze zrobiłem, wybierając służbę w wojskach lądowych.

Na pokładzie nad nimi, w sterowni, komandor Campbell podchodził zanurzonym „Santa Fe” do krawędzi pokrywy lodowej. Zauważył w pobliżu duże spiętrzenie lodu, które mogło ich zasłonić przed wzrokiem ludzi na lodołamaczu w oddali. Opuścił peryskop i patrzył, jak operator zanurzenia wprowadza okręt pod pak, a potem zatrzymuje go i unosi ku powierzchni.

Z niezwykłą precyzją kiosk „Santa Fe” przebił lód tak, że ledwo wystawał z wody. Drużyna Romana i dwóch komandosów SEAL szybko zeszli z mostka na przyległy pak. Pięć minut później kiosk i maszty zniknęły z widoku i okręt znów stał się duchem głębin.

Komandosi szybko się rozdzielili, dwaj żołnierze jednostki SEAL ruszyli obejrzeć „Bloodhonda”, Roman i jego ludzie zaczęli się skradać do lodołamacza. Od statku dzielił ich prawie kilometr płaskiej lodowej tafli, na której tylko gdzieś mogli się ukryć za jakimś grzbietem lub wypiętrzeniem. Ale w białych kombinezonach doskonale stapiali się z tłem. Roman zbliżył się do statku od strony morza, potem okrążył szerokim łukiem dziób, zmuszony do ominięcia pasa wody za rufą. Zauważył opuszczoną z lewej burty schodnię, doprowadził drużynę na odległość dwudziestu metrów od lodołamacza i ukryli się za niewielkim wzniesieniem. Po kilku pełnych niepokoju sekundach zobaczyli na stopniach dwóch mężczyzn w czarnych parkach, którzy zeszli na lód, ale skręcili w stronę brzegu, nawet nie zerknąwszy w ich kierunku.

Roman uznał, że kryjówka jest bezpieczna, usiadł i czekał na chłodnym wietrze smagającym ludzi leżących na brzuchach.

Marynarz pełniący wachtę na mostku „Otoka” zauważył to pierwszy.

- Panie kapitanie - zawołał - coś przebija lód z naszej lewej burty!

Usadowiony przy stole nawigacyjnym z kubkiem kawy, wyraźnie niezadowolony kapitan wstał i podszedł wolno do lewego okna sterówki w samą porę, by zobaczyć, jak masa lodu wielkości domu unosi się i kruszy, a dwie rury w szare cętki wyłaniają się z wody. Sekundę później czarny kroplowaty kształt kiosku „Santa Fe” wynurzył się z morza, rozpryskując odłamki lodu na wszystkie strony.

Bojowy okręt podwodny klasy Los Angeles o oznaczeniu 688-1 zmodyfikowano do operacji pod lodem. „Santa Fe” miał wzmocniony kadłub, kioski i maszty i mógł łatwo przebić metrową warstwę lodu. Wynurzając się pięćdziesiąt metrów od „Otoka”, okręt pokruszył pokrywę lodową całym kadłubem i na wodzie pojawił się wąski czarny pas stali o długości stu metrów.

Kapitan „Otoka” patrzył z niedowierzaniem na atomowy okręt podwodny, który nagle się ukazał. Ale jego zmysł zaczął gorączkowo pracować, gdy zobaczył, że z włazu dziobowego okrętu wypadają ubrani na białe ludzie z pistoletami maszynowymi. Niezbyt pocieszył go fakt, że uzbrojeni mężczyźni biegną w kierunku wyspy, a nie jego statku.

- Podnieść schodnię, szybko! - krzyknął do jednego z marynarzy. Odwrócił się do radiooperatora i warknął: - Wezwij całą ochronę, jaka jest na pokładzie.

Ale było już za późno. Drzwi skrzydła mostka otworzyły się gwałtownie i do środka wtargnęły trzy postacie w bieli. Zanim kapitan zdążył zareagować, miał wbity w bok lufę karabinu szturmowego. Z szokującym poczuciem przegranej podniósł ręce i spojrzał w brązowe oczy wysokiego mężczyzny z bronią.

- Skąd... skąd się tu wzięliście? - wyjąkał.

Rick Roman popatrzył na niego i uśmiechnął się zimno.

- Z lodówki, w której chciałeś posłać nas na dno.

Zak siedział wygodnie u szczytu masywnego drewnianego stołu na środku mesy oficerskiej. Lampa świecowa na blacie rzucała z boku chybotliwy blask na oprawioną w skórę księgę. Przed Zakiem piętrzył się stos szklanych płytek wielkości dużej pocztówki. Kilka centymetrów od jego prawej ręki leżał pistolet Glock.

- To dość niezwykły stary statek - stwierdził Zak. - Ze zbiorem interesującej dokumentacji.

- Mało brakowało, a „Erebus” pierwszy przepłynąłby Przejście Północno-Zachodnie, Clay - odrzekł Pitt.

Zak uniósł lekko brwi na dźwięk swojego imienia.

- Widzę, że odrobiłeś pracę domową. Chyba nie powinno mnie to dziwić. Dowiedziałem się, że jesteś sumiennym człowiekiem. I wytrwałym w pościgu.

Pitt patrzył na Zaka, wściekły na siebie, że nie wziął pistoletu skałkowego. Ranny w przedramię i nieuzbrojony był prawie bezradny. Być może, jeśli będzie grał na zwłokę, Giordino przyjdzie go poszukać ze strzelbą.

- Wiem o Clayu Zaku niestety tylko to, że jest kiepskim sprzątaczem i upodobał sobie mordowanie niewinnych ludzi - odparł lodowato Pitt.

- Upodobanie nie ma tu nic do rzeczy. To zawodowa konieczność, można by rzec.

- Dlaczego chcesz zdobyć ruten za wszelką cenę? - zapytał Pitt. Zak uśmiechnął się ponuro.

- Dla mnie to niewiele więcej niż lśniący metal. Ale jest bardzo dużo wart dla mojego szefa. I oczywiście ma strategiczne znaczenie dla twojego kraju. Jeśli nie dopuści się do wykorzystania tego minerału w waszych zakładach sztucznej fotosyntezy, mój pracodawca nadal będzie zbijał majątek. A gdyby położył rękę na źródle rutenu, zdobyłby jeszcze większą fortunę.

- Mitchell Goyette ma więcej pieniędzy, niż zdoła kiedykolwiek wydać. Ale jego patologiczna chciwość przeważa nad dobrem milionów ludzi na całym świecie.

- Jesteśmy sentymentalni? - roześmiał się Zak. - To oznaka słabości.

Pitt zignorował komentarz i nadal grał na zwłokę. Zak wydawał się nie zauważać, że strzelanina na gorze ucichła, albo go to nie obchodziło. Być może zakładał, że Giordino zginął.

- Szkoda, że źródło rutenu okazało się tylko mitem - powiedział Pitt. - Wygląda na to, że obaj trudziliśmy się na próżno.

- Przeszukałeś statek? Pitt przytaknął.

- Nic tu nie ma.

- Sprytnie wydedukowałeś, że ruda Inuitów pochodziła ze statku. Jak na to wpadłeś? Ja szukałem kopalni na wyspie.

- Informacje, które ukradłeś ze spółdzielni górniczej, odnosiły się do rudy nazywanej czarną kobluną. Nazwa i daty wskazywały na statek Franklina „Erebus”, ale przyjąłem błędne założenie - skłamał Pitt.

- A tak, tamta żalosna spółdzielnia górnicza. Najwyraźniej dostali cały ruten, jaki był na

pokładzie. A był tutaj.

Zak utkwił w Pitcie świdrujące spojrzenie. Wziął jedną ze szklanych płytek i pchnął przez stół. Pitt złapał ją i uniósł do światła. Trzymał w ręku dagerotyp, obraz uzyskany najdawniejszą techniką fotograficzną na srebrzonej miedzianej powierzchni i umieszczony w szkłe dla ochrony. Przypomniawsobiesobie wzmiankę Perlmuttera o tym, że Franklin miał pierwowzór aparatu fotograficznego w czasie ekspedycji. Dagerotyp pokazywał, jak grupa marynarzy „Erebusa” wciąga na pokład kilka ciężkich worków, jakby wypchanych kamieniami. Za statkiem rozciągał się pokryty lodem teren, co świadczyło o tym, że rudę załadowano gdzieś w Arktyce.

- Miałeś całkowitą rację - rzekł Zak. - Ruda była na statku. Pozostaje pytanie, gdzie ją wydobyto. - Poklepał księgę na stole, wyraźnie zadowolony z siebie. - Kapitan był na tyle uprzejmy, że zostawił na pokładzie dziennik okrętowy. W środku powinien być wpis, skąd się wziął ruten. Ile twoim zdaniem warta jest ta księga, Pitt? Miliard dolarów?

Pitt pokręcił głową.

- Na pewno nie jest warta istnień ludzkich, które już kosztowała.

- Ani istnień ludzkich, które jeszcze będzie kosztowała? - zadrwił Zak z krzywym uśmiechem.

Na zewnątrz nagle wybuchła strzelanina. Ale serie terkotały dziwnie daleko. Z tak dużej odległości na pewno nikt nie prowadził ognia do żaglowca, tym bardziej że arsenał Giordina na pokładzie milczał. Rozlegały się dwa inne odgłosy, co wskazywało na różne typy broni. Gdzieś na łodzi toczyła się walka między nieznanymi przeciwnikami.

W słabym świetle Pitt dostrzegł lekki niepokój na twarzy Zaka. Giordino wciąż się nie zjawiał, ale Pitt wreszcie ułożył alternatywny plan działania. Choć czuł się słaby z powodu upływu krwi, wiedział, że nie może zwlekać. Mógłby nie mieć drugiej szansy.

Cofnął się kawałek i opuścił szklaną płytkę, jakby przyglądał się jej uważnie. Potem odrzucił ją niedbale Zakowi, a przynajmniej starał się, żeby to wyglądało na niedbały gest. Zamiast jednak puścić dagerotyp po stole, posłał go mocno w powietrze kilka centymetrów nad blatem. I nie celował w Zaka, lecz w lampę świecową na środku stołu.

Ciężka płytka roztrzaskała bok lampy i wokół rozprysło się szkło. Ale co ważniejsze, dagerotyp trafił w knot świecy i zgasił niski płomień. Mesa natychmiast pograżyła się w ciemności.

Kiedy szklana płytka uderzyła w lampę, Pitt już opadał na jedno kolano za końcem stołu. Zak nie był jednak głupi. Chwycił pistolet, zanim zgasła lampa. Uniósł szybko broń i strzelił w kierunku przeciwległego krańca stołu.

Pocisk przeszedł bez szkód nad głową Pitta, który zignorował strzał, oparł dłonie na dwóch krótkich nogach stołu i zaczął pchać mebel w stronę Zaka. Zabójca nacisnął spust jeszcze dwa razy, usiłując trafić Pitta w błyskach z lufy. Kiedy się zorientował, że Pitt przysuwa do niego stół, wpakował kulę w koniec blatu i jednocześnie spróbował wstać. Kiepsko wycelował i zbyt wolno się podniósł.

Kilka pocisków trafiło w blat centymetry od głowy Pitta, ale żaden nie przebił grubego mahoni. Zasłonięty twardym drewnem Dirk nabierał rozpędu. Pchał nogi stołu z całej siły i parł naprzód, nie zważając na ból w ramieniu i zawroty głowy.

Przeciwległa krawędź blatu uderzyła Zaka w tors i rzuciła z powrotem na krzesło. Zanim zdążył zerwać się z miejsca, stos szklanych płytek spadł na niego i uniemożliwił mu prowadzenie ognia. Pitt nadal pchał swój prostokątny taran, który teraz przesuwiał Zaka w tył razem z krzesłem. Oba meble przebyły kilkadziesiąt centymetrów, po czym tylne nogi krzesła zawadziły o nierówną deskę pokładu

i się zatrzymały. Stół, wciąż w ruchu, przewrócił Zaka na plecy. Zabójca runął na pokład, strzelając z glocka w blat.

Pitt usłyszał hałas, ale tylko przez moment widział w błysku z lufy leżącego Zaka. Był teraz wystawiony na jego ogień pod stołem, lecz nie zawahał się, gdy zabójca znów nacisnął spust. Wbił bark w spód blatu, a stopy w pokład i resztką sił dźwignął stół. Przechylił go i przygniótł Zakowi nogi krawędzią blatu. Prawie udało mu się przewrócić ciężki mebel, gdy lewe kolano ugięło się pod nim. Leżący na plecach Zak oddał trzy strzały na ślepo pod stołem i oswobodził nogi. Dwa pociski zagwizdały nieszkodliwie obok Pitta, ale trzeci utkwiał w jego udzie. Dirk stracił równowagę, przeniósł szybko ciężar ciała na prawą nogę i oparł się o stół.

O sekundę za późno. Zak podniósł się na kolana i pchnął stół, co spowodowało, że Pitt zmienił pozycję. Kiedy masywny mebel zaczął się przechylać, Zak wstał i odepchnął go na bok.

Pozbawiony nagle oparcia, Dirk został odrzucony razem ze stołem i wpadł na szafki z książkami na rufie. Brzęk tłuczonych szyb wypełnił ciemne pomieszczenie, kiedy uderzył w oszklone drzwi biblioteczki. Upadł na pokład, stół zwalił się na niego z głuchym łomotem. Mebel roztrzaskał po drodze pół tuzina szafek z książkami i kaskady tomów, półek oraz szkła posypały się na przewrócony stół.

Zak stał w pobliżu, dyszał ciężko i celował z pistoletu w mebel. Wyteżał słuch, ale nie mógł złowić uchem żadnego dźwięku. Przygnięciony Pitt nie jęczał i się nie ruszał. Kiedy jego wzrok przyzwyczał się do ciemności, zabójca dostrzegł niewyraźnie nogi wystające spod stołu. Pomacał pokład wokół własnych stóp i natrafił dłońmi na ciężki dziennik okrętowy. Przycisnął go do piersi, ruszył ostrożnie w kierunku oświetlonego przejścia i odszedł wolno korytarzem, nie oglądając się za siebie.

Na górnym pokładzie Giordino miał swoje kłopoty. Po długiej przerwie w akcji wypatrzył trzech nowych przeciwników skradających się u podnóża wąwozu. Kiedy kuczał przy relingu i czekał na okazję do oddania czystego strzału, ktoś otworzył ogień gdzieś na lodzie. Wzniesienie i mgła zasłaniały widok, więc Al nie mógł się zorientować, kto strzela, ale zauważył, że nie robi to wrażenia na trzech mężczyznach, którzy nadal posuwają się w kierunku statku. Pozwolił im podejść bliżej, podniósł się z muszkietem i wypalił do pierwszego z nich. Mężczyzna zdołał paść na ziemię, Giordino chybił i pocisk tylko rozdarł parkę. Atakujący dostali nauczkę i zaczęli osłaniać się wzajemnie ogniem w czasie natarcia. Giordino przemieszczał się wzdłuż relingu, wstawał, strzelał z różnych miejsc i chował się przed nadlatującymi pociskami. Ranił jednego przeciwnika w nogę, zanim dwaj pozostali zbliżyli się do statku pod ogniem.

Kiedy lufa ostatniego z naładowanych muszkietów była pusta, Giordino musiał się wycofać do włazu. Zastanawiał się, dlaczego Pitt tak długo nie wraca. Skoncentrowany na odpieraniu ataku, nie słyszał strzałów pod pokładem w mesie.

- Dirk, trzeba naładować muszkiety! - krzyknął w głąb statku, ale nie otrzymał odpowiedzi. Wycelował ze strzelby w reling, potem przygotował dwa pistolety skałkowe, opierając je na kolanach. Jeszcze kilka strzałów i będzie bezbronny, chyba że Pitt zaraz się zjawi.

Obok podstawy drabiny wysoka postać przebrnęła przez masę starej broni leżącej na pokładzie i popatrzyła w górę. Giordino siedział trzy metry wyżej na dwóch ostatnich szczeblach ze wzrokiem utkwionym w relingu. Nawet gdyby spojrział w dół, pewnie nie zauważyłby Zaka, który przyglądał mu się ze słabo oświetlonego niższego pokładu. Zabójca zastanawiał się, czy nie zostawić Giordina swoim ochroniarzom, ale uznał, że będzie lepiej, jeśli sam go zabije. Przełożył dziennik okrętowy do lewej ręki, rozstawił nogi, uniósł glocka i wycelował w Giordina.

Nie usłyszał stawianych z wysiłkiem kroków w korytarzu za nim. Ale drgnął, kiedy za jego plecami rozległ się głośny ostrzegawczy okrzyk, zanim zdążył nacisnąć spust.

- Al!

Zak się odwrócił. Nie wierzył własnym oczom. Pięć metrów od niego stał pod latarnią świecową Dirk Pitt, który wyglądał jak śmierć. Twarz miał pokaleczoną odłamkami szkła, na jego czole lśnił paskudny purpurowy siniak. Prawy rękaw i lewa nogawka były mokre od krwi, w przejściu za nim ciągnął się czerwony ślad. Pitt nie trzymał żadnej broni i opierał ciężar ciała na zdrowej nodze z grymasem bólu na twarzy. Ale choć ranny i wykończony, patrzył na przeciwnika wyzywająco.

- Będiesz następny - wycedził Zak i znów skupił uwagę na mężczyźnie powyżej, który odpowiedział na wołanie Pitta, ale nadal nie wiedział, jaka jest sytuacja na dole. Clay wycelował pistolet w Giordina drugi raz, ale rozproszył go jasny błysk szybujący ku niemu. Odwrócił się do Pitta i zobaczył, że ten cisnął w niego lampą świecową. Słaby rzut, pomyślał, gdy pocisk nie doleciał do celu. Popatrzył na Dirka i pokręcił głową z drwiącym uśmiechem, kiedy lampa roztrzaskała się

przy jego stopach.

Ale rzut nie był słaby. Pitt trafił dokładnie tam, gdzie zamierzał, kilka centymetrów od baryłki prochu, którego używali do muszkietów. Podczas pospiesznego ładowania broni rozsypywali go po pokładzie u podstawy drabiny. Proch zajął się natychmiast od rozbitej lampy wśród dymu i iskier. Zabójca cofnął się odruchowo, nie wiedząc, że zbliżył się do baryłki. Moment później dotarł do niej płomień spalającego się na pokładzie prochu i nastąpiła eksplozja.

Statek się zakołysał, dym i ogień buchnęły z włazu. Pitt upadł, płonące szczątki posypały się na niego, ale ochronił go gruby wełniany płaszcz. W uszach mu dzwoniło, gdy czekał przez kilka minut, aż dym się rozwieje. Wstał i dokuśtykał do drabiny, kaszląc od ostrego zapachu w powietrzu. Boczne grodzie runęły, wybuch zrobił wielką dziurę w pokładzie, ale inne zniszczenia były stosunkowo nieduże.

Pitt zauważył leżący obok dziury but, w którym tkwiła stopa. Spojrzał i zobaczył jej właściciela.

Zmasakrowane ciało Claya Zaka zwisało z drabiny głową w dół, jego otwarte niewidzące oczy patrzyły w przestrzeń. Pitt podszedł bliżej i przyjrzał się zabójcy bez współczucia.

- Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie - powiedział do trupa i podniósł wzrok na zadymiony otwór włazu powyżej.

Siła eksplozji poderwała Giordina z ostatnich szczebli drabiny i rzuciła na pokład trzy metry od wylazu. Płomienie przypaliły mu ubranie, płuca go piekły, ciało miał poranione drzazgami i posiniaczone, ale przetrwał wybuch w jednym kawałku. Kiedy gęsta chmura czarnego dymu odpłynęła znad statku, otrząsnął się z zamroczenia. W głowie mu łupało, w uszach dzwoniło, gdy przetaczał się z wysiłkiem na bok. Starł brud z oczu i zeszywniał na widok przeciwnika w czerni, który wyjrzał zza relingu.

Giordino stracił broń podczas eksplozji i najemnik od razu to zauważył. Podniósł się bez obawy, stanął przy relingu i spokojnie wycelował automat w Giordina.

Seria była krótka, zaledwie cztery czy pięć strzałów, które Al ledwo usłyszał przez dzwoniące w uszach. Zobaczył za to skutki. Pociski nie podziurawiły ani jego, ani pokładu wokół niego, tylko strzelca. Krew buchnęła mu z ust, osunął się wolno pod reling i spadł na oblodzony grunt.

Giordino patrzył na to oniemiały, kiedy zaterkotały następne serie. Inna postać pojawiła się przy relingu, uzbrojona tak jak poprzednia, i też wzięła go na cel. Ale ten strzelec był ubrany na biało i całą twarz zasłaniały mu kominiarka i gogle ochronne. Drugi mężczyzna w bieli dołączył do niego, obaj przeszli przez reling i skierowali się w stronę Giordina, trzymając go na muszce.

Al był zbyt skoncentrowany na zbliżających się mężczyznach, by zauważyć trzeciego przy relingu. Tamten spojrział przez pokład i krzyknął coś do dwóch pierwszych. Giordinowi wciąż dzwoniło w uszach, więc dopiero po chwili rozróżnił słowa.

- Niech pan powstrzyma swoją kawalerię, poruczniku! - zawołał znajomy głos z teksańskim akcentem. - Ten gość to jeden z naszych.

Dwaj komandosi Navy SEAL z „Santa Fe” przystanęli, ale nie opuścili broni, dopóki Jack Dahlgren nie podbiegł do Giordina. Złapał go za rękaw staromodnego wełnianego płaszcza i pomógł mu wstać. Nie mógł się powstrzymać i zapytał:

- Zaciągnąłeś się do Królewskiej Marynarki Wojennej?

- Trochę zmarzliśmy, kiedy gdzieś przepadłeś, zamiast wyłowić nas z morza - zdołał odpowiedzieć, oszołomiony pojawieniem się Dahlgrena.

- Gdzie jest Dirk?

- Był pod pokładem. Tam, gdzie nastąpiła eksplozja - odrzekł Giordino z zaniepokojoną miną.

Krzywiąc się z bólu, wyminął Dahlgrena, dowlóknął się do krawędzi wylazu i spojrział w dół. Kilkadziesiąt centymetrów poniżej zobaczył na szczeblach drabiny przypalone, dymiące zwłoki czarnowłosego mężczyzny. Zamknął oczy. Upłynęła prawie minuta, zanim znów je otworzył, mając już wokół siebie Dahlgrena i komandosów SEAL. Zajrzał jeszcze raz pod pokład, gdzie nagle zajaśniało chybotliwe światło. Zakrwawiony, zmaltretowany Pitt ukazał się wolno w polu widzenia u podstawy drabiny i podniósł wzrok na przyjaciela. W ramionach ścisnął trochę przypaloną księgę w skórzanej oprawie.

- Ma ktoś latarkę? - zapytał ze zbolalym uśmiechem.

Pitta i Giordina zabrano natychmiast na „Santa Fe” i zaprowadzono do okrętowej izby chorych. Mimo że Pitt stracił dużo krwi, obrażenia nie zagrażały jego życiu i szybko opatrzono mu rany. Choć lekarz okrętowy kazał mu zostać w łóżku, Dirk znalazł jakąś laskę i kuśtykał po okręcie godzinę później, witając się z załogą „Narwhala”. Kiedy utykając, wszedł z Giordinem do mesy oficerskiej, zastał tam trzech kapitanów, Campbella, Murdocka i Stensetha, usadowionych przy stole i rozmawiających o lodołamaczu.

- Wy dwaj nie powinniście być w łóżkach? - zagadnął Stenseth.

- Będziemy mieli mnóstwo czasu na sen w drodze powrotnej do domu - odrzekł Pitt.

Kapitan pomógł mu usiąść na krześle, Campbell przyniósł kawę i rozpoczęli opowieści o ostatnich wydarzeniach.

- Rzucaliście monetę, kto poprowadzi lodołamacz? - spytał Giordino chwilę później.

- Weszliśmy na pokład tylko po to, żeby was odszukać - odparł Campbell. - Nie miałem zamiaru konfiskować statku, ale ci dżentelmeni wyjaśnili mi szczegółowo jego rolę w porwaniu załogi „Polar Dawna” i zatopieniu „Narwhala”.

- Powinien pan wiedzieć coś jeszcze - powiedział Pitt. - Al? Giordino opowiedział o warstwie szarej farby i częściowo widocznym białym numerze 54 na kadłubie lodołamacza.

- Założę się o każde pieniądze, że to on rozwalił kanadyjską stację arktyczną, zamaskowany jako fregata naszej marynarki wojennej - dodał.

Campbell pokręcił głową.

- Ci ludzie to jacyś szaleńcy. Są bliscy wywołania III wojny światowej. Chyba nie mamy innego wyjścia niż odstawić ten statek jak najszybciej do jakiegoś amerykańskiego portu.

- Pływa pod kanadyjską banderą więc nie powinno być żadnego problemu z przeprowadzeniem go przez przejście - zauważył Pitt.

- I macie dwóch kapitanów, którzy chętnie się tego podejmą - odgadł Stenseth, a Murdock mu przytaknął.

Campbell się uśmiechnął.

- Więc zabawimy się w piratów. Popłyniemy do Anchorage. Będę waszym podwodnym aniołem stróżem na wypadek jakichś kłopotów. - Rozejrzał się po małej mesie. - Szczerze mówiąc, zrobił się tutaj duży tłok.

- Zabierzemy stąd obie nasze załogi - odrzekł Murdock i wskazał ruchem głowy Stensetha. - Kapitan Roman zameldował, że na lodołamaczu jest mnóstwo pustych koi.

- Al i ja z przyjemnością się tam przeniesiemy - oznajmił Pitt. - Al ma klaustrofobię, a ja zaległości w czytaniu.

- Zatem wszystko jest ustalone - potwierdził Campbell. - Przerzucę połowę mojej drużyny SEAL na lodołamacz do pomocy w ochronie i możemy ruszać w drogę.

Trzej kapitanowie przeprosili i poszli zorganizować załogi, Pitt i Giordino dopili kawę. Al oparł się wygodnie na krześle i spojrzał w górę z szerokim uśmiechem.

- Z czego się tak cieszysz? - zapytał Pitt.

- Słyszałeś, co powiedział komandor - odrzekł Giordino. - Płyniemy do Anchorage. Do Anchorage na Alasce - powtórzył czule. - Na południe od koła podbiegunowego. Czy kiedykolwiek nazwa jakiegoś miejsca brzmiała tak ciepło i zachęcająco? - spytał z uśmiechem zadowolenia.

B-2 Spirit był w powietrzu od ponad pięciu godzin. Zbudowany w technologii stealth, bombowiec w kształcie szerokiego klina wystartował z Bazy Sił Powietrznych Whiteman w Missouri na zachód. Ale osiemset kilometrów od wybrzeża Pacyfiku czarno-szara maszyna przypominająca ogromną płaszczkę skręciła na północny wschód w stronę stanu Waszyngton.

- AC-016 na kursie zero siedem osiem - powiedział dowódca bombowca z miękkim akcentem z Karoliny. - Jest dokładnie o czasie.

- Mam go - odrzekł pilot.

Przesunął przepustnice czterech silników turboodrzutowych, by zwiększyć ich ciąg, przechylił B-2, nadał mu właściwy kierunek i zbliżył się do małego białego celu widocznego przez szybę kokpitu. Zadowolony z pozycji maszyny, cofnął przepustnice, żeby dostosować prędkość do samolotu lecącego przed nim.

Niecałe pół kilometra z przodu i trzysta metrów niżej leciał boeing 777 linii lotniczych Air Canada, który wracał do Toronto z Hongkongu. Piloci rejsowego samolotu udławiliby się, gdyby wiedzieli, że wprowadzają do kanadyjskiej przestrzeni powietrznej bombowiec za miliard dolarów, który siedzi im na ogonie.

Załoga prawie niewidzialnego dla radaru B-2 nie musiała się chować w cieniu boeinga, żeby wykonać zadanie. Ale przy podwyższonej gotowości bojowej po obu stronach granicy woleli nie ryzykować. Bombowiec trzymał się za odrzutowcem pasażerskim nad Vancouver, Kolumbią Brytyjską i częścią Alberta. Mniej więcej osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Calgary kanadyjski samolot skręcił lekko na południowy wschód. B-2 pozostał na swoim kursie, potem odbił ostro na północny wschód.

Jego celem była baza Kanadyjskich Sił Powietrznych w Cold Lake w Albercie, jedna z dwóch, gdzie stacjonowały myśliwce F-18. Na lotnisko wojskowe miało spaść siedem dwustudwudziestopięciokilogramowych naprowadzanych laserem bomb, by zniszczyć lub uszkodzić jak najwięcej maszyn przy jak najmniejszej liczbie ofiar. Ponieważ rząd kanadyjski nie zareagował na amerykańskie żądania w ciągu dwudziestu czterech godzin, prezydent postanowił zredukować o połowę zasięg proponowanego przez Pentagon pierwszego uderzenia i przeprowadzić atak na jeden obiekt wojskowy.

- Osiem minut do celu - oznajmił dowódca B-2. - Uzbrajam bomby. Kiedy wprowadzał polecenia do komputera, pilna wiadomość radiowa napłynęła nagle do słuchawek lotników.

- Śmierć-52, Śmierć-52, tu dowództwo - powiedział nieoczekiwanie głos z Whiteman. - Masz rozkaz przerwać wykonywanie zadania. Powtarzam, zadanie odwołane. Potwierdź, odbiór.

Dowódca bombowca potwierdził przyjęcie rozkazu i natychmiast zdezaktywował uzbrojenie B-2. Pilot zmienił kurs i poleciał z powrotem nad Pacyfik, a potem wyznaczył trasę do macierzystej bazy lotniczej.

- Jeszcze chwila i byłoby za późno - odezwał się po chwili.

- Mnie to mówisz? - odparł dowódca bombowca z wyraźną ulgą w głosie. - Pierwszy raz jestem zadowolony z odwołania zadania. - Popatrzył na Góry Skaliste po kanadyjskiej stronie granicy, przesuwanie się pod skrzydłami samolotu i dodał: - Mam tylko nadzieję, że nikt się nie dowie, jak mało brakowało.

Bill Stenseth posłuchał basowego dudnienia potężnych silników turbogazowych lodołamacza, potem skinął głową sternikowi „Narwhala”, że może ruszać. Kiedy duży statek zaczął wolno torować sobie drogę przez lód, Stenseth wyszedł na zmrożone skrzydło mostka i zsalutował przyjaźnie „Santa Fe”, który wciąż tkwił w pobliżu. Stojący na szczycie kiosku komandor Campbell odwzajemnił gest, potem przygotował swój okręt do powrotu w głębiny.

„Otok” skręcił, dotarł przez lód do łodzi podwodnej NUMA i zatrzymał się przy niej. Dwaj marynarze zeszli na lód i przyczepili linę dźwigu do „Bloodhonda”. Duży żuraw obrotowy uniósł łódź i postawił ją w ciasnej przestrzeni na pokładzie rufowym lodołamacza.

W sąsiedniej nieogrzewanej nadbudówce magazynowej ułożono ciała Claya Zaka i jego martwych najemników, umieszczone w prowizorycznych brezentowych workach na zwłoki.

Niedaleko na pokrywie lodowej niedźwiedź polarny wyglądał zza wzniesienia i obserwował operację. Ten sam niedźwiedź, którego o mało nie obudził Giordino, stał i patrzył z rozdrażnieniem na intruzów, w końcu się odwrócił i poczłapał po lodzie poszukać pożywienia.

Kiedy „Bloodhound” został zabezpieczony, lodołamacz ruszył i wydostał się na otwarte wody ku wielkiej uldze Stensetha. Popłynęli na zachód przez Zatokę Królowej Maud i dalej w kierunku Morza Beauforta. „Santa Fe” zniknął pod lodem i trzymał się około mili morskiej za „Otokiem”. Stenseth byłby zaskoczony, gdyby się dowiedział, że zanim opuścili kanadyjskie wody, eskortowały ich po cichu trzy amerykańskie okręty podwodne, a wysoko w powietrzu czuwała eskadra samolotów patrolowych dalekiego zasięgu.

Podobnie jak Murdock cieszył się, że może dowodzić nowym statkiem. Wśród załogi znajdowali się ludzie z „Narwhala” i większość marynarzy z „Polar Dawna”, więc miał dobrych pomocników. Byłą załogę lodołamacza trzymano bezpiecznie pod pokładem, gdzie pilnowali jej komandosi SEAL z „Santa Fe” i żołnierze Ricka Romana. Prawie wszyscy chcieli wrócić do domu lodołamaczem, żeby wynagrodzić sobie to, co wycierpieli z rąk jego marynarzy.

Kiedy statek zostawił za sobą lód morski, Stenseth odwrócił się do hałaśliwego zgromadzenia za jego plecami. Przy stole nawigacyjnym Pitt z obandażowaną nogą opartą na składanym krześle pił kawę w towarzystwie Giordina i Dahlgrena. Zakładali się, co zawiera gruba księga w skórzanej oprawie, leżąca na środku blatu.

- Zamierzacie wreszcie zobaczyć, co jest w dzienniku okrętowym „Erebusa”, czy nadal będziecie trzymać mnie w niepewności? - zapytał ich Stenseth.

- Już się robi, kapitanie - odrzekł Giordino, który podobnie jak Pitt miał opatrunki na twarzy, i delikatnie podsunął księgę Pittowi. - Tobie należy się ten zaszczyt.

Pitt spojrział z nadzieją na dziennik okrętowy „Erebusa”, oprawiony w ręcznie wytłoczoną skórę, na którego okładce widniała kula ziemiska. Księga niewiele ucierpiała podczas wybuchu na żaglowcu, nosiła tylko kilka śladów nadpalenia. Zak trzymał dziennik przed sobą, gdy nastąpiła

eksplozja baryłki prochu, i nieświadomie ochronił księgę własnym ciałem. Pitt znalazł ją na szczeblu drabiny obok zmasakrowanych zwłok zabójcy.

Otworzył wolno dziennik i spojrzał na pierwszy wpis.

- Budujesz napięcie? - spytał Stenseth.

- Dalej, szefie - przynaglił Dahlgren.

- Wiedziałem, że powinienem ją trzymać w mojej kabinie - odparł Pitt.

Pod wpływem wścibskich spojrzeń i niekończących się pytań zrezygnował z przejrzenia dziennika w porządku chronologicznym i przeszedł do ostatniego wpisu.

- „21 kwietnia 1848 - przeczytał głośno, kiedy pozostali ucichli. - Z żalem muszę dziś opuścić „Erebusa”. Część załogi pozostaje w stanie szaleństwa i zagraża oficerom oraz innym marynarzom. Podejrzewam, że za sprawą tego twardego srebra, choć nie wiem dlaczego. Z jedenastoma zdrowymi ludźmi zaokrętuje się na „Terrora”, po czym zaczekam na wiosenną odwilż. Niech Wszechmogący zlituje się nad nami i tymi chorymi nieszczęśnikami, którzy zostają. Kapitan James Fitzjames”.

- Twarde srebro - powiedział Giordino. - To musiał być ruten.

- Ale dlaczego powodował u ludzi obłęd? - zapytał Dahlgren.

- Nie powinien - odrzekł Pitt. - Choć pewien stary poszukiwacz minerałów opowiadał mi o podobnym przypadku szaleństwa, o który obwiniano ruten. Załoga „Erebusa” cierpiała na zatrucia łożem i jadem kiełbasianym z konserw, miała skorbut oraz odmrożenia i przeżyła trzy ciężkie zimy, uwięziona w lodzie. To wszystko mogło się skumulować.

- Zdaje się, że decyzja Fitzjamesa o opuszczeniu statku okazała się niefortunna - zauważył Giordino.

Pitt przytaknął.

- „Terrora” zgniół lód, więc zapewne uważali, że to samo stanie się z „Erebusem”, i dlatego postanowili zejść na ląd. Ale statek jakimś cudem przetrwał uwięziony w lodzie i najwyraźniej wpadł potem na brzeg.

Pitt przejrzał dziennik wstecz i przeczytał głośno wpisy z poprzednich tygodni i miesięcy. Przygnębiająca historia szybko uciszyła niecierpliwą grupkę na mostku. Fitzjames z tragicznymi szczegółami zrelacjonował podjętą przez Franklina próbę przebycia Cieśniny Wiktorii w ostatnich dniach lata 1846 roku. Pogoda szybko się pogorszyła i oba statki utknęły w lodzie morskim daleko od lądu. Nadeszła druga zima w Arktyce, Franklin zachorował i zmarł. W tym czasie niektórzy marynarze zaczęli zdradzać oznaki obłędu. Co ciekawe, odnotowano, że takie wypadki nie miały miejsca na pokładzie bliźniaczego „Terrora”.

Szaleństwo i agresja części załogi „Erebusa” nasilały się, aż w końcu Fitzjames był zmuszony wycofać się ze zdrowymi marynarzami na „Terrora”.

Wcześniejsze wpisy okazały się rutynowe, więc Pitt przerzucał strony, dopóki nie natrafił na długi tekst o twardej srebrze.

- To chyba to - powiedział cicho, gdy wszyscy na mostku stłoczyli się blisko i patrzyli na niego w milczeniu. - „27 sierpnia 1845 roku. Pozycja 74 36 212 północ, 92 17 432 zachód. U wybrzeży wyspy Devon. Morze spokojne, trochę płaskiego lodu, wiatr zachodni o prędkości pięciu węzłów. Płyniemy przez cieśninę Lancaster przed „Terrorem”, gdy o godzinie 9.00 obserwator zauważa żagiel. O 11.00 podchodzi do nas statek wielorybiczny „Governess Sarah” z Kapsztadu w Afryce Południowej, dowodzony przez kapitana Emlyna Browna, który melduje, że na skutek uszkodzeń

spowodowanych przez lód zmuszeni byli wejść do cieśniny na kilka tygodni, lecz dokonali już napraw. Załozie kończy się prowiant. Zaopatrujemy ich w beczkę mąki, dwadzieścia dwa kilogramy solonej wieprzowiny, niewielki zapas konserw mięsnych i 1/4 baryłki rumu. Wielu marynarzy „G.S.” ma dziwny sposób bycia i zachowuje się ordynarnie. Z wdzięczności za prowiant kapitan Brown daje nam dziesięć worków „twardego srebra”. Twierdzi, że ta niezwykła ruda wydobyta w Afryce Południowej doskonale zatrzymuje ciepło. Załoga statku zaczyna podgrzewać wiadra rudy na kuchni w kambuzie i stawiać je pod kojami na noc. Efekty są dobre. Jutro wpływamy do cieśniny Barrow”.

Pitt skończył i podniósł głowę. Wyraz zawodu malował się na twarzach mężczyzn wokół niego. Giordino odezwał się pierwszy.

- Afryka Południowa - powtórzył powoli. - Worek, który znaleźliśmy w ładowni. Był na nim napis: „Bushveld, Afryka Południowa”. Niestety to potwierdza relację.

- Może nadal wydobywają tę rudę w Afryce? - podsunął Dahlgren.

Pitt pokręcił głową.

- Powinienem pamiętać tę nazwę. To była jedna z kopalń, które sprawdzał Yaeger. Złoże wyczerpało się jakieś czterdzieści lat temu.

- Więc w Arktyce nie zostało ani trochę rutenu - powiedział ponuro Stenseth.

- Nie - odparł Pitt z przygnębioną miną i zamknął dziennik okrętowy. - Tak jak Franklin, podążaliśmy zimnym i zabójczym przejściem donikąd.

Choć Mitchell Goyette nie był niewolnikiem przyzwyczajęń, miał jedno, którym zwracał na siebie uwagę. Kiedy przebywał w Vancouver, jadał co piątek lunch w Victoria Club, ekskluzywnym prywatnym klubie golfowym wśród wzgórz na północ od miasta. Z bogato zdobionego budynku klubu przy polu golfowym z osiemnastoma dołkami rozciągał się wspaniały widok na port. Goyette ubiegał się w młodości o przyjęcie do klubu, ale należące do wyższych sfer wyniosłe towarzystwo bezwarunkowo odrzuciło jego wnioski. Zemścił się lata później, gdy nabył pole golfowe i klub przy okazji dużego zakupu ziemi. Wyrzucił wszystkich starych członków i otworzył drzwi prywatnego klubu dla bankierów, polityków i innych wpływowych ludzi, których mógł wykorzystać do powiększenia swojego majątku. Kiedy nie załatwiał interesów, relaksował się przy lunchu z trzema martini w towarzystwie jednej ze swoich przyjaciółek w narożnym boksie z widokiem na port.

Dokładnie za pięć dwunasta w południe maybach Goyette'a z szoferem za kierownicą zatrzymał się przed strzeżoną bramą główną i został wpuszczony na teren klubu. Dwie przecznice dalej mężczyzna w białej furgonetce zaczekał, aż maybach wjedzie do środka, i uruchomił silnik. Samochód dostawczy z magnetycznym logo dystrybutora środków czyszczących Columbia Janitorial Supply na boku podjechał do bramy, kierowca w czapce bejsbolowej i ciemnych okularach opuścił boczną szybę i wystawił clipboard z przypiętym zamówieniem.

- Dostawa dla klubu - oznajmił znudzonym głosem. Ochroniarz zerknął na dokument i bez czytania go oddał clipboard.

- W porządku - powiedział. - Wejście służbowe jest na prawo. Trevor Miller uśmiechnął się lekko i rzucił clipboard z fałszywym zamówieniem na siedzenie pasażera.

- Miłego dnia - powiedział do ochroniarza i ruszył drogą dojazdową. Trevor nigdy nie przypuszczał, że nadejdzie dzień, kiedy odbierze komuś życie. Skłoniła go do tego śmierć brata i innych niezliczonych ofiar chciwości Goyette'a. Wiedział, że zabójstwa, podobnie jak postępująca dewastacja środowiska naturalnego, się nie skończą. Firmy Goyette'a mogły zostać ukarane, ale on sam zawsze będzie chroniony przez skorumpowanych polityków i wysoko opłacanych adwokatów. Trevor zdawał sobie sprawę, że system jest bezradny, więc postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Kto nadawał się lepiej do wymierzenia sprawiedliwości niż niepozorny pracownik państwowy, który nie wzbudzał podejrzeń i miał niewiele do stracenia?

Skreślił na tyły kuchni klubu i zaparkował obok ciężarówki, która przywiozła świeże warzywa. Otworzył tylne drzwi furgonetki, wyjął wózek i załadował na niego cztery ciężkie pudła. Wtoczył wózek na zaplecze budynku, gdzie podszedł do niego pulchny szef kuchni.

- Dostawa środków czystości - wyjaśnił Trevor, gdy mężczyzna zastąpił mu drogę.

- Chyba była w zeszłym tygodniu - odrzekł zdziwiony szef. Potem wskazał Trevorowi uchylne drzwi z boku zaplecza. - Łazienki są za tymi drzwiami na lewo, a schowek prosto - powiedział. - Kierownik powinien być na stanowisku rezerwacji. Może pan wziąć podpis od niego.

Trevor skinął głową i poszedł z kuchni krótkim korytarzem prowadzącym do toalet. Zajrzał do

męskiej łazienki bez okien, wycofał się i zaczekał, aż wyjdzie stamtąd członek klubu w złocistej koszulce polo. Wjechał wózkiem do środka, postawił pudła na desce sedesowej w ostatniej kabynie i zamknął drzwi. Wrócił do furgonetki, przewiózł cicho cztery następne kartony i umieścił je pod tylną ścianą. Wyjął z jednego pudła mały grzejnik elektryczny i wetknął wtyczkę do gniazdka pod umywalką, ale nie włączył piecyka. Potem przesunął jeden karton na środek toalety i wspiął się na pudło jak na stołek. Sięgnął w górę i wykręcił przez warstwę papierowych ręczników połowę żarówek pod sufitem. Kiedy w łazience zapadł półmrok, zlokalizował jedyny wylot przewodu klimatyzacyjnego, zamknął go dźwigienkami i zakleił taśmą samoprzylepną.

Zadowolony ze swojego dzieła wszedł do kabiny, zdjął czapkę i rozsunał zamek błyskawiczny roboczego kombinezonu. Pod spodem miał jedwabną koszulę i ciemne luźne spodnie. Wyciągnął z otwartego kartonu niebieską kurtkę sportową oraz eleganckie półbuty i włożył je szybko. Przejrzał się w lustrze i uznał, że może uchodzić za członka lub gościa klubu. Zgolił wcześniej rzadką brodę, ostrzygł krótko włosy, ufarbował je na czarno i zaczesał do tyłu. Teraz włożył modne okulary i poszedł do klubowego baru.

Bar i sąsiednia restauracja były zatłoczone biznesmenami i przesadnie wystrojonymi golfistami jedzącymi lunch. Trevor dostrzegł Goyette'a w narożnym boksie i usiadł przy barze, skąd dobrze widział potentata.

- Co dla pana? - zapytała atrakcyjna barmanka z czarnymi krótkimi włosami.

- Molsona poproszę. I mogłaby pani zanieść jeden panu Goyette'owi? - Trevor wskazał róg sali.

- Oczywiście. Mam mu coś przekazać?

- Tylko ukłony od Royal Bank of Canada.

Trevor obserwował, jak kobieta podaje Goyette'owi piwo, i był wdzięczny, kiedy miliarder nie zareagował, nawet nie spojrzął w kierunku baru. Sączył już drugie martini i wypił piwo, gdy przyniesiono mu lunch. Trevor czekał, aż Goyette i jego przyjaciółka zaczną jeść, potem wrócił do toalety.

Przytrzymał drzwi starszemu mężczyźnie, który wychodził, narzekając na marne oświetlenie, potem przyczepił zewnątrz tekturową tabliczkę z napisem: „Awaria. Proszę korzystać z toalety w budynku klubu”. Wszedł do środka, rozciągnął żółtą taśmę ostrzegawczą w poprzek pisuarów i włożył rękawice. Z nożem w ręku przeszedł od pudła do pudła, rozciął je i wysypał zawartość na podłogę. Z każdego kartonu wypadły cztery pięciokilogramowe bloki przemysłowego suchego lodu, zamrożonego dwutlenku węgla, zapakowane w plastikową folię. Trevor spłaszczył pudła, wcisnął je do kabiny, ułożył suchy lód wokół łazienki i rozdarł folię. Z bloków natychmiast zaczęła się unosić para, ale przykrył je kartonami, żeby spowolnić topnienie. Zobaczył z ulgą, że w słabym świetle para jest ledwo widoczna.

Spojrzał na zegarek, szybko postawił przy drzwiach małą skrzynkę narzędziową i położył obok swoją czapkę i kombinezon. W blasku latarki ołówkowej poluzował śrubokrętem wewnętrzną klamkę tak, że ledwo się trzymała. Wrzucił narzędzia do skrzynki, otworzył ostrożnie drzwi i poszedł z powrotem do baru.

Goyette już prawie skończył lunch, ale Trevor usiadł i zamówił niedbale drugie piwo, nie spuszczając z oka swojej ofiary. Rechoczący głośno miliarder zachowywał się dokładnie tak, jak Trevor się spodziewał - prostacko, samolubnie i arogancko. Przypominał pacjenta szpitala psychiatrycznego z głęboko zakorzenionym brakiem pewności siebie. Trevor patrzył na niego i walczył z pokusą, by podejść i wbić mu nóż w ucho.

Potentat wreszcie odsunął talerz i wstał od stolika. Trevor natychmiast zostawił kilka banknotów dla barmanki i pobiegł korytarzem. Zerwał z drzwi toalety tabliczkę uprzedzającą o awarii, dał nura do środka, wciągnął kombinezon i ledwo zdążył włożyć czapkę, kiedy wszedł Goyette. Przemysłowiec spojrzał na Trevora w roboczym stroju i zmarszczył gniewnie brwi.

- Co tu tak ciemno? - warknął. - I skąd leci ta para? - Wskazał obłok w głębi łazienki.

- Nieszczelna instalacja hydrauliczna - odparł Trevor. - Kondensacja. I przeciek pewnie zrobił zwarcie w oprawkach kilku lamp.

- Trzeba to naprawić - burknął Goyette.

- Oczywiście. Właśnie zaczynam.

Obserwował, jak Goyette patrzy na zagrodzone taśmą pisuary, a potem wchodzi do pierwszej kabiny. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Trevor podszedł do grzejnika elektrycznego, włączył go i ustawił na maksimum. Potem zdjął spłaszczony tekturowy pudła z suchego lodu i rozsunął kilka bloków. Temperatura w pomieszczeniu prędko rosła i pary przybywało.

Trevor wrócił do skrzynki narzędziowej, otworzył ją i wyjął z niej śrubokręt oraz gumowy klin ze sznurkiem przywiązany do wąskiego końca. Uchylił drzwi na kilka centymetrów i zablokował je klinem. Potem całkowicie odkręcił wewnętrzną klamkę i wrzucił ją do skrzynki.

Odwrócił się twarzą do toalety, poczuł ciepło i jednocześnie zobaczył kłęby dwutlenku węgla. Usłyszał, jak Goyette zapina suwak spodni, i zawołał:

- Panie Goyette?

- Tak? - odezwał się rozdrażniony głos. - O co chodzi?

- Steve Miller przesyła pozdrowienia.

Trevor podszedł do wyjścia, zgasił światło i roztrzaskał plastikowy włącznik dnem skrzynki. Wysunął się na zewnątrz, przyklęknął, wyjął klin spod drzwi, umieścił go wewnątrz łazienki i przeciągnął sznurek pod drzwiami. Pozwolił, by się zamknęły, i szarpnął sznurek, żeby gumowy klin zablokował je od środka.

Kiedy z powrotem przyczepiał do drzwi tabliczkę z napisem „Awaria”, usłyszał przekleństwa Goyette’a w toalecie. Uśmiechnął się szeroko, wziął skrzynkę narzędziową i wyszedł przez kuchnię. Kilka minut później był już poza terenem klubu w drodze do lokalnej wypożyczalni samochodów w sąsiednim Surrey.

Suchy lód ma temperaturę sublimacji minus siedemdziesiąt osiem stopni Celsjusza i przechodzi bezpośrednio w stan lotny w temperaturze pokojowej. Dwieście osiemdziesiąt kilogramów suchego lodu w łazience szybko zaczęło parować, gdy piecyk elektryczny ogrzał zamkniętą przestrzeń do trzydziestu dwóch stopni. Goyette kręcił się po omacku w ciemnym pomieszczeniu i przy każdym oddechu czuł w płucach zimną wilgoć. Z coraz silniejszymi zawrotami głowy dotarł na oślep do drzwi i sięgnął lewą ręką do włącznika światła, a prawą do klamki. Z nagłym przerażeniem stwierdził, że nie ma ani jednego, ani drugiego. Próbował daremnie otworzyć drzwi palcami, w końcu zaczął walić pięściami w grube drewno i wrzeszczeć, żeby ktoś go wypuścił. Dostał kaszlu, kiedy powietrze ochłodziło się i zgęstniało, i wpadł w panikę, gdy zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak.

Upłynęło kilka minut, zanim pomocnik kelnera usłyszał jego krzyki i zorientował się, że drzwi są zablokowane od wewnątrz, i następne dwadzieścia, zanim wezwany konserwator z narzędziami wyważył drzwi z zawiasów. Zgromadzony tłum doznał szoku, kiedy z toalety buchnęła biała para i za progiem znaleziono martwe ciało Goyette’a.

Tydzień później biuro koronera okręgowego w Vancouver opublikowało raport z autopsji, który stwierdzał, że miliarder zmarł na skutek uduszenia dwutlenkiem węgla.

- Nazywano to kiedyś „duszącą wilgocią” - powiedział dziennikarzom stary patolog na konferencji prasowej. - Nie zetknąłem się z takim przypadkiem od lat.

Prawie stu przedstawiciele mediów, z czego ponad połowa z kanadyjskiej prasy, potrącało się i rozpychało na nabrzeżu Straży Przybrzeżnej w Anchorage, kiedy „Otok” pojawił się w porcie. Duży lodołamacz zbliżał się powoli, by reporterzy mogli sfotografować jego zgnieciony dziób i kilka kolorów farby; w końcu przycumował za kutrem Straży Przybrzeżnej o nazwie „Mustang”.

Biały Dom i Pentagon nie zwlekały z rozładowaniem napięcia między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą. Pominięto kanały dyplomatyczne i zrobiono to publicznie. Zorganizowano konferencje prasowe, na których ujawniono rolę „Otoka”, zamaskowanego jako amerykański okręt wojenny „Ford”, w zniszczeniu kanadyjskiej stacji arktycznej. Powiększone kolorowe zdjęcia jego kadłuba, zrobione przez załogę „Santa Fe”, pokazywały szary podkład i numer 54 ukryte pod warstwą czerwonej farby. Przedstawiono nawet naoczego świadka, który zeznał, że widział, jak w środku nocy do suchego doku w pobliżu Kugluktuk, należącego do Goyette’a, wpłynął szary statek, a po kilku dniach wypłynął czerwony.

Prasa z zapalem fotografowała kapitana i załogę lodołamacza, kiedy sprowadzano ich pod strażą ze statku i lokowano w tymczasowym areszcie, skąd mieli być później zabrani przez Kanadyjską Królewską Policję Konną. Natychmiast rozeszła się informacja, że zatrzymani marynarze przyznali się do zniszczenia stacji arktycznej i porwania załogi „Polar Dawna”.

Kapitan Murdock i jego podwładni spotkali się potem z dziennikarzami, którzy byli zaszokowani, kiedy usłyszeli o ich uwięzieniu w Kugluktuk i ciężkich przeżyciach na barce. Roman i Stenseth odpowiadali na zmianę na pytania, dopóki reporterzy nie zaczęli znikać, żeby przekazać ich relacje. Po kilku godzinach dziennikarze śledczy zaczęli tłumnie przybywać do firmy Terra Green, by zapoznać się z korupcyjną działalnością Mitchella Goyette’a w Arktyce.

Prasy już dawno nie było, kiedy utykający Pitt zszedł ze statku, wsparty na kuli inwalidzkiej. Towarzyszył mu Giordino, który niósł dwa małe worki marynarskie i dziennik okrętowy „Erebusa”. Gdy doszli do końca nabrzeża, zatrzymał się przed nimi ciemnoszary lincoln navigator z czarnymi szybami. Ta od strony kierowcy opuściła się odrobinę i krótko ostrzyżony mężczyzna z byczym karkiem utkwiał w mężczyznach nieruchomy wzrok.

- Wiceprezydent zaprasza do tyłu - oznajmił bez powitania.

Pitt i Giordino wymienili zaniepokojone spojrzenia, potem Pitt otworzył tylne drzwi, wrzucił do środka kulę i wsiadł, a Giordino zrobił to samo z drugiej strony. Sandecker z grubym cygarem w ustach popatrzył na nich z przedniego siedzenia.

- Pan admirał, co za niespodzianka - odezwał się Giordino ze swoim zwykłym sarkazmem. - Nie trzeba było się fatygować, mogliśmy wziąć taksówkę na lotnisko.

- Chciałem właśnie powiedzieć, że cieszę się, że widzę was żywych, kawalarze, ale chyba to przemyśle - odparł Sandecker.

- Miło pana widzieć, admirał - rzekł Pitt. - Nie spodziewaliśmy się tu pana.

- Obiecałem Loren i prezydentowi, że dostarczę was do domu w jednym kawałku.

Skinął głową kierowcy, który wyjechał z bazy Straży Przybrzeżnej i skierował się przez miasto do międzynarodowego portu lotniczego.

- Obiecał pan prezydentowi? - zapytał Giordino.

- Tak. Dostało mi się, kiedy usłyszał, że „Narwhal” z dyrektorem NUMA na pokładzie został zatopiony pośrodku Przejścia Północno-Zachodniego.

- Przy okazji, dzięki za przysłanie w porę „Santa Fe” - odezwał się Pitt. - To oni uratowali nasze zadki.

- Mieliśmy szczęście, że akurat byli w północnej części Arktyki i mogli szybko do was dotrzeć. Ale prezydent dobrze wie, że załoga „Polar Dawna” zginęłaby, gdybyście nie przyszli jej z pomocą.

- To Dahlgrenowi i Stensethowi należą się podziękowania za uratowanie załogi „Polar Dawna” - odrzekł Pitt.

- Co ważniejsze, rozszyfrowaliście ten podstęp z lodołamaczem. Nie macie pojęcia, jak mało brakowało do wojny z Kanadą. Prezydent słusznie jest wam wdzięczny za to, że zapobiegliście bardzo poważnemu kryzysowi.

- Więc powinien co najmniej zafundować nam nowy statek - odparł Giordino.

Lincoln przejechał mokrymi od deszczu ulicami przez Anchorage i skręcił za parkiem Delaney, szerokim zadrzewionym pasem trawy, który kiedyś służył miastu za lotnisko. Międzynarodowy port lotniczy zbudowano później na płaskim terenie na południowy zachód od śródmieścia.

- Jak poszły konferencje prasowe? - zapytał Pitt.

- Tak, jak mieliśmy nadzieję. Kanadyjskie media rzuciły się na tę historię. Już pędzą na wyścigi do Ottawy, żeby przemaglować premiera w sprawie jego nieprawdziwych wypowiedzi o incydentach w Arktyce. Barrett i jego partia nie będą mieli innego wyjścia niż wypić piwo, którego nawarzyli, i wycofać oskarżenia pod naszym adresem.

- Mam nadzieję, że Mitchell Goyette beknie za wszystko - powiedział Giordino.

- Niestety już na to za późno - stwierdził Sandecker.

- Jak to? - zapytał Giordino.

- Znalezione go wczoraj martwego w Vancouver. Stracił życie w tajemniczych okolicznościach.

- Sprawiedliwości stało się zadość - stwierdził cicho Pitt.

- CIA zadziałała tak szybko? - zdziwił się Giordino. Sandecker zmiażdżył go wzrokiem.

- Nie mieliśmy z tym nic wspólnego. - Odwrócił się z powrotem do Pitta z zaniepokojoną miną. -

Znalazłeś ruten?

Pitt pokręcił głową.

- Al ma tutaj dziennik okrętowy „Erebusa”. Ruten Franklina istniał naprawdę, ale pochodził z wymiany handlowej z południowoafrykańskim statkiem wielorybniczym. W Arktyce nie ma źródła rutenu, a złoża w Afryce Południowej wyczerpały się lata temu. Niestety wracamy z pustymi rękami.

W samochodzie zapadło długie milczenie.

- No cóż - odezwał się w końcu Sandecker. - Będziemy po prostu musieli poszukać innego wyjścia. Ale przynajmniej znalazłeś Franklina - dodał - i wyjaśniłeś zagadkę sprzed stu sześćdziesięciu pięciu lat.

- Mam tylko nadzieję, że on też wróci wreszcie do domu - odrzekł z powagą Pitt, patrząc na odległe szczyty gór Chugach, gdy Lincoln podjeżdżał do samolotu wiceprezydenta.

Śmierć Mitchella Goyette'a nie uciszyła medialnej burzy szalejącej wokół jego imperium. Wielu dziennikarzy zajmujących się ekologią odkryło już, że zakład sekwestracji dwutlenku węgla w Kitimat wypuszczał gaz do morza, co omal nie doprowadziło do tragedii na statku wycieczkowym wracającym z Alaski. W obiekcie zaroilo się od śledczych z Ministerstwa Środowiska Naturalnego, którzy zamknęli zakład i usunęli stamtąd personel, gdy wniesiono oskarżenia przeciwko Terra Green. Choć zajęło to kilka tygodni, zbiornikowiec służący firmie do pozbywania się dwutlenku węgla wytropiono ostatecznie w pewnej singapurskiej stoczni. Lokalne władze skonfiskowały statek Goyette'a.

Niedozwolone praktyki potentata stały się tematem dnia w amerykańskich i kanadyjskich serwisach informacyjnych. Wkrótce wyszło na jaw policyjne śledztwo w sprawie wieloletniego korumpowania przez Goyette'a wysoko postawionych osób w celu uzyskiwania praw górniczych. Dzięki temu, że minister zasobów naturalnych Jameson miał zapewnioną nietykalność, zaczęły wypływać obciążające szczegóły. Ujawniono kilka wysokich przelewów na konto premiera, łapówek od Goyette'a za umożliwianie mu budowy zakładów sekwestracji dwutlenku węgla w całej Kanadzie. Trop finansowy prowadził do tuzinów innych ciemnych interesów, które Goyette robił z Barrettem, by wspólnie z nim czerpać korzyści z eksploatacji bogactw naturalnych kraju.

Liderzy opozycji szybko wykorzystali przeciwko premierowi wiadomości w mediach i dochodzenia. Krytykowany już wcześniej za bezpodstawne obwinianie Amerykanów o incydenty w Arktyce, oskarżony teraz o korupcję i całkowicie pozbawiony poparcia, Barrett ustąpił ze stanowiska kilka tygodni później wraz z większością członków swojego gabinetu. Potępiany publicznie był premier latami odpierał zarzuty przed sądem, w końcu uniknął wyroku skazującego dzięki umowie między obroną i oskarżeniem. Ze złą reputacją odszedł szybko w zapomnienie.

Terra Green Industries Goyette'a spotkał podobny los. Śledczy rozpracowali jego plan zmonopolizowania górnictwa i transportu w Arktyce, który zakładał wyeliminowanie Amerykanów i zdobycie odpowiednich licencji za łapówki. Ukarana kilkusetmilionowymi grzywnami za dewastację środowiska, prywatna firma znalazła się pod sekwestrem sądowym. Część jej majątku, łącznie ze zbiornikowcem do transportu ciekłego gazu ziemnego, klubem golfowym i jachtem, sprzedano na publicznej licytacji.

Większość zakładów energetycznych i flotyllę statków nabył rząd do użytkowania po kosztach własnych. Jeden lodołamacz i barki wydzierżawiono bankowi żywności non profit za symbolicznego dolara rocznie. Barki przerzucono do Zatoki Hudsona, skąd transportowały nadwyżki pszenicy z Manitoby do głodujących regionów Afryki Wschodniej. Wśród statków Terra Green analitycy odkryli mały kontenerowiec o nazwie „Alberta”. Zespół bystrych śledczych Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej dowiódł, że to ten statek z nazwą przemalowaną na „Atlanta” staranował kuter patrolowy Straży Przybrzeżnej „Harp” w cieśninie Lancaster. Podobnie jak załoga „Otoka”, marynarze z „Alberty” zeznali przed sądem, że wykonywali bezpośrednie rozkazy Mitchella

Goyette'a.

Gdy władzę w Kanadzie przejęli politycy o umiarkowanych poglądach, stosunki ze Stanami Zjednoczonymi szybko się ociepliły. „Polar Dawna” zwrócono dyskretnie Amerykanom wraz z niewielkim wynagrodzeniem dla załogi. Zniesiono zakaz żeglugi amerykańskich statków Przejściem Północno-Zachodnim i wkrótce potem podpisano porozumienie obronne. Dokument stwierdzał, że dla wspólnego bezpieczeństwa Kanada bezterminowo gwarantuje amerykańskim okrętom wojennym swobodny tranzyt przejściem. Ważniejsze dla prezydenta było otwarcie przez kanadyjski rząd dostępu do złóż gazu ziemnego w Cieśninie Melville'a. Po kilku miesiącach duże ilości gazu płynęły bez zakłóceń do Stanów Zjednoczonych, co szybko łagodziło skutki kryzysu ekonomicznego, do którego doprowadził wzrost ceny ropy.

Za kulisami FBI i Kanadyjska Królewska Policja Konna otworzyły wspólnie akta Claya Zaka. Łatwo ustalono, że to on wysadził w powietrze laboratorium na Uniwersytecie imienia Jerzego Waszyngtona i kopalnię cynku w Arktyce, ale z innymi przestępstwami, które mu przypisywano, sprawa była trudniejsza. Nie udało się go powiązać ze śmiercią Elizabeth Finlay w Victorii. Podejrzewano jednak, że przyłożył rękę do niewyjaśnionych zgonów tuzina znanych przeciwników Mitchella Goyette'a. Mimo że Zak spoczywał już w zbiorowej mogile na cmentarzu w północnym Vancouver, śledczy jeszcze przez lata badali jego zbrodniczą działalność.

Jedynym współnikiem Goyette'a, który spadł na cztery łapy, był minister zasobów naturalnych Arthur Jameson. Choć należał do głównych postaci afery korupcyjnej, wzbudził niezrozumiałe podziw opinii publicznej. Goyette'em tak pogardzano, mimo jego śmierci, że na przewinienia Jamesona przymykano oczy, gdyż to on ujawnił całą sprawę i dostarczył dowodów.

Po ustąpieniu ze stanowiska ministra Jameson przyjął propozycję objęcia posady rektora renomowanego prywatnego college'u w Ontario, gdzie wykładał etykę. Zdobył wysoką pozycję, gdy w końcu zapomniano o jego grzechach, i wkrótce prowadził skromne życie nauczyciela akademickiego. Tylko jego czworo dzieci przypomniało sobie o przeszłości ojca, kiedy po ukończeniu trzydziestu pięciu lat każde z nich odziedziczyło dziesięć milionów dolarów na rachunku powierniczym na Kajmanach.

Co do samego Goyette'a, to niewielu mu współczuło, że stracił życie. Jego łapówkarstwo, brak moralności, chciwość i całkowite lekceważenie wpływu własnych przedsięwzięć na środowisko naturalne wywoływały ogólną niechęć. Podzielała ją nawet Kanadyjska Królewska Policja Konna, która przeprowadziła tylko pobieżne śledztwo w sprawie jego zgonu. Władze wiedziały, że zabójca Goyette'a stałby się bohaterem, więc oficjalnie uznały śmierć miliardera za wypadek. Ludzie szybko przestali się interesować zdarzeniem, a policja po cichu analizowała bardzo niewiele istniejących śladów i niekończącą się listę wrogów, która uniemożliwiała rozwiązanie zagadki. Sprawę wkrótce zamknięto, bo nikomu nie zależało na jej wyjaśnieniu.

Elitarny poczet sztandarowy Królewskiej Marynarki Wojennej zniósł trumnę z ciemnego drewna po schodach klasycystycznej kaplicy anglikańskiej i postawił ją ostrożnie na ozdobnej dziewiętnastowiecznej lawecie armatniej. Mowa pogrzebowa trwała długo, gdyż zgodnie ze zwyczajem podczas takiej oficjalnej uroczystości głos musieli zabrać premier, księżę Walii i inni notable. Panował patriotyczny nastrój, ale bez osobistego sentymentu, jako że nikt z żyjących nie znał zmarłego.

Wspaniały pogrzeb sir Johna Alexandra Franklina podnosił na duchu. Odnalezienie jego ciała na pokładzie „Erebusa” rozbudziło w Brytyjczykach nostalgię i przypomniało im o czasach chwały, gdy Wellington panował na lądzie, a Nelson rządził na morzach. Dokonania Franklina w Arktyce, dla współczesnych pokoleń jedynie zapomniana wzmianka historyczna, zafascynowały nagle opinię publiczną i ludzie chcieli wiedzieć więcej.

Ogólne zainteresowanie wywarło presję na archeologów i specjalistów w dziedzinie medycyny sądowej, którzy dostali zadanie zbadania statku i wydobywania zwłok. Pracując na okrągło, wyjaśnili dwie kluczowe tajemnice, jeszcze zanim ciało Franklina przetransportowano do Londynu i wystawiono na widok publiczny w Opactwie Westminsterskim.

Choć do jego śmierci w wieku sześćdziesięciu jeden lat przyczyniły się różne dolegliwości, naukowcy uznali, że najbardziej prawdopodobną przyczyną zgonu była gruźlica, której łatwo mógł się nabawić zimą w ciasnym wnętrzu statku. Bardziej intrygujące okazało się odkrycie, dlaczego duża część załogi „Erebusa” popadła w obłęd. Na podstawie relacji w dzienniku okrętowym, który Pitt przesłał brytyjskim władzom, naukowcy zrobili analizę próbki rutenu znalezionej w kajucie kapitańskiej. Ustalili, że południowoafrykańska ruda zawierała dużo rtęci. Po podgrzaniu na kuchni w wiadrach i basenach dla chorych wydzielala toksyczne opary gromadzące się w kambuzie i kwaterach załogi. Podobnie jak dużo później narkotyki, rtęć powodowała uszkodzenia układu nerwowego i wywoływała reakcje psychotyczne u marynarzy wystawionych przez miesiące na jej działanie.

Mnóstwo tragicznych zdarzeń potęgowało dramatyzm tej historii i ludzie przyszli tłumnie pożegnać Franklina. W dniu jego pogrzebu musiano zamknąć bramy starego rozległego cmentarza Kensal Green na zachód od Londynu, gdy zgromadziło się tam trzydzieści tysięcy osób.

Był upalny i parny letni dzień, zupełnie inny niż w Arktyce, gdzie zmarł Franklin. Ciągnięty wolno przez konie jaszcz oddalał się z turkotem od kaplicy, podkowy czarnych klaczy rasy szajr stukały głośno na bruku alei. Laweta, za którą podążał długi kondukt pogrzebowy, toczyła się wolno w kierunku ustronnej części cmentarza ocienionej wysokimi kasztanowcami. Woźnica zatrzymał się przy rodzinnej kwaterze z otwartą bramą. Świeżo wykopana mogiła czekała obok grobu z tablicą: „Lady Jane Franklin, 1792 - 1875”.

Ukochana żona Franklina bardziej niż ktokolwiek inny starała się odnaleźć zaginionych członków ekspedycji. Nie szczędziła wysiłków i kosztów i osobiście wyekwipowała pięć wypraw

ratunkowych do Arktyki. Pierwsze poszukiwania jej męża i jego statków nie przyniosły rezultatów, podobnie jak prowadzone przez rząd brytyjski. Dopiero inny badacz Arktyki, Francis McClintock, ustalił ostatecznie, jaki los spotkał Franklina. Płynąc jachtem parowym „Fox” w imieniu lady Franklin, natrafił na ważne pozostałości po ekspedycji i notkę na Wyspie Króla Williama, informującą o śmierci Franklina w 1847 roku i opuszczeniu przez załogi statków uwięzionych w lodzie.

Minęło sto sześćdziesiąt osiem lat od chwili, gdy John Franklin pocałował żonę na pożegnanie na brzegu Tamizy, ale wreszcie do niej powrócił.

Byłby szczęśliwy jeszcze z jednego powodu, kiedy położono go na wieczny spoczynek obok Jane. Gdy fregata Królewskiej Marynarki Wojennej wzięła na pokład trumnę z jego zwłokami wydobytą z „Erebusa”, popłynęła do Londynu długą okrężną drogą przez Cieśninę Beringa, Pacyfik i Kanał Panamski.

Skoro nie za życia, to przynajmniej po śmierci sir Franklin przebył w końcu Przejście Północno-Zachodnie.

Pitt patrzył przez okno swojego gabinetu na Potomac daleko w dole, jego myśli płynęły bez celu jak nurt rzeki.

Od powrotu z Arktyki był nie w sosie, trochę zły i zawiedziony. Wiedział, że częściowo z powodu ran. Noga i ramię goiły się dobrze i lekarze mówili, że całkowicie wróci do zdrowia. Choć rzadko dokuczał mu ból, irytowała go utrata sprawności. Dawno przestał używać kuli inwalidzkiej, ale czasami nadal potrzebował laski. Giordino dostarczył mu wersję z ukrytą w środku buteleczką tequili. Loren też wkroczyła do akcji i przy każdej sposobności pielęgnowała go niczym Florence Nightingale. Ale coś go gnębiło.

Przegrana, wiedział o tym. Nie przywykł do porażek. Ruten mógł zmienić świat, a on go nie zdobył. Czuł się tak, jakby rozczarował nie tylko Lisę Lane, lecz wszystkich ludzi na Ziemi. Oczywiście nie z własnej winy. Trzymał się wskazówek, gdy je znajdował, i niczego nie zrobiłby inaczej. Najlepsi geolodzy ze wszystkich agencji rządowych szukali już nowych źródeł rutenu, ale na razie nic nie wróżyło sukcesu.

Tym razem instynkt go zawiódł, co wywołało u niego zwątpienie. Może za długo w tym siedzi. Może czas przekazać pałeczkę młodszemu pokoleniu. Może powinien wrócić z Loren na Hawaje i spędzać czas na nurkowaniu z harpunem.

Spróbował ukryć melancholię, gdy rozległo się pukanie do drzwi, i zawołał do gościa, żeby wszedł.

Drzwi otworzyły się gwałtownie - Giordino, Gunn i Dahlgren wmaszerowali do gabinetu jak do siebie. Każdy z nich tłumił uśmiech i Pitt zauważył, że wszyscy chowają coś za plecami.

- Kogo ja widzę, Trzej Mędrcy. A raczej mądrale, w tym wypadku - powiedział.
 - Masz chwilę? - zagadnął Gunn. - Chcemy się z tobą czymś podzielić.
 - Jestem do waszej dyspozycji - odrzekł Pitt, dokuśtykał do biurka i usiadł. Popatrzył na nich podejrzliwie i zapytał: - Co tam ukrywacie?

Dahlgren wyjął zza siebie komplet plastikowych kubków.

- Po prostu pomyśleliśmy, że można by się napić - wyjaśnił. Giordino pokazał butelkę szampana, którą trzymał z tyłu.

- Mnie osobiście też suszy - dodał.

- Nikt wam nie mówił, jakie przepisy odnośnie do alkoholu obowiązują w budynkach rządowych? - upomniął ich Pitt.

- Nie przypominam sobie nic takiego - odparł Giordino. - A ty, Jack? Wiesz coś o tym?

Dahlgren zrobił głupią minę i pokręcił głową. Pitt stracił cierpliwość do tej groteski.

- Dobra, o co chodzi? - zapytał.

- To właściwie robota Jacka - powiedział Gunn. - Bo poniekąd uratował sytuację.

Giordino wyszczerzył do niego zęby.

- To znaczy, twój tyłek.

Zerwał cynfolię z szyjki butelki, wypchnął korek, chwycił kubki i nalał wszystkim szampana.

- Sprawa sprowadza się do skały - spróbował wytłumaczyć Gunn.

- Do skały... - powtórzył Pitt z rosnącą podejrzliwością.

- Do jednej z próbek z otworu termalnego - wtrącił Giordino - który zlokalizowaliśmy u wybrzeży Alaski tuż przed katastrofą w kanadyjskiej stacji arktycznej. Włożyliśmy wszystkie próbki skał do torby i Rudi miał je zabrać tutaj do centrali do analizy. Ale zostawił torbę na „Narwhalu” w Tuktoyaktuk.

- Pamiętam tę torbę - odrzekł Pitt. - Zawsze się o nią potykałem, kiedy wchodziłem na mostek.

- Ja też - mruknął Dahlgren.

- I co się z nią stało? - spytał Pitt.

- Leży razem z „Narwhalem” na dnie Cieśniny Wiktorii - odparł Giordino.

- I dlatego pijemy szampana?

- Nie, zdaje się, że nasz dobry kumpel Jack znalazł jakiś odłamek w kieszeni po powrocie do domu - wyjaśnił Gunn.

Dahlgren uśmiechnął się szeroko.

- Nie jestem klepto, słowo honoru. Potknąłem się o tamtą torbę, skały się wysypały, podniosłem jedną ot tak, i wsadziłem do kieszeni. Całkiem o niej zapomniałem i dopiero jak się przebierałem na „Santa Fe”, zobaczyłem, że ją mam. Pomyślałem, że lepiej ją zatrzymam.

- Bardzo mądra decyzja - pochwalił go Gunn.

- Zaniósłem ją w zeszłym tygodniu do naszego laboratorium geologicznego do zbadania i dziś rano dostałem od nich telefon, że już są wyniki.

Gunn wyjął próbkę skały i przesunął przez biurko do Pitta. Pitt wziął ją do ręki i dokładnie obejrzał. Była ciężka i miała matowosrebrzysty kolor. Serce zaczęło mu bić szybciej, gdy przypomniał sobie próbkę rudy o takich samych cechach, którą dostał od starego geologa w spółdzielni górniczej.

- Nie wygląda mi to na złoto - powiedział do trójki obserwującej jego reakcję.

Trzej mężczyźni spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się szeroko. Giordino odezwał się pierwszy.

- A na ruten?

Pitt zamrugął i natychmiast się wyprostował. Obejrzał minerał jeszcze raz, potem podniósł wzrok na Gunna.

- To prawda? - zapytał cicho. Gunn przytaknął.

- Wysokoprocentowy.

- Wiadomo, ile go tam jest?

- Powinno być dużo. Przystudiowaliśmy to, co zarejestrował detektor „Bloodhonda”. Choć nie jest skonfigurowany do wykrywania rutenu, potrafi go zidentyfikować w platynie. Wokół tamtego otworu termalnego leży jej więcej niż złota w Fort Knox. Można śmiało przyjąć, że znaczna ilość tamtej bogatej w platynę rudy zawiera ruten.

Pitt nie mógł w to uwierzyć. Poczł się tak, jakby dostał zastrzyk adrenaliny. Ożywił się, jego inteligentne zielone oczy znów zabłyśły.

- Gratulacje, szefie - powiedział Gunn. - Masz swoją własną kopalnię rutenu trzysta metrów pod powierzchnią morza.

Pitt uśmiechnął się do trzech mężczyzn, potem sięgnął po nalanego szampana.

- Chyba za to wypiję. - Uniósł kubek w toaście.

Kiedy każdy pociągnął łyk, Dahlgren spojrzał na swoją porcję i skinął głową.

- Wiecie co, te bąbelki są prawie tak dobre jak Lone Star - stwierdził z przeciągłym teksańskim akcentem.

Dziesięć miesięcy później

W Kitimat był jeden z tych rzadkich pogodnych wiosennych dni, kiedy woda jest błękitna, a rześkie powietrze ma smak czystego tlenu. Na terenie dawnego zakładu sekwestracji dwutlenku węgla Mitchella Goyette'a niewielka grupa dygnitarzy i reporterów zebrała się na uroczystości przecięcia wstęgi. Mężczyzna w beżowym garniturze, nowo mianowany kanadyjski minister zasobów naturalnych o twarzy cherubina, wszedł na podium ustawione przed siedzącym tłumem.

- Panie i panowie, mam przyjemność ogłosić oficjalne otwarcie pierwszej na świecie stacji fotosyntezy zlokalizowanej w Kitimat. Jak wiecie, Ministerstwo Zasobów Naturalnych przejęło ten obiekt, dawny zakład sekwestracji dwutlenku węgla, w ubiegłym roku w niezbyt przyjemnych okolicznościach. Ale z zadowoleniem oznajmiam, że udało się tutaj stworzyć pierwszą na kuli ziemskiej stację sztucznej fotosyntezy. Będzie ona bezpiecznie i efektywnie przerabiała dwutlenek węgla na wodę i wodór bez żadnego zagrożenia dla środowiska. Cieszy nas to, że istniejący rurociąg, który łączy ten obiekt z zagłębieniem naftowym Athabaska, zostanie wykorzystany do przerobu niemal dziesięciu procent dwutlenku węgla emitowanego przez tamtejsze rafinerie. Mamy tu teraz doświadczalny zakład nowego typu przeznaczony do przeciwdziałania zanieczyszczaniu atmosfery, a co za tym idzie, globalnemu ociepleniu.

Zebrani, wśród których było wielu mieszkańców Kitimat, zareagowali głośnymi brawami. Minister uśmiechnął się szeroko i mówił dalej:

- Jak w każdym historycznym przedsięwzięciu, w tworzeniu tego obiektu brało udział bardzo wielu ludzi. Jest to jeden z najlepszych przykładów owocnej kooperacji, jaki kiedykolwiek widziałem. Ten efekt współpracy między Ministerstwem Zasobów Naturalnych, Departamentem Energetyki Stanów Zjednoczonych i Uniwersytetem imienia Jerzego Waszyngtona świadczy o tym, jak wiele można razem osiągnąć dla wspólnego dobra. Chciałbym szczególnie mocno podkreślić zasługi panny Lisy Lane, której zawdzięczamy genezę tego zakładu.

Siedząca w pierwszym rzędzie Lisa zarumieniła się mocno i pomachała do tłumu.

- Mam nadzieję, że nasze skromne początki tutaj w Kitimat utoryją drogę doniosłym przemianom na świecie korzystnym dla całej ludzkości. Dziękuję państwu.

Znów rozległy się brawa, potem głos zabrało kilku innych polityków, wreszcie przecięto szeroką wstęgę przed kamerami. Gdy przemówienia się skończyły, minister zasobów naturalnych podszedł do pierwszego rzędu, gdzie Pitt i Loren siedzieli obok Lisy.

- Panno Lane, miło mi panią znów widzieć - powitał ją serdecznie. - To musi być dla pani bardzo ekscytujący dzień.

- Tak, oczywiście. Nie spodziewałam się, że tak szybko powstanie działający zakład sztucznej fotosyntezy - odrzekła.

- Wasz prezydent i nasz nowy premier dołożyli wszelkich starań, żeby tak się stało.

- Panie ministrze, chciałabym panu przedstawić moich bliskich przyjaciół, Loren Smith z

Kongresu i jej męża, Dirka Pitta.

- Bardzo mi przyjemnie. Panie Pitt, to pan zaproponował adaptację dawnego obiektu Terra Green, prawda?

- To był właściwie pomysł moich dzieci - odparł Pitt i wskazał Dirka i Summer, którzy szli do baru. - Wszyscy uznaliśmy, że można by zmienić w coś dobrego jeden z grzechów Mitchella Goyette'a.

Minister wzdrygnął się na dźwięk tego nazwiska, ale szybko znów się uśmiechnął.

- Panno Lane - zwrócił się do Lisy - pani wynalazek okazał się błogosławieństwem na wielu frontach. Będziemy mogli zwiększyć wydobycie ropy w Athabasce, kiedy zostaną uruchomione następne zakłady sztucznej fotosyntezy wchłaniające emitowane gazy cieplarniane. To zmniejszy niedobory paliw w obu naszych krajach. Naciskam na premiera, żeby przyznał środki na budowę dwudziestu takich obiektów, jak ten tutaj. A jak to wygląda w Stanach?

- Dzięki wysiłkom Loren i wiceprezydenta powstaje trzydzieści takich zakładów, a w ciągu najbliższych trzech lat ma przybyć jeszcze pięćdziesiąt. Zaczynamy od elektrowni węglowych, które najbardziej zanieczyszczają środowisko. Wspaniale, że wreszcie będziemy mogli bezpiecznie spalać węgiel i użytkować te elektrownie jeszcze dziesiątki lat.

- Być może równie ważne jest to, że podpisaliśmy umowę z Chinami - dodała Loren. - Zobowiązali się zbudować siedemdziesiąt pięć takich obiektów w ciągu najbliższych ośmiu lat.

- To dobra wiadomość, bo w tej chwili Chiny emitują najwięcej gazów cieplarnianych - odrzekł minister. - Na całe szczęście technologia panny Lane jest łatwa do zastosowania.

- I mamy duże zapasy katalizatora - zauważyła Lisa. - Gdyby organizacja NUMA kierowana przez pana Pitta nie odkryła rutenu u wybrzeży Alaski, to wszystko nie byłoby możliwe.

- Nastąpił szczęśliwy przełom - przyznał Pitt. - Nasza podwodna kopalnia pracuje pełną parą i wydobycie minerału jest bardzo zachęcające. Mamy nadzieję, że będziemy pokrywali zapotrzebowanie tysięcy takich zakładów na całym świecie.

- Więc może położymy kres globalnemu ociepleniu jeszcze za naszego życia. To byłoby znaczące osiągnięcie - podsumował minister, nim jakiś współpracownik odciągnął go na stronę.

- Wygląda na to, że już nie jesteś anonimowym naukowcem - zwróciła się Loren żartem do Lisy.

- To wszystko jest bardzo ekscytujące, ale prawdę mówiąc, wolałabym być z powrotem w laboratorium. Można zrobić mnóstwo usprawnień i jeszcze nie doprowadziliśmy do perfekcji procesu otrzymywania wodoru. Na szczęście mam nowe i lepsze od poprzedniego laboratorium na uniwersytecie. Muszę tylko znaleźć nowego asystenta.

- Boba postawiono w stan oskarżenia? - spytała Loren.

- Tak. Miał ponad dwieście tysięcy dolarów w różnych miejscach, skąd trop prowadził do Goyette'a. Wciąż nie mogę uwierzyć, że mój przyjaciel mnie sprzedał.

- Jak dowiódł Goyette, ludzka chciwość nie zna granic.

Lisę otoczył nagle tłumek reporterów i zasypał ją pytaniami o obiekt oraz jej odkrycie naukowe. Pitt i Loren usunęli się na bok i poszli przez teren zakładu. Pitt już całkowicie wydobrzał i z przyjemnością przebywał na powietrzu.

- Pięknie tutaj - zauważyła Loren. - Powinniśmy zostać jeszcze kilka dni.

- Nie zapominaj, że w przyszłym tygodniu masz posiedzenia twojej komisji kongresowej. A ja muszę być w Waszyngtonie, żeby wziąć do galopu Ala i Jacka. W przyszłym miesiącu testujemy nową łódź podwodną na Morzu Śródziemnym i musimy się przygotować.

- Widzę, że już żyjesz nowym projektem. Pitt przytaknął z błyskiem w zielonych oczach.

- Jak ktoś kiedyś powiedział, mam to we krwi. Minęli obiekt i doszli do wody.

- Wiesz co, technologia Lisy może mieć jedną wadę - powiedziała Loren. - Jeśli pewnego dnia uda się zahamować globalne ocieplenie, to Przejście Północno-Zachodnie pewnie znów zamarznie na stałe.

Pitt popatrzył na pobliski farwater.

- Myślę, że Franklin zgodziłby się ze mną: tak powinno być.

Po drugiej stronie kompleksu biała motorówka dopłynęła farwaterem do nabrzeża od frontu i przycumowała za wynajętą łodzią prasową. Trevor Miller wszedł na pomost, przyjrzał się uważnie dużemu tłumowi na terenie zakładu i dostrzegł wysoką kobietę z rozpuszczonymi rudymi włosami. Ruszył w jej kierunku, wziął po drodze piwo i podszedł do Dirka i Summer, którzy stali w pobliżu dawnej wartowni i się śmiali.

- Pozwolisz, że porwę twoją siostrę? - zapytał Dirka.

Summer odwróciła się do niego z wyrazem ulgi na twarzy i szybko go pocałowała.

- Spóźniłeś się - zauważyła.

- Musiałem zatankować moją nową łódź - próbował się wytłumaczyć.

Dirk spojrział na niego i uśmiechnął się szeroko.

- Nie krępuj się, zabieraj moją siostrę. I zatrzymaj ją sobie, jak długo będziesz chciał.

*

Trevor zaprowadził Summer do motorówki. Odcumował, pchnął przepustnicę, odbił od nabrzeża i wkrótce pędził przez Zatokę Douglasa. Dopłynął do cieśniny Hecate, wyłączył silnik i pozwolił łodzi dryfować. Niebo zaczęło ciemnieć. Otoczył Summer ramieniem, przeszedł z nią na rufę i spojrzał w kierunku wyspy Gil. Stali przez dłuższą chwilę i patrzyli ponad spokojną wodą w dal.

- Najlepsza i najgorsza rzecz w moim życiu zdarzyła się tutaj - szepnął jej w końcu do ucha.

Objęła go w pasie i trzymała mocno, gdy obserwowali, jak purpurowe słońce chowa się wolno za horyzontem.®